



***DUANE SWIERCZYNSKI***



# REWOLWER

**MROCZNA RODZINNA TAJEMNICA**

  
**QURARO**

**DUANE SWIERCZYNSKI**



# REWOLWER



**PRZEŁOŻYŁ RAFAŁ LISOWSKI**

  
**QURARO**

Rewolwer  
Duane Swierczynski  
Przełożył: Rafał Lisowski

Original title:  
*REVOLVER*

Copyright © 2016 by Duane Swierczynski  
The moral rights of the author have been asserted.  
Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and  
Curtis Brown, Ltd.

© Copyright for the Polish translation by Rafał Lisowski, 2018  
© Copyright for this edition by Wydawnictwo RM, 2018

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25  
rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

Redaktor prowadzący:  
Irmina Wala-Pęgierska

Redakcja:  
Joanna Niczyj

Korekta:  
Mirośława Szymańska

Projekt okładki:  
Maciej Jędrzejec

ISBN 978-83-7773-884-9  
ISBN 978-83-8151-049-3 (ePub)  
ISBN 978-83-8151-050-9 (mobi)

*Pamięci  
filadelfijskiego policjanta  
Josepha T. Swierczynskiego  
1892-1919*

## SPIS TREŚCI

### I

[Stan Walczak \(7 maja 1965\)](#)

[Jim Walczak \(7 maja 1995\)](#)

[Audrey Kornbluth \(7 maja 2015\)](#)

### II

[Stan poznaje George'a \(28-30 sierpnia 1964\)](#)

[Jim bierze sprawę \(2 listopada 1995\)](#)

[Audrey ratuje tyłek \(8 maja 2015\)](#)

### III

[Stan bije \(wrzesień–październik 1964\)](#)

[Jim bada \(3 listopada 1995\)](#)

[Audrey naciska \(9 maja 2015\)](#)

### IV

[Stan idzie do kościoła \(4 listopada 1964\)](#)

[Jim wyważa drzwi \(3 listopada 1995\)](#)

[Audrey obala browara \(9 maja 2015\)](#)

### V

[Stan i plan \(4 listopada 1964\)](#)

[Jim i przysięga \(4 listopada 1995\)](#)

[Audrey i Stary Drań \(10 maja 2015\)](#)

### VI

[Szczęśliwego Nowego Roku, Stan \(1 stycznia 1965\)](#)

[Posłuchaj jej, Jim \(4 listopada 1995\)](#)

[Wracaj do domu, Audrey \(10 maja 2015\)](#)

### VII

[Uparty Stan \(6 lutego 1965\)](#)

[Posepny Jim \(5 listopada 1995\)](#)

[Zagubiona Audrey \(10 maja 2015\)](#)

### VIII

[Stan siedzi i marznie \(10 marca 1965\)](#)

[Jim stąpa ostrożnie \(5 listopada 1995\)](#)

[Audrey idzie do kościoła \(14 maja 2015\)](#)

## IX

[Stan i Sonny \(30 marca 1965\)](#)

[Jim i John \(5 listopada 1995\)](#)

[Audrey i Barry \(14 maja 2015\)](#)

## X

[Dupek \(17 kwietnia 1965\)](#)

[Sierota ze spluwą \(5 listopada 1995\)](#)

[Baby Blue \(14 maja 2015\)](#)

## XI

[Kroczyć w szeregu \(1 maja 1965\)](#)

[Słumić gniew \(6 listopada 1995\)](#)

[Pokonać przyszłość \(15 maja 2015\)](#)

## XII

[Padają strzały \(7 maja 1965\)](#)

[Kolejny strzał \(7 listopada 1995 – dzień wyborów\)](#)

[Ostatnie strzały \(15 maja 2015\)](#)

## XIII

[Stan \(7 maja 1965\)](#)

[Jim \(7 listopada 1995\)](#)

[Audrey \(16 maja 2015\)](#)

## XIV

[Stanisław Kaminski \(1933–1951\)](#)

[Kapitan James Walczak \(emerytowany\)](#)

[Posterunkowa Audrey Walczak](#)

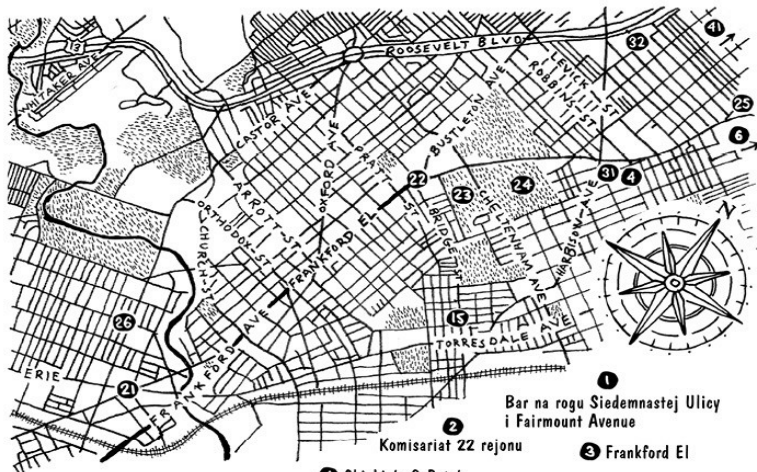
# FILADELFA AUDREY

Miejsca z REWOLWERU  
Duane'a Swierczynskiego



Center City, Fairmount, Queen Village, Kensington, Fishtown,  
Southwark, North Philly, Midway/Gayborhood

## Frankford Mayfair, Rhawnhurst, Penny Park



5 Dziedziniec filadelfijskiego ratusza

4 Chickie's & Pete's

1 Bar na rogu Siedemnajstej Ulicy i Fairmount Avenue

2 Komisariat 22 rejonu

3 Frankford El

„Lasy” 6

7 Róg 22 Ulicy i Columbia Avenue: punkt zapalny zamieszek na Columbia Avenue Girard College 8 **1963**

9 Róg 13 Ulicy i Berks Street:

punkt zborny podczas zamieszek

12 Columbia Avenue między Broad Street a 18 Ulicą, „Złote Wybrzeże”

Hotel Divine Lorraine 10

11 Cadillac Club

13 Stadion Connie Mack

Mieszkanie, w którym odbyła się transakcja narkotykowa 14

15 Dom Stana (1965 i 1995)

Queen Street 226 16

17 The Palm 18 Klub Pen & Pencil 19 Circa Locust Room 20 **1995**

21 Stacja Erie Torresdale

22 Stacja końcowa Bridge Street 23 Cmentarz Cedar Hill

24 Park Wissanoming

Dom Walczaków (1995 i 2015) 25

26 Ośrodek przejściowy Stanton

27 Mieszkanie biegaczki

28 Miejsce zbrodni

29 Redakcja „Metropolitan”

30 Mieszkanie DeHavena

31 Mugsy's Tavern

32 Acme 33 McGillin's Olde Ale House 34 The Roundhouse **2015**

35 Stacja przy Trzydziestej Ulicy 36 Bufet po uroczystości pamiątkowej 37 Mieszkanie Willa

38 Wolna Biblioteka Filadelfijska, Oddział Centralny

39 Szpital Pensylwański

40 Dom Kaminskih

41 Kościół św. Mateusza

Pub Grey Lodge 31



*Kto ukradł kiskę?*  
*Na policję dzwoń*  
Bracia Matys

## STAN WALCZAK

7 maja 1965

Posterunkowy Stanisław „Stan” Walczak zwykle pije piwo galonami, ale w to ciepłe wiosenne popołudnie woli nie szarżować. Wierzchem grubych palców ociera perlisty pot z czoła. Jest ponad dwadzieścia stopni i wysoka wilgotność. Takiej wilgotności jego polska krew nie toleruje.

Stan ogłada się na swojego partnera, George’a Wildeya. W przeciwieństwie do Stana Wildey prawie nigdy się nie poci. Do tego prawie nigdy nie pije. Uznał jednak, że po takim tygodniu należy im się zimne piwko. Stan poparł go w całej rozciągłości.

Są ubrani po cywilnemu, ale każdy, kto wszedłby do baru, natychmiast rozpoznałby w nich policjantów. W North Philly żaden biały nie zadaje się z czarnym, chyba że to dwaj tajniacy z policji.

Formalnie obaj właśnie migają się od służby.

Kilkanaście przecznic dalej manifestanci otaczają Girard College, a Stan i George powinni tam pilnować porządku. Ponad sto trzydzieści lat temu najbogatszy mieszkaniec Filadelfii zapisał w testamencie większość swojej znacznej fortuny na rzecz utworzenia na obrzeżach miasta szkoły dla „biednych białych sierot płci męskiej”. Przez kolejne sto lat wokół kampusu rosły osiedla. Początkowo niemiecka okolica stała się irlandzka, potem żydowska, a w końcu czarna, tymczasem studenci Girard College pozostali biedni, biali i płci męskiej.

Jednakże po tym, jak Sąd Najwyższy w sprawie Brown kontra kuratorium oświaty uznał segregację rasową w szkołach za niekonstytucyjną, czarnoskórzy zaczęli walczyć o miejsca w salach lekcyjnych. Przed siedmioma dniami Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Kolorowych rozpoczęło pikietę, a komendant wysłał na miejsce tysiąc funkcjonariuszy mających dopilnować, by sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Tylko tego brakowało, żeby w mieście powtórzyły się takie zamieszki, jak ten burdel na

Columbia Avenue w sierpniu zeszłego roku.

Stana i George'a przydzielono do ochrony protestów już pierwszego dnia. Za karę, jak się domyślali. Musieli wkurzyć kogoś z wierchuszki. Pomimo obaw przed kolejnymi zamieszkami nic szczególnego się nie działo. Paru dowcipnisiów próbowało wejść na kampus przez sześciometrowy płot, ale to wszystko. Poza tym wszyscy tylko stali i czekali. Stan był pewien, że nikomu nie będzie brakowało ich dwóch.

– Dalej chcesz dzisiaj wziąć Jimmy'ego na mecz? – pyta George.

– Taki mam zamiar – odpowiada Stan.

– Nie wiem, jak Phillies sobie poradzą. Przecież przyjeżdżają Cardinals. Mistrzowie świata. Tym razem nasi muszą wykombinować coś nowego.

– Poradzą sobie.

– Zapomniałeś, że u Cardinalsów ciągle grają Simmons i Sadec-ki?

– A my mamy Dicka Allena i Tony'ego Taylora, najlepszego drugobazowego w lidze. – Stan grubym palcem bębni w blat baru, akcentując każdą sylabę. – Chcesz pogadać o mańkutach? Popatrz na Covingtona.

– Jasne, ale rozmawiamy o drużynie, która w ostatnich dwunastu meczach popełniła dwadzieścia dwa błędy. Dobrze to nie wygląda.

– Dużo grali na wyjeździe. Przed nami dziesięć spotkań u siebie.

– Marzyciel.

Na to Stan nie ma odpowiedzi. Po prostu chce, żeby jego Jimmy obejrzał dobry mecz, żeby na nowo odnalazł trochę tamtej atmosfery z zeszłego sierpnia, kiedy Philsi byli niepokonani i całe miasto wierzyło, że to ma znaczenie. Ludzie mieli czego wyczekiwać zamiast kolejnego straszego lata. Stan wypija pół piwa, po czym przypomina sobie, że nie powinien się śpieszyć. Na picie ma przecież cały dzień.

– Puszczę coś z szafy grającej – mówi George po chwili.

Stan kiwa głową.

– Jasne, czemu nie.

W lokalu panuje śmiertelna cisza. Są tam tylko oni oraz dwaj pi-

jaczkowie w głębi sali, każdy przy własnym stoliku. Wiekowy barman wyciera blat, podnosi piwa Stana i George'a, żeby wyczyścić bar pod nimi, a potem stawia je z powrotem, ani na moment nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Szmata cuchnie środkiem dezynfekującym.

Coś przychodzi Stanowi do głowy. Obraca się na stołku i woła:

– Ej, tylko żadnego soulowego gówna!

– Daj spokój – odpowiada George z szerokim uśmiechem. – Przecież ty uwielbiasz soulowe gówno.

W głębi duszy Stan rzeczywiście uważa, że niektóre kawałki wcale nie są takie złe. Ale nikomu by się do tego nie przyznał. A zwłaszcza partnerowi.

George wrzuca ćwierćdolarówkę i naciska guzik. Metalowe tarcze, na każdej po trzy płyty, głośny metaliczny stukot przy każdym przełożeniu. Ta szafa grająca zawiera oszałamiająco różnorodną muzykę, jakby nie mogła się zdecydować, czy to bar dla czarnych, czy dla białych. George wybiera utwór, wstukując trzy cyfry. Kilka łyków piwa później Stan słyszy metaliczny głos Solomona Burke'a. Got to Get You Off My Mind.

Z uśmiechem kręci głowę. Stuka palcami w blat baru, jakby to było pianino.

– Nie bój nic, Stanny – mówi George, szukając ostatniego utworu. – Teraz mam dla ciebie coś wyjątkowego.

– Jasne, na pewno.

Stuk. Stuk. Stuk.

– A czego teraz słucha Jimmy? W twojej rodzinie on jeden ma sensowny gust.

Syn Stana, Jimmy, kiedy dorośnie, chce zostać zawodowym muzykiem. Ma dwanaście lat i już całkiem niezłe gra na gitarze, ale chodzi po domu, brzdąkając w kółko te same riffy. Dokładnie tak samo jak wszystkie zespoły, których słucha.

– Jakiejś brytyjskiej kapeli. The Clinks?

– He, he. The Kinks, człowieku.

Stan wie, że syn George'a, Junior, też chce być muzykiem, tylko że jeszcze nie zdecydował się na instrument. To jest właśnie problem z tym nowym pokoleniem, powiedział parę tygodni temu

George. Każdy chce być w zespole, ale nikomu nie chce się włożyć w to pracy.

Wiem, zawodzi Solomon Burke, że to tylko kwestia czasu.

George wraca przez wyłożoną płytkami podłogę, osuwa się z powrotem na stołek i wypija łyk piwa.

– Nie rozumiem, jak ty możesz ciągle pić to gówno.

– Tylko dzięki niemu dają radę z tobą wytrzymać – odpowiada Stan.

Ich szpicel się spóźnia. Terrill Lee prosił o spotkanie właśnie tutaj, w tym barze na rogu Siedemnastej Ulicy i Fairmount Avenue.

Stan i George pracują w okolicy od dziewięciu miesięcy, ale jeszcze nigdy nie byli w tym lokalu. Nie należą do policjantów, którzy piją na służbie. Poza tym dwudziesty drugi rejon zapewniał im dość roboty – to nie jest Whitetown.

Knajpa nie ma nazwy. Jest długim, wąskim lokalem z głównym wejściem od Fairmount oraz bocznym, które kiedyś pewnie było oznaczone napisem DLA PAŃ. To bar dla klasy robotniczej położony na skraju dwóch dzielnic, białej i czarnej. Może właśnie dlatego ich szpicel wybrał właśnie to miejsce. Żeby i Stan, i George dobrze się tu czuli.

Stan żałuje, że nie umówili się gdzieś indziej.

– Wyobraźmy sobie, że facet coś nam powie – odzywa się George. – Coś nam powie i co my wtedy zrobimy? Komu to przekażemy?

– Ściągniemy sobie szambo na głowy, przecież wiesz.

– O to mi właśnie chodzi. Jak przekroczymy tę granicę, to...

George milknie, bo otwierają się drzwi wejściowe. Bar zalewa blask ostrego słońca, do wnętrza wpada podmuch gorącego powietrza. Może to ten ich człowiek.

Nie. Nie on.

Ten jest wysoki, ma ziemistą cerę, brudne dzinsy, a w ręku trzyma kask. Zamyka za sobą drzwi. Waha się, stojąc w przedsionku, robi rekonesans. Patrzy na Stana i George'a – jeden biały, drugi czarny – a potem odwraca się i wychodzi. Znowu jasne słońce, znowu gorący podmuch.

– Chyba nie ma ochoty pić ze szpetnym polaczkiem.  
– Ani ze szpetnym murzynem. – To ostatnie słowo Stan wyowiada po polsku.

– Ja jestem czarny adonis, przyjacielu.

Stan śmieje się, ale nieszczerze. Ostatnio śmiech przychodzi mu z trudem.

– To co my zrobimy, George?

– No, coś musimy. W tym się zgadzamy, prawda? Nie możemy udawać, że to całe gówno wcale się nie dzieje. Musimy iść na całość.

– No właśnie – odpowiada cicho Stan.

Sączą piwo. Nawet George musi przyznać, że w gorący sierpniowy dzień zimne piwko podnosi na duchu. Ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby zobaczył, że jego syn pije coś takiego. Barman z braku innych zajęć czyści butelki, które kurzą się pod barem.

*Ktoś inny z tobą jest, to naszej miłości kres.*

– To ma być ta moja niespodzianka?

– Nie, człowieku, za ćwierć dolara są trzy kawałki. Twój będzie następny. Obiecuję, że ci się spodoba.

– Jasne, jasne.

Wczoraj, kiedy kończyli służbę, postanowili, że dość już tej bezmyślnej roboty przy demonstracjach. Dlatego zamiast stawić się dziś do pracy, pojechali parę przecnic dalej i odwiedzili pewnego więźnia w Eastern State. Przekonali go, że jeśli zacznie gadać, może mu to pomóc. Kłamali, ale zadziałało. Więzień gadał. Teraz Stan i George prawie tego żałują.

– Chcesz jeszcze jedno? – pyta Stan, wskazując pusty kufel.

– Nie, ale ty się nie krępuj. Nie zamierzam wrócić do domu pijany. Carla ugotowałyby mi tyłek.

– Rany, ja to musiałbym wypić ze dwadzieścia takich, żeby się urznąć.

– Rosie mówiła mi co innego.

Stan już chce ostrzec George'a, żeby nie rozmawiał z jego piękną żoną, kiedy zaczyna się następna piosenka: dwa ostre uderzenia w krowi dzwonek, żwawa przygrywka na akordeonie i linia basu otwierająca rozpędzoną polkę. George ryczy ze śmiechu –

nie może się dłużej powstrzymać. Na twarzy Stana, wbrew jego woli, pojawia się głupkowaty uśmiech.

*Ktoś ukradł kizkę  
Ktoś ukradł kizkę  
Ktoś ukradł kizkę  
Z jatki ukradł ją*

Kiedy Stan puścił ten kawałek partnerowi po raz pierwszy, George nie mógł przestać się śmiać. W życiu nie słyszał równie absurdalnej piosenki. Umpa, umpa, kizka, kizka. Jeszcze śmieszniej zrobiło się wtedy, gdy Stan powiedział, że wykonawcami są miejscowi chłopcy z Chester, bracia Matys, i że nagrali ją na rogu Broad Street i Columbia Avenue, na obrzeżach Dżungli w sercu North Philly. Stan oznajmił to z taką dumą, że George ryknął śmiechem jeszcze głośniej.

– Halo, barman! – woła George, przekrzykując muzykę. – Jeszcze jeden schmidt's dla mojego polskiego koleżki. Kto ukradł kizkę, człowieku. He, he.

*Kragła, jędrna, pełna smaku  
Tam wisiła na wieszaku  
Ktoś ukradł kizkę  
Nawet nie wiem jak*

Znużony życiem barman podnosi wzrok, jakby się zastanawiał, dlaczego czarny gliniarz puścił z szafy grającej durną polkę, a potem człapie do kranów z piwem.

W tej właśnie chwili do baru wpada blask słońca, a z nim kolejny podmuch gorącego powietrza z Fairmount Avenue. Stan i George oglądają się, sądząc, że znowu zobaczą tamtego robotnika z budowy. Może zmienił zdanie i uznał, że lepiej wypić zimne piwo tutaj, niż nie wypić go wcale.

Ale to nie robotnik.

To mężczyzna z bronią.

Z rewolwerem.

## JIM WALCZAK

7 maja 1995

Detektyw z wydziału zabójstw Jim Walczak stoi na rogu Siedemnastej Ulicy i Fairmount Avenue, trzymając bukiet kwiatów i zimną butelkę schmidt'sa. Jego piętnastoletni syn Cary kopie w krawężnik i patrzy na zamknięty na głucho bar.

– Mówiłeś, że będzie otwarte.

– Mówiłem, że mam taką nadzieję.

Jim przykuca z kwiatami w ręku i opiera je o drzwi wejściowe. A w każdym razie tam, gdzie byłyby drzwi, gdyby nie zabito ich deskami. Ciepły wiatr porusza płatkami i folią.

Potem Jim wyjmuje butelkę schmidt'sa z papierowej torby. Zdejmuje kapsel. Wrzuca go z powrotem do torby.

– Twoje zdrowie, tatku.

Wypija łyk. Nie jest to dobre piwo, ale właśnie takie pił ojciec.

Cary go obserwuje. Jim odczekuje chwilę, jakby coś rozważał, a potem podaje butelkę synowi. On jednak kręci głową i mamrocząc: „Nie, dzięki”. Dobry chłopak. Kiedy Jim poczęstował starszego syna, Stasia, to zanim zdążył mu wyrwać butelkę z rąk, młody obalił pół pieprzonego browara.

Bar zamknęli pięć lat temu. Nic dziwnego, to była żałosna speluna, która chwiała się na ostatnich nogach, usiłując się utrzymać w okolicy, gdzie zostały już tylko resztki dawnej klienteli. Całe życie przeniosło się do centrum, nikt nie chce przesiadywać na obrzeżach.

– Więc tutaj się to stało, tato?

Jim zaciska wargi, kiwa głową.

– Tak. Tutaj.

Przez kilka ostatnich lat przyprowadzał tu Stasia, ale Cary przyszedł po raz pierwszy. Jim chciał wziąć również Audrey, ale Claire tupnęła nogą. Nie ma mowy. Nie pięciolatkę, nie w taką okolicę. Jim przypomniał żonie, że jest policjantem, nosi broń dla du-



zych chłopców i w ogóle, ale nie podziękowało. Odparła, że powinien się cieszyć, że puściła Cary'ego.

Szkoda, że bar dalej jest zamknięty na głucho. Co roku w rocznicę zabójstwa ojca Jim lubił wejść do środka, usiąść na tym samym stołku, w tym samym miejscu (o ile się orientował), chłonąć ciepło i mrok, zamówić schmidt'sa. Jeśli na stołku już ktoś siedział, Jim czekał, aż ta osoba wyjdzie, a potem zajmował to miejsce i w milczeniu pił piwo. Wypijał tylko jedno i zostawiał bardzo hojny napiwek.

Tradycja uległa zmianie, kiedy w osiemdziesiątym przestali serwować schmidt'sa z kija, a rok później zamknęli bar. Jim miał nadzieję, że ktoś znów go otworzy. To już nie to samo – stać na dworze w upale, z butelką niezbyt dobrego piwa i bukietem kwiatów. Nic dziwnego, że tym razem starszy syn sobie odpuścił.

Ale to ważne, żeby pamiętali. Ważne, żeby wysłuchali tej historii. Może kiedyś ktoś zburzy ten budynek, ale to, co się tu wydarzyło, musi pozostać w pamięci.

Jim stoi i patrzy na zabite drzwi, jakby siłą woli mógł sprawić, że się otworzą. Zastanawia się, jak lokal wygląda w środku, po tym jak od pięciu lat niszczeje.

– Co tu się stało? – pyta Cary.

Jim się waha, ale właściwie już zdecydował. Cary jest na tyle duży, żeby poznać prawdę. Do diabła, Jim sam był młodszy, kiedy to się stało. Chłopak to zniesie.

– Dokładnie trzydzieści lat temu, mniej więcej o tej porze, twój dziadek Stan i jego partner, posterunkowy George W. Wildey, przebywali w tym barze, kiedy do środka wszedł uzbrojony mężczyzna z zamiarem dokonania napadu.

– Chciał obrobić bar, w którym było dwóch gliniarzy?

– To był piątek. Może myślał, że kasetka będzie pełna.

Cary powoli kiwa głową. Widać, że nie ma pojęcia, co to jest kasetka, ale szybko się domyśla, że to coś na pieniądze. „Kasetka”. Jim patrzy, jak syn odnotowuje to słowo w pamięci. Kiedy młody czegoś się nauczy, nigdy nie zapomina.

– Podobno napastnik wziął twojego dziadka i jego partnera na muszkę i kazał im zdjąć mundury.

Cary mruga.

– Po co?

– Nikt nie ma pewności, ale pewnie chodziło mu o to, żeby nie ruszyli za nim od razu w pościg. Oba mundury znaleziono w śmietniku kilkanaście przecznic dalej, razem z pasami i bronią. Nieużyta.

– Ale nie uciekł tak po prostu.

– Nie, nie uciekł.

Cary przetwarza te informacje, ale wyraźnie coś mu nie pasuje.

– Jak bandyta mógł wziąć na muszkę dwóch policjantów? Nie mieli broni?

Jim się uśmiecha. Chłopak umie zadawać pytania. Szukać dowodów. Ma spryt. Jim wtłacza to do głów obu synom i tak samo postąpi z Audrey, kiedy ona dorośnie.

– Dobrze pytanie, Care. Zadaję je sobie, odkąd byłem w twoim wieku. A odpowiedź jest prosta. Znali zabójcę. To pewnie był ktoś, komu ufali.

– Jezu, kto?

Jim kręci głową.

– Nikogo formalnie nie oskarżono o morderstwo.

– Ale ty wiesz, kto to zrobił.

Jim przytakuje.

– Tak, mam dość silne podejrzenie.

Nie zostaje nic innego jak stać tu na rogu ze zroszoną butelką piwa i kwiatami, które zaczęły już więdnąć. Majowe słońce jest rozpalone i bezlitosne. Nie daj Boże kiedyś zburzą ten budynek, żeby postawić apartamentowiec albo inne gówno. Jasne, myśli Jim, miasta muszą się zmieniać i rozwijać, ale ten róg powinien na zawsze pozostać taki, jaki jest, na pamiątkę. Tylko że nikt nie pamięta. Nikogo to nie obchodzi. Jim pograża się w rozmyślniach, gdy nagle czuje szarpanie za rękaw marynarki i nerwowy głos Cary'ego:

– Tato.

– Hej, człowieku! – woła czyjś zmęczony głos.

Jim się odwraca i widzi bezdomnego w zielonej wojskowej kurtce, który idzie powoli Siedemnastą Ulicą w ich kierunku. Jest

brudny, złachany i drży mimo upału.

Jim kładzie rękę na ramieniu syna i ściska.

– Wszystko w porządku, Care.

Przez ostatnie cztery lata burmistrz przepędzał bezdomnych z Center City, więc coraz liczniej zaczęli się przenosić tutaj, na obrzeża. Pewnie facet zobaczył Jima w marynarce i krawacie i postanowił poprosić o parę docłów. Albo o resztkę tego schmidt'sa.

– Przykro mi, kolego, nie pomogę.

Jim znowu skupia się na kwiatach, które leżą na ziemi. Nie ma teraz nastroju do takich spraw. Ale wygląda na to, że dzisiejsza wizyta będzie krótsza niż zazwyczaj. Znowu ściska syna za ramię.

– Możemy iść?

– Hej, człowieku – powtarza tamten facet, tym razem błagalnym głosem.

Jim czuje, że Cary się spina. To delikatny chłopak, łatwo się płoszy, zupełnie jak jego matka. Jim rozważa, czy nie wyjąć odznaki i nie powiedzieć bezdomnemu, żeby poszedł zawracać głowę innym ludziom, kiedy tamten mówi:

– Jimmy... to ja!

Jim przygląda mu się dokładniej. Zaczerwienione oczy, drżące wargi. Gość jest czymś napruty. Ale twarz rzeczywiście ma znajomą, nawet jeśli Jim nie jest w stanie jej skojarzyć. Może to ktoś, kogo przyskrzypił? Nie, taki nie zwracałby się do niego „Jimmy”.

– To ja, człowieku, George – mówi facet i wtedy wszystko układa się w całość tak gwałtownie, że Jimowi aż kręci się w głowie.

Chryste.

Jim po raz ostatni widział George'a Wildeya juniora ponad dziesięć lat temu w pokoju przesłuchań, kiedy jeszcze pracował w antynarkotykowym. „Koleś mówi, że cię zna”. Tak, Jim go znał. Zrobił dla niego, co mógł, czyli niewiele. George miał na koncie kilka zatrzymań za włamania, handel narkotykami, kradzież samochodów. Są dwie ścieżki, którymi można pójść. Jim już w dzieciństwie wiedział, że George junior idzie tą niewłaściwą, pomimo tego, czym zajmował się zawodowo jego ojciec.

– Cześć, George. Wybacz, minęło sporo czasu.

– Rzeczywiście, rzeczywiście. To twój pierworodny? – pyta George, patrząc na Cary’ego.

– Nie, nie. To Cary, mój drugi – odpowiada Jim. – Care, to jest mój kolega George. Jego tata był...

– Partnerem dziadka – dopowiada Cary, który już zrozumiał.

George junior gestem wskazuje bukiet kwiatów opartych o ścianę.

– Szkoda, że o tym nie pomyślałem.

Jim kręci głową.

– Są dla nich obu. Dla mojego tatka i twojego.

George junior ruchem głowy wskazuje piwo, które trzyma Jim.

– He, he. To też dla nich?

– Chyba tak. Chcesz łyka?

– Nie, stary, już nie piję.

Są mniej więcej w tym samym wieku. Przez ten krótki okres, kiedy ich ojcowie byli partnerami, Jim i George spotkali się koleżeńsko dwa razy – i w obu przypadkach wyszło bardzo niezręcznie. Jim naprawdę bardzo lubił posterunkowego Wildeya. Ten jego donośny, niedźwiedzi śmiech, fajny gust w zakresie soulu, jazzu, nawet rocka. To właśnie Wildey zwrócił mu uwagę, że Stonesi praktycznie zerznęli *The Last Time* z The Staple Singers, i teraz zawsze mu się to przypominało, gdy w radiu leciała ta piosenka. Albo gdy sam puszczał ją w domu późną nocą.

Ale syn Wildeya, Junior, to była inna bajka. On zawsze miał to swoje spojrzenie, trochę oskarżające, a trochę konfrontacyjne.

– Dalej robisz w antynarkotykowym?

– Nie. Z dziesięć lat temu przenieśli mnie do zabójstw.

– Do zabójstw – powtarza George junior, przeciągając sylaby, jakby ogłądał to słowo pod światło. – Dobrze, bardzo dobrze.

Stoi i dygocze w upale. Chyba chętnie oparłby się o ścianę, ale nie chce okazać słabości. Jimowi nasuwa się mnóstwo pytań – gdzie mieszkasz, co robisz, co u twojej mamy – ale uznaje, że naprawdę nie ma ochoty poznać odpowiedzi. Chce po prostu wrócić do domu, do rodziny, i liczyć na to, że za rok wizyta przebiegnie trochę lepiej. Może wreszcie ktoś postanowi znów otworzyć bar.

Jim wyciąga portfel, otwiera i sięga do środka.

– Masz.

– Nie, człowieku, nie chcę nic z tych rzeczy.

Jim kręci głową, wyjmując białą wizytówkę ze złotą odznaką i numerem swojego pagera. To jak karta pozwalająca się wywinąć od drobnej wpadki. Nie pomoże, jeśli cię zatrzymają, powiedzmy, za posiadanie z zamiarem sprzedaży. Albo za zabójstwo. Ale trochę ułatwi życie, kiedy złapie cię drogówka.

– Na wszelki wypadek – mówi Jim.

George junior bierze wizytówkę, mruga.

– Na wypadek czego?

Za każdym razem, kiedy Jim podjeżdża pod dom, czuje rozczarowanie. Szeregowiec przy Unruh Avenue kupili jako swój pierwszy dom pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy Mayfair było jeszcze porządną okolicą – w Northeast mieszkało wielu chłopaków z policji – a oni mieli jedno dziecko. Luźny plan był taki, żeby poczekać pięć, sześć lat, a potem przenieść się do czegoś większego. Może nawet na bliskie przedmieścia.

Jednak pięć lat minęło w mgnieniu oka, w międzyczasie urodził im się drugi syn (Cary) i zanim się obejrzel, był 1990 rok i zorientowali się, że mieszkają tam już kilkanaście lat, a w domu pojawiła się mała dziewczynka. Zamiast się przeprowadzić, poszli na całość i dobudowali taras na tyłach domu, żeby zrekompensować brak ogródka. Zgodnie z obiegową mądrością z Northeast Philly, jeśli budujesz taras, to znaczy, że będziesz tam mieszkać do końca życia. Ale co z tego? Kiedy jest ciepło, z tego tarasu praktycznie się nie ruszają.

Jim przytrzymuje drzwi swojej owdowiałej matce, Rose, po którą pojechał po wizycie pod zamkniętym barem. Rose Walczak wciąż mieszka w tym samym domu, który kupiła z mężem prawie pięćdziesiąt lat temu, ale wcześniej czy później będzie musiała się stamtąd wyprowadzić. Niekoniecznie do domu spokojnej starości – jest na to trochę za młoda – ale może do mniejszego mieszkania w lepszej dzielnicy. Okolica, w której mieszka, bardzo długo pozostawała przyzwoitym skrawkiem Frankford, ale ostat-

nio dołączyła do reszty miasta jako teren o wysokiej przestępczości. Jim boi się, że któregoś dnia odbierze telefon i usłyszy, że matkę ktoś napadł.

Oczywiście Rose odmówi przeprowadzki. To miejsce to jej świat, jedyny, który zna. W pewnym sensie Jim się jej nie dziwi – on też gdzieś w głębi duszy będzie przygnębiony, wystawiając ten dom na sprzedaż. Duch ojca wciąż jest tam bardzo mocno obecny.

– TATAAAAA!

Audrey biegnie z tupotem po drewnianej podłodze. Ma pięć lat, jest zwariowana i silna jak byk.

BAM – uderzenie stalowej kuli do wyburzeń prosto w jego uda. Jim podnosi córeczkę i robi jej pierdzioszka w szyję, aż mała wiję się i piszczy.

Rose wręcza Claire własnoręcznie przygotowaną sałatkę ziemniaczaną (którą dzieci uwielbiają) i buraczną (której nie znoszają). Całuje Stasia w czoło, a potem głaszczę jego dziewczynę, Bethanne, po policzku.

– Ale ślicznotka – mówi.

Bethanne się rumieni.

Cary idzie tuż za Rose i puszcza oko do Bethanne, na dłużej zawieszając na niej wzrok. Nie kryje się z zauroczeniem dziewczyną brata, co czasami jest niemal niestosowne.

– Spierdalaj, Care – mówi Staś.

Jim chciał nazwać pierworodnego syna po swoim ojcu, ale Claire nie zgodziła się, żeby chłopak szedł przez życie z brzemieniem imienia takiego jak Stanisław, ani nawet jego krótszej wersji, Stan. („Stan to taki facet, co przychodzi naprawić kanalizację” – stwierdziła). Dlatego ostatecznie wybrali alternatywną formę Staś, wymawianą jak „Stosh”. Kiedy chłopak się przedstawia, ludzie ciągle myślą, że ma na imię Josh, co doprowadza go do szału.

Claire obejmuje Jima i przytula się do jego tęgiego torsu.

– Pora wyjąć tę twoją obrzydliwą polską kiełbasę z lodówki i włożyć na grill – mówi.

Jim szepce:

– Przychodzi mi do głowy fajniejsze miejsce, gdzie mógłbym ją włożyć.

Claire szturcha męża, śmiejąc się wbrew sobie. Ale naprawdę nie cierpi zapachu kiełbasy. Mimo to już ją ponacinała, więc teraz wystarczy tylko trochę opalić. Jim kupuje kiełbasę w Czerw's, małym sklepie w Port Richmond, gdzie wędliny robi się już od czasów wielkiego kryzysu. Tatko też tam kupował.

Claire nie je czerwonego mięsa – a nawet gdyby jadła, to nie wieprzowinę – więc kiełbasę toleruje tylko przy specjalnych okazjach. Dla Jima wędzony aromat uderzający z otwieranej lodówki to najlepsza rzecz na świecie. Jego żonie za każdym razem zbiera się na wymioty.

Kiedy Jim przewraca mięso na grillu, Audrey kręci się w kółko, udając, że razem z Alanis Morissette śpiewa swoją nową ulubioną piosenkę, która huczy z odtwarzacza CD:

*Jest starszą wersją mnie – równie zboczoną jak ja?*

Jim sam nie wie, czy się śmiać, czy spalić tę cholerną płytę. Z drugiej strony jego rodzice nigdy nie zabraniali mu słuchania muzyki, kiedy tylko chciał. Pewnie mama i tak nie rozumiała sensu piosenek o tym, jak słodko smakuje brązowy cukier.

Otwiera jeszcze jednego yuenglinga, obraca kiełbasę, próbuje spowolnić czas, żeby cieszyć się tą chwilą, ponieważ w jego życiu podobne momenty są bardzo rzadkie. Chłopcy się kłócą, Audrey biega w kółko jak niespełna rozumu. Wszyscy razem, kiełbasa na grillu, zimne piwo w dłoni. Claire niespodziewanie zachodzi go od tyłu, obejmuje, całuje w szyję. Jest najszcześniejsza, kiedy wszyscy są w domu. Jim musi to przyznać – on też.

## AUDREY KORNBLUTH

7 maja 2015

Audrey Kornbluth, lat dwadzieścia pięć, nie była w Filadelfii od prawie dwóch lat.

Co więcej, od ponad trzech nie widziała ojca, alias Kapitana. Podobno zgolił brodę, bo posiwiła. Musi teraz wyglądać dziwnie – nigdy nie widziała go bez zarostu. Wszystko jedno. Na pewno i tak ciągle jest tym samym ponurym dupkiem.

Lot z Houston do Philly trwał cztery godziny z groszami. Audrey w gruncie rzeczy przeniosła się z jednego obrzydliwie wilgotnego miasta (czwartego co do wielkości) do innego obrzydliwie wilgotnego miasta (piątego co do wielkości – a może teraz już szóstego czy siódmego? Pogubiła się). Zmarnowała poranek na podróż między dwoma nieprzyjemnymi miejscami. I to ubrana w niedopasowaną czarną sukienkę, która nieco za bardzo opina rękę.

„Babcia prosiła, żeby przypomnieć ci o rękawach” – napisała w esemesie matka, tylko że ona dyktuje wiadomości przez aplikację rozpoznającą mowę, więc wyszło z tego: „Kasia prosiła, żeby ci przytomnie o reklamach”.

Chodziło o reklamy/rękawy, które całkowicie zakrywałyby rękę Audrey, pokryte pięknymi tatuażami. Nie daj Boże, żeby młoda dama w mieszanym towarzystwie demonstrowała dziary. Audrey jednak posłuchała, bo kocha swoją babcię Rose. A może raczej swoje wyobrażenie o babci Rose. Ona sama w rzeczywistości jest dosyć męcząca.

Po wyjściu z terminalu gorące, wilgotne powietrze uderza Audrey prosto w twarz. Jej długie czarne włosy zaczynają się wić jak węzowe sploty Meduzy. Łzawią jej oczy. Audrey ścisną torbę z ubraniami na zmianę – o tak, to będzie krótka wizyta: za wyrzuty sumienia można kupić tylko dwadzieścia cztery godziny, moi drodzy – i rozgląda się za limuzyną. Za to całe zamieszanie obie-



cali jej limuzynę.

Limuzyny nie ma.

Zamiast tego przyjeżdża minivan. Sinoniebieska honda coś tam, kilkuletnia, wgnieciona tu i ówdzie.

Przyjeżdża bratowa – jedyna, która jeszcze rozmawia z Audrey – wymachuje rękami i krzyczy: pośpiesz się, pośpiesz, jesteście spóźnieni. Z tyłu wiwatują dzieci. Zaraz, nie wiwatują. Wydzierają się.

To będzie koszmar. Obiecali jej limuzynę, do cholery.

I tak oto Audrey Kornbluth, dorosła kobieta, wciska się między dwójkę szkrabów w trzecim rzędzie foteli sześćoletniego minivana. Brudny palec narusza jej przestrzeń osobistą w okolicach twarzy.

– A kim ty jesteś?

Cierpliwości. On jest niewinny.

– Jestem waszą ciocią Audrey.

– Nieprawda! Nasza ciocia Audrey mieszka w Teksasie.

– Ej, mały, widzisz te budynki? – Audrey wskazuje brzydkie przysadziste szare terminale z betonu i szkła, obok których właśnie przejeżdżają. – Za nimi znajdują się magiczne urządzenia, które przenoszą ludzi między różnymi miejscami. Jedno z nich przyniosło mnie tu z Teksasu!

– Ciocia Audrey jest ładna.

– A ty nie jesteś ładna – dodaje drugi maluch z przekonaniem sędziego wygłaszającego wyrok.

Audrey wykrzywia się i nachyla do bratanka.

– Tak? A ty masz masło orzechowe na wardze.

Próbuje przeciągnąć pas w poprzek tułowia. Zacina się. Ciągnie jeszcze raz. Zacina się. Szarpie mocno. Zacina się. Jebać, jak się rozbijają, to ochroni ją całe to ludzkie mięso wokół niej.

– A kim wy w ogóle jesteście, mądrale?

Audrey nie żartuje. Ledwo się orientuje w swoich bratankach i bratanicach. Nie była w domu od prawie dwóch lat, a jej obaj bracia ciągle się mnożą, jakby zabezpieczali się na wypadek Ar-

magedonu. Przed nią, w drugim rzędzie, siedzą trzej chłopcy, którzy są na pewno albo Stasia, albo Cary'ego, ale ona za cholerę ich nie rozróżnia.

Jedna z bratowych odwraca się i kładzie rękę na oparciu fotela kierowcy.

- Jak ci tam z tyłu, Audrey?
- W porządku.
- Widzę, że Houston dobrze ci robi.
- Tak, to fajne miasto.
- Jak szkoła CSI?
- Super - kłamie Audrey.

W szkole CSI idzie jej bardzo, bardzo źle. Tak naprawdę za jakiś tydzień Uniwersytet Houston powie jej: „Wielkie dzięki za opłacanie chesnego, a teraz spierdalaj, powodzenia w świecie zdesperowanych i bezrobotnych”.

Na początku wydawało się, że to świetny pomysł. Audrey wychowała się na serialu CSI - na długo, zanim oficjalnie było jej wolno oglądać takie makabryczne rzeczy. Mama byłaby przerażona. Tata tylko się uśmiechał i odwracał wzrok, gdy jego dziesięcioletnia córka patrzyła, jak ludzką głowę miażdżą kijem golfowym albo jak otwierają tułów dziwki przy użyciu rozwieracza do żeber. Audrey się tym rozkoszowała.

I dalej się rozkoszuje. Kłopotem nie jest sama nauka; kłopotem jest chaos i zamęt w jej życiu, który uniemożliwia pełne poświęcenie się studiom. A uniwersytetów chaos i zamęt zwykle nie obchodzi. Oczekują, że po prostu przyjdiesz i zajmiesz się nauką.

Droga z lotniska do samego miasta prowadzi przez przemysłowe pustkowia dymu, oleju, maszyn i ognia, a potem obok stadionów sportowych i tysiąca billboardów. Wygląda na to, że w tym miesiącu odbędą się prawyборы na stanowisko burmistrza, bo reklamy są pełne nazwisk, które Audrey pamięta jak przez mgłę. ABRAHAM. WILLIAMS. DEHAVEN. KENNEY.

Jak należało się spodziewać, w pobliżu stadionów ruch zwalnia.

- Spóźnimy się - odzywa się ta bratowa, która prowadzi. Nie mówi do nikogo konkretnego, ale zwłaszcza nie mówi do Audrey.

Ma na imię Bethanne, więc Audrey oczywiście robi w myślach

autokorektę na „Bitchanne” – bo bitch to „suka”. Nigdy nie zrobiła Bitchanne nic złego, może oprócz samego oddychania. Ale Bitchanne jest żoną Stasia, jej starszego brata, a ponieważ Staś przestał rozmawiać z Audrey, to ona również. Trochę szkoda, bo Audrey pamięta, że kiedy była dzieckiem, zawsze czekała na jej wizyty. Bethanne grała z nią w te wszystkie dziewczynskie gry planszowe, w które Staś i Cary nie chcieli grać. A teraz w ogóle się do niej nie odzywa.

Bratowa, której chuda dupa zajmuje fotel pasażera, nie przestała się odzywać do Audrey, ale jest żmija, której sprawia rozkosz opowiadanie kłamstw. To dużo, dużo gorsze – Audrey wolałaby lodowate milczenie. Żmija ma na imię Jean i właśnie przez nią Cary tyle pije.

À propos...

– Yy, przecież miała być limuzyna.

Jean obraca się, fałszywie wydyma wargi i mówi:

– Miasto załatwiło tylko po dwie na rodzinę, skarbie. Jedna dla twojego taty, babci Rose i Stasia, a druga dla twojej mamy, Willa, Cary’ego i Gene’a.

Audrey kipi ze złości, wykonując w myślach rodzinną kalkulację: dobrze, czyli synów Walczaka (Stasia, Cary’ego) wiozą limuzyną, a tymczasem ona wylądowała w ciasnym minivanie z orzechową bandą. Ale, ale! W limuzynie jadą nie tylko bracia. Także Will, w miarę nowy facet mamy. I Gene, syn Cary’ego. Gene – wnuk! – załapał się przed grubą, brzydką ciotką Audrey z Teksasu?

Ale z drugiej strony to nawet ma sens. Ona jest adoptowana. Jako jedyna w rodzinie nie ma w żyłach wspaniałej krwi Walczaków.

– Nie martw się – mówi Jean. – Spotkamy się z nimi przy Spring Garden Street, zanim pojedziemy na róg.

– Wunderbar – odpowiada Audrey.

Róg to miejsce, gdzie dokładnie pięćdziesiąt lat temu, 7 maja 1965 roku, zamordowano jej dziadka.

Gdy Audrey Kornbluth dorastała, dużo słyszała o dziadku Stanie. Bohaterski gliniarz, dobry mąż i ojciec, zaledwie czterdzie-stojednoletni, kiedy zginął, za młodo i tak dalej.

Widywała dziadka Stana tylko wtedy, gdy odwiedzała babcię i musiała zrobić siku.

No bo jedyna łazienka znajdowała się na piętrze, a na boazerii wzdłuż obitych włóchatą wykładziną schodów, nieco krzywo, wi-siało czarno-białe zdjęcie dziadka Stana – jako jedna z trzech fo-tografii ułożonych w tryptyk. Idąc pod górę:

Starszy brat Audrey Staś, który generalnie jest fiutem. Zdjęcie zrobione w dniu, kiedy ukończył Akademię. Audrey dobrze pa-mięta ten dzień, który skończył się bójką Stasia i Cary’ego. (Czy jakiegokolwiek spotkanie rodzinne Walczaków nie kończy się bój-ką?)

Następny w kolejności: jej ojciec, Kapitan, w dniu, kiedy z kole-i on ukończył Akademię w 1971 roku. Młoda Audrey śmiała się z jego długawych blond włosów, których dawno już nie ma. *Stu-dium ojca jako hipstera z początku lat siedemdziesiątych.*

I wreszcie: dziadek Stan w dniu ukończenia akademii policyjnej (chyba już widać prawidłowość?) w maju 1951 roku. Krótko przycięte jasne włosy, głęboko osadzone oczy, niespokojny uśmiech.

Gapił się na nią zawsze, kiedy Audrey chciało się siku.

Musi przyznać, że czuła się nieswojo, bo jego spojrzenie tak jak-by za nią podążało.

Tak wygląda wspomnienie Audrey o jej dziadku.

Limuzyny zajeżdżają na róg pod eskortą policji, a za nimi zbiera-nina cywilnych samochodów. Umundurowani gliniarze salutują sztywno i służbiście przejeżdżającym pojazdom. Zamknięto cały odcinek Fairmount Avenue od Siedemnastej do Osiemnastej Ulicy i ustawiono tam składane krzesła zwrócone w kierunku pizzerii. Tablice pamiątkowe są przykryte policyjnymi flagami, a każdy róg zdobią cztery róże. W tle wyją dudy.

Audrey opuszcza minivana i zbiera się w sobie, żeby jakoś prze-

żyć najbliższe niezręczne, bolesne godziny.

Jej ojciec, Kapitan, wysiada tylnymi drzwiami pierwszej limuzyny. Zgodnie z pogłoskami rzeczywiście nie ma brody. Skóra jego dużych, różowych policzków jest gładka i podrażniona. Ponadto przytył jakieś piętnaście kilo. Blond włosy, tak jasne, że prawie siwe, są krótko przystrzyżone. Facet wygląda jak góra, jest znacznie masywniejszy niż podczas ich ostatniego spotkania. Które było bolesne, niezręczne, do dupy.

No i jakże by inaczej – pierwszą osobą, z którą nawiązuje kontakt wzrokowy, jest Audrey.

Mimo że zaraz zakłada okulary przeciwsłoneczne, wciąż się w nią wpatruje. Bez jakichkolwiek dostrzegalnych emocji.

Audrey wzdryga się jako pierwsza i odwraca wzrok. O Boże, to będzie okropne.

Bracia, mama, jej facet Will – i owszem, nawet mały Gene – jedno po drugim wysiadają z limuzyn i gapią się na Audrey. Wow. Naprawdę przyjechała. Ciekawe, jaki kurs obstawiali na to, że się pojawi.

Mama jako pierwsza wyłamuje się z szyku i przychodzi ją przytulić.

– Dobrze wyglądasz, córko – mówi.

– Określenie, którego szukasz, to „przyjemnie pulchna” – odpowiada Audrey.

– Tego nie powiedziałam.

– Ach, ale pomyślałaś, Claire.

Audrey zawsze mówi do matki „Claire”, a Claire zwraca się do Audrey „córko”. Tak już mają.

Dudy wciąż grają, tyłki zaczynają wypełniać krzesła, a tymczasem Audrey rozgląda się nerwowo, wypatrując znajomych twarzy. Nietrudno odróżnić Walczaków od Wildeyów (no kto by pomyślał), przy czym tych drugich jest znacznie mniej. Zostaną wolne miejsca. Audrey rozważa, czy nie usiąść po stronie Wildeyów, tak dla beki. „Ależ tak, jestem białą owcą tej rodziny”.

Komendant policji wita się z jej ojcem. Audrey zauważa, że burmistrz się spóźnia.

A potem, bez ostrzeżenia, nadchodzi pora, by zaczynać.

Mistrzem ceremonii jest didżej lokalnej stacji nadającej złote przeboje. Rany, co za przygnębiająca fucha, myśli Audrey. Nie będzie miał okazji do rozładowania atmosfery, puszczając Let's Twist Again czy Hanky Panky.

Audrey zajmuje miejsce w drugim rzędzie, uznawszy, że pierwszy jest zarezerwowany dla pasażerów limuzyn. Cary jednak ją zaskakuje, bo wybiera ten sam rząd i sadza swoje szczupłe ciało na sąsiednim krześle. Ma na sobie policyjny mundur, chociaż jest tylko gryzipiórkiem.

– Biuściasta się zrobiłaś – stwierdza, ruchem głowy wskazując jej tułów.

– Wypchaj się – szepce Audrey.

– Prawdziwa Cycanna Cycewska.

– Serio, Care, naskocz mi.

Cary śmieje się pod nosem.

Kapitan – Audrey to widzi – lada chwila się odwróci i powie, żeby wreszcie stulili, kurwa, pyski. Ach, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Na początek inwokację wygłasza wielebny z kościoła Świętych Piotra i Pawła.

– Niech wszechmogący Bóg ześle nam pokój teraz i na wieki. O, Panie, który w swej łasce dajesz wiernym odpoczynek, pobłogosław tę tablicę, którą upamiętniamy miejsce, gdzie nasi bracia, posterunkowi Stanisław Walczak i George Wildey, zostali nam zabrani, gdy chronili swych współmieszkańców, Twój lud, od grożącej im niechybnej krzywdy. Niechaj znajdą pokój i życie wieczne w Twojej obecności. Amen.

– Psst. Trzymaj.

Cary przyciska srebrną piersiówkę do palców prawej ręki Audrey. Jego siostra obraca dłoń, chwyta naczynie.

A więc tak to będzie. Upiją się na ceremonii ku czci dziadka. Niezbyt elegancki numer, ale jakże potrzebny.

Oczywiście Audrey nie jest głupia, więc zaprawiła się już w samolocie: dwie małpki stolicznej, puszka soku pomidorowego i parę miniaturowych paczuszek z pieprzem posłużyły jako składniki pokładowej krwawej mary à la MacGyver (gdy steward

uniósł brwi, rzuciła: „Zmarł mi dziadek, okej?”) oraz drugiej – solidnej – w lotniskowej restauracji Chickie’s & Pete’s. Dlatego te parę łyków z piersiówki Cary’ego to tylko tak na utrwalenie. Szlag, przecież sam Cary jest równie wcięty.

Rodzeństwo Walczaków od dziesięcioleci prowadzi ze sobą wojny i zawiera sojusze. Audrey i Cary zawsze rozumieli się najlepiej, mimo że dzieli ich dziesięć lat różnicy i w razie potrzeby potrafią zadawać sobie okrutne ciosy z chirurgiczną precyzją. Ich matka, Claire, nadała im imiona na cześć gwiazd swojego ulubionego filmu, Szarady.

Tymczasem Jim nazwał swojego pierworodnego po ojcu. Może i Staś odziedziczył rodzinną spuściznę, ale Audrey i Cary zgadzają się, że to ich imiona są fajniejsze. (Ponadto Audrey mówiła do brata „Josh”, kiedy tylko się dało, bo wtedy się wkurzał).

Teraz poczet wciąga flagi na maszt. Strzelec, flagowy z flagą amerykańską, flagowy z flagą stanową, flagowy z flagą policyjną, strzelec. Wszyscy recytują przysięgę wierności sztandarowi i wtedy Audrey orientuje się, że trochę bełkocze. Musi zwolnić, chyba że ma ochotę później, na bankiecie, stracić przytomność.

Na mównicę wchodzi komendant policji.

– Nie ma znaczenia, jak dawno temu doszło do tego morderstwa – zaczyna. – Kiedy członkowie naszej rodziny tracą życie na służbie, nigdy, przenigdy nie zapominamy. Nie tylko o nich, ale także o ich rodzinach.

To pięćdziesiąta siódma i pięćdziesiąta ósma tablica w programie zainicjowanym przez Braterskie Towarzystwo Policji. Cel: uczcić tablicami wszystkich dwustu pięćdziesięciu ośmiu filadelfijskich policjantów zabitych na służbie. Ceremonia na cześć Stana i George’a przypadała w pięćdziesiątą rocznicę ich śmierci.

Cary znowu podsuwa piersiówkę.

Audrey patrzy prosto przed siebie, po omacku odkręcając zakrętkę. Kiedy komendant kończy przemowę, ona pochyła się do przodu, jakby rozciągała plecy, i włosy spadają jej na twarz. Pociąga łyk. Burbon słodko pali w język i gardło. Audrey siada prosto. Zakręca piersiówkę. Znowu szturcha nią wierzch dłoni Cary’ego. On bierze naczynie, odnotowuje zmianę ciężaru, patrzy

na siostrę z uniesionymi brwiami. Nieźle golnęłaś.

Audrey wzrusza ramionami. Przecież to spotkanie rodzinne Walczaków. Chyba powinniśmy się narąbać, nie?

Komendant przedstawia niejaką Sonyę Kaminski, córkę wieloletniego działacza politycznego „Sonny’ego Jima” Kaminskiego, który, co znaczące, jest nieobecny. Ojciec Audrey i Sonya od lat się przyjaźnią; Audrey przypuszcza, że kiedyś musieli się pieprzyć. Może nawet nie przestali – choć Sonya sprawia wrażenie, że teraz gustuje w kutasach lepszego gatunku.

– Mam wyjątkową przyjemność powitać rodziny Walczaków i Wildeyów – mówi Sonya Kaminski. – To jest teraz święta ziemia. Nigdy nie zostanie naruszona, zbezczeszczona, usunięta.

Jasne, myśli Audrey, dopóki którejś nocy ktoś nie zarzyga tego rogu pizzą pepperoni.

Wreszcie przychodzi czas na przemówienie ojca. Audrey uważa, że się garbi, więc siada prosto na krześle. Kapitan Jim zajmuje miejsce na mównicy, nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych. Nie słyszała głosu ojca od prawie trzech lat.

– Dzień dobry. Nazywam się James Walczak. Posterunkowy Stanisław Walczak był moim ojcem. Staję tu dzisiaj z wdzięcznością. Nigdy nie byłem bardziej dumny z tego, że służę w Filadelfijskiej Komendzie Policji. Chciałbym podziękować panu komendantowi...

Tu Kapitan Jim rozpoczyna litanie podziękowań, od komendanta wzwyż do burmistrza i z powrotem w dół, zaliczając po drodze praktycznie każdego, kogo należy wymienić z nazwiska. To w ogóle nie w jego stylu. Nawet gdy ojciec Audrey zachowuje się jak totalny dupek, zawsze ma w sobie trochę dziwnego, mrocznego poczucia humoru. W tej przemowie zupełnie nie jest sobą. Równie dobrze mógłby ją wygłaszać robot.

Kapitan Jim wraca na miejsce.

Wystąpienie porucznika Bena Wildeya jest znacznie żywsze. To wnuk George’a Wildeya – i, niespodzianka, kolejny gliniarz.

– Nigdy nie poznałem mojego dziadka George’a – mówi Wildey – ale przez lata dużo o nim słyszałem. I na ile się orientuję, chyba byłby niezadowolony, że nie odpalamy jakiejś soulowej nuty



w tym gr... na tym rogu.

Pomruk uprzejmego śmiechu. Audrey chichocze. Dałaby głowę, że chciał powiedzieć „w tym grajdole”. Tak trzymaj, poruczniku Benie.

I wreszcie nadchodzi pora, żeby odsłonić tablice. Samotny trębacz gra *Być bliżej Ciebie* chce, podczas gdy zdjęte zostają róże, a potem flaga, ukazując dwie płyty z brązu wtopione w beton.

Wyglądałoby to superelegancko, gdyby nie czerwono-zielonobiały szyld dokładnie nad nimi:

CHEESESTEAKI  
WŁOSKA KIEŁBASA NA GORĄCO  
KANAPKI  
FRYTKI SKRZYDEŁKA  
ZAMÓW WEWNĄTRZ

Zamów wewnątrz, myśli Audrey, i módl się, żebyś wyszedł żywy. Jest wstawiona, ale na szczęście jeszcze nie tak pijana, żeby wygadywać takie teksty na głos.

Komendant wręcza Kapitanowi poduszkę. Audrey zastanawia się, czy ten przyciśnie ją sobie do twarzy, żeby mieć spokój z tą uroczystością.

Miejsce na mównicy zajmuje przewodniczący związku zawodowego policjantów.

– Bliskim Stana i George’a chcę powiedzieć: pamiętajcie, że zawsze będziecie należeli do rodziny filadelfijskiej policji. Te tablice dołączają do wspomnień, opowieści oraz spisanej historii rodzin Walczaków i Wildeyów jako kolejny dowód, że bohaterowie strzegący mieszkańców Filadelfii zginęli tutaj, pełniąc służbę. Niech was Bóg błogostawi.

Trąbka gra capstrzyk.

Dudy zaczynają Amazing Grace. Audrey zgadza się z porucznikiem Benem: wołałaby jakąś soulową nutę w tym grajdole.

Didżej od złotych przebojów – który pewnie mógłby coś takiego załatwić – przejmuje mikrofon, żeby zakończyć imprezę.

– Do zobaczenia następnym razem – mówi.

Audrey przesuwa palcami po blacie, który jest trochę tłusty, mimo że dzisiaj lokal dopiero otwarto. Na dworze składają krzesła i ładują je do ciężarówki. Tłum się rozchodzi.

Weszła do pizzerii, bo musiała iść siku. Jednak w drodze powrotnej zatrzymała się, żeby się rozejrzeć. Spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądało wewnątrz pięćdziesiąt lat temu, kiedy był tutaj bar. Robi krok do tyłu, żeby ogarnąć spojrzeniem rozmiary lokalu, a potem znowu opuszcza wzrok na kontuar, widzi, jaki jest długi, i nagle dociera do niej wstrząsająca myśl:

Oni tylko przykryli właściwy bar. Ciągle tam jest.

Pewnie podziurawiony kulami.

Z funduszu pamiątkowego opłacono skromny bufet w restauracji kilka kwartałów dalej, na rogu Dwudziestej Pierwszej Ulicy i Green Street. Bar płatny, co rozczarowujące. Audrey chyba nie ma pod ręką dość gotówki na krwawą mary.

Każdemu przydzielono miejsce, ale gdy widzi pozostałe nazwiska na karteczkach (Bitchanne, Jean, dziatwa), wybiera stołek przy barze w sali obok i zamawia yuenglinga. Kiedy stąd odlatuje najbliższy samolot?

W sali z założenia obowiązuje zatem segregacja, tak samo jak na krzesłach na Fairmount Avenue. Filadelfio, nigdy się nie zmieniał.

Wszyscy wsuwają kanapki z pieczoną wołowiną, ziti i sałatkę coleslaw. Dzieci biegają w kółko jak oszalałe, przewracają krzesła i wrzeszczą tak przesywając, że ich wrzask przebija się nawet przez solidny rausz Audrey.

Audrey nie wie, co ze sobą robić, więc dryfuje ku babci Rose, która siedzi z killkorgiem jej kuzynów. Audrey nie pamięta ich imion i modli się, żeby się do niej nie odezwali.

– Cześć, babciu.

Wzrok Rose potrzebuje sekundy, może dwóch, żeby się na niej skupić. Ostatnio zawodzą ją wszystkie narządy zmysłów. Wkrótce babcia bierze ją na celownik.

– Och, Audrey. Roztyłaś się.

Audrey jest ciekawa, czy jakikolwiek sąd skazałby ją za strzele-

nie własnej babki pięścią w skroń.

– Wracasz do domu? – pyta babcia Rose. – Nie wiem, dlaczego w ogóle musiałaś się wyprowadzać do Teksasu.

– To dobra uczelnia – kłamie Audrey, ponieważ nie chce powiedzieć prawdy: Bo musiałam uciec od was wszystkich.

– A tutaj nie ma dobrych?

W policyjnej rodzinie nietrudno poczuć się jak miejscowy przestępca. Audrey jest najmłodsza z rodzeństwa o dobre parę lat – i jako jedyna jest adoptowana. Mówią o niej „chodząca katastrofa”. Przecież nie ma problemów ze słuchem.

Uznaje, że popełniła błąd, wchodząc między cywili. Tak naprawdę chyba lepiej czułaby się wśród Wildeyów. Chociaż oni pewnie by na nią spojrzeli i łagodnie zasugerowali powrót do własnej porąbanej rodziny.

Nie mając się dokąd udać, Audrey podchodzi do portretów zamordowanych policjantów, które wydrukowano na kartonie i postawiono naprzeciw siebie na dwóch sztalugach, jakby prowadzili w zaświatach niekończącą się pogawędkę.

Te fotografie to policyjne zdjęcia identyfikacyjne, surowe, czarno-białe, powiększone do rozmiarów plakatu.

Dziadek Stan był Amerykaninem polskiego pochodzenia z szeroką szczęką i głęboko osadzonymi oczami. Oczami pełnymi bólu. Stan to weteran drugiej wojny światowej, sierota, glina. Naogłądał się dużo gówna.

Tymczasem jego partner, Wildey, to Afroamerykanin o okrągłych policzkach i z ledwie widocznym cieniem uśmiechu na twarzy, jakby w momencie zwolnienia migawki akurat usłyszał bardzo zabawny dowcip i lada moment miał parsknąć śmiechem.

– Dziwaczne, co? – odzywa się jakiś głos.

Audrey zerka na stojącego obok niej czarnoskórego gliniarza, który również przygląda się portretom. A, to dowcipny porucznik Ben z ceremonii. Pan Grajdół. Okazuje się zabójczo (za przeproszeniem) podobny do swojego dziadka.

– Wyglądasz dokładnie jak on – stwierdza Audrey.

– Ciągłe ktoś mi to mówi – odpowiada gliniarz. – Ja tego chyba nie widzę, nie licząc munduru i koloru skóry. Ja mam dużo po

mamusi.

– Więc dlaczego mówiłeś, że to dziwne?

Ben Wildey się uśmiecha.

– Wiesz, my dwoje tutaj. Wnuki, które nigdy nie poznały dziadków. Wiem, że wyglądam na starego pryka, ale kiedy się urodziłem, dziadek George nie żył już od szesnastu lat. Po prostu dziwny ten cały młyn – Ben gestem wskazuje salę – dla facetów, których nawet nie znamy. – Wyciąga rękę, przedstawia się. – Ty jesteś najmłodszą córką, tak? Słyszałem, że też na służbie?

– Nie, nie pracuję w policji. Jeszcze studiuję.

– Ale kryminalistykę, nie?

– Tak. Oby.

– Fajnie.

Stoją, patrząc na swoich martwych dziadków.

– No – mówi Ben – może kiedy zrobisz dyplom, wrócisz do domu i wreszcie to rozwikłasz.

Audrey ogląda się na Bena Wildeya.

– Zaraz... Co?

## STAN POZNAJE GEORGE'A

*28–30 sierpnia 1964*

Wszystko zaczęło się od tego, że na rogu Dwudziestej Drugiej Ulicy i Columbia Avenue pewien samochód nie chciał się ruszyć.

Mąż stoi na zewnątrz i błaga żonę, żeby wreszcie zjechała na bok. Ale żona siedzi za kółkiem i ani myśli słuchać. Jednocześnie wciska do dechy gaz i hamulec. „No chodź!” – krzyczy mąż. „Takiego! Idź spierdalaj!” – odpowiada żona. Oboje sporo wypili.

Wkrótce za nimi zbiera się sznurek aut, kierowcy wałą pięściami w klaksony. TUUUUUT!

Jest gorący, letni piątkowy wieczór pod koniec sierpnia i ludzie po prostu chcą wrócić do domu. Nawet jeśli ich dom jest rozgrzana, duszną skrzynką, gdzie otworzą piwo i będą oglądać w telewizji grę w kręgle. Zawsze to lepsze od tkwienia tutaj na Columbia Avenue za pieprzonym samochodem, który nie chce się ruszyć.

W końcu ktoś dzwoni na policję.

Wiadomość dociera na komisariat dwudziestego drugiego rejonu. Pojawia się dwuosobowy patrol – zestaw „solniczka-pieprzniczka”. Ostatnio w Dżungli często widuje się pary złożone z czarnego i białego policjanta. Chodzi o to, żeby mieszkańcy, bez względu na kolor skóry, zawsze mieli kogoś, z kim czuliby więź.

Prawda jednak jest taka, że czarnoskórzy bardziej ufają białym policjantom. A jedna z niepisanych zasad na komisariacie zabrania wysyłać radiowozem dwóch czarnych gliniarzy – bo to tak, jakby radiowozu nie wysłać w ogóle.

Biały policjant próbuje porozmawiać z małżeństwem. Ignorują go i dalej się kłócą. Żona nie zdejmuje nóg z tych cholernych pedałów. Nie ma zamiaru się ruszyć. Takiego.

Samochody trąbią. Dźwięk odbija się od jedno- i dwupiętrowych budynków niczym w kanionie.

Dajcie spokój!

Wreszcie czarny gliniarz stwierdza: do diabła z tym. Siłą wyciąga kobietę zza kierownicy. Mamy gorący letni wieczór, ludzie chcą wrócić do domów.

Ale tu jest Dżungla, jest sierpień 1964 roku i przez całe lato narasta wściekłość. Wcześniej czy później osiągnie temperaturę wrzenia – wszyscy to czują.

Biały gliniarz wskakuje za kółko i zabiera auto z drogi, żeby ludzie wreszcie mogli przejechać. Wysiada, zatrzaskuje drzwi, przygotowuje się do przymknięcia męża i żony, by on również mógł wrócić do domu, napić się piwa i włączyć telewizję, kiedy...

ŁUP!

Z tłumu wyskakuje czarnoskóry facet i strzela białego gliniarza w szczękę, aż temu hełm spada z głowy.

Napastnik ucieka, zanim policjant zdąży się otrząsnąć, a jego czarny partner – go złapać. Jest szybki.

Czarny gliniarz wzywa wsparcie.

Przecznicę dalej ten sam napastnik zaczyna roznosić wieści. Ej, jakiś biały glina właśnie zatłukł czarną babkę! I to ciężarną! Nie, człowieku, serio, sam widziałem, na rogu Dwudziestej Drugiej i Columbia!

Teraz na ulicach jest mnóstwo ludzi, podążają Columbia Avenue.

W odpowiedzi na wezwanie przybywa kilkunastu policjantów.

Na ulicach ludzi robi się jeszcze więcej, kręcą się, zastanawiają, co się teraz stanie. Czy psy zabiją następną czarną kobietę w ciąży? A może nawet dziecko?

Czerwony radiowóz skręca z Dwudziestej Ulicy w Columbia Avenue i...

BAM BAM BAM BAM BAM!

Grad kamieni spada na maskę i przednią szybę.

Później powiedzą, że to wszystko było ukartowane, a zespół „solniczka-pieprzniczka” wyciągnął pechową słomkę, od której poszła iskra i BUCH! – cała Dżungla stanęła w ogniu.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zamieszki na Columbia

Avenue na dobre się rozkręcają, posterunkowy Stan Walczak leży nieprzytomny na rozkładanym fotelu, po wypiciu sześciopaku Schmidts'a w trakcie lektury „Bulletinu”. Dziś ma wolny wieczór. Ba, ma wolny cały weekend. Dokładnie tak, jak lubi.

Gdzieś dzwoni telefon.

Stan modli się, żeby to był sen. Albo żeby dzwoniło u sąsiada. Albo żeby to był sen o telefonie u sąsiada.

Ale nie – następny cholerny dzwonek. Stan zmusza się do otwarcia oczu. Jest tuż po jedenastej wieczorem, a on ma za sobą długi tydzień. Chce tylko dalej spać. Kto, u diabła, wydzwaniał o takiej godzinie?

Nagle Stan uświadamia sobie, że tak późno może dzwonić tylko jedna osoba i do jasnej cholery, oby Rosie nie podniosła słuchawki.

Kiedy podnosi się z fotela, dźwięki w całym domu zlewają się w nerwowy warkot w tle. Rosie w kuchennym radiu cicho słucha opery. Jimmy na górze puszcza z gramofonu Beatlesów, Rolling Stonesów albo jakąś inną głośną, zawodzącą grupę. Ostatnio chłopak nie słucha niczego innego – z gramofonu, z radia, sam to nuci na głos. A wszystkie piosenki brzmią dokładnie tak samo. Bo mówiłem ci już, och, nie możesz tak.

No to powiem ci, co możesz, myśli Stan. Możesz wyłączyć ten cholerny gramofon.

Odwraca się i widzi, że Rosie doszła do telefonu pierwsza.

– Nie, Rosie, czekaj...

– To do ciebie – odpowiada żona, podając mu słuchawkę ze zmartwioną miną.

Stan stracił czucie w nogach. Boli go stawianie kroków. Wreszcie dociera do telefonu, bierze słuchawkę od Rosie.

– Tak?

– Siemasz, Stoshie, musisz po mnie przyjechać. – To jego partner, Billy Taney.

– Jak to przyjechać?

– Nie oglądasz telewizji? Jebani demokraci podpalili Dżunglę!

Nie, Stan nie ogląda telewizji. Cały wieczór czytał „Bulletin” i rozmawiał z Rosie, która martwi się o bratową, która ma kłopo-

ty z mężem. A potem wypił dużo piwa i zasnął.

– Podpalili? Gdzie?

– Na Złotym Wybrzeżu podpalają, co się da, i podobno robi się paskudnie. Więc przyjeżdżaj po mnie.

– Dobra, dobra.

Stan odkłada słuchawkę. Jego podkoszulek dopiero co wysechł po dziennej zmianie, ale teraz trzeba się wziąć w garść i znowu ruszyć na ulicę.

Rosie już jest w kuchni i robi mężowi jedzenie na drogę. Nigdy nie wypuszcza Stana z domu bez jedzenia – białego chleba z wątrobianką i cebulą albo włoskiej bułki z klopsikami na zimno – zapakowanego w brązową papierową torbę. Potajemnie boi się, że Stan zje coś nieprzygotowanego w domu i nastąpi koniec świata.

– Zaraz wrócę – mówi Stan.

W łazience na górze myje twarz i ręce ciepłą wodą, a potem wyciera ręcznikiem. Pokój Jimmy’ego jest za ścianą, więc teraz Stan słyszy tego folkowego pieśniarza, Boba Dylana. Następny, którego w kółko słucha chłopak. Jeden śpiewa Like a Rolling Stone. A drudzy nazywają siebie Rolling Stones. To wszystko zupełnie bez sensu. Ale Jimmy odkłada pieniądze i sam kupuje płyty w sklepie przy Torresdale Avenue, więc nic mu nie można powiedzieć. Może kiedyś z tego wyrośnie. Albo Stan na urodziny kupi mu słuchawkę.

Jimmy pojawia się w drzwiach, jakby ktoś go wołał.

– Wracasz na służbę, tatku?

– Tak, wezwali nas.

– Jedziesz na te zamieszki, prawda?

Stan unosi brew.

– Gdzieś ty o tym słyszał?

– W radiu. Mówili, że ludzie podpalają sklepy, rozbijają szyby. Dlaczego oni to robią? Co się dzieje?

– Nie wiem, Jimmy. Pewnie się przekonam.

Stan wraca do sypialni poszukać czystej koszuli. Jimmy idzie za nim.

– To nie brzmi dobrze.



- Poradzę sobie. Po prostu trzeba uspokoić sytuację. Jimmy zastanawia się przez chwilę.
- W radiu mówili, że wszystko zaczęło się na rogu Dwudziestej Drugiej i Columbia. To blisko stadionu, prawda?
- Stadion jest przy Lehigh. To kawał drogi.
- Sprawdziłem na mapie. Wcale nie tak daleko. Stan patrzy na chłopaka. Wie, do czego on zmierza.
- Nie martw się, nie odwołają przez to meczu Phillies. Mają iść na mecz we wtorek wieczorem. Stan kupił bilety, kiedy Phillies przeżywali pasmo porażek. Ale teraz idzie im świetnie i wszyscy w mieście są podekscytowani, mówią o finałach, więc bilety to był najsmardzejszy zakup w jego życiu. Jimmy wariuje z podniecenia.
- Mam nadzieję - odpowiada.
- Ruszam na miejsce zbrodni - mówi Stan i czochra synowi włosy.

Jimmy udaje, że tego nie cierpi, ale się uśmiecha.

Kiedy są w drodze, Stan widzi, jak jakiś mały chudy murzyn ci-ska koktajlem Mołotowa w czerwony radiowóz i rozbija tylną szybę. Trzej umundurowani funkcjonariusze wygrzebują się przez tylne drzwi, strzepując szkło z ubrań, i rozglądają się za chłopakiem, ale jego już dawno nie ma, zniknął w ciemnej ulicz-ce.

Mogłoby się wydawać, że ci trzej ruszą w pościg za gnojkiem, ale nawet nie próbują. Tylko stoją i patrzą jeden na drugiego.

Po dotarciu do punktu zbornego na rogu Trzynastej i Berks Street, niedaleko Uniwersytetu Temple, Stan przekonuje się dla-czego. Rozdają tam białe hełmy bojowe. Rozdają przydziały ulic. I rozdają surowe polecenia z samej góry:

*Unikać konfrontacji fizycznej.*

*Ograniczyć przemoc i ofiary do minimum.*

*Żadnych pałek.*

*Żadnych pistoletów.*

*Żadnych psów.*

*Żadnych koni.*

## *Żadnych armatek wodnych.*

To czego, zastanawia się Stan, mają używać? Srogich spojrzeń? Wygląda na to, że plotki, które krążą po komisariatach, są zgodne z prawdą. Komendant nie jest ulicznym gliniarzem z prawdziwego zdarzenia, tylko cholernym jajogłowym.

– Waszym głównym narzędziem kontroli – mówi komendant swoim podwładnym – są aresztowania.

Stan jest na tyle blisko, że słyszy Franka Rizza, zastępcę komendanta:

– Co za tchórzliwy sukinsyn, gównem się zna na tym wszystkim.

Choć Stan chętnie by się z Rizzem zgodził, nie lubi go zbyt, i to z wzajemnością. Pracowali razem dziesięć lat temu, przez jakiś czas patrolowali dzielnicę klubów, kiedy jeszcze Stan czuł się jak prawdziwy gliniarz, zaangażowany w to, co robi. To znaczy zanim sprawy potoczyły się bardzo źle i wylądował na zesłaniu w Whitetown.

W każdym razie rozmowę z podejrzanym Rizzo wyobraża sobie tak: pałka w czoło i nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. Dla Stana to ktoś gorszy od zbira. To zbir z ambicjami.

Dlatego nic dziwnego, że wydany przez komendanta zakaz bitki doprowadza Rizza do szału. Facet mało nie wyjdzie z siebie – najbardziej to by chciał, żeby jego kutas był pałką policyjną, którą stłukłby całe North Philly, wymuszając posłuszeństwo.

Stan oddala się poza zasięg słuchu. Ktoś podaje mu hełm. Stan próbuje go włożyć, ale się nie mieści. Oddaje go Taneyowi.

– Jebani demokraci – mówi Taney, naciągając hełm na głowę. – Wiedziałem, że tak będzie. Całe lato ci mówiłem, że tak będzie. Nie mówiłem?

Demokraci – to jego nowe ulubione słowo na czarnych. Upiera się, że nie jest rasistą. Twierdzi, że to wszystko kwestia polityczna. Bo wszyscy demokraci kochają czarnuchów.

– Tak, mówiłeś – odpowiada Stan.

– To, jak oni rzucają człowiekowi wyzwanie. Jak prowokują, żeby coś zrobił.

– Aha.

– No to zobaczą, co się dzieje, kiedy ktoś prowokuje gliniarza.

Billy Taney to w porządku facet i przyzwoity gliniarz, ale pyszałek, zwłaszcza kiedy wypije. Im więcej pije, im jest wścieklejszy, tym bardziej znikają mu oczy. Widać, że dziś wieczorem pił dużo.

– Jakby dali nam rozwalić parę łbów – mówi – to w godzinę byłoby po sprawie.

Minęła już północ i Stan widzi poblask pożarów kilkanaście przecznic dalej. To wszystko obłąd. Powinien teraz spać w domu, zamiast być tutaj, w Dżungli.

Porucznicy wciąż rozdają hełmy i zadania. A także nowicjuszy. W teren, do pilnowania porządku, rozsyłane są trzyosobowe zespoły: dwóch weteranów, jeden żółtodziób. Dziwne, ale rozkaz to rozkaz. Tak jak ze wszystkim innym, tu również obowiązuje porządek alfabetyczny.

– Wildey!

– Wymawia się „Łildi”, panie poruczniku – odpowiada jakiś głos.

– Gównno mnie obchodzi. Będziesz z Walczakiem i Taneyem. Walczak, gdzie jesteś?

Stan niechętnie podnosi rękę, rozglądając się za twarzą odpowiadającą głosowi. „Łildi”. Gromada policjantów rozstępuje się, odsłaniając Wildeya. To murzyn. Można się było domyślić. Wildey nie może znaleźć Stana, dlatego ten jeszcze raz podnosi rękę i woła:

– Wildey, tutaj!

Czarnoskóry gliniarz wreszcie nawiązuje z nim kontakt wzrokowy – ale tylko na sekundę. Nie uśmiecha się. Stan może się domyślić, jak go podsumował na pierwszy rzut oka: wielki polski blondas. Z łbem, na którym nie mieści się hełm. No cóż, on też się nie cieszy na widok Wildeya.

– Jak leci? – pyta tamten.

Stan kiwa głową. Roznoszą okolicę na strzepy. A on myśli, że niby jak leci?

– Ja jestem Walczak, a to Taney.

Taney stęka pod nosem, majstrując przy paskach hełmu bojowego.

– Kroi się, kurwa, długa noc – mówi Wildey.

– Na to wygląda, nowy.

Wildey wzdyga się jak spoliczkowany.

– Nowy? Ja tu nie jestem nowy.

– To dlaczego trafiłeś do nas? – pyta Taney.

– Słyszeliście porucznika tak samo jak ja. Myślałem, że któryś z was jest tu żółtodziobem.

Stan patrzy na dziesiątki mundurowych zebranych w tym miejscu. Może trzymając się z tyłu, uda się uniknąć najgorszego zameętu. Jeśli jakiś kretyn wybiegnie ze strefy zamieszek, to wtedy go przyskrzynią. Niewykluczone, że gdzieś tu jest nawet bar. Spróbują się tam zadekować, strzelą parę kolejek. Będą pilnować spokoju ducha.

– No – mówi Wildey – ruszamy do akcji?

Stan i Taney wymieniają spojrzenia, a potem wzdykają. Wygląda na to, że ten „Łildi” należy do nadgorliwców.

Kiedyś tę część Columbia Avenue nazywano Złotym Wybrzeżem. W latach trzydziestych, kiedy Stan był chłopcem, gangsterzy melinowali tu swoje panny w mieszkaniach od Broad Street aż do Osiemnastej. Było tu tyle markiz sklepowych, że w ulewę można było przejść od Broad aż do parku z suchą głową. Teraz są tu same żydowskie sklepy, których właściciele rozpaczliwie próbują sobie radzić w dzielnicy murzynów. Którą to murzyni próbują dziś doszczętnie spalić.

Ale najpierw ogołocić do czysta.

Stan dostrzega chłopca, może siedmioletniego, który wybiega ze sklepu spożywczego z kilkunastoma kartonami papierosów w objęciach.

– Ej! Odłóż to!

Mały patrzy na niego bez wyrazu. Nie jest ani głupi, ani sparaliżowany strachem. Po prostu ma to gdzieś. Pewnie staruszek kazał mu skoczyć po fajki. Chłopakowi nawet nie przyszło do głowy, że powinien zapłacić.

– Słyszysz mnie?

Do małego podchodzi Wildey.

– Dzieciaku, bierz dupę w troki i do domu!

Chłopiec robi krok do tyłu, nie bardzo wiedząc, co robić. Przecież właśnie szedł do domu. Z papierosami. Dla tatka.

To wszystko zwraca uwagę starszych chłopaków, nastolatków, którzy znajdują się kilka sklepów dalej. W rękach mają butelki. Patrzą, jak Wildey próbuje złapać dzieciaka – dlaczego on próbuje złapać małego chłopca, na litość boską? – i ruszają naprzód wolnym krokiem. Czują się mocni. Może doszły ich wieści, że glinom nie wolno używać broni. Dzisiaj można robić, co się chce. Brać, co się chce. To im się należy. Policja gównu im robi, co najwyżej powarczy.

– Chodź no tu, mały sukinkocie – syczy Wildey, ale chłopiec jest zbyt gibki, zbyt zwinny.

A tymczasem ci starsi postanawiają obrzucić Wildeya butelkami.

– Czarny psie!

Butelka roztrzaskuje się u stóp policjanta, który ledwo ma czas na reakcję, drugą odtrąca w powietrzu, a trzecia uderza go w czoło.

– Kurwa mać!

Wildey zapomina o dzieciaku i rusza na nastolatków, którzy już uzupełniają amunicję – o kamienie.

Stan zerka na Taneya i mówi:

– Chodź.

Obaj wyciągają pałki – nie użyją ich, tylko gnojków postraszą. Ale Wildey już dopadł do chłopców, wydziera się, więc tamci dają nogę i znikają w głębi ulicy. Kiedy Wildey wraca, Taney aż gotuje się ze złości:

– Co ty wyrabiasz, nowy? Chcesz nas pozabijać?

– Już mówiłem, że nie jestem nowy.

– Po coś polazł do tego dzieciaka? – pyta Stan. – Chciałeś go aresztować?

– Nie – odpowiada Wildey. – Chciałem go pogonić, zanim ktoś go podepcze.

We trzech ruszają po Columbia Avenue, potłuczone szkło chrzęści im pod nogami. Stan zagląda do zrujnowanych lokali. Apteki z

wyczyszczonymi półkami. Sklepy obuwnicze. Sklepy mięsne. Na pewno po Dwudziestej Drugiej Ulicy biega teraz jakiś dzieciak z półtuszą wołową.

Stan czytał w gazetach o zamieszkach w Rochesterze, na Harle-mie i Brooklynie. Nie potrafi tego zrozumieć. Jeśli jesteś na kogoś wkurzony, to dlaczego puszczasz z dymem własną okolicę? Dla-czego nie pójdziesz tam, gdzie mieszkają ci wszyscy bogacze, i nie podpalisz ich domów? To zupełnie bez sensu.

W niewielu oknach w tym kwartale jest jeszcze choć trochę szkła. Stan rozgląda się po ulicy, żeby sprawdzić, czy ostała się choć jedna cała szyba. Owszem – naprzeciwno. W damskim skle-pie obuwniczym. Na pewno wcześniej czy później ktoś się do nie-go dobierze.

Ale to dobrze, że właśnie teraz tam spogląda, bo widzi odbicia ich trzech idących ulicą.

A dwa piętra wyżej – olbrzymią płonąca masę, która właśnie za-częła spadać. Kiedy Stan patrzy w górę, praktycznie czuje żar na czubku głowy.

Później będzie rozmyślał nad swoim odruchem w tamtej chwili. Ledwo ma czas dostrzec ognistą kulę i krzyknąć „szlag!”, a co do-piero odepchnąć obu partnerów. Dlaczego więc wybiera tego no-wego?

Rzuca się na Wildeya i powala go ramieniem. Kula ognia – czy co to, u diabła, jest, może meteor – uderza tuż za nim w chodnik, tak blisko, że Stan myśli, że spaliło mu pięty butów. Wyciąga przed siebie ręce, ponieważ pęd przerzuca go ponad Wildeyem. Szoruje dłońmi o asfalt, z impetem spada najpierw na łokcie, a potem całym ciałem uderza o ziemię. Niezbyt zgrabne lądowa-nie. Ale przynajmniej nie zgniółł go płonący przedmiot, który spadł z nieba.

I właśnie wtedy do niego dociera: o nie, Taney.

– Kurwa mać – mamrocze Wildey, wciąż oszołomiony.

Ogląda swoje krwawiące dłonie, podczas gdy Stan podnosi się z ziemi, żeby rozejrzeć się za partnerem. Wreszcie rozpoznaje

przedmiot, który o mały włos nie zabił ich wszystkich.

To kanapa. Kanapa, którą ktoś podpalił i zrzucił z dachu. Żeby zepchnąć ją przez krawędź, potrzeba było co najmniej dwóch chłopów, może więcej.

Pod tą kanapą częściowo przygnieciony leży posterunkowy Billy Taney.

– Chodź, pomóż mi! – woła Stan i dźwiga Wildeya na nogi.

Willey gapi się na płonąca kanapę, jakby nie całkiem rozumiał, na co patrzy.

– Czy to jest kanapa?

– Tam jest Taney!

I gotuje się żywcem. Stan widzi tylko dwie ręce. Rozczapierzone dłonie, dygoczące palce. Stan i Willey wymieniają szybkie spojrzenia, nie za bardzo wiedząc, co robić. Będą musieli dotknąć płonącej kanapy, żeby ściągnąć ją z Taneya. Nie ma wątpliwości, że to zrobią – tam jest ich partner. Ale muszą to potwierdzić bez słów.

– Cholera – mówi Willey.

– Do roboty. Raz, dwa...

– Czekaj!

– Na co?

– Przewróćmy nogą!

Stan rozumie od razu. To dużo, dużo lepszy pomysł. Obaj wsuwają czubek prawego buta pod płonąca mebel i go unoszą.

Kanapa toczy się do tyłu, odsłaniając jęczącego, osmalonego Taneya. Jęczenie to dobry znak. Jęczenie oznacza, że Taney jeszcze żyje.

– Biegnij po karetkę – mówi Stan, klękając.

Willey dwukrotnie kiwa głową, ciągle wpatrzony w Taneya, który wygląda jak figurka żołnierza należąca do sadystycznych dzieci: kończyny każda w inną stronę, porwany mundur, dymiąca skóra.

– Willey, już!

Ale teraz na miejsce nadciąga więcej policjantów. Wiadomość rozchodzi się między funkcjonariuszami błyskawicznie jak po synapsach. „Czarnuchy zrzuciły kanapę na Billy’ego Taneya!” Ktoś

mówi, że karetka już jest w drodze.

Stan dotyka tyłu głowy Taneya. Czuje ostre włosy po niedawnym strzyżeniu. Chłop ma rozpaloną skórę. Ciągłe jęczy.

– Trzymaj się, Billy – mówi Stan, bojąc się go poruszyć.

Może tylko głaskać go po głowie, dopóki nie przyjedzie pomoc. Co się stało z tym miastem? Po jakimś czasie słyszy ostry głos, który przebija się przez wrzawę.

– Posterunkowy Walczak.

– Co jest, Wildey?

– Może byśmy poszli dorwać sukinsynów, którzy to zrobili?

Co za głupota, co za głupota, co za głupota, myśli Stan, kiedy biegnie po dachach ponad Columbia Avenue, szukając ludzi na tyle szalonych, żeby zrzucić płonąca kanapę trzem policjantom na głowę.

Ale Wildeya nic nie powstrzyma. Stan mógł tylko ruszyć za nim – przez rozbite drzwi, dwa piętra w górę, do schodów pożarowych, a potem na dach.

W biegu papa lepi im się do butów. Stan ledwo widzi, gdzie kończą się dachy, a zaczynają ziejące szpary między nimi.

– Chyba ich widzę! – woła Wildey.

Stan gówno widzi. Z góry Północna Filadelfia wygląda zupełnie inaczej. Może dlatego, że chyba cała się pali.

Docierają jednak do końca kwartału, na nikogo nie natrafiając. Może ci od kanapy zeszli na dół. Włamali się do następnego mieszkania.

Jakiś głos przebija się przez hałas. Stan nie wie, do kogo on należy. Czyżby któryś z tych murzynów ukradł megafon?

– Hm – mruczy Wildey. – To Georgie Woods. – Oszołomiona mina Stana każe mu wytłumaczyć, o kogo chodzi. – Georgie Woods, człowieku, ten didżej. Z radia WDAS.

Stan nie ma pojęcia, co to za jeden. Stoi na dachu, podpierając się pięściami pod boki, i słucha apelu tego człowieka.

– Proszę, rozejdźcie się – dudni głos. – Jeśli macie problemy, są inne sposoby, żeby je rozwiązać!



Święta racja, cholera jasna, myśli Stan.

– Kobieta, o której słyszeliście, jest cała i zdrowa. Nikt dzisiaj nie zginął! Proszę, rozejdźcie się!

Stan i Wildey jeszcze przez pół godziny przeszukują dachy, ale po gościach od kanapy nie ma śladu, ani nawet dowodów ich istnienia. Jeśli mieli szmaty i kanistry z benzyną, musieli zabrać je ze sobą.

– Naprawdę chciałem skuć sukinsynów – mamrocze Wildey.

Stan myśli sobie, że Taney na pewno też.

Przed nadejściem świtu ludziom znudziło się rozbijanie okien, płądrowanie i podpalanie, więc wracają do domów. Niczym fala cofająca się od brzegu. W policjantach wciąż buzuje adrenalina, ale nie mają kogo gonić ani na kogo wrzeszczeć. Zostały tylko puste, splądrowane sklepy. Kiedy ich właściciele wrócą i zobaczą, co się tu stało, będą płakać.

Stan mówi do Wildeya, że zobaczą się później. Wildey kiwa głową, lekko mu macha.

– Wyśpij się, póki możesz. To jeszcze nie koniec. My tych gości dopadniemy. Żeby zrzucić na nas cholerną kanapę!

Hm, „my”, myśli Stan.

Nazajutrz po południu Stan czuje się do dupy. Jest w takim wieku, że zaburzenie rytmu snu wywołuje chaos w organizmie. Boli go każda kość. Żołądek nie ma zamiaru czegokolwiek trawić i przypomina o sobie beknięciami oraz garścią innych niepokojących odgłosów. Świat jakby spowiła gaza, ale dźwięki i reszta bodźców są jeszcze ostrzejsze niż zwykle. Na przykład ból głowy. Albo płyty Jimmy’ego, głośne, chociaż syn puszcza je na drugim końcu domu.

Mimo to Stan wstał, ubiera się i szykuje do powrotu do płonącej Dżungli. Jimmy wtyka głowę do sypialni, gdy ojciec właśnie wciąga świeżą białą podkoszulkę.

– Późno wczoraj wróciłeś, tатku. Źle było?

– No, nie za dobrze. Ale chyba najgorsze za nami.

– Myślisz, że mimo wszystko we wtorek pójdziemy na mecz?

Stan patrzy na syna.

– Pójdziemy – zapewnia.

Nie chce jednak przyznać, że sam nie jest przekonany. Bo coś czuje, że cała sprawa znowu zacznie kipieć. I znowu. I znowu. Aż murzyni zniszczą całe North Philly.

Na dole Stan zalewa parę kostek lodu sokiem pomidorowo-małym i dodaje miarkę wódki. Wypija drinka do dna, po czym robi sobie następnego. Rosie udaje, że tego nie widzi; częstuje go jajkami i mieloną wieprzową. Stan kręci głową. W tej chwili nie chce nic do jedzenia.

Nie chce również powiedzieć żonie ani synowi o płonącej kanapie. Ale Rosie wcześniej czy później porozmawia z żoną Taneya i wkurzy się, że Stan nic nie mówił.

Zresztą oczywiście i tak się wkurza. Po dwóch zdaniach opowieści – w której Stan bagatelizuje zagrożenie, jak tylko się da – uderza go w ramię i zaczyna się wściekać, że nie wspomniał o tym wcześniej. Wcześniej? Jak wcześniej chciała o tym wiedzieć? „Dzień dobry, Rosie, paru murzynów zrzuciło płonącą kanapę na Billy’ego Taneya, słuchaj, może zrobisz mi jajka?”

Rosie rusza najkrótszą drogą do telefonu, a do kuchni wchodzi Jimmy, który słyszał już wystarczająco dużo.

– Zrzuć na was kanapę?

– Nie, nie na mnie ani Wildeya. Tylko na Billy’ego.

– Kto to jest Wildey?

– Gość, którego nam wczoraj przydzielili.

Jimmy siada naprzeciwko taty. Prostokątny stół zajmuje prawie całą kuchnię. Żeby cokolwiek w niej zrobić, na przykład otworzyć lodówkę albo zajrzeć do piekarnika, trzeba się obok niego przecisnąć. Stan nigdy nie mógł zrozumieć, po co im w kuchni stół, skoro mają bardzo porządkowy w jadalni. Ale Rosie jest uparta. Stół w jadalni jest na święta i gości; w pozostałe dni jedzą posiłki w kuchni.

– Widzieliście, kto to zrobił? – pyta Jimmy.

– Nie.

– Złapcie ich, tato.

– Tak myślisz?

– Cześć, partnerze. Witamy z powrotem w piekle.

Stan stęka pod nosem.

Z nadejściem dnia pochowali się najgorsi szabrownicy, ale prędko zbliżający się wieczór na nowo ich rozochocił. Dzisiaj na służbę ściągnięto jeszcze więcej policjantów, ale w całym tym chaosie Wildey jakimś cudem znowu go znalazł.

Czeka na niego w punkcie zbornym.

– Cześć, Stan. Co z Taneyem?

Stan kręci głową. Naprawdę nie wie – trochę mu wstyd, że dziś mało myślał o Taneyu. Ale to twardy irlandzki skurczybyk. Czym dla takiego mężczyzny jest płonąca kanapa?

– Moja żona gadała z jego żoną – mówi Stan. – Chyba się wyliże.

– Jesteś gotowy na polowanie?

– Jak to?

Wildey uśmiecha się pod nosem.

– Nie mów, że pozwolisz, żeby jakimś chujkom uszło na sucho rzucenie nam kanapy na łeb.

– Jezu, brzmisz jak Jimmy.

– Kto?

– Nieważne.

Kilka godzin po zachodzie słońca zamieszki znów trwają w najlepsze. Ludzie ciskają butelkami, cegłami, spychają z dachów kolejne meble. Wzniesają pożary. Tłuką okna, których jakimś cudem nie stłuczono poprzedniej nocy. Stan mógłby się założyć, że do sąsiednich dzielnic dotarła wiadomość: „Rzeczy za friko na Columbia Avenue! Przyjdźcie z własnymi kijami i cegłówkami, bierzcie, co chcecie”.

Dziś jednak policja ma inne rozkazy.

Dziś zastępca komendanta Rizzo rozpusza wśród funkcjonariuszy następujący komunikat: „Nie bierzcie jeńców. Pałka rządzi”. Co oznacza, że za pomocą pałek policyjnych mają powstrzymać wszelkie próby grabieży. „Stłuc i zostawić”. Żadnych aresztowań. A jak jakiś skurwiel będzie chciał w was rzucić kamieniem, to wy też nie szczędźcie amunicji. Nieważne, co mówił

Leary.

Wildey zerka na Stana.

– Dzisiaj będzie ciekawie.

Stan już chce zapytać, co George ma na myśli, kiedy podchodzi inspektor i stuka w tabliczkę z nazwiskiem na jego piersi.

– Walczak. Schowaj odznakę i nazwisko do kieszeni. Każ partnerowi zrobić to samo.

– Po co?

Inspektor zatrzymuje się i odwraca na pięcie. Przypomina chodzący włochaty hydrant przeciwpożarowy i widać, że przywykł do rzucania rozkazów, których nikt nie kwestionuje.

– Zrób to i już.

Najwyraźniej wszyscy mundurowi w okolicy dostali to samo polecenie, bo wciskają identyfikatory do kieszeni spodni.

– Nie – mówi Stan.

– Jakie, kurwa, nie? Zdejmuj! Rozkaz zastępcy komendanta.

– Nie zdejmę identyfikatora z moim nazwiskiem.

Inspektor robi się cały czerwony. Jednak widocznie natura dała mu dużo włosów, ale zero kręgosłupa, bo odchodzi bez słowa. Stan dostrzega, że Wildey mu się przygląda.

– Co? Chcesz, żebym zdjął?

– Bynajmniej – odpowiada Wildey z uśmiechem. – Chodź. Lepiej ruszajmy do akcji.

– Dobra. Tylko nie zrób nic głupiego tak jak wczoraj.

– Proponuję wrócić na dach. Sprawdźmy, co tam znajdziemy.

– Właśnie to miałem na myśli.

Dzisiejsze zadanie: przeszukiwać dachy w poszukiwaniu osób rzucających butelkami albo jeszcze gorzej – gości z bronią palną. Wildey daje Stanowi znak: „Za mną”. Próbuje kopniakiem otworzyć drzwi sąsiadujące ze sklepem Hollywood Shoes. Nie chcą ustąpić. Kopie ponownie, tym razem z większym impetem, ale jest szczupłym, żylastym gościem. Mógłby się w te drzwi wystrzelić z armaty i też by to nie pomogło.

– Odsuń się.

Stan nie należy do najszybszych gliniarzy w mieście. Ani najmądrzejszych. Zdecydowanie nie jest też najbardziej zwinny czy wysportowany. Ale ma sto osiemdziesiąt osiem centymetrów, waży sto dwadzieścia sześć kilo i stanowi siłę nie do zatrzymania. Niejedne drzwi wyważył kopniakiem.

Wystarczy pojedyncze uderzenie jego czarnego półbuta, a drzwi idą w drzazgi i stają otworem. Wildey zerka na Stana z uznaniem. Wszystko jedno. Stan waha się przez moment, a potem ruchem ręki wskazuje za próg.

– Ty pierwszy.

Wildey kręci głową.

– Dobra, szefie.

Kiedy docierają na dach, Stan sapie i dyszy, a wtedy z poziomu ulicy dobiega głośny brzęk tłuczonego szkła i okrzyk przerażenia. Wildey natychmiast rzuca się z powrotem na dół po zakurzonych, chwiejnych schodach, po których właśnie weszli. Co, do cholery? Stan nie ma wyboru – musi ruszyć za nim.

Na rogu ulicy tłum uzbrojony w kije i kamienie otacza człowieka w garniturze uwięzionego w szklanej budce telefonicznej, którą rozbito i przewrócono na bok. Mężczyzna osłania twarz rękami, chroniąc ją od ciosów. Tłum chce chyba roznieść budkę w drobny mak, tak by nic z niej nie zostało – oprócz skulonego białego człowieka w środku.

Wildey już pędzi przez ulicę z pałką w ręku i krzyczy do tamtych:

– Pojechało was? Zostawcie go!

Banda się odwraca. Unosi kije. Kilku gości odłącza się od grupy i również rzuca Wildeyowi na powitanie barwne słowa.

Szlag by to – Stan nie zamierza stracić dwóch partnerów w jeden weekend.

Przyśpiesza kroku i również wyciąga pałkę policyjną. Kiedy dociera do tłumu, niektórzy już napierają na Wildeya. Stan chwytą pałkę z obu stron, tak by z każdej wystawało po pięć centymetrów, dokładnie jak go uczono w Akademii. Kiedy trzeba wyprowadzić cios, ruchy muszą być opanowane, należy mocno ścisnąć rękojeść i rozstawić nogi, zachowując równowagę. Stan robi

wszystko zgodnie z zasadami – nie będzie wymachiwał na oslep. Jeśli ktoś nie chce się ruszyć, w pierwszej kolejności uderza się miękkie partie ciała: pośladki, mięśnie ramion, uda. Wciąż nie chce? Wtedy celuje się w stawy: łokcie, kolana, nadgarstki.

Parę ciosów i tamci już wiedzą, że Stan nie żartuje, więc zaczynają się wycofywać. Obrzucają go najróżniejszymi wyzwiskami: białas, bledziuch, diabeł. Już to wszystko słyszał i nie robi to na nim wrażenia.

Wildey wyciąga tamtego człowieka spośród odłamków potłuczonego szkła, obejmuje go ramieniem, prowadzi na pusty kawałek chodnika. Ciągle wykrzykuje do tłumu:

– Powariowaliście?!

Stan stoi na straży, gotów uderzyć, jeśli zajdzie konieczność.

Facet jest mocno pocięty i potłuczony, ale nic mu nie będzie. Wildey rozmawia z nim przez chwilę niskim, cichym głosem, a potem pojawiają się sanitariusze ze straży pożarnej.

– Nie wiedzieli, kto to jest – mamrocze Wildey. – Nie do wiary.

Stan mruży oczy.

– A kto to jest?

– Reporter z radia DAS. Donosił przez telefon, co widzi. Zobaczyli garnitur, pomyśleli, że to biały, i zaczęli napierdalać w budkę kamieniami. Zabarykadował się, więc przewrócili ją na bok.

– Jak to: pomyśleli, że to biały? A nie jest biały?

Wildey wpatruje się w Stana.

– A to by miało znaczenie?

## **JIM BIERZE SPRAWĘ**

*2 listopada 1995*

Jim budzi się i nie ma pojęcia, gdzie jest. Próbuje przewrócić się na bok. Claire podświadomie mocniej ściska go za ramię.

Ach, no tak. Jestem w domu.

Dzień przeciągnął mu się do późnej nocy i pamięta z niego tylko fragmenty. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy postanowił wpaść do The Palm na drinka albo i trzy, ale to mu nie wystarczyło, więc przeniósł się do... uchhh. Jakiegoś innego baru. No dalej, pomyśl... Zaraz, zaraz. Do Pen & Pencil przy Latimer Street. Wpadł tam na improwizowaną partię rzutków z chłopakami z gazet. Był tam Ron Patel. I Clark DeLeon. Za barem Danny, który namówił Jima na tłustego, soczystego cheeseburgera, którego naprawdę nie powinien był jeść, zwłaszcza że od wiosny przytył w pasie już o dwa rozmiary. Dużo młodych dzieciaków – początkujących dziennikarzy, którzy głupio dowcipkowali i zabijali szare komórki całymi wiadrami. Ale Jimowi przydał się taki odpoczynek od roboty.

Jim uwalnia rękę i wysuwa się z łóżka, a potem staje na czymś twardym, ale częściowo elastycznym. Okazuje się, że to jego zegarek. Jim tłumi jęk. Claire porusza się w łóżku, ale się nie budzi. Głęboka częśćka jej mózgu wie, że nie trzeba wstawać, dopóki nie obudzi się pierwsze dziecko, dlatego Claire śpi dalej.

A teraz rozlega się jakieś nerwowe pikanie. Do cholery, gdzie są jego spodnie? To pager w jego spodniach.

Szlag by to.

Pager znowu pika. Jim wreszcie znajduje spodnie (świetna detektywistyczna robota, detektywie). Pager jest w prawej kieszeni. Numer na wyświetlaczu, zaczynający się od filadelfijskiego kierunkowego 215, należy do jego partnerki, Aishy, co oznacza, że ktoś zginął.

Jim wciąga spodnie, idzie na dół, omija Stasia śpiącego na wysu-

wanej kanapie i rusza do telefonu w kuchni, obchodząc porozrzucane rzeczy Audrey: lalki, ciężarówki i zestaw zabawek „mały doktor” Fisher-Price’a. Kocha tę małą, ale ona jest jak szarańcza – gdziekolwiek się pojawi, zostawia za sobą chaos i zniszczenie.

Jim dzwoni do partnerki, nawet nie zastanawiając się nad numerem. Ona oczywiście już wstała, pewnie właśnie wzięła prysznic, ubrała się, przyjęła dużą dawkę kofeiny.

– Co jest, Aisha?

– Mamy martwą dziewczynę niedaleko skrzyżowania Dwudziestej Pierwszej i Pine. Jak szybko możesz tam być?

– Znowu nasza kolej?

– Na to wygląda. Więc jak szybko możesz być?

– Przyjadę za kwadrans.

I rzeczywiście się wyrobi. Urok bycia na nogach w Mayfair o tej godzinie polega na tym, że Jim może przemknąć autostradą I-95 w dziesięć minut, skręcić w prawo, wjechać na Vine Street Expressway i bum – już jest w Center City. Godzinę później miałby przerąbane; wtedy lepiej by wyszedł, tocząc się Aramingo Avenue. Albo zasuwając na piechotę.

Odkłada słuchawkę i bierze głęboki, oczyszczający oddech. Nie ma czasu na prysznic, tylko na śniadanie. Nalewa sobie szklankę soku pomarańczowego zaprawionego odrobiną absolutu – idealne lekarstwo na kaca.

Ubiera się w to, co ma pod ręką. Wciąga portki, zapina koszulę, chowa ją w spodnie, wiąże krawat, wkłada marynarkę, wkłada buty, sprawdza portfel (jest), zakłada zegarek, sprawdza odznakę (jest), broń (jest), a potem wraca na dół, najciszej, jak się da.

A to dlatego, że na rozkładanej kanapie leży rozciągnięty jego najstarszy syn, Staś. Jedną patykowatą nogę wystawia spod koca, który zrobiła na drutach jego babcia.

W tym roku szkolnym Staś, który chodzi do ostatniej klasy liceum, oznajmił, że ma po dziurki w nosie dzielenia pokoju z bratem. Dlatego zapowiedział, że dopóki (a) nie przeprowadzą się do większego domu albo (b) tata nie odda piwnicy i nie przerobi jej na dodatkową sypialnię, codziennie o jedenastej wieczorem będzie zajmował kanapę w salonie.



Jim nie bardzo mógł protestować. Chłopak miał rację.

Dlatego teraz przeciska się obok rozłożonej kanapy, która zajmuje sporą część pomieszczenia. Staś chrapie z szeroko otwartymi ustami. Dokładnie tak jak wtedy, gdy był małym dzieckiem.

Jim jest już prawie wolny.

Prawie...

Bo na progu kuchni stoi malutka Audrey.

Na litość boską – to dziecko nigdy nie śpi.

– Kochanie, dlaczego nie jesteś w łóżku?

– Dzień dobry, tatusiu! – odpowiada mała, piąstką wycierając śpiochy z oka. – Jestem głodna.

Jim klęka obok niej, mimo że od takiego ruchu trochę kręci mu się w głowie.

– Cśśś, obudzisz Stasia.

– Jestem głodna!

– Posłuchaj, skarbie, muszę iść do pracy. Mamusia niedługo wstanie. Zrobi ci śniadanko.

– Ale ja chcę mielonkę!

– Bardzo bym chciał zostać i przygotować ci mielonkę. Daję słowo, kochanie. Ale naprawdę muszę już iść i być panem policjantem.

Audrey robi nadąsaną minę. Jim ją przytula. Ona dalej się dąsa. Jim ją podnosi, okręca w powietrzu (mimo że od tego bardzo nieprzyjemnie przewraca mu się w żołądku), stawia znowu na ziemi, całuje w czoło, a potem wysyła z powrotem na górę do Claire. Niech ona sobie radzi z tym mielonkowym problemem.

Po wyjściu na dwór Jim aż mruga, kiedy od ostrego listopadowego wiatru, który smaga ulicę, pot w jednej chwili zamarza mu na skórze. Na dodatek pada deszcz, więc spocone ciało robi się jeszcze wilgotniejsze. Oprócz huraganu w trzewiach Jim doświadcza całego spektrum wewnętrznych zjawisk pogodowych.

A kiedy zobaczy to, co czeka go w centrum, bynajmniej mu się nie poprawi.

Ruch na rogu Dwudziestej i Pine tamują dwa radiowozy. Już

rozciągnięto żółtą taśmę. Jim kojarzy twarze mundurowych, ale nie potrafi sobie przypomnieć nazwisk. Kiwnięciem głowy kamufluje brak pamięci.

Prowadzą go do schodów znajdujących się z boku jednego z budynków, kilkanaście metrów od skrzyżowania. Czarna balustrada z kutego żelaza odgradza schody od chodnika, tak by przechodnie nie spadli do sutereny.

I właśnie tam leży ona.

Ma wykręcony kark, tak jakby ktoś ją zawołał, więc obróciła się, żeby zobaczyć, kto to. Usta lekko rozchylone w zaskoczeniu. Oczy zamknięte.

Tułów leży na betonowym podeście, reszta jest skulona na dwóch ostatnich stopniach. Dziewczyna jest wysportowana, ma niezłe ciało, ubrane tylko w tenisówki, skarpetki i sportowy biustonosz. W kącie podestu leży porwany czarny tank top. Po spodniach ani śladu.

Kilka kroków niżej – klucze.

Jim robi krok do tyłu, próbuje zrozumieć kontekst. To piękna okolica, jedna z najładniejszych w Filadelfii. Ulica obsadzona drzewami, czyściutkie domy szeregowe z przełomu wieków, przed nimi najnowsze modele aut. Miejsce, na jakie Jima byłoby stać, gdyby nie miał trójki dzieci.

Odzywa się jego pager. Numer 215-744-5655. Jim go nie kojarzy. Jeśli sprawa nie ma związku z aktualną robotą, w tej chwili o niczym nie chce słuchać. Wielozadaniowość nie jest jego mocną stroną.

Kilka metrów dalej stoi plymouth acclaim z uchyloną szybą od strony pasażera.

– Czy to nie samochód należący do pięć dwa dziewięć dwa?

„5292” to slangowe określenie zwłok – cztery ostatnie cyfry starego numeru telefonu miejskiej kostnicy.

– Sprawdzamy blachy.

– Wezwijcie lawetę i każcie zbadać odciski palców w środku.

Między plymouthem a schodami leży walkman z ciągle podłączonymi słuchawkami. Jim chowa go do torby – może należał do ofiary. Jeśli tak, motywem zabójstwa nie był napad rabunkowy.

Chociaż o tym świadczył już brak spodni.

– Miała przy sobie jakieś dokumenty?

Nie.

Jim pyta mundurowego, kto znalazł ciało.

– Około siódmej czterdzieści rano jakiś facet, który wyprowadzał psa na spacer, akurat spojrzął w dół i zobaczył zwłoki. Najpierw myślał, że to manekin z domu towarowego. Potem zrozumiał, że są prawdziwe. Zwymiotował, a później zadzwonił na policję z automatu.

Gość na pierwszy rzut oka wydaje się czysty – adwokat, gej, młody, bogaty. Warto go sprawdzić, ale raczej nie jest sprawcą.

– Co możecie mi powiedzieć o tych drzwiach?

Posterunkowy informuje, że według właściciela otwierają się tylko od środka. Na zewnątrz nie ma klamki.

Aisha jeszcze nie dotarła – jedzie aż z Mount Airy, a na Lincoln Drive musi być teraz koszmarnie.

Jim poleca obfotografować schody ile wlezie. Żaden szczegół nie może przepaść.

Mundurowi muszą mieć oko na gapiów. Takich zwyroli, którzy mogliby udusić dziewczynę, a potem kręcić się w pobliżu i patrzeć, co dalej. Zawsze istnieje spora szansa, że sprawca obserwuje policjantów zabezpieczających miejsce zbrodni.

Przyjeżdżają telewizyjne wozy transmisyjne, jeden po drugim. Wieści szybko się rozchodzą. Jim każe posterunkowym nie dopuszczać dziennikarzy za blisko. To będzie głośna historia, on już to wie. Ładna biała dziewczyna zabita w przyzwoitej okolicy – wręcz w najlepszej okolicy w mieście.

Aisha pojawia się tuż po pierwszym wozie wiadomości. Jest o kilka lat młodsza od Jima, w wydziale zabójstw pracuje dość krótko, mężatka z dwójką dzieci, dość nieszczęśliwa, z tego, co się zorientował. Ale ciężko pracuje, żeby jej życie w obu aspektach szło pełną parą.

– Cześć.

– Coś ustaliłeś, detektywie?

Jim odpowiada, że gówno, po czym dzieli się z Aishą wszystkim, co wie. Dziewczyna po dwudziestce. Więcej powie koroner.

Ale już teraz w jego głowie powstaje pewna historia. Częściowo złożona z faktów, częściowo z pytań, częściowo z przypuszczeń.

Dziewczyna na porannej przebieżce, łapie ją jakiś gnój, może myśli, że wciągnie ją do samochodu i gdzieś zabierze. Jest silna i wysportowana, walczy. Gnojowi to się nie podoba. Gnój uderza nią o plymoutha. Raz czy dwa wali z pięści, żeby pokazać, że nie żartuje. Dziewczyna upuszcza walkmana. Dlaczego nie krzyczy? Nawet o siódmej rano w tej okolicy jest pełno biegaczy, ludzi z psami, osób, które wcześniej wyszły do pracy. Na całej ulicy mieszkańcy właśnie się budzili, otwierali oczy, wypijali pierwszą filiżankę kawy. Gdyby krzyknęła, ktoś by to usłyszał, ktoś zadzwoniłby na policję. To już nie lata sześćdziesiąte, nie byłoby jak z Kitty Genovese.

Nie, gnój pewnie odciął jej dopływ powietrza. A kiedy nie mógł jej wsadzić do samochodu, pewnie ściągnął ją na dół po schodach, żeby zrobić swoje. Udało mu się zdjąć jej spodnie – to musiały być spodnie do biegania – a wtedy się zorientował, że z wymuszonej „randki” nici, bo dziewczyna nie żyje.

Wtedy zapewne gnój zwiął.

Ale nikt go nie widział? O tej porze dnia, w ruchliwej okolicy, która właśnie się budziła przed czwartkowym dniem pracy?

No bo co – rozpląnął się w porannym deszczu?

To nie ma sensu.

Ludzie ciągle pytają Jima: jak udaje ci się zachować spokój i profesjonalizm na miejscu zbrodni? Wtedy zwykle się uśmiecha i odpowiada, że tu nie o to chodzi.

Praca w wydziale zabójstw, mówi, to jest opowieść.

Ta opowieść zaczyna się od czyjejś śmierci. Detektywi po prostu pytają: kto, co, dlaczego, gdzie i jak.

„Ale kiedy widzisz kogoś martwego, jak tak leży, to nie wiem, jak ty to znosisz”.

Wówczas Jim rzuca jakiś tekst, że to po prostu element pracy. Większość osób nie chce drażnić tematu. Zwykle wystarczy im parę drastycznych szczegółów, może jakaś makabryczna histo-

ryjka, którą mogliby opowiadać znajomym.

Właśnie z tego powodu Jim nie mówi im wszystkiego.

Prawda jest taka, że jeśli zabiją cię w Filadelfii, a policja nie rozwikła sprawy w tydzień, to najprawdopodobniej twojemu mordercy ujdzie na sucho. To wszystko kwestia ilości – w mieście rozmiarów Filadelfii, gdzie codziennie są nowe trupy, wydział zabójstw szybko będzie miał inne zwłoki domagające się uwagi.

Druga prawda jest taka, że wszystko zależy od tego, jakim byłeś człowiekiem.

Prywatnie każdy gliniarz z wydziału zabójstw mówi to samo. Kiedy widzą trupa, zadają sobie pytanie: czy byłeś dobrym, czy złym gościem?

Czy masz kartotekę? Czy właśnie wyszedłeś z więzienia? Okradłeś własnego dilerka? Biłeś żonę, dzieci? Zabijałeś innych ludzi?

W takim przypadku – jasne, policjanci z wydziału zabójstw będą robić swoje. Ale tylko rutynowo. Nie chodzi o ciebie, gnoju, tylko o odhaczenie sprawy.

Ale jeśli byłeś dobry, to nic bardziej nie podnosi poziomu adrenaliny. Zasługujesz na maksimum zaangażowania na całej długości boiska.

Jim najlepiej pracuje wtedy, gdy ma niewinną ofiarę, której historię należy opowiedzieć.

Taką jak ta kobieta, która zajmowała się własnymi sprawami, wczesnym rankiem uprawiała jogging w Center City, bo wszyscy jej mówili, że to bezpieczne.

Jim wyobraża sobie Audrey za dwadzieścia lat, jak mieszka w centrum i idzie pobiegać, a wtedy rzuca się na nią jakiś gnój...

Jeszcze przed południem 5292 zostaje zidentyfikowana.

Pracownicy lokalnego czasopisma „Metropolitan” usłyszeli o zabójstwie i poinformowali, że jedna z koleżanek pasujących do opisu (blondynka, ładna) nie przyszła dziś do pracy.

Nazywała się Kelly Anne Farrace. Lat dwadzieścia pięć, weryfikatorka, od niedawna w mieście, przeprowadziła się tu wiosną z Ohio.

Jim i Aisha jadą na Market Street 1919, na trzydzieste piąte piętro, żeby sprawdzić jej dokumenty kadrowe i firmowe zdjęcie.

Tak, to zdecydowanie ona.

Jim zna to czasopismo, ale nie należy do jego wielbicieli. To rzekomo magazyn miejski, ale skupia się przede wszystkim na bogatych ludziach z przedmieść. Co nosić, gdzie jadać. Kiedy pisać o policji, to zwykle protekcyjnym tonem, koncentrując się na złych rzeczach, nigdy na dobrych. Normalka.

Jim zbiera pracowników redakcji w sali konferencyjnej, żeby dowiedzieć się czegoś ogólnie o Kelly Anne. Na razie nie interesują go rozmowy w cztery oczy z jej bliskimi znajomymi. Na to przyjdzie czas później. Chwilowo zależy mu na szybkim oglądzie sytuacji – chce się dowiedzieć jak najwięcej, a potem obmyślić kolejny ruch.

Tymczasem Aisha zgłasza się na ochotnika, by zadzwonić do rodziców Kelly Anne. Zwykle robią to na zmianę, chyba że przeczuwają, że straszna wiadomość zabrzmi lepiej w ustach białego mężczyzny albo czarnej kobiety. Tym razem mają do czynienia ze stuprocentowo białą redakcją czasopisma, więc nawet nie poruszają tematu. Aisha zadzwoni do rodziców, Jim rozkręci rozmowę tutaj.

Na zewnątrz Jim stara się sprawiać wrażenie przyjaznego, cierpliwego, spokojnego i wyrozumiałego. Jest waszym księdzem. Jest waszym rabinem. Jest tu, żeby wszystko poukładać.

– Opowiedzcie mi o Kelly Anne – prosi, a potem odchyła się na krześle i słucha.

– Była kochana – mówi redaktor naczelny – i czekała ją wspólna kariera.

„Dowcipna, urocza” – te słowa w kółko się powtarzają. „Widać, że nie była stąd” – dodaje jedna z adiusterek dla rozluźnienia atmosfery, ale Jim wie, co ma na myśli. Filadelfijczycy chowają się pod ochronną skorupą, którą trzeba najpierw sforsować (jeśli to w ogóle możliwe). Najwidoczniej Kelly Anne nie miała podobnej zbroi.

Jim śmieje się uprzejmie.

– Więc pracowała tu jako...?

– Dokumentalistka. Sprawdziała każdy artykuł, czy w pełni pokrywa się z faktami.

Jim kiwa głową, notuje. Jest zaskoczony, że w tej redakcji mają takie stanowisko, biorąc pod uwagę, ile bredni publikują.

– Czy pracowała nad własnymi artykułami?

Wzrok redaktora naczelnego pada na mężczyznę po jego prawej ręce. Przystojny, z ułożoną fryzurą, mniej więcej w wieku Jima, może trochę młodszy, znacznie szczuplejszy.

– No, tak. Kelly Anne należała do zespołu reporterów pracujących nad naszym następnym cyklem Trzydziestka przed trzydziestką – mówi pan ułożona fryzura.

– A co to takiego?

– Wie pan, przedstawiamy profile trzydzieściora obiecujących filadelfijczyków, którzy nie ukończyli trzydziestu lat.

Jim kiwa głową, jakby cykl był mu znany. Nigdy o nim nie słyszał. „Metropolitan” naprawdę nie należy do jego ulubionych lektur.

Kontynuuje przepytywanie. Cała redakcja jest w szoku, niektóre osoby płaczą. Ale część redaktorów i dziennikarzy odpowiada kanonadą własnych pytań. Nie potrafią się powstrzymać. Mają to we krwi. To tragedia, ale również potencjalnie najgłośniejsza sprawa w dziejach magazynu. Dlaczego ktoś miałby zaatakować i udusić ich dokumentalistkę? Czy to tylko zbieg okoliczności?

Jim pyta kolegów Kelly Anne o jej chłopaków. Młodszy pracownicy mówią, że była singielką i czasem spotykała się z facetami, ale z nikim konkretnym. Jim nie cierpi gadać z dziennikarzami, bo we wszystkim czegoś się doszukują, zmyślają własne historie bez poszanowania dla faktów.

Jaka będzie opowieść o Kelly Anne? Przypadkowy napastnik czy ktoś, kogo znała? To jedyne możliwości.

Znowu odzywa się pager Jima. Ten sam nieznany numer: 215-744-5655. Kto to, u diabła? Wszystko jedno. Nie teraz.

Wraca Aisha z zapuchniętymi oczami. Rozmowy telefoniczne z rodzicami nigdy nie są łatwe. Ta widocznie nie poszła za dobrze.

– Wszystko w porządku? – pyta Jim, kiedy zostają sami w holu.

– Tak, poradzę sobie. Przyjadą wieczorem. Umówiłam się z nimi na spotkanie na jutro rano.

– Brzmi dobrze. W porządku, kończmy tutaj i jedźmy do niej do

domu.

Po powrocie Aishy dzielą i rządzą: ona rozmawia z kobietami, on zajmuje się mężczyznami. Ostatecznie jednak dowiadują się niewiele nowego. Kelly Anne Farrace była uroczą dziewczyną spoza stanu, która pracowała do późna jako dokumentalistka, trochę umawiała się z facetami, nic poważnego, i generalnie nikomu nie zwierzała się ze swoich spraw.

Nikt nawet nie wiedział, że uprawiała jogging.

Teraz, kiedy znają nazwisko, pora odwiedzić jej mieszkanie. Pracownik działu kadr podaje im adres. Na szczęście to niedaleko – na tyle, że mogliby pójść piechotą. Ale i tak jadą samochodem.

Mieszkanie Kelly Anne jest małe, drogie i zagracone. Koszt to konsekwencja lokalizacji: na rogu Szesnastej i Spruce, zaledwie kilka przecznic od biura „Metropolitan”. Jim domyśla się, że dziewczyna wolała zamieszkać w niewielkiej odległości od nowej pracy. To dlatego wynajęła klaustrofobiczne studio za pięćset dolarów miesięcznie, mimo że zarabiała nie więcej niż sześćset pięćdziesiąt na dwa tygodnie.

Resztę pensji najwidoczniej wydawała na ciuchy, które są rozrzucone wszędzie. Jimowi przypomina się pobożowisko w pokoju Audrey. Kelly Anne chyba traktowała całe to mieszkanie jak dużą garderobę, a resztę Center City – jak pokój dzienny.

Może to dlatego spokojnie biegała o siódmej rano. Okoliczne ulice uważała za swoje.

Jim rozgląda się po mieszkaniu, próbuje kontynuować narrację, zwizualizować ostatnie godziny, które Kelly Anne spędziła u siebie. Aisha idzie tuż za nim. Pracuje w wydziale zabójstw dopiero od roku; Jim zdecydowanie przewyższa ją doświadczeniem. Aisha jest też w całym wydziale jedyną czarnoskórą kobietą.

– No więc budzi się wcześniej i postanawia pobiegać – mówi Jim.

– Ale tu nie ma łóżka – zauważa Aisha.

Okazuje się, że Kelly Anne miała rozkładaną sofę, taką z początku lat osiemdziesiątych, zapewne otrzymaną od rodziców. Jim myśli o swoim synu Stasiu, który codziennie nocuje na kanapie w salonie. Całą sofę pokrywają wielokolorowe ubrania – spódnice, staniki, bluzki. Zupełnie jakby któregoś wieczoru szafa się



upią i zarzygała całe mieszkanie.

– Wygląda na to, że przymierzała różne rzeczy i nic jej się nie podobało – stwierdza Aisha.

– Ale kiedy człowiek rano wstaje, to nie składa kanapy tylko po to, żeby zasypać ją ubraniami, prawda?

– Ja na pewno nie. Więc może nocowała gdzie indziej. Na przykład u chłopaka.

– No, nie wiem. Koledzy z pracy sądzą, że nie spotykała się z nikim na stałe.

– Może miała kogoś nowego.

– Może.

Jim idzie przez mieszkanie, uważnie, żeby niczego nie dotknąć i nie naruszyć dowodów. Przez ostatnie dwadzieścia lat odwiedził tysiące miejsc zbrodni i te ostrożne ruchy są już na stałe zakodowane w jego ciele. Z kolei Aisha trzyma się z tyłu. Parę miesięcy temu technicy kryminalni mieli ją ochotę zamordować i ta bura jest wciąż świeża w jej pamięci.

Czy Kelly Anne rzeczywiście była taką bałaganiarą? – zastanawia się Jim. A może to wszystko zainscenizowano? Czy w tym malutkim mieszkaniu był ktoś jeszcze?

Na szufladzie komody, która dodatkowo robi za biurko, Jim zauważa książkowy kalendarz, otwarty na aktualnym tygodniu. Pod wczorajszym dniem znajdują się inicjały: „MS” przy godzinie dwudziestej pierwszej i „JDH” przy dwudziestej trzeciej.

Kolejne inicjały wpisano na dziś i jutro, ale na te spotkania Kelly Anne już nie przyjdzie.

Jim stuka palcem w ramkę z wczorajszym dniem. Aisha ogląda się przez ramię.

– Musimy dopasować do tych inicjałów nazwiska – mówi Jim.

Po powrocie do Roundhouse, budynku komendy głównej filadelfijskiej policji, Jim zastaje w swoim boksie gościa – kobietę, która czuje się tam jak w domu.

– Cześć, przystojniaku – mówi.

Aisha rzuca Jimowi spojrzenie: „Czy to ktoś, o kim powinnam wiedzieć?”. Dostatecznie długo pracuje w tym wydziale, żeby się orientować, że niewiernych partnerów się kryje. Ale Jim szybko

zaprzecza ruchem głowy, a potem mruży oczy, jakby dodając: „I chrzań się, że w ogóle ci to przyszło do głowy”.

– Aisho, to Sonya Kaminski. Sonyu, to moja partnerka, Aisha Mothers.

Sonya unosi się z fotela, jakby lewitowała, i wyciąga rękę.

– Bardzo mi miło. Jestem z biura burmistrza.

Brwi Aishy idą w górę. Z biura burmistrza. O, ho, ho.

Sonya jest chyba w wieku Jima, choć on nigdy nie powiedziała tego głośno. Kiedy zgadujesz wiek kobiety, zawsze urwij przynajmniej dekadę. A najlepiej po prostu stul pysk.

Jim powinien był się domyślić, że burmistrz kogoś przyśle. W końcu ktoś zgwałcił i zamordował w Center City ładną białą dwudziestoparoletnią dziewczynę.

Dziwi go tylko to, że przysłał Sonyę Kaminski.

Poznał ją dwa lata temu, gdy przyłapał ją na paleniu trawy razem z bandą dziennikarzy na dachu jednego z domów przy Green Street. Zauroczyła go tak, że zgodził się o tym zapomnieć (choć i tak przecież nie zamierzał zapuszkować przedstawicieli czwartej władzy za parę skrętów), powiedziała, że powinni się umówić na drinka, że słyszała o nim dużo dobrego, praktycznie siadała mu na kolanach. („Jest świeżo po rozwodzie i szuka kandydatów do następnego” – poinformowali kumple z policji). Zobaczyła nazwisko na identyfikatorze Jima i zażartowała po polsku: „Sto lat!” Polska mafia na dzielni.

Później, gdy dowiedział się, kim jest Sonya, jeszcze bardziej się ucieszył, że jej nie przyskrzynił. Jej ojciec to przykuty do wózka szef związku zawodowego Sonny Kaminski, Król Queen Village, który podobno skosił grube miliony, kiedy zrównano z ziemią całe kwartały pod autostradę I-95. Nigdy nie rób sobie wrogów, którzy mogą cię utopić w forsie.

– Jak chłopcy? – pyta teraz Sonya.

– Jak zawsze zwariowani.

– A mała Audrey?

– Super, po prostu super – odpowiada Jim i z rozmysłem się uśmiecha. – Co tam, Sonyu?

– Bardzo się cieszę, że śledztwo trafiło się tobie, Jimmy. Jeśli

ktoś może złapać tego potwora, to właśnie ty. Razem z detektyw Mothers, oczywiście. Trzeba rozwiązać sprawę jak najszybciej.

– Rozwiązać.

– Wiesz, co mam na myśli.

Każda zbrodnia, która dotyka kogoś w obrębie wyobrażonej bezpiecznej strefy Center City, musi być „rozwiązana” jak najszybciej. Filadelfia poświęciła dużo czasu i wysiłku, by przekonać ludzi, że istnieje co najmniej jedna okolica, gdzie raczej nie zostaną pobici, zgwałceni i uduszeni. Na ile Jim się orientuje, do obowiązków służbowych Sonyi należy podtrzymywanie tej iluzji.

– Jak rozumiem, rodzice przylatują jutro z samego rana – mówi kobieta. – Burmistrz chciałby się z nimi spotkać osobiście.

– Dobry pomysł. Oczywiście po tym, jak my z nimi porozmawiamy.

Sonya uśmiecha się.

– Oczywiście. Dlatego chciałabym móc coś powiedzieć burmistrzowi. Co masz do tej pory?

Jim rozkłada ręce.

– Robimy, co w naszej mocy, żeby złapać tego faceta.

– Czyli sądzisz, że to jeden facet?

– Na razie nic nie sądzę, Sonyu. Czego ode mnie oczekujesz? Przecież wiesz, jak to działa.

– Chcę usłyszeć konkret, który mogłabym przekazać burmistrzowi. Chcę móc go zapewnić, że po ulicach nie krąży gwałcieł i morderca szukający następnej ofiary.

– Kiedy będę coś miał, dowiesz się o tym jako pierwsza, daję słowo.

Jim właśnie sobie przypomina: w następny wtorek są wybory. Burmistrz, ubiegający się o drugą kadencję, nie chce, żeby ludzie rozmyślali o tej sprawie. Mniejsza z tym, że jego rywal nie stanowi żadnego zagrożenia – to miasto od prawie pół wieku nie umieściło w gabinecie 215 żadnego republikanina. Ale burmistrz chce być burmistrzem całej Ameryki. Już teraz mówi się o starcie w wyborach na gubernatora, a może nawet na prezydenta w 2000 roku.

A więc o to tutaj chodzi. Ładną blondynkę zabito w najgorszy

możliwy sposób w rzekomo najbezpieczniejszej części miasta.

Sonya mierzy wzrokiem Aiszę.

– Jesteś nowa w wydziale zabójstw, prawda?

– Dosyć nowa, rzeczywiście.

– U detektywa Walczaka jesteś w dobrych rękach.

Tak naprawdę, myśli Jim, Sonya chce powiedzieć, że jesteś idealną partnerką dla naszego białego detektywa: czarną kobietą. Wprowadzasz doskonałą równowagę. Zwłaszcza jeśli sprawdzi się najgorszy scenariusz i wyjdzie na to, że w śmierć Kelly Anne był zamieszany czarny mężczyzna. Szczególnie po tym całym rasowym burdelu w trzydziestym dziewiątym rejonie tego lata.

Sonya wyciąga rękę i kładzie dłoń na krawacie Jima.

– Umówimy się wkrótce na drinka?

– Jasne, Sonyu. Wkrótce. Na koszt ratusza, prawda?

Kobieta jednym ruchem figlarnie ciągnie go za krawat, lekko obluźwując węzeł.

Tego drinka nigdy nie będzie, myśli Jim. Ale Sonya nie da mu spokoju aż do wyborów, to na pewno.

Pracują do późna. Jim dzwoni do domu, żeby uprzedzić Claire. Na szczęście żona nie wspomina ani słowem o poprzedniej nocy. Wie, co takie śledztwo oznacza dla jego wolnego czasu i zdrowia psychicznego. Jim pyta o chłopców. Oczywiście przy obiedzie Staś i Cary o mały włos się nie pobili. O co? Któż to wie.

– Audrey mówi, że za tobą tęskni.

– Powiedz tej małej bestii, że ja za nią też.

– Ktoś do ciebie dzwonił. Nie chciał podać nazwiska.

– Tak? Z jakiego numeru?

Claire sprawdza: 215-744-5655. No tak. Ten sam numer, który przez cały dzień ścigał go na pagerze. A teraz zaczął dzwonić do domu? Teoretycznie domy policjantów to świętość, ale ludzie wymyślają różne sposoby wykradania numerów i adresów. Jim powinien oddzwonić, ale wkurzyła go ta nachalność. Niech facet poczeka. Teraz do wykonania jest prawdziwa praca.

Jim zaczyna gromadzić akta sprawy, a jego partnerka sporządza

listę osób do przesłuchania. Koło jedenastej Aisha stwierdza, że ma dość – musi iść do domu, ogarnąć się i rano spojrzeć na to wszystko świeżym okiem. To sygnał, żeby i Jim się zbierał. Ale on jest zbyt nakręcony.

– Jeszcze chwilę zostanę i popracuję – mówi.

– Jak sobie chcesz, chłopie, w końcu jesteś najlepszym przyjacielem burmistrza.

– Bardzo dowcipne.

Po chwili jednak wszystko zaczyna mu się zlewać. Jim potrzebuje odpoczynku, ale idzie do The Palm na drinka przed snem – wytrawne martini ze stoliczną. Barman przesuwając szkło po drewnianej ladzie i pyta: „Wczoraj w ogóle nie wyszedłeś?”. Jim kiwa głową, uśmiecha się, a potem jednym ruchem opróżnia pół kieliszka. Zębami ściąga oliwki z wykałaczki, jedną po drugiej. Żuje je, myśląc o Kelly Anne. Oczami wyobraźni widzi ją na tamtych betonowych schodach, ze skręconym karkiem. Zamawia jeszcze jedno martini. Barman ruchem głowy potwierdza zamówienie i zaczyna nalewać składniki do srebrnego shakera. Tylko dwa drinki. W sam raz przed snem. Dalej zaczyna się strefa „czy aby na pewno powinienem siadać za kółkiem?”. Mimo to dwadzieścia minut później Jim zamawia następną kolejkę. Rozmyślając o tych wszystkich ciuchach na kanapie Kelly Anne.

Jim wraca do domu przy Unruh Avenue dobrze po północy. Na schodkach przed wejściem siedzi czarnoskóry mężczyzna.

Sekundę później Jim nie będzie mógł sobie wybaczyć, że sięgnął po broń. Tamten dostrzega jego napięcie, więc natychmiast podnosi ręce i woła:

– Hej, człowieku, to ja!

Jim nieruchomieje.

Jezu Chryste, to George Wildey junior.

Jim nie widział go od maja, kiedy go spotkał, napranego i rozdygotanego, przed barem na rogu Siedemnastej i Fairmount.

– George – mówi w końcu. – Przepraszam. Zaskoczyłeś mnie. Co słychać? Długo tu czekasz?

Jim patrzy, czy w sypialni od ulicy ciągle pali się światło, ale nie. Claire poszła spać. Dobrze, że Junior miał dość oleju w głowie,

żeby nie zapukać.

– Masz chwilę? – pyta George junior. – Nie chciałem cię wystraszyć, ale przez cały dzień dzwonię na twój pager.

Ach, więc to jest 215-744-5655. Jim przypomina sobie, że w maju wetknął George’owi do ręki swoją wizytówkę. Czyli może gość naprawdę ma kłopoty. Znowu. No bo dlaczego przesiadywałby tu na schodkach w zimną listopadową noc?

– Chcesz wejść? – pyta Jim.

George junior mruga.

– Gdzie tam, wiem, że jest późno. Chciałem ci tylko to pokazać. – Sięga pod kurtkę i na ułamek sekundy Jimowi przychodzi do głowy dziwna myśl: On tam ma gnata.

Okazuje się, że tylko gazetę. Dzisiejsze wydanie „Daily News” złożone na pół.

– Co to?

Jim domyśla się, że George junior wpakował się w jakieś tarapaty i szuka pomocy. Kiedy ich ojcowie razem pracowali, obaj chłopcy byli zmuszani do wspólnej zabawy, ale nie ulegało wątpliwości, że nie lubią się nawzajem. Jim pamięta, jak pewnego razu Wildeyowie przyszli koło świąt. Był przekonany, że George junior na złość zepsuł mu kilka nowych zabawek. A przebywanie w okolicy, gdzie mieszałi Wildeyowie, było okropne. Mnóstwo oczu, które mierzyły cię od stóp do głów.

– Wypuszczają go – mówi George junior.

– Kogo? – pyta Jim, biorąc od niego gazetę.

– Piąta strona.

Jim mruży oczy w słabym świetle i wodzi wzrokiem po wskazanej stronie, aż w końcu odnajduje nazwisko w jednym z artykułów. Oto ono. To nazwisko. To straszne nazwisko. Boli go sam jego widok. Nie widział go w druku od bardzo, bardzo dawna.

Terrill Lee Stanton, lat pięćdziesiąt dwa, skazany na dożywocie, zwolniony na mocy jakiegoś nowego programu amnestii dzięki ciężkiej pracy i wzorowemu sprawowaniu za kratkami.

– To jest, kurwa, nie do wiary – mamrocze Jim.

– Już wiesz, o co mi chodzi? To dlatego do ciebie wydzwaniałem, człowieku. Morderstwo się nie przedawnia, prawda?

Autor artykułu – który albo jest weteranem, albo solidnie po-  
grzebał w redakcyjnym archiwum – wspomina, że Stanton to nie-  
sławny „podżegacz” z North Philly, który zaszedł za skórę zarów-  
no policji, jak i przywódcom ruchu na rzecz praw obywatelskich.  
Niektórzy twierdzą nawet, że przyczynił się do wszczęcia zamie-  
szek na Columbia Avenue w 1964 roku. Był drobnym przestępcą  
aż do 1970 roku, kiedy skazano go za zabicie sklepikarza podczas  
fatalnego w skutkach napadu na monopolowy.

– Możesz wznowić sprawę, prawda? Tym razem udupić go na  
dobre?

Nie ma bezpośredniego cytatu ze Stantona, ale jego kurator po-  
wiedział gazecie, że „pan Stanton chce przysłużyć się Filadelfii  
i wyraża wdzięczność za otrzymane wsparcie”. Komentarza ro-  
dziny sklepikarza nie udało się uzyskać.

– Jimmy, człowieku, słyszysz, co do ciebie mówię?

– Tak, słyszę cię, George. – Jim składa i oddaje gazetę.

Musi być teraz ostrożny. Wewnętrzny Jim wrzeszczy, ale George  
junior nie musi go poznawać. Dlatego odzywa się Zewnętrzny  
Jim:

– Minęło trzydzieści lat. Nie ma żadnych dowodów material-  
nych, nie ma świadków. Chyba niewiele mogę zrobić.

*(Owszem, możesz. Obiecałeś).*

George junior bierze od niego gazetę, wzdycha, uderza nią  
o udo, spuszcza głowę.

– Kurwa, człowieku.

– Wiem, że nie to chciałeś usłyszeć.

– Zupełnie nie to, cholera – odpowiada George, a potem podnosi  
wzrok i patrzy Jimowi w oczy. – Skurwysyn strzelił naszym oj-  
com prosto w łeb i teraz wychodzi na wolność? Dlaczego ma mu  
się upiec? Kurna, znam ludzi, którzy kiblowali dłużej od niego,  
a nie są mordercami!

*On ma rację, Jim. Pozwolisz, żeby temu potworowi uszło na su-  
cho?*

– George, chłopie, już późno.

Junior pojmuje aluzję, ale nie jest zadowolony. Stęka, podnosząc  
się z betonowych schodków, a potem klepie Jima po ramieniu.

– Wiem, człowieku. Po prostu szkoda, że...  
– Posłuchaj, sprawdzę, co da się zrobić. Niczego nie obiecuję, ale sprawdzę.

– Dobra, dobra, jasne.

Junior robi ruch, jakby miał już iść, a potem nagle się zatrzymuje.

– Aha, słuchaj... Nie porysowałem ci płyty.

Jim patrzy na niego, szczerze zdezorientowany.

– Co?

– Za dzieciaka, jak byłem u was w Nowy Rok z moim starszym, to myślałeś, że porysowałem ci twoją nową płytę. To nie byłem ja, człowieku. To któryś z tych innych chłopaków. Jak mu tam, Taneya. Któryś z chłopaków Taneya.

– Nie ma sprawy, George. Już tę płytę przeboleałem. Trzymaj się.

Jim czeka, aż George junior dojdzie do przecznicy i skręci za róg, i dopiero wtedy sięga do kieszeni po klucze. Ręka tak mu się trzęsie, jakby te klucze były pod prądem.

Jim otwiera drzwi wejściowe najciszej, jak umie. Co jest nie lada sztuką, biorąc pod uwagę, że draństwo zawsze skrzypi tak głośno, że o przyjsciu każdej osoby powiadamia cały dom. Jim nie może teraz nikogo oglądać. Po prostu nie może.

Na razie wyrzuc sprawę Stantona z głowy, Jim, nic nie możesz zrobić.

*(Choć z drugiej strony przecież obiecałeś).*

W salonie jest ciemno. Staś śpi jak zabity. Jim zaczyna się skradać po schodach do łazienki, gdzie wreszcie będzie mógł ściągnąć ubranie. Coś sobie przypomina. Wącha koszulę. Czy da się coś poznać?

– Cześć, tatusiu – szeptce głos w ciemności.

Audrey siedzi cierpliwie na samej górze schodów, opiera łokcie na kolanach, spod koszuli nocnej wystają jej stópki.

Szlag by to.

– Cześć, skarbie – odpowiada szeptem Jim. – Powinnaś być w łóżku.



Audrey jest lekka, ale się wiję. Jim odstawia ją z powrotem na ziemię.

– Co dzisiaj robiłeś, tatusiu?

Jim widzi tylko głowę Kelly Anne Farrace wykręconą pod nienaturalnym kątem. I swojego ojca w trumnie, ze złożonymi grubymi dłońmi, zamkniętymi woskowymi powiekami. Chce powiedzieć: „Zajmowałem się trupami, Audrey”. Ale oczywiście nie może.

– Próbowałem złapać paru złych ludzi. A teraz położę do łóżka pijaną obywatelkę zakłócającą porządek.

Audrey chichocze. Jim zabiera ją do pokoju. Oczywiście uparła się, żeby być niesiona, chociaż robi się na to za duża. Schody skrzypią pod jego stopami, kiedy niesie ich wspólny ciężar w górę i w górę. Jim wciąż jest pijany i czuje, jak dom lekko się wokół niego kręci.

– Dobranoc, skarbie.

– Przeczytaj mi bajkę.

– Kochanie, na bajkę jest zdecydowanie za późno.

– Nie jestem zmęczona.

– Przyznaj się, mała. Oboje jesteśmy wykończeni.

Kładzie dziewczynkę do łóżka, a potem wyciąga rękę, żeby dotknąć jej policzka, ale powstrzymuje się, kiedy widzi, że dłoń ciągle mu drży. Kurwa. Opuszcza rękę. Audrey wyczuwa, że ojciec się cofa, więc łapie go za rękaw.

– Tatusiu, proszę.

– Audrey, błagam, idź spać. Tatuś miał bardzo długi dzień.

## AUDREY RATUJE TYŁEK

8 maja 2015

Audrey przewraca się na drugi bok i mocno uderza kłykciami o twarde drewno. Nawet w półśnie mózg informuje ją: O kurwa, to trochę bolało. Audrey zmusza się do otwarcia oczu.

Przez chwilę nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. A potem wszystko sobie przypomina: lot do domu, ceremonia na cześć dziadka, picie, picie, picie, a teraz ten... tak, ten wspaniały kac.

Jest w mieszkaniu matki. To znaczy formalnie w mieszkaniu faceta matki, Willa. Nocowała w gościnnej sypialni. Ale niech ta nazwa nikogo nie zwiedzie: to sypialnia bez łóżka.

Audrey stacza się z dmuchanego materaca i boleśnie ląduje na kolanie, co jej przypomina, że tutaj wszędzie są podłogi z twardego drewna. Luksusowe życie w Center City w pełnej krasie. Audrey z rozkoszą przypomina sobie słowa, które wypłynęły z ust Willa („Noo, jasne, czuj się tu jak u siebie”), podczas gdy jego oczy mówiły coś zupełnie innego („Jesteś chodzącą wytatuowaną katastrofą – nie chcę, żebyś w ogóle zbliżała się do mojego domu”).

Sorry, Will, zostanę tu trochę dłużej, niż myślałeś.

O, tak. Zostanę.

Wysłała e-mail wczoraj wieczorem. Była wtedy wystarczająco pijana, żeby zabrzmiał szczerze, ale dostatecznie trzeźwa, żeby złożyć przekonującą propozycję.

I proszę bardzo! Po godzinie jej opiekunka odpisała. To ostrożne „tak” połączone z prośbą o złożenie formalnego podania w poniedziałek z samego rana, ale mimo wszystko „tak”. Koło ratunkowe rzucone na spienione wody.

Żeby to uczcić, Audrey poszła z Carym pić w barach w pobliżu skrzyżowania Trzynastej i Sansom. Logika była następująca: jeśli zrobi się paskudnie, mogą dosłownie doczołgać się do mieszkania Willa. Patrząc z perspektywy czasu, lepiej było zostać w domu. Nikt tam nie myślał, że są bratem i siostrą na wspólnym

chlaniu. Cary wciąż był w galowym mundurze, a Audrey w swoich... no, w swoich zwykłych ciuchach... więc wszyscy brali ich za gliniarza i podejrzaną.

Teraz ona wlecze się przez kuchnię jak zombi. Z kuwety wytacza się kot (Audrey nie pamięta jego durnego imienia) i otrząsa się, jakby miał za sobą tak epickie sranie, że aż musi dojść do siebie.

Audrey potrzebuje krwawej mary, i to szybko.

Gromadzi składniki w dobrze zaopatrzonej kuchni Willa. Sto dwadzieścia mililitrów soku pomidorowego, trzydzieści (no dobrze, sześćdziesiąt) mililitrów Tito's Handmade Vodka, łyżeczka soku z cytryny, trzydzieści mililitrów sosu Worcestershire, sporo tabasco, a potem świeżo zmielone sól i pieprz oraz ćwierć łyżeczki soli selerowej. Audrey miesza to wszystko w shakerze bostońskim i pintowej szklance do piwa, a potem przelewa do drugiej takiej szklanki z lodem. Przybiera czarnymi oliwkami – to bardzo ważne – korniszonami, cytryną i oczywiście łodygą selera, którą psychologicznie utożsamia z kamizelką ratunkową.

Potem siada, żeby poczytać gazetę. Co zawsze ją przygnębia, ale nie umie się powstrzymać.

Pierwszy artykuł, który przyciąga jej uwagę: dwudziestoseśćioletnia matka w ósmym miesiącu ciąży trafiona prosto w twarz zabłąkaną kulą. W niedzielę późnym rankiem. Siedziała na dworze, pilnowała dziecka sąsiadów. Jej przyjaciele mówią, że często siadywała na dworze i czytała książkę. Przecznicę dalej jakiś potwór zobaczył znajomy samochód i otworzył ogień. Kule minęły auto. Trafiły dziewczynę. Zmarła w szpitalu. Próbowano uratować dziecko. Zmarło dziś rano.

Audrey żałuje, że Kapitan odszedł z pracy. Uwielbiał takie sprawy. Namierzyłyby sprawcę w gnieniu oka.

Są też nowe informacje o tym, co jedenastego września – że też akurat wtedy – wydarzyło się na Chancellor Street. Banda gładko ogolonych białych ludzi, ubranych na nocne imprezowanie, podeszła do pary gejów i zapytała jednego z nich: „A ty co, jego chłopak?”. Następnie im wpierdolili, uszkadzając czaszki, i uciekli. Podobno policja dysponuje nagraniami, które wkrótce upubliczni.

Co jest nie tak z tym głupim miastem? Audrey sączy krwawą mary, gdy nagle w salonie coś jęczy.

To Cary, rozwalony na kanapie, wciąż w galowym mundurze. I w butach.

I proszę bardzo, z puszką piwa w dłoni.

– Uchhhhhhhhhhhhhhh – stęka.

– Właśnie, bracie. Nie inaczej.

Zeszłej nocy Cary pokłócił się esemesowo z Jean. Najpierw zażądała, żeby wrócił do domu. Potem napisała, żeby nie śmiał pokazywać się w domu pijany. Że ma dość. To koniec. On nie może dłużej zachowywać się w ten sposób. Podobno Jean ciągle tak mówi. Tymczasem Cary narzeka, że od sześciu lat pełni służbę w ograniczonym zakresie. Uszkodził sobie plecy (jak twierdzi), wyskakując z policyjnej furgonetki, i lekarz mówi, że wciąż nie jest gotów pracować na ulicach. I nie wiadomo, czy kiedyś będzie. Przyjemna fucha, myśli Audrey.

– O której masz samolot? – pyta Cary.

Nie z ciekawości. Obiecał, że ją odwiezie, a teraz zastanawia się, jakim cudem zdoła wytrzeźwieć do tej pory.

– Zmieniłam rezerwację. Zostają jeszcze na parę dni.

Cary siada i kręci głową. Pytanie, które usiłuje zadać, grzęźnie w niekończącym się gąszczu martwych szarych komórek. Jego mózg musi je przekierować na inną trasę. *Zmieniam trasę. Zmieniam trasę. Zmieniam...* Ach, już.

– Zaraz... Dlaczego?

„Poproszę kawałek z podwójnym morderstwem...”

...chce powiedzieć Audrey.

Ale zamiast tego zamawia mrożoną herbatę. W tej chwili jej żołądek nie zniósłby pizzy. Ciągłe jest spocona po marszu, który okazał się dłuższy, niż sądziła. Musi uzupełnić płyny, i to szybko.

– To wszystko? – pyta gość za ladą.

Audrey uśmiecha się do niego. To będzie bardzo ważne, żeby przypodobać się temu koleśowi, na grubo.

– Wszystko.

Zabiera napój do pokrytego laminatem stolika na drugim końcu sali, przysuwa drewniane krzesło, które skrzypi po wyłożonej ka-

felkami podłódze, a potem siada i ogląda sobie cały lokal.

Od razu widać, że kiedyś był tu bar, co Audrey przyjmuje z ulgą. Gdyby nowy właściciel wszystko wypatroszył, nie miałyby z czym pracować, a jej opiekunka ze smutkiem pokręciłaby głową, po czym pociągnęłaby za łańcuch i spuściła w kiblu karierę akademicką Audrey.

Ale nie... to kiedyś totalnie był bar.

Po pierwsze, sam bar ciągle tu jest.

Drewniany gigant, na którym stoi kasa, menu z żarciem na wynos i podgrzewacz z kawałkami margherity, grzybowej, pepperoni, wegetariańskiej i tak dalej. Zamiast ten bar usunąć, po prostu przybili z przodu panele, żeby zakryć drewno.

No i jeszcze podłoga, mozaika z płytek, która ciągnie się przez całą salę. To też jest dość niesamowite.

Jako pizzeria lokal nie powala, chociaż napis twierdzi, że pizza jest tu NAJLEPSZA W FILADELFINII. Oczywiście mają kilka stołów, ale generalnie chcą, żebyś wpadł, zamówił parę kawałków pizzy i napoje, a potem spierdał. W kącie właściciel zainstalował telewizor; teraz gra CNN z relacją na żywo z zamieszek w Ferguson. Poza tym dawny bar podzielono na pół i pośrodku umieszczono piec; w drugiej połowie, poza widokiem klientów, jest zapewne kuchnia, toalety dla pracowników i tak dalej.

Audrey widzi w tym jakiś materiał do pracy.

Wypija łyk mrożonej herbaty, a potem podchodzi do lady i dotyka palcami drewnianego blatu. Pomalowali go, żeby pasował do paneli. Szkoda, że zakryli w ten sposób porządne drewno.

Audrey wodzi wzrokiem po blacie od końca do końca jak stolarz, który w myślach robi obliczenia.

Gość od pizzy rzuca jej pytające spojrzenie.

– Podać coś jeszcze?

– Nie – odpowiada Audrey najpogodniej, jak umie.

– W razie czego proszę mi powiedzieć.

– Oczywiście.

Uśmiechaj się. Bajeruj go, mała.

Audrey przykłęka i czubkami palców dotyka chłodnych płytek. Pięćdziesiąt lat temu na te płytki wykrwawił się jej dziadek. Kie-

dyś pewien mocno zjarany kolega powiedział jej, że wymieniamy się atomami ze wszystkim, czego dotkniemy. Jeśli to prawda, Audrey dotyka teraz jakiejś nieskończonej małej cząstki swojego dziadka. Z drugiej strony na fizyce uczyła się, że tak naprawdę nigdy niczego nie dotykamy – że to tylko złudzenie sensoryczne zrodzone w mózgu, a w rzeczywistości egzystencja jest jedynie stale rosnącą kulą energii kwantowej.

Gość od pizzy wyziera znad lady.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiada Audrey.

Ogląda panele. Kilka trzeba będzie zdjąć. Przy odrobinie szczęścia dziury po kulach ciągle tu są.

– Nie, Aud, po prostu... nie. To cholernie zły pomysł.

Tak mówi Cary, kiedy Audrey oznajmia, że zamierza wyjaśnić sprawę zabójstwa dziadka, tym samym rozwikłując rodzinną tajemnicę – i jednocześnie ratując własny tyłek na studiach.

– Dlaczego nie?

– No nie wiem. Może dlatego, że tatę chyba coś strzeli.

– Ciekawy dobór słów.

– To głupi pomysł, Aud.

– Daj spokój, Care. Przecież jesteś policjantem. No, mniej więcej. Nie chcesz się dowiedzieć, kto to zrobił?

– O czym ty mówisz? Przecież wszyscy wiedzą kto.

– Jak to?

Cary z rozdrażnieniem wybałusza oczy.

– Tata wie, kto to zrobił.

I właśnie w tym momencie ze swojej sypialni wyłania się Claire.

– Tata wie, kto co zrobił?

– Kto zabił dziadka Stana.

– Och, Audrey – mówi Claire. – Proszę, nie rozgrzebuj tej rany. Ze względu na dobro nas wszystkich.

Audrey otwiera torebkę i zerka na narzędzia, które podwędziła z mieszkania Willa. To jeden z tych lokali pod klucz, które nie wymagają od ciebie konserwacji, ale Will lubi udawać, że ma jaja,

więc trzyma pod zlewem małą skrzynkę z narzędziami w nienaruszonym stanie. Nawet nie zauważy, że zniknęły. Audrey znajduje to, którego szukała: łom tak malutki, że powinien być na nim napis FISHER-PRICE.

Kuca, szuka słabego punktu, przesuwa palcami po panelach.

Znajduje.

Wpycha końcówkę miniaturowego łomu w szparę, a potem szarpie.

TRRRRAACH!

Małeńkie gwoździe kołyszają się w otworach. Te deski przybito w pośpiechu. Może mają tutaj NAJLEPSZĄ PIZZĘ W FILADELFII, ale zatrudnili marną ekipę remontową.

Tego hałasu gość od pizzy oczywiście nie może zignorować. Wychodzi zza lady, żeby zobaczyć, co wyczynia ta pomyłona biała laska z tatuażami.

– Yy... proszę pani?

– Sekundę – rzuca Audrey.

TRRRRAACH!

Wreszcie. Panel oderwany.

Ostrożnie opiera go o sąsiedni, po czym skupia się na odsłoniętym barze.

– Jeśli nie smakowała pani mrożona herbata, mogłem podać coś innego.

– Cholera – rzuca Audrey.

– Może colę light?

Na nagim barze... nie widać nic szczególnego. Ślady po niezliczonych papierosach. Zagłębienia i zarysowania, które na przestrzeni dekad zostawiły czubki butów, kolana i stołki barowe. Audrey przesuwa dłońmi po odsłoniętej powierzchni. Może dawni właściciele załatali dziury? Albo zaczęła szukać w złym miejscu?

– Nie chcę się wtrącać w sprawy naszych klientów – mówi gość od pizzy – ale co pani robi?

Audrey wie, że teraz będzie musiała (a) powiedzieć mu prawdę i (b) włączyć urok na full. Ale kiedy mierzy faceta wzrokiem, już wie, że nie będzie to polegać na zalotnym wydymaniu usteczek.

Gość od pizzy ma błysk w oku. Ten tekst o coli light naprawdę był całkiem dowcipny.

Dziewczyna podnosi się z łomem w rękach i patrzy mu w oczy. Facet zerka na narzędzie.

– Zanim otwarto ten zacny punkt gastronomiczny w stylu włoskim – mówi Audrey – był tu bar. Można powiedzieć: lokal z wyszynkiem.

Gość od pizzy kiwa głową.

– To fakt, w piwnicy jest masa dziwacznych rzeczy. Kupa sportowych pamiątek, neonowe szyldy.

– No i w tym właśnie barze dokładnie pięćdziesiąt lat temu zastrzelono mojego dziadka.

– Co? Poważnie?

Liczyła, że facet powie coś takiego. Kiedy zwierzyna jest w szoku, trzeba zadać decydujący cios.

Audrey kiwa na niego palcem, dając znak: Chodź za mną. Gość od pizzy rozgląda się, nie wiedząc, czy dziewczyna nie zaprowadzi go w zasadzkę albo nie zrobi jakiegoś żartu, ale w końcu i tak za nią idzie.

Na dworze rozgrzane majowe słońce wisi wysoko na niebie. Audrey patrzy w dół na tablice pamiątkowe. Dzień później szczeliwo zupełnie zaschło. Ktoś zdążył tu już rzucić peta, tak że popiół rozsypał się na nazwisko posterunkowego Wildeya.

Audrey przykuca, podnosi peta, ciska go na ulicę. Co za cholerne dzikusy mieszkają w tym mieście.

– Aaa – odzywa się gość od pizzy. – Wczorajsza uroczystość, już łapię. To było ku czci pani dziadka?

Audrey z powagą kiwa głową.

– Który to?

Audrey stuka butem w nazwisko Stanisława Walczaka.

– Ten polski.

– Walczak – odczytuje facet w taki sposób, że „cz” zlewa mu się w długie „z”.

– Nie tak. „Wall-CHAK”. Wszyscy źle to wymawiają.

– Walczak – powtarza gość od pizzy, tym razem prawidłowo.

– Bardzo dobrze.



Chłopak przez chwilę przygląda się świeżym tablicom.

– To co się tutaj stało?

Wrócili do środka. Audrey go oprowadza – zupełnie jakby nie była tu dzisiaj po raz pierwszy. Ale od samego rana czytała i wkuwała podstawy.

– Oto, co wiem. Stało się to koło piętnastej. Tych wszystkich luster wtedy tu nie było. Tylko zwykła stara boazeria. Dziadek Stan i jego partner siedzieli przy barze, rozmawiali, pili piwo, zwróceni plecami do bocznych drzwi, które są za nami.

– Pili na służbie?

– Mieli pilnować pikiety.

– Zaraz... Powiadasz, że to było w sześćdziesiątym piątym? Mówiąc o pikiecie, masz na myśli protesty na Girard College?

– Właśnie. Gdyby mi przydzielili taką głównianą robotę, chyba też bym poszła pić.

– Ona nie była główniana, tylko historyczna.

– To tak jak czasami moje pragnienie. A tak w ogóle to mi nie przerywaj. Masz być testerem moich pomysłów.

– O, naprawdę? – Teraz gość od pizzy jest uśmiechnięty.

Ledwo jednak zdążył wypowiedzieć ostatnią sylabę, a Audrey przykłada mu palec do ust. Uśmiecha się przy tym słodko, ale jej oczy mówią: „Stul ryj”. Gość od pizzy odruchowo wydyma wargi, przez co wygląda, jakby ją w ten palec całował.

– Tak, naprawdę.

Audrey cofa palec. Następuje krępująca chwila, w której oboje muszą pogodzić się z faktem, że owszem, facet tak jakby właśnie pocałował ją w palec. Ale potem Audrey wraca do tematu.

– W każdym razie jest tylko trzech świadków: barman i dwóch starych pijaczków siedzących w głębi lokalu, pewnie tam, gdzie teraz macie kuchnię. – Odwraca się i wskazuje drzwi od strony Siedemnastej Ulicy. – Napastnik wchodzi tędy, z bronią w ręku. Barman zauważa go pierwszy, mówi „o cholera” albo coś takiego. Zwracając tym uwagę dziadka. – Pokazuje lustro za barem. – Pamiętaj, ich tu wtedy nie było. Więc żeby zobaczyć, co się dzieje,

dziadek musiał się odwrócić. Jego partner też. Domyślam się, że właśnie wtedy złamas zorientował się, że zamierza obrabować bar, w którym trzy metry od niego siedzą dwaj gliniarze.

– Byli w mundurach?

– Dwa źródła mówią, że tak, jedno na ten temat milczy. Tak czy inaczej domyślam się, że dziadek poinformował kretyna, że ma do czynienia z policjantem. W tym momencie rozsądnie byłoby rzucić broń i zwiewać, prawda? Ale ten gnój tego nie zrobił. Tylko otworzył ogień.

Audrey wstaje, podchodzi do bocznych drzwi. Odwraca się do gościa od pizzy z palcami prawej ręki ułożonymi w kształt pistoletu.

– Opróżnia magazynek w mojego dziadka, Wildeya i barmana. Sześć nabojów. Pach. Pach. Pach.

Pokonuje dzielącą ich odległość, a potem wbija palec wskazujący i środkowy w mięsień tuż ponad lewym sutkiem gościa od pizzy.

– Aua.

– Pierwszy strzał, prosto w serce. – Palce Audrey zawisają w powietrzu naprzeciw podbrzusza gościa od pizzy. – Drugi strzał kilkanaście centymetrów niżej, w brzuch. – Dźga go. Mocno. Chłopak krzywi się, skrępowany myślą, że ma tam warstwę tłuszczu. – Wtedy Wildey wyciąga broń i podnosi ją, żeby odpowiedzieć ogniem, ale tamten trafia go trzecią kulą prosto w gardło. Wildeyowi udaje się oddać strzał – Audrey rusza przez bar do drzwi od strony Siedemnastej Ulicy i wskazuje framugę – który według relacji dwóch pijaczków z głębi sali mija głowę napastnika zaledwie o centymetry. – Powoli obraca się z palcami wciąż ułożonymi w kształt pistoletu i teraz inni klienci naprawdę zaczynają na nią zerkać z niepokojem. – Hej, spokojnie. Ja tylko opowiadam koledze, jak zginął mój dziadek.

Gość od pizzy w ogóle nie reaguje, tak jakby ktoś codziennie tutaj przychodził i mówił takie rzeczy. Audrey podoba się jego chłodne, spokojne spojrzenie.

– Nie kłamałabym na temat wydarzenia, które zniszczyło moją rodzinę.

Gość od pizzy kiwa głową, jakby mówił: „Dobrze, w porządku”.

– Czyli wystrzeliliśmy już... ile, cztery kule? Dziadek został trafiony dwa razy, jak informowały gazety. A mimo to dał radę wyciągnąć broń i wycelować ją w napastnika. Który tymczasem znowu wziął go na muszkę i z tego, co wiemy, obaj wypalili niemal równocześnie, ale tamten o sekundę wcześniej. – Audrey nachyliła się i znowu mierzy z palców. – Dziadek dostał w szczękę. Napastnik został trafiony w ramię i oddał ostatni strzał, w pierś Wildeya. Prosto w serce. Potem odwrócił się i wytoczył z baru. – Dziewczyna przykuca i dotyka płytek. – Dokładnie tutaj. Tu dziadek wykrwawił się i umarł. Właśnie na tej podłodze.

Podłoga była od tego czasu zamiatana, myta, pokrywana kurzem, piwem, lodem, whisky, śniegiem, błotem, solą i wszystkim innym, co można wnieść z Fairmount Avenue albo Siedemnastej Ulicy. Nie został na niej żaden ślad jej dziadka, Audrey o tym wie. Ale płytki mimo to wydają się nawiedzone. Dziadek dotykał ich w najgorszych, ostatnich chwilach życia.

– Nigdy go nie złapali – odzywa się gość od pizzy.

– Nigdy go nie złapali.

– Do kitu.

– Mój ojciec ma teorię. Uważa, że mordercą był diler narkotyków Terrill Lee Stanton. Ale oficjalnie, w świetle prawa, nikogo nie aresztowano ani nawet nie wezwano na przesłuchanie.

– Ten Terrill Lee Stanton jeszcze żyje?

– Nie. Matka mówi, że umarł jakieś dwadzieścia lat temu.

Audrey i gość od pizzy stoją naprzeciwko siebie, przyswajając to wszystko. Klienci wracają do swoich rozmów, skoro sfiksowana biała dziewczyna wreszcie skończyła ostrzeliwać lokal.

– No więc... czy jutro mógłbyś dla mnie otworzyć wcześniej?

– Chcesz, żebym wstał wcześniej w sobotę rano i otworzył knajpę, która nawet do mnie nie należy, żebyś ty mogła rozwalić nam ladę i odstawić tu magiczne sztuczki w stylu CSI? Nawet nie zapytałaś, jak się nazywam.

– No, dokładnie. I wiem, jak się nazywasz.

– Serio?

– Nazywasz się Sexy Gość od Pizzy.

Audrey wywołuje tym u niego wielki, głupekowaty uśmiech.

– Dlaczego to robisz? – pyta chłopak.

– Mam tydzień na wyjaśnienie tego morderstwa.

– Masz tydzień na wyjaśnienie morderstwa sprzed pięćdziesięciu lat.

Audrey tłumaczy, że jest na studiach magisterskich z kryminalistyki. (Tylko ten kierunek ojciec zgodził się finansować). Już pięć miesięcy spóźnia się z niezależnym projektem na semestr zimowy. Zdecydowała się na akademicki odpowiednik rzutu ostatniej szansy: chce sprawdzić, czy materiał dowodowy doprowadzi do nowego podejrzanego. Od 1965 roku kryminalistyka poczyniła ogromne postępy.

– Z całym szacunkiem dla twojego dziadka, ale wygląda na to, że to był po prostu napad, który nie wyszedł. Jakim cudem chcesz to wyjaśnić?

– Dzięki magii kryminalistyki, mój drogi.

– Zamierzasz uniewinnić Terrilla Lee Stantona? Czy potwierdzić, że on to zrobił?

– Ja chcę tylko zrobić dyplom, człowieku.

Gość od pizzy nie może się powstrzymać – uśmiecha się od ucha do ucha. Przez co robi się jeszcze przystojniejszy.

– No i zajebicie – mówi Audrey. – Przecież widzę, że już w to wszedłeś.

Z pizzerii Audrey rusza do centralnego oddziału Wolnej Biblioteki przy Benjamin Franklin Parkway. Ciągłe jest tam ta sama czytelnia mikrofilmów/czasopism, której nie cierpiała odwiedzać, kiedy w liceum robiła projekty klasowe – to miejsce zawsze kojarzyło jej się z czytelnią w więzieniu. Ludzie, helo! istnieje coś takiego jak internet, mówiła wtedy. Ale teraz musi przyznać: w internecie nie ma wszystkiego. Ogromna część przeszłości ukryta jest na małych paskach kliszy.

Audrey poświęca cały dzień i mnóstwo ćwierćdolarówek (podwędzonych z filiżanki u Willa) na podróż w czasie do maja 1965 roku.

Wtedy działało w Filadelfii pięć gazet i wszystkie opublikowały artykuły o zabójstwie Walczaka i Wildeya. W wielu przypadkach pochrzaniono detale. Gliniarze odpowiedzieli ogniem, gliniarze byli na kolanach, doszło do strzelaniny, padły tylko strzały jak przy egzekucji, bla, bla, bla. Szczegóły są niejasne i sprzeczne. Niektórzy twierdzą, że byli świadkowie; inni donoszą, że nikt nic nie widział.

No i nikt nie potrafi prawidłowo napisać nazwiska dziadka. Li-tości, ludzie. Naprawdę istnieją trudniejsze polskie nazwiska.

Audrey wie, że będzie potrzebować czegoś więcej niż wycinków z gazet.

W zeszłym semestrze wykładowczyni w Houston rozdała im esej z „New York Times Magazine” na temat badań historycznych, autorstwa pisarki Susan Cheever – córki legendarnego pisarza (i ostrego pijaka) Johna Cheevera. Wyróżnia się tam cztery rodzaje źródeł.

Pierwotne: oryginalne dokumenty historyczne takie jak kartoteki policyjne, akta sprawy, raport z sekcji zwłok i tak dalej. Audrey nie ma pojęcia, jak trudne byłoby odgrzebanie ich w tym przypadku. Kartoteki policji filadelfijskiej, zwłaszcza sprzed pięćdziesięciu lat, mogą być trochę dziurawe. Może pomógłby jej Kapitan, ale Audrey nie jest jeszcze gotowa na tę bolesną i z całą pewnością niezręczną rozmowę.

Wtórne: dzieła innych autorów i badaczy. (Na przykład sprzeczne artykuły z gazet). W tym momencie raczej bezużyteczne, jak przekonuje się Audrey.

Trzeciego rzędu: rozmowy z ekspertami, innymi autorami i badaczami lub „osobami, których wspomnienia są przydatne”. Audrey uwielbia tę kategorię. „Siemasz, przystojniaku, jakie masz przydatne wspomnienie!” Tylko że kto pamiętający maj 1965 roku pozostał jeszcze przy życiu? Babcia Rose i ojciec Audrey. No i pewnie inni gliniarze, którzy wciąż żyją i nie dopadła ich demencja. Mówimy o ludziach po osiemdziesiątce.

Wreszcie czwarty rodzaj – kategoria najbardziej mglista i niesamowita.

„Nie ma eleganckiej nazwy – pisała Cheever. – To po prostu od-

wiedzenie miejsc, gdzie działa się dana historia”.

Jeśli Audrey chce rozwiązać sprawę zabójstwa dziadka i jego partnera, będzie potrzebowała wszystkich czterech. Musi chodzić tymi samymi ulicami co oni. Musi rozmawiać z osobami o przydatnych wspomnieniach. Kto znał dziadka i jego partnera w latach sześćdziesiątych? I kto ciągle jeszcze ma umysł na chodzie?

Przede wszystkim jednak będzie musiała wybebeszyć tamtą pizzerię, żeby się przekonać, co naprawdę ich spotkało.

## STAN BIJE

*Wrzesień–październik 1964*

– To jest jego fiut.

– Że co?

– Jak Boga kocham – mówi Wildey z przekonaniem człowieka zeznającego pod przysięgą – ten facet na rogu wymachuje fiutem.

Stan próbuje jednym okiem patrzeć na drogę, a drugim szuka faceta, o którym mówi Wildey. Jakimś cudem Wildey widzi wszystko. Dla Stana North Philly to jeden wielki chaotyczny zlepek ludzi, którzy stale odpieprzają podejrzone rzeczy. Oto jest sektor Stana i George’a. Właśnie z tym mają do czynienia co wieczór.

– Oszalałeś – mówi Stan. – Gdzie?

Właśnie tutaj, na Broad Steet, przed kolosalnym hotelem Divine Lorraine. Czarni trzymają się na dystans od białego zboka, który przechadza się jak komediant z pałką w dłoni. Nastolatki wykrzykują i pokazują sobie palcami białasa z interesem na wierzchu. Nie do wiary.

Stan zatrzymuje wielki czerwony radiowóz, ale zanim jeszcze resory skończą się kołysać, Wildey zrywa się i wyskakuje z kabiny. Są partnerami od dokładnie dziesięciu minut i oto, jaka im się trafiła robota. Gdyby Stan wierzył w znaki, ten byłby idealny.

– Ej, człowieku, co tu się dzieje? – pyta Wildey, rozglądając się, czy aby koleżka od wymachiwania fujarą nie ma kumpli. Czasem ekipy rabunkowe wysyłają na przynętę kogoś samopas. Albo w tym przypadku: samogwałt.

– Zostaw mnie, ty czarny psie!

Teraz Wildey stawia wściekłe kroki, jakby chciał wzniecić ogień. Całe jego ciało dygocze od gniewu.

– Może byś go schował?

– Może byś mi go possał?

– Dzięki, stary, ale jestem już po kolacji.

Stan zdążył wysiąść z wozu i teraz nerwowo lustruje okolicę. Nienawidzi śródmieścia. Przed wojną hotel Lorraine był luksusową miejscówką. Ale w 1948 roku sprzedali go Ojcu Divine i jego Ruchowi Misji Powszechnego Pokoju. Podobno mogli się tu zatrzymywać wszyscy – biali, czarni, mężczyźni, kobiety, wszystko jedno. W pełni integracyjny hotel. Nie wolno było tylko pić, palić, pieprzyć się i przeklinać. I należało ubierać się skromnie.

Może dlatego wywalili tego gościa.

– Nie mów takich rzeczy, człowieku – zwraca się Wildey do faceta. – Nie przy moim partnerze.

– Pierdołę twojego partnera! – wrzeszczy tamten, kieruje kutasa w stronę Stana i zaczyna trzepać. Zupełnie jakby mówił dosłownie.

Stan wyciąga pałkę policyjną, myśląc: Tak? Ja mam większego. Dostaniesz raz w wacka i się skończy.

– Zaraz, zaraz – wtrąca Wildey, jakby czytał mu w myślach. Zerkna na Stana i daje mu znak gestem: „spokojnie”. – To nie będzie konieczne, ojcze.

Ojcze? Czy nowy partner Stana właśnie nazwał go ojcem? Na ile lat on go ocenia?

Wildey znowu koncentruje się na zboczeńcu.

– Mówię ci, człowieku, nie powinieneś bluzgać przy moim partnerze. On jest nowy w policji.

Koleżka od wymachiwania fujarą jest zdezorientowany. Nie przestaje trzepać, ale przynajmniej trochę zwalnia.

– A wiesz, co robił, zanim wstąpił do policji? Ojciec Walczak był wyświęconym duchownym. Prawda, ojcze?

Stan mruga oczami. Czy Wildey oszalał razem z tym facetem? Wyświęconym duchownym? Co on wygaduje?

Ale kiedy koleżka od wymachiwania fujarą baranieje i robi się błady, do Stana wreszcie dociera.

– Naprawdę powinieneś go schować, synu – mówi cichym, spokojnym tonem.

– O Boże, przepraszam, ojcze! Nie wiedziałem, nie wiedziałem – występuje tamten, usiłując wepchnąć fujarę z powrotem w spodnie.



Ale ciągle za bardzo mu sterczy. Krew nie chce odpłynąć, mimo obecności duchownego.

– Musi mi ojciec pomóc.

Stan patrzy na Wildeya. Wildey ruchem głowy wskazuje jego pałkę policyjną.

– Pomóż mu.

Stan wzdycha, a potem unosi pałkę nad głową zboka.

– Dobra, idź w pokoju miłować i służyć Panu.

Gość rzuca się na kolana i wreszcie opada mu zapał.

Kiedy odjeżdżają, Stan mówi do partnera:

– Niezły numer.

Wildey parska śmiechem.

– Jak kiedyś będziemy mieli problem z czarnym, zrób dla mnie to samo, dobra?

Oto, z jakim gównem muszą się zmagać na początku.

A kiedy Stan rano wraca do domu i opowiada Jimmy’emu o koliesiu z wackiem na wierzchu, Rosie się wścieka. Tu się nie da wygrać.

Ich rewirem jest Dżungla. Ostatnia zmiana, od godziny dwudziestej trzeciej do siódmej rano.

Stan Walczak wie, że to za karę, i musi się z tym pogodzić. Mógł się spodziewać, że dyskretnie patrolowanie Whitetown nie będzie trwać wiecznie. Zgarnianie pijusów i likwidowanie niewielkich nielegalnych loterii to najwygodniejsza fucha, jaką można dostać w Filadelfii, nie licząc Far Northeast czy Chestnut Hill. Stan i Taney mieli wszystko poukładane, żadnych niespodzianek, żadnych problemów. Przyjmowali spodziewane łapówki – nie za dużo, nie za mało. A teraz Stan musi każdej rzeczy uczyć się od nowa w okolicy, która robi wszystko, żeby spalić sama siebie. Jak pomóc takim ludziom?

Oczywiście sprzedano mu to jako awans. Ponieważ Stan i Wildey wykazali się „nadzwyczajnym męstwem” w pościgu za uczestnikami zamieszek, którzy rzucili płonąca kanapę na biednego Billy’ego Taneya, wyznaczono ich na członków specjalnej

„grupy do spraw strefy zamieszek”, czyli po prostu czterystu dwudziestu najgorszych kwartałów w North Philly. Jeśli gdziekolwiek jeszcze ktoś odpieprza jakieś numery, grupa ma natychmiast zdławić każdą iskrę niepokoju. Od tej pory zero tolerancji.

W domu ten „awans” spotkał się z mieszanymi reakcjami. Według Jimmy’ego nowe zadanie jest ekscytujące – ale on żyje złudzeniem, że jego ojciec to taki gliniarz jak w serialu Dragnet. Chłopak pochłonał wszystko, co napisano na temat zamieszek, i bez końca zarzucał Stana pytaniami. Wydaje mu się, że tatuś jest słynnym policjantem, który w pojedynkę powstrzymał grabieżę i podpalenia, zanim zdążyły opanować całe miasto. Poza tym podoba mu się, że ojciec chodzi teraz do pracy w skórzanym kurtce, bo formalnie grupa do spraw rozruchów należy do policji drogowej.

Z kolei Rosie jest przerażona. Wychowała się w South Philly, w okolicy przylegającej do czarnego osiedla, i jej rodzina często raczyła Stana opowieściami o tym, jakie to było straszne, kiedy ciągle się tam kręciły te negatywy. Teraz Rosie słucha kuzynów z przedmieścia, którzy uważają, że czarni wywołają koniec świata. Wynoście się stamtąd, póki czas, mówią. Przeprowadźcie się do hrabstwa Montgomery, mówią.

– Możemy się przeprowadzić, Stanisławie.

– Dokąd, Rosie? – pyta Stan, choć świetnie zna odpowiedź.

– Do Telford. Jimmy będzie miał prawdziwy ogród. I będziemy bliżej moich sióstr.

– Co ja bym, u diabła, robił w Telford? I niby skąd mamy na to wziąć pieniądze?

Rosie przytula się do niego. Stan czuje, jak jej duże, ciężkie piersi przyciskają się do jego brzucha. Wie, że ona robi to celowo, ale mu to nie przeszkadza.

I szczerze mówiąc, nie może odmówić jej racji. Zastanawia się, jak długo jeszcze da radę. Służy w policji od pięćdziesiątego pierwszego, a o emeryturze może zacząć myśleć dopiero za siedem lat. Czy przetrwa tyle czasu, zanim zginie przez swojego nowego partnera murzyna?

We wrześnie właśnie o tym rozmyśla co rano, kiedy wyczerpa-

ny wraca do domu, żeby zjeść śniadanie i zobaczyć Jimmy'ego na parę minut, zanim mały pójdzie do Świętego Bartka.

Sen nie przychodzi łatwo. A kiedy przychodzi, za chwilę trzeba się budzić, iść pod prysznic, wciągnąć koszulę, pas koalicyjny i buty i ruszać, żeby zacząć to wszystko od nowa.

– Pójdziemy na następny mecz, tatku?

– Nie wiem, Jimmy.

Stan nie jest pewien, czy chce tym sobie zawracać głowę.

Na domiar złego Phillies kompletnie się posypali, jakby zamieszki wszystko zepsuły. Czasem Stan ma wrażenie, że zasnął pod koniec sierpnia i obudził się w alternatywnym wszechświecie. A w tej wersji Filadelfii nic nie może pójść jak należy.

Pewnej nocy swoim wielkim czerwonym radiowozem mijają skrzyżowanie Dwudziestej Trzeciej i Lehigh, w pobliżu stadionu Connie Mack. George mówi do Stana:

– Stój, zobacz.

Stan wciska hamulec, ale zanim zdąży spojrzeć, Wildey wyskakuje z samochodu i pędzi przez ulicę w kierunku trzech białych mężczyzn, którzy biją starszego czarnego.

Stan wysiada z wozu, żeby ruszyć za partnerem. Wildey krzyczy, żeby tamci przestali. Zanim jednak do nich dojdzie, wszyscy trzej napastnicy przenoszą uwagę na niego.

Wildey założył, że pojawienie się radiowozu oraz dwóch mundurowych sprawi, że gnoje przestaną okładać starego człowieka.

Ale najwyraźniej na tych gnojach mundur nie robi wrażenia. Kalkulują. Podobają im się proporcje. Jeden krzyczy:

– Skopać dupę czarnuchowi!

Usiłując pokonać dzielącą ich odległość, Stan widzi, że jego nowy partner w ułamku sekundy podejmuje decyzję. Przez moment prawą ręką sięga po broń przypiętą do pasa. Ale co robi – zastrzeli jednego? W tych gościach buzuje gniew. Skoro nie powstrzymał ich mundur, to widok spluwy też ich nie powstrzyma. A nie wolno sięgać po broń, chyba że jest się gotowym wszystkich załatwić. Czy Wildey naprawdę chce zabić tych trzech dup-

ków?

Zamiast tego chwyta pałkę policyjną.

Stan, wciąż biegnąc i ciężko dysząc, robi to samo.

Wildey ledwo zdążył wysunąć swoją pałkę zza paska, kiedy jeden z gnojków fartownie trafia go pięścią w skroń. Przez chwilę Wildey się zatacza, a potem następny cios powala go na ziemię. Teraz jest ten moment, gdy będą próbowali skopać go do nieprzytomności.

Ale zapomnieli o jego partnerze.

Stan robi zamach pałką i strzela najbliższego śmiecia przez łopatki. Gość ląduje na glebie. Jęczy jak zbity pies. Drugi dostaje prosto w mostek i pada na kolana. Rozgląda się za samochodem, który właśnie go potrafił. Trzeci myśli, że Stan jest zajęty czym innym, więc wali go z całej siły takim ciosem, który większość ludzi powaliłby z nóg. Ale Stan to nie większość ludzi. Może nie jest szybki, może nie jest mądry, może beznadziejnie gra na pianinie, ale ma jeden talent, który wyróżnia go spośród policjantów: jest twardym Polakiem, co potrafi ustać, jak dostanie w mordę. I potrafi oddać równie mocno.

Dlatego po przyjęciu ciosu Stan się prostuje, a potem uwalnia taką samą ilość energii kinetycznej, skoncentrowaną w pięści, prosto w napastnika i zgniata mu chrząstkę przegrody nosowej z głośnym i paskudnym trzaskiem.

Bandzior krztusi się krwią, zatacza się do tyłu, upada.

Stan zajmuje się leżącym partnerem, pomaga mu się podnieść.

– Wolny jesteś, partnerze – mówi Wildey – ale piekielnie silny z ciebie polski sukinsyn.

– A ty masz szklaną szczękę.

Wildey stuka się w brodę. Krew ścieka mu z warg.

– Ciągle cała. He, he, he.

– Chodź, zapudłujemy tych szmondaków.

– Co to jest szmondak?

– Pewnie to, co myślisz.

Oczywiście są okresy przestoju. Potwierdzi to każdy glina – czę-

sto po prostu siedzisz i czekasz, aż coś się rozpieprzy. Nawet w Dżungli trafiają się długie chwile beczynności, kiedy upalna noc smaży się na wolnym ogniu, a mieszkańcy są zbyt wyczerpani, żeby się bić, pieprzyć czy kraść.

Dlatego czują się zmuszeni do rozmowy. Albo raczej Wildey czuje się zmuszony do rozmowy, a Stan usiłuje wykombinować magiczną odpowiedź, która uciszy go chociaż na parę minut. Po trzech miesiącach ciągle nie przywykł do ostatniej zmiany. Zamiast spać obok Rosie, obejmując ją ramieniem, kibluje z tym gościem.

Któremu gęba się nie zamyka, nawet kiedy jedzą lunch o trzeciej nad ranem.

– Co to? – pyta Wildey, wskazując kanapkę Stana.

– Wątrobianka.

– Ten szajs wygląda jak żarcie dla kota, człowieku. I wcale nie lepiej pachnie.

Co ma odpowiedzieć Stan? Ej, chcesz gryza? Je dalej. Tymczasem Wildey wsuwa dwie niezgrabne kanapki z masłem orzechowym i dżemem, które pewnie zrobił sam.

– Trochę rozpytywałem – mówi. – Nie wiedziałem, że pracowałeś na Dzikim Zachodzie.

Dziki Zachód, czyli Midway albo jak tam teraz nazywają ten rejon, to dzielnica klubów w centrum. Kluby jazzowe, lokale ze striptizem, punkty bukmacherskie, a to wszystko na niewielkiej przestrzeni. Magnesy na sławnych ludzi w stylu Frankie Bradley's, lokale dla zakulisowych kombinatorów w stylu Lew Tandler's i tuzin innych jaskiń grzechu.

– To prawda, przez jakiś czas – przyznaje Stan.

Spędził w rejonie Midway swoje najlepsze lata i o mały włos nie zniszczyło to jego i jego małżeństwa. Nie lubi za dużo o tym myśleć. Przeniesienie do Whitetown to był dar z nieba. Wydawało się, że życie wreszcie się uspokoiło... aż do teraz.

– A ty? Gdzie ty wcześniej pracowałeś?

Wildey śmieje się pod nosem.

– He, he. W żadnym fajnym miejscu, to na pewno. Chyba po prostu przerzucali mnie między peryferyjnymi rejonami, gdzie aku-

rat był potrzebny jakiś czarny.

Stan kiwa głową, jakby rozumiał, ale oczywiście nie rozumie. Czy Wildey trafił na zesłanie? Czy po prostu nigdzie nie zagrzeł miejsca?

– Ale cieszę się, że wylądowaliśmy tutaj – mówi Wildey.

– Cieszysz się? Jakim cudem się z tego cieszysz, do cholery?

– Jak to?

– Przecież to najgorsza kara, jaką mogę sobie wyobrazić. Ostatnie miejsce, w którym chciałbym być.

Wildey gwałtownie podnosi dłonie, jakby kierował ruchem.

– Moment. Myślisz, że to dla nas kara? Przecież ja o ciebie poprosiłem, człowieku. Ty i ja w dwudziestym drugim. Pierwszorzędna robota. Parę tygodni temu byłeś krawężnikiem w Kensington. Teraz masz skórzaną kurtkę i radiowóz!

– Załatwiłeś nam pierwszorzędną robotę w samym środku piekła!

– Nie masz ochoty złapać tych gości, którzy chcieli zrzucić na nas kanapę?

Stan jest oniemiały. W tym wszystkim chodzi o murzynów od kanapy. Nie potrafi w to uwierzyć. Jak Wildey mógł mu to zrobić?

– Posłuchaj – mówi jego partner. – Ja w tym widzę drogę do awansu. Na dwudziesty drugi wszyscy patrzą. Jak damy tutaj cza-du, to będziemy przebierać w propozycjach.

Ale Stanowi wcale nie zależy na awansie. Dobrze się czuł tam, gdzie był.

Cała sztuka bycia gliniarzem polega na tym, powiedział mu pewien zaprawiony detektyw, żeby po służbie zawsze wracać do domu.

Tym starszym był Rod Wiethop, członek słynnej smokingowej ekipy Smedleya Butlera, która urzędowała naloty na sale balowe w czasach Prohibicji. Stan myślał, że Wiethop sobie z niego dworuje – zupełnie tak, jak mówi się żółtodziobowi, żeby nie dał się zastrzelić – ale z czasem dostrzegł sens tej prostej prawdy. Powrót do domu co wieczór, co rano albo kiedykolwiek kończy

się służba, to podstawa. Przypominasz sobie, po co tak ciężko pracujesz. Unikasz głupich błędów albo zatracania się w robocie, jak kiedyś Stan.

Dlatego teraz Stan co rano wraca do domu. Część chłopaków z dwudziestego drugiego chodzi na piwo do baru dla gliniarzy niedaleko skrzyżowania Boulevard i Erie, ale nie on. On woli pić w domu. A Wildey, który prawie nie tyka alkoholu, jedzie do siebie, do Germantown. Ruchem ręki pozdrawiają się na pożegnanie i ruszają na przeciwległe krańce miasta.

Zanim Stan dotrze do Bridge Street, Rosie już jest na nogach – nie sypia dużo – a Jimmy szykuje się do szkoły. Zwykle Stan nalewa sobie szklankę soku pomidorowo-małżowego, a jego żona udaje, że nie widzi, jak dodaje tam trochę smirnoffa. Ten drink pomaga mu zasnąć. Czasami Stan próbuje namówić Rosie, żeby do niego dołączyła, żartując, że mają pusty dom i w ogóle. Ona udaje, że się na niego boczy, nazywa go starym zbereźnikiem, ale po prostu pozwala mu spać. Za co Stan jest jej wdzięczny, bo zwykle czuje się wykończony. Nigdy nie przywyknie do ostatniej zmiany.

– Wildey proponuje, żebyśmy któregoś dnia gdzieś razem poszli – mówi pewnego razu do żony, która właśnie szykuje kolację.

Jimmy rozwiązuje zadania z matematyki przy kuchennym stole.

– Kto to taki?

– No wiesz, Rosie. George Wildey. Mój partner.

Rosie dokładnie wie, o kim mówi mąż.

– Zaproponował, żebyśmy kiedyś wpadli do niego.

– Gdzie mieszka?

– W Germantown. Poza tym ciągle mówi o jakimś klubie przy skrzyżowaniu Broad i Erie, podobno grają tam dobrą muzykę.

– No, zobaczymy.

– Ma na myśli Cadillac Club? – pyta Jimmy.

Stan zerka na syna kątem oka.

– Skąd ty wiesz o Cadillac Club?

– Podobno jest tam świetna muzyka – odpowiada chłopak, unikając odpowiedzi na pytanie. – Idźcie koniecznie.

Rosie wyklada na talerz Stana gorącą kiełbaskę i paprykę.

– No, zobaczymy – mówi.

W ostatni weekend września całemu miastu jakby odwała. Ciśsza po zamieszkach już minęła. Phillies są skończeni, posłali w zapomnienie zwycięską passę z lata, doświadczając w ostatnich tygodniach kompromitującej zapaści. Jednocześnie cała Filadelfia przypomina sobie, że ma ochotę sama się unicestwić. Włamanie. Napaści. Rabunki z bronią w rękę.

A w Dżungli czarni masowo zabijają czarnych.

Detektywi z wydziału zabójstw, ci brzuchaci, w wymiętych garniturach, mają na to szyfr: ULB.

Udziału Ludzi Brak.

Oczywiście Stan i Wildey nie prowadzą żadnego z takich śledztw. Ale jako lotna jednostka tej jesieni często są pierwsi na miejscu zdarzenia.

– Niech to szlag – mówi Wildey za każdym razem, kiedy natrafiają na kolejne ciało.

Ich zadaniem jest zabezpieczyć miejsce zbrodni, ucapić jakichkolwiek świadków i trzymać ich na miejscu aż do czasu przybycia śledczych. Zwykle przyjeżdżają tacy z samego dna – pijacy, wypaleni zawodowo, niekompetentni. Po co marnować dobrych ludzi na czarnych zabitych przez czarnych?

Pierwszy trup trafia im się pierwszego dnia października.

To zwykły chłopak z kręconymi włosami, może ledwo dwudziestoletni, jedna kulka w skroń, druga w chudy brzuch. Brzydkie zabójstwo, tuż przed sypiącym się klubem bilardowym z przekrzywionym dachem niedaleko Broad Street. Wokół zebrał się już tłumek gapiów.

Złe wieści rozchodzą się po Dżungli jakby telepatycznie. Wydaje się, że gdy tylko kogoś zastrzelą, w promieniu trzech przecznicy wszyscy wybiegają ze swoich szeregowców i gnają na miejsce zbrodni, żeby przekonać się o tym na własne oczy. Policja nigdy nie musi powiadamiać bliskich – Dżungla robi to za nią.

Jakaś kobieta idąca chodnikiem w kierunku ciała, pewnie matka zabitego, raz po raz dotyka ściany klubu bilardowego, jakby mu-



siała się upewnić, że istnieje naprawdę. Potem z wyciem pada na kolana obok zwłok. Stan i Wildey łapią ją, zanim zdąży się na nie rzucić.

– Zaopiekujemy się nim, skarbie – szepcze do niej Wildey. – Zaopiekujemy się, obiecuję.

Ale ona nie chce się uspokoić. Widzi wielkiego Stana górującego nad ciałem i zaczyna na niego wrzeszczeć, wyzywać go od niebieskookich diabłów. Jakby to on własnoręcznie sprzątnął tego biednego chłopaka.

– Już dobrze – mówi Stan, usiłując naśladować kojący ton głosu Wildeya.

Ale wychodzi mu to fałszywie i kobieta jeszcze bardziej się wścieka. Ona nie potrzebuje, żeby jakiś parszywy białas opowiadał jej, że wszystko będzie dobrze. Co, na Boga wszechmogącego, ma tutaj być dobrze?!

Wildey zerka na Stana i unosi rękę, jakby mówił: „Ja się tym zajmę”.

W końcu przyjeżdżają śledczy – oczywiście biali. Potencjalni świadkowie się rozchodzą. Gliniarze niezbyt się tym przejmują; nie widzą tu do wyjaśnienia żadnej szczególnej tajemnicy. Wildey przekazuje, czego się dowiedział od matki, ale słuchają go tylko jednym uchem. Dzięki, kolego.

Kiedy partnerzy wracają do radiowozu, Stan nadal się dąsa.

– Hej, wszystko w porządku? – pyta Wildey.

– Przecież nic tym ludziom nie zrobiłem.

– To nie ty. To mundur. Mnie nienawidzą tak samo.

– Jakoś wątpię.

– Wiesz co? Masz absolutną rację. Mnie nienawidzą jeszcze bardziej. Jestem zdrajcą. Czarnym bratem, który przypiął sobie odznakę i gra dla przeciwnej drużyny.

Stan milczy.

– Słuchaj, człowieku – ciągnie Wildey. – Zapytaj w Dżungli, kogośkolwiek chcesz, ale naprawdę kogokolwiek: byczka z ulicy, pastora, śpiewaczkę gospel albo uśmiechniętą babunię, co siedzi na schodkach przed domem. Wszyscy mają jedną wspólną cechę.

– Jaką?

– Wcześniej czy później, gwarantuję ci to na sto procent, jakiś gliniarz potraktował ich jak gówno.

– Daj spokój, każdy miał w życiu nieprzyjemny kontakt z policją.

– Nie. Ja nie mówię o czepianiu się kogoś za to, że przejechał na czerwonym. Mówię o tym, że gliny dopierdalają się do nich za sam kolor skóry. Człowieku, mnie też to spotyka. Dlatego musisz im trochę odpuścić, dać im trochę czasu. W tej dzielnicy mieszkają dobrzy ludzie. Po prostu musimy zapracować na ich zaufanie.

Stan nie wie, jak na to odpowiedzieć. Osuwa się w fotelu i mamrocze, że „wcale nie chciał pracować w tej dzielnicy murzynów”.

– Co takiego? – pyta Wildey. – W dzielnicy muslimów? Nazywasz ich muzułmanami?

– Nie, nieważne.

– No to co powiedziałaś? Nigdy dotąd nie słyszałem tego słowa. Co to było, *mooshin*?

– „Murzyn”.

– No właśnie tak usłyszałem. *Mooshin*. To po polsku?

– Tak.

– Co to znaczy?

– Myślę, że wiesz.

Wildey mruga, jakby ktoś go spoliczkował.

– Mam szczerą nadzieję, że to nieprawda.

Stan wzdycha.

– To po prostu polskie określenie na kogoś czarnego, o ciemnej skórze. Nic więcej.

– Hm. Czyli mnie też nazywasz *mooshin*?

– Nie, ciebie nazywam cholernym wrzodem na dupie.

Przez kilka długich sekund Stan nie jest pewien, co teraz będzie. Czy jego nowy parter da mu w mordę?

Ale Wildey parska śmiechem.

– Od razu lepiej – mówi. – Wreszcie prawda wyszła na jaw. Mój partner uważa, że jestem wrzodem na dupie! Wreszcie jakiś postęp.

Stan zmusza się do uśmiechu.

– Wiesz, ty też jesteś cholernym wrzodem na dupie – stwierdza

Wildey.

Stan nie chce mu mówić, że wśród Polaków słowo „murzyn” ma też inne znaczenie. Takie jak „niewolnik” – człowiek harujący dla kogoś innego. Ojciec Stana narzekał na tych wszystkich murzynów zabierających dobre miejsca pracy. Mówił, że powinni wracać na Południe, gdzie ich miejsce. Stan wstydy się przyznać, że w dzieciństwie słyszał to słowo tak często, że weszło do jego słownika. Bo to przecież byli murzyni, prawda? To tak, jakby próbować nauczyć się nazywania jabłka jakimś innym słowem. Wie jednak, że to nie w porządku i że powinien z tym skończyć. Zwłaszcza przy Wildeyu.

Pod koniec października cieszą się już reputacją najtwardszego duetu policjantów w Dżungli. Nieustępliwi, mocni, sprawiedliwi. Jakimś cudem wieści docierają do redakcji „Bulletinu”, która przysłała jednego z najlepszych reporterów, Joego Daughena, żeby zrobił z nimi wywiad. Daughen pisze dobry, mocny, sprawiedliwy tekst.

Zwłaszcza Wildey cieszy się, że wysłali właśnie jego. Podobno ten dziennikarz jest znany wśród czarnych z obiektywizmu i bezpośredniości. To rzadka cecha u białych reporterów, tak przynajmniej twierdzi Wildey.

Stanowi z kolei nie podoba się, jak wyszedł na zdjęciu. Głowę ma o trzy rozmiary za dużą i nerwowo mruży oczy, przez co wygląda, jakby używał czarnego cienia do powiek. Martwi go również całe to zainteresowanie.

– Wiesz, że to się może na nas zemścić – mówi Stan tej nocy, kiedy ukazuje się artykuł, podczas przerwy na lunch o trzeciej nad ranem.

Stan je wątrobiankę na białym pieczywie. Wildey – kanapkę z masłem orzechowym i dżemem na pszennym z odkrojonymi skórkami, jakby dalej chodził do podstawówki.

– Niby jak, kowboju?

– Jak będziemy znani, to każdy łobuz od razu zobaczy, że idziemy.

– Nie – odpowiada Wildey. – Wtedy każdy łobuz będzie się nas bał. I właśnie o to chodzi. A teraz kończ tę swoją kanapkę z kocią

karmą. Nie pozwolę ci zepsuć jednego z najlepszych dni w moim życiu. Wiesz, kto dziś do mnie zadzwonił, jak tylko gazety trafiły do kiosków? Carla.

Carla to jego była, z którą Wildey na zmianę schodzi się i rozstaje. Matka jego synka, George'a juniora.

– Powiedziała, że przystojnie wyszedłem i w ogóle.

Również Jimmy jest zachwycony artykułem. Wydaje całe kieszonkowe na zakup dwunastu egzemplarzy gazety ze stoiska przy skrzyżowaniu Bridge i Pratt. (W sklepie na rogu już wszystkie wykupili). Jeden z tych egzemplarzy poświęca, żeby wyciąć artykuł i przykleić go taśmą do boazerii w swoim pokoju, obok plakatów z gwiazdami rocka. Teraz co wieczór, gdy chłopak odrabia lekcje, patrzy na niego z góry Dylan, Jagger, Lennon, Walczak i Wildey. Jimmy po raz pierwszy mówi ojcu:

– Kiedy dorosnę, chyba zostanę policjantem.

**JIM BADA**  
*3 listopada 1995*

Wielka niespodzianka: dziś rano Jim ma trudności z koncentracją. Czyżby chodziło o to, że pił i zamartwiał się do trzeciej, a może nawet do czwartej nad ranem? Nie pamięta, żeby w ogóle kładł się spać.

W tej chwili jednak on i Aisha stoją w chłodnym gabinecie lekarza sądowego, Jim ma monstualnego kaca, a koroner informuje, że w ciele Kelly Anne Farrace znaleziono nasienie należące do dwóch różnych mężczyzn: inne w pochwie, a inne w odbycie.

– No to doszedł nam jeszcze jeden. Tylko trzeba ustalić, który pierwszy – mówi lekarz, unosi brew i czeka na reakcję.

– Chryste, Lew – wzdycha Jim ze znużeniem, kiedy do przymuszonego umysłu wreszcie dociera sens dowcipu.

Aisha zde gustowana kręci głową.

– No co? – pyta koroner. – Gliniarze z wydziału zabójstw nie znają się już na żartach?

– Nie jesteś ojcem, prawda, Lew? – odpowiada Jim.

Aisha kieruje rozmowę z powrotem na właściwe tory.

– Są ślady urazów?

– Nie zauważyłem. To chyba było za jej zgodą.

– Na ile przed śmiercią, Baxter?

Koroner drapie się po szpecinowatym zaroście, rozmyślając nad odpowiedzią.

– Myślę, że niecałą dobę.

Zatem Kelly Anne z kimś sypiała. Albo nawet z dwoma ktosiami. Z których jeden lubił tradycyjnie, myśli Jim, a drugi po grecku.

– Dacie mi próbkę DNA, to spróbuję dopasować do któregoś nasienia – mówi Baxter.

Spotkanie z rodzicami lada chwila. Chryste. Czy powiedzieć im o tym? Że ich córka była jedną z tych „feministek otwartych na seks”? Jim pamięta, jak parę dni temu jakiś pijany młody pismak

w klubie Pen & Pencil żartował/jęczał: „Dlaczego te wszystkie feministki otwarte na seks nie otwierają nóg przede mną?”.

Teraz jest już jasne, że trzeba stworzyć kompletny obraz kręgowców towarzyskich Kelly Anne. Ludzie z redakcji magazynu. Znajomi spoza pracy. I (potencjalnie) dziesiątki ludzi, z którymi codziennie rozmawiała. Jeśli już zacznie się szukać, życie każdego człowieka regularnie przecina się z setkami innych.

Ale przede wszystkim są MS i JDH.

Jimowi coraz mniej to wygląda na przypadkowy atak, a coraz bardziej na robotę kogoś, kto ją znał. (Mówili, że Terrill Lee Stanton przypadkowo wybrał tamten bar, ale to oczywiście nieprawda – znał ojca Jima i jego partnera). Może nawet zabójca mówił Kelly, że ją kocha, a potem zmienił zdanie. Błagam, niech to będzie ktoś zbyt pewny siebie, myśli Jim, tak by dało się go znaleźć i udupić raz-dwa. W tym celu trzeba skonstruować pełen grafik jej ostatnich dwudziestu czterech godzin życia. Od porannego pójścia do pracy przez wszystkie ruchy po Center City w ciągu dnia aż do momentu, gdy wylądowała na schodach przy Pine Street.

*Kelly, nie zasłużyłaś na taką śmierć, bez względu na to, co robiłaś w życiu. Znajdę potwora, który je przerwał. Twoja sprawa nie zostanie nierozwiązana.*

A teraz pomóż mi zweryfikować swój ostatni dzień.

W środę 1 listopada meldujesz się w pracy tuż przed ósmą.

Jak mówi Marie, uroczą starszą panią w recepcji, zawsze przychodzisz jako jedna z pierwszych. Telefoniczne weryfikowanie faktów lubisz zaczynać wcześniej. Z samego rana ludzie są przytomniejsi, mniej zagonieni. Wielu knajp i sklepów jeszcze nie otwarto. Swoją pracę traktujesz poważnie. Sączysz kawę, sporządzając listę zadań na dziś. Jesteś bystra, skupiona, zdeterminowana.

Przebywasz w biurze przy Market Street 1919 aż do wpół do pierwszej, kiedy to razem z Lauren Feldman, asystentką redakcji, zjeżdżacie na parter, idziecie do delikatesów Berri Blues, położonych dwie przecznice dalej, na rogu Dziewiętnastej i Chestnut, tam obie uderzacie do baru sałatkowego, kupujecie po napoju

Snapple i wracacie do pracy. W tym tygodniu zamyka się numer, więc i tak nie możesz zostać w lokalu zbyt długo. Dział produkcji chce mieć sprawdzone fakty, żeby sfinalizować tekst i rozesłać do korekty. Chociaż nie było cię tylko przez chwilę, na twoim biurku będą czekać cztery nowe szpalty.

Pracujesz pilnie przez całe popołudnie.

Na maszynopisie za pomocą ołówka każdy fakt zaznaczasz nawiasem.

Wykonujesz telefony, a po potwierdzeniu danego faktu wewnątrz nawiasu ołówkiem stawiasz ptaszek.

Poprawki też robisz ołówkiem.

Kiedy potrzeba większych zmian, zostawiasz na marginesie żółtą karteczkę samoprzylepną, żeby później omówić to z redaktorem.

Zgadza się, Kelly Anne?

Magazyn szykuje grudniowe wydanie, więc pracujesz do późna – prawie do dziewiętnastej. Potwierdziła to Marcy Lombardi, twoja redaktorka zarządzająca, która w tygodniu przed oddaniem numeru trzyma cały zespół za twarz.

Potem w końcu wracasz do domu, żeby się przebrać. Wiemy o tym, bo ubranie, w którym tego dnia byłaś w pracy – czarna spódnica, kasztanowy golf, buty na płaskim obcasie – leżały na kanapie w twoim mieszkaniu.

Czy już zdążyłaś uprawiać seks? Wątpliwe. Lew Baxter mówi, że okienko wynosi dwadzieścia cztery godziny, więc jeśli nie zaczęłaś z samego rana, to znaczy, że spotkasz się z kimś po pracy.

Jesz coś? Czy od razu wychodzisz z domu?

Pomóż mi trochę. Daj mi jakąś wskazówkę, dokąd się wybierasz.

Kalendarz, który Jim znalazł na biurku Kelly Anne, zawiera tylko dwie enigmatyczne sugestie dotyczące reszty wieczoru. MS o dziewiątej i JDH o jedenastej.

Kim oni są?

Tymczasem lokalne media zajmują się sprawdzaniem własnych tropów. Sprawa trafia na pierwsze strony gazet i do serwisów informacyjnych nadawanych co godzinę w każdej stacji telewizyj-

nej i radiowej. Jim ma to wszystko na oku – raz po raz bywa, że media dokopią się do czegoś ciekawego. Ludzie zawsze swobodniej rozmawiają z reporterami niż z policją. Ale rozgłos ma też złą stronę: z każdą opublikowaną kolumną tekstu burmistrz – i Sonya Kaminski – będą Jimowi bardziej truć dupę.

Państwo Farrace okazują się inni, niż Jim się spodziewał.

Po pierwsze nawet nie są państwem Farrace.

Ojciec jest wysoki i kluchowaty, więc w rezultacie wygląda prawie chłopięco, co próbuje zrekompensować długą jasną brodą. Czy ma dość lat na córkę w wieku Kelly Anne? Tymczasem żona wygląda na co najmniej dziesięć lat starszą, w jej długich ciemnych włosach widać ślady siwizny, a ubranie zdaje się naciągnięte w ostatniej chwili – „ojej, powinnam coś włożyć do ludzi”. To zrozumiałe, zważywszy na okoliczności. Ale patrząc na nią, Jim ma wrażenie, że dusza tej kobiety nie została złamana dwanaście godzin temu. Jest złamana już od pewnego czasu.

Zaczyna Aisha.

– Detektyw Walczak i ja pragniemy państwu złożyć najszczerze kondolencje – mówi. – Muszą państwo wiedzieć, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć człowieka, który to zrobił państwa córce.

Ojciec wyciąga dłoń.

– George Linden.

Aisha mruga.

– Nie pan Farrace?

Żona kręci głową.

– Drugi raz wyszłam za męża.

– Czy ojciec Kelly Anne jest świadom tego, co się stało?

– On chyba w ogóle mało czego jest świadom – stwierdza pani Linden.

– Tematu ojca Kelly Anne nie ma już od dłuższego czasu – mówi szybko pan Linden, nie tyle wchodząc żonie w zdanie, co po prostu je kontynuując.

Jim myśli o Kelly, jej przedwcześnie postarzałej matce, nadętym



ojczymie i ojcu nierobie. Taa, ja też bym zwał z cuchnącej browarem dziury w Ohio.

– Kiedy ostatnio mieli państwo kontakt z Kelly Anne?

– Dzwoni do domu co tydzień.

– A ostatnio...

– W zeszłym tygodniu – mówi pani Linden, jakby to była najoczywistsza odpowiedź świata.

Pytania zadaje Aisha, ale przy odpowiadaniu Lindenowie stale patrzą na Jima.

– Chodzi mi o to – ciągnie policjantka – czy podczas ostatniej rozmowy wspominała o czymś dziwnym? Może o kłopotach z chłopakiem albo w pracy? Coś w tym stylu?

Nie, nic w tym stylu. Krążą i krążą wokół tematu, a im bardziej się zagłębiają, tym wyraźniej widać, że odkąd Kelly Anne przeprowadziła się do Filadelfii, Lindenowie bardzo mało wiedzieli o tym, co u niej słyhać. Co z oczu, to z serca. Jak się okazuje, mają na głowie trzy inne córki, wszystkie młodsze. Tylko Kelly Anne nosi nazwisko Farrace; pozostałe dziewczynki mają innego ojca. Którym zresztą nie jest Linden. Wygląda na to, że pan profesor pojawił się w ich życiu, żeby trochę posprzątać.

Czy uciekałaś z Ohio przed tym tutaj brodaczem? – zastanawia się Jim. Czy wystawał na progu twojego pokoju? Ożenił się z matką, ale miał ochotę na najstarszą córkę?

– Co pan wykłada? – pyta Jim Lindena.

– Literaturę dziewiętnastego wieku, a co?

– W college’u?

– Miejskim. Proszę pana, czy to jest ważne? Jaki to ma związek ze znalezieniem zabójcy Kelly Anne?

Akademicy. Jim nie rozumie ludzi, którzy płacą taką kasę i poświęcają tyle czasu na bzdury. Jasne, chce, żeby Staś poszedł na studia, ale jakieś przydatne.

Kręci głową.

– Nie ma żadnego.

Ratusz zamierzał ich zakwaterować w Four Seasons przy Parkway, ale obstawali przy tym, że chcą wrócić do domu, żeby przygotować pogrzeb i zająć się pozostałymi córkami.

- Czy domyślają się państwo, gdzie znajdziemy ojca Kelly Anne?
- pyta Aisha.  
Pani Linden mruga oczami.
- Wy to wiecie lepiej od nas.  
Jim prostuje się na krześle.
- Jak to?
- Jest tutaj – odpowiada pan Linden. – Gdzieś tu, w Filadelfii.  
Jim i Aisha wymieniają spojrzenia. Kiedy Lindenowie wychodzą, Jim prosi partnerkę, żeby sprawdziła tego ojca.
- A ty co będziesz robił?
- Muszę zbadać pewną sprawę – odpowiada Jim i nie rozwija tematu.  
Aisha wie, że nie powinna naciskać.

*No już, Terrillu Lee Stantonie. Pobudka, kanalio.*

Z twoich akt wynika, że pracujesz w garkuchni hen, w West Philly. Jeśli chcesz zdążyć na kolejkę nadziemną El i nie spóźnić się do roboty, musisz wyjść z ośrodka przejściowego niedaleko skrzyżowania Erie i Castor za parę minut.

Jim siedzi w swoim aucie po drugiej stronie ulicy i czeka. Czuje lekkie wyrzuty sumienia, że okłamał Aishę, bo teraz sama musi sobie radzić z prasą i całą resztą. Ale ta sprawa nie może dłużej czekać. Na tę chwilę Jim czekał już trzydzieści lat.

Podczas skromnej stypy po pogrzebie Stana do Jima podszedł posterunkowy Billy Taney, dawny partner ojca. Chodził o lasce, a pochylając się, musiał się oprzeć na ramieniu Jimmy'ego.

- Twój ojciec uratował mi życie – powiedział poważnym tonem. Wzrok miał mętny, a oddech pachniał zimną whisky. - Czegokolwiek będziesz potrzebował, możesz do mnie przyjść.

Przez następne pięć lat Jim tak właśnie robił. Raz w miesiącu spotykali się na śniadaniu w Aramingo Diner niedaleko domu Taneya. Jim zawsze zamawiał owsiankę – najtańsze danie śniadaniowe w menu. Taney poprzestawał na czarnej kawie, wzmocnionej jakimś „syropem”, który trzymał w srebrnej buteleczce.

Z początku Taney po prostu opowiadał „historie o Stanie Wal-

czaku” z czasów wspólnej służby. Obaj zostali policjantami w tym samym roku: 1951. Rzucano ich po różnych rejonach – zaliczyli między innymi szalony okres w dzielnicy Tenderloin z tamtych czasów – aż wreszcie w połowie lat pięćdziesiątych wylądowali w obyczajówce, gdzie zajmowali się głównie klubami i burdelami w okolicach Juniper Street. To był teren Franka Rizza, dodawał Taney z dumą. Uwielbiał opowiadać, jak przeganiali pijaków, dziwki i „cwaniaczków” – gangsterów z mniejszości etnicznych, którzy prowadzili nielegalne loterie, uprawiali sutenerstwo i wiłkali się w różne głupie dramaciki.

Jako chłopiec Jim słuchał uprzejmie. Te historie rzeczywiście były ciekawe, a ojciec niezbyt dużo opowiadał o tamtych czasach. Tak naprawdę interesowało go jednak śledztwo w sprawie zabójstwa taty.

– O tym ci nie mogę powiedzieć, Jimmy – odpowiadał początkowo Taney. – Ale wiedz, że złapiemy sukinsyna, który to zrobił. Twój ojciec uratował mi życie.

Z upływem miesięcy Taneyowi jednak stopniowo rozwiązywał się język: „Słyszałem, że wydział zabójstw ma kogoś na oku”.

A potem: „Nie mówiłem ci, ale wydział zabójstw chyba znalazł tamtą broń”.

A latem 1968 roku: „Jestem prawie pewien, że wiedzą, kto to zrobił”.

– To dlaczego go nie aresztują? – zapytał piętnastoletni Jimmy.

– Nie wiedzą, czy to, co na niego mają, wystarczy. Posłuchaj, dorwiemy tego czarnego sukinsyna. Twój ojciec uratował mi życie.

– Podaj mi jego nazwisko.

– Jimmy, daj spokój.

– Zasluguję, żeby je poznać!

Ale Taney nie puścił farby.

W każdym razie przez parę lat.

Pewnego ranka w 1972 roku, niedługo po tym, jak Jimmy sam wstąpił do policji, pijany Billy Taney wygadał się i podał mu nazwisko „podejrzanego” w sprawie zabójstwa Stanisława Walczaka i George’a W. Wildeya.

To nazwisko brzmiało: Terrill Lee Stanton.

Kiedy posterunkowy Jimmy Walczak je usłyszał, napełniła go jakaś zimna energia. Natychmiast chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka ten Terrill Lee Stanton i co robił przez ostatnie siedem lat.

– Rzecz w tym – odparł Taney – że on już siedzi w więzieniu.

Odsiadywał karę od trzydziestu lat pozbawienia wolności do dożywocia za inne morderstwo.

– Już ponosi karę, możesz mi wierzyć – dodał Taney.

Niewystarczającą, pomyślał Jim.

Dlatego przez kolejne dekady marzył o dniu, gdy Stantoną wypuszczą z więzienia, żeby spojrzeć mu w oczy i zapytać: dlaczego, dlaczego, dlaczego?!

I oto on, we własnej osobie.

Zabójca jego ojca wychodzi z ośrodka przejściowego z rękami w kieszeniach polarowej kurtki. Dziwne, że w ogóle nie przypomina siebie ze zdjęcia w policyjnej kartotece, które Jim zna w szczegółach (obsesyjnie). Gość na zdjęciu był dziki, gotów kopnąć cię w brzuch za samo „dzień dobry”. Ale ta jego późniejsza, powięzienna wersja to po prostu chudy stary człowiek, który człapie po Erie Avenue ze spuszczoną głową, jakby przyczepiono mu do czoła niewidzialne odważniki. Zapewne zmierza na stację kolejki El, skąd pojedzie nakładać rosół z kury ludziom, którym powiodło się gorzej od niego.

Nie daj mu się zwieść, Jim. To człowiek, który wycelował z rewolweru do twojego ojca i parę razy pociągnął za spust.

I pewnie mu się to podobało.

*Pewnie do dziś się tym podnieca...*

Przestań.

Jim patrzy, jak Terrill Lee Stanton wlecze się po Erie Avenue. Żałosny stary dziad. Przykro patrzeć, że ktoś w jego wieku idzie ulicą w taki mróz. Może Jim powinien go zgarnąć, podwieźć, pomóc mu zaoszczędzić parę groszy na bilecie.

Zewnętrzny Jim rzuca: *Nie. Nie bądź idiotą. Jest milion powodów, dlaczego nie powinienes tego robić. Nawet nie powinno cię tu te-*

*raz być.*

Ostatecznie Zewnętrzny Jim zwycięża. Ma zabójstwo do wyjaśnienia. A ten smutny starzec? On nigdzie się nie wybiera.

Pod jego nieobecność Aisha nie próżnowała.

Jak się okazuje, Robert Raymond Farrace jest notowany. Przez ostatnie dziesięć lat wiele razy go zamykali – za włamania.

I nadal siedzi za kratkami, więc jedna hipoteza odpada.

Kolejne zadania Jim i Aisha dzielą między siebie. Ona sprawdza znajomych i/lub potencjalnych facetów Kelly Anne, a on pracuje nad grafiką jej aktywności w ostatnim dniu życia. Wypisuje poszczególne godziny i bazgrze je na suchościeralnej tablicy. Ta część pracy zawsze kojarzy mu się ze szkołą średnią. Już jesteś spóźniony z referatem i teraz tylko próbujesz nadgonić.

A potem nauczyciel czasami daje ci fory.

Aisha wpada do ich boksu podekscytowana.

– Chyba mamy coś ciekawego.

## AUDREY NACISKA

9 maja 2015

Audrey przybywa do pizzerii bladym świtem, stosunkowo nieskacowana, w pełni gotowa roznieść cały ten lokal na strzępy.

Ej, to nie jej wina, że teraz trzeba zrobić przemeblowanie. Nowi właściciele powinni byli zostawić tu bar.

Ulżyło jej, że nie musiała się przespać z gościem od pizzy, żeby namówić go do wcześniejszego otwarcia knajpy. Nie, żeby nie był przystojny – bo jest. Ma ciepły uśmiech i łagodne spojrzenie. Ale życie Audrey jest już za bardzo porąbane, żeby jeszcze bardziej je gmatwać. Co miałyby zrobić z gościem od pizzy tu, w Filadelfii, skoro w Houston czeka na nią góra ciągłych trosk?

Audrey przykuca z miniaturowym łomem w dłoni. Wtyka jeden koniec pod krawędź panelu i zaczyna naciskać. Mocno, szybko, zdecydowanie, raz, raz, raz. Musi rozebrać ten bar do gołego, i to prędko.

TRRRRAACH!

Zdążyła się zorientować, że normalnie gość od pizzy jest bardzo wyluzowanym kolesiem, ale teraz wyraźnie się denerwuje.

– Halo! Spokojnie!

– Sorry, gościu, przecież mówiłam, że mi się śpieszy.

– Wiem, ale wyginasz te płyty!

– Słuchaj, wszystko przybiję z powrotem tak, jak było. Mam młotek i w ogóle. Luzik arbuszik?

Gość od pizzy mruga.

– Czy ty właśnie powiedziałaś do mnie „luzik arbuszik”, żeby ustalić, czy się zgadzam?

Audrey nie odpowiada.

TRRRRAACH!

Kiedyś – nomen omen – był tu bar z przejściem na przestrzał.

Główne wejście od Fairmount, boczne od Siedemnastej. Długi, wąski lokal. Z jednej strony biegł bar, przez prawie całą długość aż do końca. Rzędy butelek przed lustrem. Kilka stolików w głębi. Ale interes szedł głównie przy barze, na wysokich stołkach. Podłoga z płytek. Małych, białawych, raz po raz przerywanych niewielką kolorową plamą niebieskich i zielonych tworzących geometryczny wzór.

Ale sam bar... Jest piękny. Cóż za zbrodnia – przykryć go tanimi panelami.

Legenda mówi, że w połowie lat czterdziestych ten bar był ulubioną metą poety i pisarza Charlesa Bukowskiego, który pracował wtedy w Fairmount Motor Works. Podobno właśnie na nim wzorował bar Golden Horn w scenariuszu do filmu *Ćma barowa*, w którym zagrał Mickey Rourke. Nazwa baru z epoki Bukowskiego zginęła w mrokach dziejów. Kiedy zastrzelono tutaj dziadka Audrey, knajpa też nie miała nazwy.

Gość od pizzy patrzy, jak Audrey pracuje. Co innego ma do roboty? Jest siódma rano, a on zacznie kręcić ciasto dopiero za dwie godziny.

– Po co ci ten sznurek?

Sznurek jest po to, że Audrey znajduje się teraz jakieś cztery tysiące kilometrów od kampusu swojej uczelni, więc nie może skorzystać z wypasionego uniwersyteckiego trójwymiarowego skanera laserowego, który sporządziłby model tej całej pizzerii w ciągu kilku godzin. Ona uwielbia tę zabawkę. Skaner kręci się w kółko, wykonując miliony niedorzecznie precyzyjnych obliczeń. Rezultat: trzysta sześćdziesiąt stopni zimnych, twardych danych. Całe miejsce zbrodni w laptopie.

Zamiast tego Audrey musi działać oldskulowo.

– To bardzo fachowe – odpowiada. – Nie zrozumiałbyś.

Gość od pizzy mówi: „aha”.

Może Audrey jest marną studentką, ale sporo pamięta z zajęć z kryminalistyki. Jej sześć ulubionych słów, wypowiedzianych przez ulubionego wykładowcę, brzmi: „W zasadzie jesteśmy workami z wodą”.

Chodziło mu o to, jak pocisk uderza w człowieka.

(Profesor wydawał przy tym świetny dźwięk SPOFFFF i powoli rozchyłał dłonie z rozczapierzonymi palcami).

Audrey bardzo lubi strzelać z broni palnej do żelatyny balistycznej, która ze wszystkich substancji najbardziej przypomina ludzką tkankę. Uwielbia żelatynę balistyczną tak bardzo, że chętnie by ją pokroiła, ugrillowała i zjadła na bułce.

Ale wróćmy do podwójnego morderstwa.

„W przypadku morderstwa z użyciem broni palnej nic nie jest ważniejsze niż sekcja zwłok – powiedział ten sam profesor. – Dzięki ranom można odtworzyć trajektorię lotu pocisku”.

Tyle że na ciało nie ma szans. Chyba że Audrey pójdzie w podwójną ekshumację. Na czym nie skorzystałby dokładnie nikt.

„Bardzo ważną częścią autopsji jest badanie ubrania ofiary”.

Ubrania też nie ma.

Ani odcisków palców... ani tego, co twórcy seriali lubią najbardziej: śladów krwawych.

Co wcale nie stanowi problemu, ponieważ według jednej z wykładowniczyń Audrey „to bardziej sztuka niż nauka”. Szczególnie pouczający był wykład o odciskach palców. Wszyscy wychowaliśmy się w przekonaniu, że dwa jednakowe odciski palców nie istnieją. No, niespodzianka, szefie: wszystko zależy od metody pobrania rzeczonych odcisków. Przy najczęściej stosowanych metodach fragmenty bywają tak podobne do siebie, że te same pozostawione ślady można przypisać do dwóch różnych osób. Żaden policjant nie chce tego przyznać, ale to prawda.

Wystarczy zapytać biednego skurczybyka, którego o mały włos nie skazali za zamach bombowy w Madrycie w 2004 roku. Jego odciski palców mniej więcej pasowały do znalezionych na miejscu zbrodni. Tylko że... on nie miał z tym nic wspólnego.

Jak to ujął inny profesor: „Nauka kryminalistyczna jest za mało naukowa”.

Ten sam profesor: „Moi drodzy, wszystko sprowadza się do kątów i odległości”.

Tym Audrey jest w stanie się zająć.

Właśnie w tym celu potrzebne są jej sznurek, nożyczki i taśma klejąca. Wszystko podwędzone z mieszkania Willa.



Dziewczyna zamierza odtworzyć tor lotu każdego pocisku wystrzelonego w tej knajpie ponad pięćdziesiąt lat temu. I choć bar nie jest zrobiony z żelatyny balistycznej (bo wtedy, tak na marginesie, byłby jej ulubionym barem na świecie), to wielki kawał ciężkiego drewna musiał zachować ślady po kulach niemal równie dobrze. Jasne, przez dziesięciolecia zgromadził też całą masę zadrapań, otarć i pęknięć. Ale łatwo je odróżnić od dziur po pociskach.

„Na czym polega dobra kryminalistyka? – zapytał pewnego razu ulubiony profesor Audrey. – Należy spojrzeć na konkurencyjne wytłumaczenia danego faktu. Jak powiedział kiedyś Sherlock Holmes, kiedy wyeliminujesz wszystko co niemożliwe, wówczas to, co ci zostanie, jakiegokolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą<sup>1</sup>”.

Audrey, ze sznurkiem i nożyczkami w rękach, klęka i bierze się do roboty.

– Cofnij się, młody – rzuca. – Muszę tu popracować.

Gość od pizzy podnosi ręce w geście kapitulacji, po czym robi kilka długich, wolnych kroków do tyłu.

Podczas gdy Audrey pracuje, gość od pizzy, oparty o stół, stoi z założonymi rękami i zarzuca ją pytaniami. Pewnie powinien być teraz na zapleczu i podrzucać krążek ciasta, ale wyraźnie go fascynuje to, co ona robi.

– Więc twoje nazwisko to Kornbluth. To znaczy, że masz męża? Ciach, ciach.

– Nie, to znaczy, że mam ojca dupka. Urodziłam się jako Walczak, ale parę lat temu przyjąłam panięskie nazwisko matki.

– Wow, to dość... hardkorowe.

– No cóż, tatuś jest dość hardkorowym dupkiem. I gliną, tak na marginesie. Emerytowanym, ale zna faceta, który zna faceta, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Chyba nie wiem.

---

1 Arthur Conan Doyle, Znak czterech, przeł. Anna Krochmal i Robert Kędziński, Warszawa 2009.

- A ja jestem pewna, że wiesz, gościu od pizzy.
  - Wiesz co? Ja mam imię.
  - Fajnie. Każdy ma. Ale błagam, zamknij mordę.
- Ciach, ciach.  
Kleju, kleju.

Zasadniczo Audrey działa wstecz, zaczyna od dziury po kuli i odtwarza tor lotu pocisku. Oczywiście nie wystarczy przeciągnięcie linii prostej. W grę wchodzi opór powietrza, wiatr, stara, dobra grawitacja. A to wszystko przy założeniu, że kula była w idealnym stanie. Niedoskonałe pociski mogą opadać i zbaczać z kursu. Albo strzelec mógł załadować broń amunicją niewłaściwego kalibru, co jest w stanie konkretnie popieprzyć prędkość liniową i obrotową.

Dziwną fizykę można jednak zostawić na później. Trzeba zacząć od podstaw: ile pocisków wystrzelono i skąd?

Audrey bardzo szybko uświadamia sobie, że z wersjami opisanymi w gazetach są problemy.

- Bez jaj.
- Co?

Wcale nie będzie potrzebowała wymyślnej fizyki. Wystarczy, że umie liczyć.

Kiedy Audrey wraca do mieszkania po całym dniu sumiennej pracy przy cięciu, klejeniu i spekulowaniu, z zaskoczeniem stwierdza, że ma gościa. Oto on. Siedzi na kanapie, kostka oparta na kolanie, ramię rozciągnięte na oparciu, jak w Mad Menach.

- Musimy porozmawiać – mówi jej starszy brat Staś.

Pieprzony Cary, myśli Audrey. On nigdy, przenigdy nie umie trzymać gęby na kłódkę. Z drugiej strony sama jest sobie winna, że w ogóle mu powiedziała.

Nie odpowiada. Zamiast tego w myślach liczy na palcach. Raz, dwa.

- Audrey, czy ty mnie słuchasz?

Liczy dalej: trzy, cztery, pięć, sześć, siedem – kiwając głową i wydymając usta w udawanym zaskoczeniu.

– Co ty liczysz, do cholery? – pyta w końcu poirytowany Staś.  
– Słowa. Wiesz co? Tylu słów nie wypowiedziałeś do mnie od pięciu lat. Imponujące. Istny słowotok, Stoshie.

Tymczasem Claire kręci się po kuchni, w milczeniu znosząc kolejną kłótnię rodzeństwa. Will prędko oddala się do innego pomieszczenia – możliwe, że do łazienki, żeby się powiesić.

– Chodźmy – mówi Staś.

– Dopiero co wróciłam do domu.

– To nie jest twój dom. Chodź, muszę się napić kawy.

– Chyba parę ulic dalej jest przytulny Starbucks. Polecam podwójne spierdalaczino.

Potrąfiliby tak chyba godzinami. Na szczęście Claire przerywa, rzucając ostre „Audrey!”. Oboje milkną, odwracają się i patrzą na matkę z potulnymi minami. Tak, nawet twarż z filadelfijskiej policji.

– Chryste, idź z bratem na kawę.

Wiadomo, że sprawa jest poważna, kiedy Żydówka przyzywa imię Chrystusa, żeby przerwać kłótnię swoich dzieci.

Audrey namawia Stasia na drinka w McGillin’s Olde Ale House, tuż za rogiem. To jeden z lokali, do którego wczoraj trafiła z Carym. Jeśli się nie myli, w tamtym kącie rzygał. Proponuje, żeby usiąść przy barze. Staś mówi: nie, przy stoliku. O rany. Naprawdę traktuje tę rozmowę poważnie.

Staś zamawia wodę sodową z limonką. Audrey nazywa go mięczakiem. Staś zmienia zamówienie na jacka daniel’sa z lodem i yuenglinga. Audrey zamawia krwawą i yuenglinga. Barmanowi nawet nie drgnie brew – krwawa mary o siódmej wieczorem, jasne, czemu nie. Dwudziestego pierwszego stycznia ten lokal zawsze serwuje martini z marynatą na cześć Bena Franklina. (Długa historia, nie pytajcie). Więc krwawa mary to jeszcze nic.

Staś mruga.

– Wiesz, że nie jest niedziela rano, prawda?

– Gdyby była niedziela rano – odpowiada Audrey – piłabym czystą.

– W sumie fakt – przyznaje Staś. Może nawet z cieniem uśmiechu.

W duchu Audrey nakręca się przeciwko Bitchanne, która pewnie nie brała do ust alkoholu od czasu, kiedy ostatnio miała lekki kaszel. Ale zanim kelnerka poda drinki, jej brat znów poważnieje – i przechodzi do rzeczy.

– Powiem ci, jak będzie, a ty siedź i słuchaj. Ten twój projekt właśnie się skończył. Wiem, twierdzisz, że potrzebujesz go na uczelnię, a jeśli tak, to mam dojscie do kilkunastu starych nierozwiązanych spraw, które są dużo ciekawsze. Pokażę ci wszystko. Zapewnię ci taką swobodę dostępu, jakiej nie ma nikt. Słyszysz?

– Czyli to w zasadzie nie jest rozmowa – stwierdza Audrey, kiwając głową. – Raczej edykt.

– Nazwij to, jak chcesz.

– No bo wiesz, ja kiepsko reaguję na edykty. Zwłaszcza z twojej strony.

Przychodzą drinki. Obsługa w McGillin's jest błyskawiczna. Kelnerka pyta Stasia, czy on i jego córka chcą obejrzeć menu. Audrey chichocze. „Ty stary zgredzie” – szepce. Staś mówi, że nie. Audrey sący krwawą mary jak uczennica, która pierwszy raz pije shirley temple. Ojejku, jakie orzeźwienie!

Po odejściu kelnerki Staś wraca do tematu.

– Jest coś, czego nie wiesz. Na temat serca taty.

Słomka wypada jej z ust.

– O co chodzi z sercem taty?

Staś: śmiertelnie poważne spojrzenie.

– Naprawdę musisz skończyć z tą sprawą.

– Ty dupku. O co chodzi z sercem taty?

Staś dobrze się bawi. Ten, który wie. Mówi Audrey tylko podstawowe rzeczy: zastoinowa niewydolność serca. Przez ostatnie trzy lata cztery razy lądował w szpitalu – z lekkim zawałem. Audrey już chce się na niego wydrzeć: wy gnoje, dlaczego nikt z was nie raczył zadzwonić i mi o tym powiedzieć? Przypomina sobie jednak, że sama też nie dzwoniła.

– Więc jak zaczniesz w tym teraz grzebać, to go wykończysz. Tego chcesz? Przedwcześnie wpędzić go do grobu?

Audrey rozmyśla o ojcu. Jasne, to gnój, ale ona wcale nie ma ochoty wracać za parę tygodni do Filadelfii, żeby go pochować.

Staś opiera się na krześle, wypija duży łyk jacka daniel'sa. Zobaczył jej reakcję, więc teraz jest zadowolony z siebie – rozmowa skończona. Audrey go naśladuje, opróżniając za jednym razem pół swojej krwawej mary.

– No – mówi – ty też o czymś nie wiesz.

– Mianowicie?

Audrey nie odpowiada. Zamiast tego sięga do torebki po notatnik. Otwiera go na prostym diagramie, który narysowała dziś rano, i przygniata strony dłońmi.

– Byłam dzisiaj na miejscu zbrodni. Rozebrałam ładę. Przez całą dzień odtwarzałam trajektorie lotu pocisków.

Ale Staś już patrzy na diagram przez jej palce. Oburącz sięga po notatnik i obraca go, żeby lepiej się przyjrzeć.

Staś to dupek. Ale podobno także bardzo dobry glina. Metodyczny, powolny, ale koniec końców skuteczny. Wie, na co właśnie patrzy. Natychmiast sobie uświadamia, co to oznacza.

– Strzelających było dwóch?

Audrey unosi swoją krwawą mary, stuka o stojącą na stoliku szklankę brata, a potem wypija długi łyk. No, Stoshie, czegoś takiego na pewno nie masz wśród tych swoich starych spraw.

Audrey wraca do mieszkania dopiero po wypiciu dwóch kolejnych krwawych mary i dwóch kolejnych yuenglingów. Ale Claire nie położyła się i czeka na nią, owinięta pluszowym szlafrokiem, z papierosem między środkowym a serdecznym palcem. W popielniczce jest już sześć wypalonych. Claire to ostatnia nieskruszona palaczka w Filadelfii i widać, że czeka na córkę już od jakiegoś czasu.

– Więc rozmawiałaś ze Stasiem – mówi.

Nie zawraca sobie głowy ujęciem tego w formę pytania, ponieważ zna odpowiedź. Wie, co Staś mówił, że się stanie.

Audrey kiwa głową, wyławiając piwo z lodówki Willa. Ooo, Blue Point Toasted Lager. On chyba kupuje piwo sześciopakami, żeby

cieszyć się różnorodnością.

Claire odpowiada kiwnięciem głową. Dobrze, dobrze.

- Więc jutro zawiozę cię na lotnisko.
- Niezupenie - mówi Audrey, otwierając butelkę.
- Jak to?

Czas agresywnie sprzedać temat.

Audrey opowiada o swoim niezależnym projekcie studenckim, tłumaczy, jaki jest ważny dla jej przyszłości na uczelni, mówi, co odkryła i że musi tu zostać jeszcze przez co najmniej kilka dni, żeby sprawdzić więcej faktów. Może nawet trochę dłużej, ale góra tydzień, i na pewno wam to nie będzie przeszkadzać, prawda...?

- Szczerze mówiąc, Audrey... - odpowiada Claire i pozwala, żeby myśl dokończyła się sama.

- Poważnie? Nie mogę tu zostać?
- To nie jest moje mieszkanie.
- Dobra. No więc Will nie da mi tu, kurwa, zostać?
- Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji.

Niezręcznej? A co ma powiedzieć Audrey o swojej sytuacji beznadziejnej? Nie ma pieniędzy na hotel. Gdyby Kapitan nie wyłożył kasy na bilet samolotowy, w ogóle nie ruszyłaby się z Houston. Co ma teraz zrobić?

- Mamo... Daj spokój.

- O, kiedy czegoś chcesz, to nagle jestem mamą. Kiedy indziej jestem głupią starą Claire.

- Co ci powiedział? Że twoja sukowata adoptowana córka ma się natychmiast wynosić? Dostanę czas na zebranie rzeczy czy natychmiast mam się zameldować na chodniku?

Claire po raz ostatni zaciąga się papierosem, a potem zgniata go w popielniczkę. Pewnie Will też próbuje ją nakłonić, żeby rzuciła. Nie dawaj się, mamo. Nie pozwól, żeby gnoje wszystko zmienili.

- Na pewno coś wymyślisz, Audrey - mówi. - Zawsze ci się udaje.

I po tych słowach wstaje i wychodzi do sypialni. To znaczy do sypialni Willa, położonej obok pokoju gościnnego Willa, gdzie w tej chwili znajdują się rzeczy Audrey... przynajmniej przez naj-

bliższe sto dwadzieścia sekund. Bo ona zamierza stąd spierdalać natychmiast.

Audrey snuje się w kierunku Broad Street, potem obchodzi ratusz z tą jego olbrzymią białawą wieżą przypominającą sterczącego kutasa z złotaczkowym zegarem pośrodku. Zakręcając po drugiej stronie, macha do trzymetrowego posągu byłego burmistrza Franka Rizza, który jest na wieczność skazany na odmachiwanie.

– Siema, Frank.

Audrey znowu próbuje zadzwonić do babci Rose. Odzywa się automatyczna sekretarka z powitaniem, które nie zmieniło się chyba od 1990 roku. Proszę, babciu, odbierz, nie jest aż tak późno.

Kiedy przecina dziedziniec ratusza, coś rzuca się jej w oczy: dwie tablice pamiątkowe ku czci poległych filadelfijskich policjantów.

Wpatruje się w nie, stojące po prawej stronie, niedaleko wyjścia na East Market Street. Tylu martwych gliniarzy, że musieli postawić drugą tablicę, bo zabrakło miejsca.

Przesuwa palcami po nazwiskach i znajduje STANISŁAWA WALCZAKA.

Oraz GEORGE’A W. WILDEYA.

Jej odrętwiałe opuszki przebiegają po wypukłych mosiężnych literach nazwiska dziadka.

Nie wiem, czy gdzieś tu jesteś, dziadku, albo może tam na górze. Mówi twoja wnuczka. Nie wykorzystuję twojej śmierci, żeby się wypromować, przysięgam. Jeśli już, to wykorzystuję ją, żeby nie utonąć.

Więc mi pomóż.

Daj mi rozszyfrować tę sprawę.

Audrey nie ma pojęcia, czy dziadek naprawdę ją słyszy. Bo nie ma żadnej odpowiedzi. Żadnego cichego szeptu. Żadnej błyskawicy. Jakiegokolwiek potwierdzenia.

Wyrzebuje z torebki dwa dolce i dwadzieścia pięć centów,

a potem jedzie kolejką El aż do ostatniej stacji, na skrzyżowanie Bridge i Pratt. To nieciekawa okolica. Kawalek dalej przy Bridge Street jest dobrze prosperująca meta narkotykowa. Audrey nie chce sterczeć tu całą noc, czekając na autobus, więc postanawia wyłożyć jeszcze pięć dolców na taksówkę na Ditman Street. Mieszkanie tutaj, we Frankford, przez tydzień będzie do kitu.

Chociaż z drugiej strony może zbliży ją do dziadka. W duchu tamtego czwartego źródła, o którym pisała Susan Cheever. Kiedy zginął, mieszkał właśnie przy Bridge Street 2046. Tutaj jadł, spał i śnił. Może zatrzymując się w jego domu, Audrey odkryje jakiś nowy wymiar tej sprawy.

Ale kiedy babcia Rose otwiera drzwi, uśmiecha się nerwowo i mówi: „Dzwoniła twoja matka”, Audrey uświadamia sobie, że ma przerąbane.



## STAN IDZIE DO KOŚCIOŁA

4 listopada 1964

Rosie szturcha Stana.

– Kochanie, obudź się. Ktoś do ciebie przyszedł.

Stan stęka. Jest jeszcze popołudnie. Zostało co najmniej parę godzin, zanim będzie musiał iść na służbę. Poznaje to po jasnych promieniach słońca, które kłują go w oczy. Kiedy siada na łóżku, kręci mu się w głowie. Sięga po spodnie leżące na podłodze. Sprzączka paska uderza o metalową ramę łóżka. Stan chce zapytać, co to za gość, ale Rosie zdążyła wyjść z pokoju.

Nie słyhać rockowej muzyki, więc Jimmy jeszcze nie wrócił ze szkoły. Gdzie on się, u diabła, podziewa?

Stan wkłada spodnie, leniwie zapina pasek, a potem człapie do korytarza i złazi po schodach.

Okazuje się, że przyszedł Wildey – stoi na progu, ubrany do pracy.

– Cześć, partnerze.

Stan, bez skarpet i butów, bez koszuli, jest dotkliwie świadomy, że brzuch wylewa mu się ze spodni ponad paskiem.

– Cześć, Wildey. Co jest?

– Ale sobie poradził ten LBJ, co? To znaczy właściwie żadna niespodzianka. Ale nie sądziłem, że aż tak rozniesie Goldwatera.

Wczoraj były wybory. Prezydent odniósł miażdżące zwycięstwo. Nie żeby dla Stana to miało jakieś znaczenie. Kogo to obchodzi, kto zasiada za wielkim biurkiem w Gabinetce Owalnym? Ci wszyscy politycy są tacy sami. Stan wie jednak, że lepiej nie zaczynać dyskusji, bo dotąd nie trafił się jeszcze taki temat, o którym jego partner nie kochałby się rozwodzić.

Rosie podejrzliwie zerka na gościa. Ona także chce się dowiedzieć, o co tutaj chodzi.

– Właśnie mówiłem twojej żonie, jak świetnie mi się z tobą pracuje przez te ostatnie parę miesięcy – mówi w końcu Wildey. –

Nawet już się przyzwyczajam do tych kanapek z wątrobianką.

– Aha – odpowiada Stan. A potem po chwili: – To o co chodzi?

– Pogadajmy o tym w samochodzie.

– Jeszcze trochę wcześniej, nie?

Wildey mruży oczy. Nie chce podnosić głosu przy żonce, ale...

– Ta sprawa... no, nie może czekać.

Za Wildeyem otwierają się drzwi. To Jimmy wrócił ze szkoły z plecakiem przewieszonym przez ramię. Patrzy na tatę, a potem na nieznanego w policyjnym mundurze.

– Posterunkowy Wildey, prawda?

Wildey zerka na Stana i uśmiecha się z dumą.

– Chłopak nawet prawidłowo wymawia nazwisko. – Potem odwraca się do Jimmy'ego i wyciąga dłoń. – Jak się masz, młody człowieku?

Jimmy podaje mu rękę, a na jego twarzy maluje się odrobina zachwytu. Zdjęcie tego człowieka wisi na ścianie w jego pokoju, ale spotkać go na żywo to coś innego. Kiedy Stan wraca na górę, żeby się ubrać, Rosie stara się ugościć Wildeya jak najlepiej. Proponuje mu herbatę. Stan słyszy tę rozmowę przez deski podłogi.

– Cukru albo mleka?

– Dużo jednego i drugiego, skarbie, dziękuję.

– Tata mówił, że pan chodzi do Cadillac Club. Jak tam jest?

– Dwie łyżeczki, panie Wildey?

– Niech mi pani mówi George, bardzo proszę. Tak, dwie będą w sam raz. Młody Jamesie, skąd wiesz o Cadillac Club?

– Z radia WDAS. O Cadillac, Zanzibar, wszystkich tych klubach.

– Twój tatuś nic nie mówił, że masz taki dobry gust muzyczny.

– Ile mleka... George?

– Pani pozwoli, że ja się tym zajmę. A może mogę ci mówić Rose?

– No bo Beatlesi i Stonesi inspirowali się soulem, więc pomyślałem, że sięgnę prosto do źródła i posłucham tego, czego oni słuchają.

– Oczywiście... Może być Rosie.

– Mądry chłopak. No to co cię kręci?

Dalszej rozmowy Stan nie słyszy, bo ochlapuje twarz zimną

woda, żeby ten wstrząs w pełni go rozbudził. Myje zęby, a potem czesze rzednące blond włosy i robi przedziałek. Kiedy schodzi na dół, Jimmy pokazuje Wildeyowi kolekcję płyt stojących obok zestawu stereo. Stan widzi wyciągnięte na wierzch krążki Sinatry, Crosby'ego, Como i Mathisa. Wildey sączy herbatę, a potem zerka na partnera, wskazując jedną z płyt.

– Johnny Mathis? Serio? Zmuszasz rodzinę do słuchania takich rzeczy?

– Chodź, idziemy – odpowiada Stan.

– Ciąg dalszy nastąpi, młody człowieku – rzuca Wildey, opierając dłoń na ramieniu Jimmy'ego. – Czeka cię solidna edukacja.

Hasła wymalowane sprejem na ścianie kościoła baptystów na północnym skraju Dżungli, przy granicy z Frog Hollow, jednego z ostatnich irlandzko-niemieckich bastionów w North Philly:

## HUJ W DUPE CZARNUHOM WYPIERDALAĆ

– Nie cierpię jebanych rasistów, którzy nawet pisać bez błędów nie potrafią – stwierdza Wildey.

– Po to nas wezwano? Do aktu wandalizmu?

– Nie, idzie o coś więcej. Chodź, pastor czeka na nas w środku.

Stan dziwnie się czuje w kościele innego wyznania. Jasne, podstawowe rzeczy są takie same – krzyż, ławki, Jezus – ale to właśnie przez drobne różnice ma wrażenie, jakby wkroczył na obcą ziemię. Wychował się jako polski katolik i nadal chadza na msze, kiedy dopadną go wyrzuty sumienia. Jako nastolatek robił to nawet sam, z własnej woli. Zaglądał do włoskiej parafii, Mater Dolorosa, gdzie słuchał łacińskich słów i hymnów, ciesząc się tym całym spokojem.

Pastor, Jeremiah Stebbens, wysoki i chudy czarnoskóry mężczyzna, ściska dłoń Wildeya i serdecznie wita się ze Stanem, a potem prowadzi ich obu na tył kościoła. Z boku stoi sponiewierane pianino.

– Czy panowie mogą tu chwilę zaczekać? Chciałbym się upewnić, że jest gotowy.

Stan może zaczekać. Wciąż jest na wpół śpiący. Po wyjściu Stebensa odwraca się do Wildeya i pyta:

– No to na kogo czekamy?

– Cierpliwości, chłopie. Wreszcie dostaniemy jakieś odpowiedzi.

Willey się przechadza, a Stan siada na stołku przed pianinem. Obraca się, podnosi klapę i zaczyna stukać w klawisze. Najpierw jeden akord, potem następny i następny, aż w końcu niemal podświadomie rozwija się cała progresja, kawałek na stałe zakodowany w jego dłoniach, chociaż Stan nie dotykał pianina od prawie dziesięciu lat.

Da-dum, da-da-da-da da dum da-dum.

Jest miło zaskoczony, że jego palce poruszają się same, wciąż pamiętają zmiany akordów w piosence, do której tańczyli z Rosie na weselu. Piosenki, którą grał tysiące razy, odkąd był nastolatkiem.

Jeszcze bardziej zaskakuje go jednak to, że Willey zaczyna śpiewać, głosem mocnym, wyraźnym i wrażliwym.

– *I don't want to set the world... on... fiire...*

Kontynuują w ten sposób aż do końca refrenu, kiedy Willey śpiewa o swojej one *desiiiiire*, a wtedy Stan zawstydzony zdejmuje palce z klawiszy.

– Ej, człowieku, dlaczego przerwałeś?

– Nie wiedziałem, że umiesz śpiewać.

Willey macha ręką.

– E, tak tylko czasami się w to bawię. Za to z ciebie całkiem dobry pianista. Dżemujecie trochę z Jimmym?

Stan kręci głową. Nie powinien był siadać do pianina. Po co to zagrał? Swój brak wyczucia zrzuca na karb niewyspania. Jimmy pewnie nawet nie wie, że jego ojciec umie grać. Nie mają w domu pianina. Dla Stana muzyka należy do przeszłości i tam jest jej miejsce. To pamiątka z życia, które zostawił, żeby założyć rodzinę. Porządny mąż i ojciec nie powinien nocami grywać szlagierów dla pijaczków.

Wkrótce wraca pastor, a potem prowadzi ich długim, ciasnym

korytarzem do kuchni na tyłach. Stoi tam stary stół, przy którym nad kubkiem kawy kuli się niski, przysadzisty czarnoskóry mężczyzna. Kiedy wchodzi, podnosi wzrok, a w oczach ma przerażenie.

– Panowie policjanci, ten młody człowiek ma wam coś ważnego do powiedzenia – oznajmia pastor – i chce, żebyście dali mu słowo, że ta rozmowa pozostanie poufna. Nazywa się Terrill Lee Stanton.

## JIM WYWAŻA DRZWI

*3 listopada 1995*

Jedne rozwalone drzwi do garażu odkrywają jednego niezwykle zdenerwowanego gnoja.

Gnoj próbuje się precyzyjnie przemieszczać obok Jima i zwiąć. Skurwiel jest szybki, więc nawet prawie mu się to udaje. Ale na korzyść Jima przemawia masa ciała, a drzwi garażu są niezbyt szerokie. Jim blokuje chłopakowi drogę, łapie go za koszulkę i ciska nim o ścianę z pustaków, aż tamten traci dech.

– Śpieszysz się gdzieś, Timmy?

Aisha dostała anonimowy cynk: podobno wczoraj wieczorem w barze w Fishtown jakiś dwudziestodwulatek chwalił się, że wczesnym rankiem puknął ładną blond joggerkę. „Pieprzyła się z nim, ale nie chciała mu dać numeru telefonu, więc ją udusił i zostawił na ulicy”. Jak się nazywa? „Timmy Hooper. H-O-O-B-E-R”. A jak pan się nazywa? „Yy... nie chcę się w to mieszać”. Proszę pana, to bardzo ważne, żebyśmy... „Słuchajcie, nie podam wam swojego nazwiska. Ale Timmy’ego znajdziecie...” – po czym szybko wyrecytował ten adres i się rozłączył.

Po odczytaniu mu praw Timmy Hooper, skuty kajdankami, siada na tylnym siedzeniu ich samochodu. Aisha ma go na oku, a Jim wciąga rękawiczki i prędko sprawdza resztę garażu. Technicy są w drodze, ale czasem pobieżne zbadanie miejsca zatrzymania pozwala znaleźć coś, co potem przyda się w pokoju przesłuchań. Jak na przykład... ta mała brudna skórzana torba, taka, jaką zwykle znajduje się wśród bagażu biznesmenów w podróży. Jim ją otwiera. Igła, łyżka, woreczek – gość jest ćpunem. Dobrze wiedzieć. Wkrótce zrobi się nerwowo.

Jim wrzuca wszystko do torebki strunowej, a potem znowu wychodzi na dwór, żeby się rozejrzeć. Naprzeciw garażu zza zasłony wyziera jakiś starszy człowiek. Jim macha do niego. Tamten chowa się z powrotem za zasłoną, zupełnie niezainteresowany dwoj-

giem detektywów, którzy właśnie wyciągnęli chudego gnojka z jego garażu. No tak, dzień dobry, anonimowy informatorze.

– I co myślisz? – pyta Aisha, kiedy czekają na mundurowych, którzy mają pilnować garażu do czasu przybycia techników.

– Myślę, że to chudy bałwan – odpowiada Jim.

– Chodzi mi o to, czy to nasz sprawca.

– Nie jestem pewien, czy dałby radę obezwładnić tamtą dziewczynę.

– Mógł ją zaskoczyć. Walnąć w głowę, zanim w ogóle go zobaczyła. Potem ściągnął ją po schodach, zrobił swoje...

– Pogadajmy z nim, zanim zaczniemy wyciągać pochopne wnioski.

Jim jedno może przyznać: Timmy siedzi tam z tyłu strasznie cicho. Przez całą drogę do Roundhouse nie zadaje ani jednego pytania. Nawet „o co jestem oskarżony?”. To prawie zawsze znak, że delikwent ma coś na sumieniu.

W tym przypadku DNA nie załatwi sprawy z marszu.

Mają dwie próbki nasienia od Kelly Anne, a Timmy pozwolił pobrać sobie próbkę z policzka, ale ich zbadanie zajmie długie tygodnie. I to tylko pod warunkiem, że ratusz wybłąga w policji stonowej (która ma najlepsze laboratoria – nawet lepsze niż federalni) maksymalny pośpiech. To samo z wszystkim, co technicy znajdą w garażu. Na cokolwiek trafią, kiedyś w przyszłości przyda się to prokuraturze.

Ale teraz Jim gównem z tym robi.

Teraz wszystko sprowadza się do tego, żeby zamknąć się z tym koleśkiem w jednym pokoju. Żeby go rozszyfrować. Popracować nad nim.

*(Chciałbyś mieć tutaj Terrilla Lee Stantona i to nad nim popracować, prawda, Jim?)*

Jako pierwszą wysłała Aishę, żeby uzyskała podstawowe informacje i uspokoiła podejrzanego. Nie mają tu bajeranckiego akwarium z lustrami weneckimi jak w serialach policyjnych. Jest tylko sala konferencyjna, z której korzystają wszyscy. Nie ma też

sprzętu do nagrywania. Aisha podnosi słuchawkę telefonu i kładzie ją na stole. Jim jest na linii, siedzi w swoim boksie i słucha. Kiedy przyjdzie jego kolej, zamienią się miejscami.

Timmy Hooper twierdzi, że jest „dostawcą”, ale nie chce powiedzieć, dla kogo pracuje.

- Mieszkaś w tym garażu? – pyta Aisha.
- Mój kumpel Bobby pozwala mi tam kiblować.
- Opowiedz mi o tym Bobbym.

Robert Haas, lat dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć – Timmy nie jest pewien. Również jest dostawcą, złotą rączką. Gdy Aisha wyciąga z przesłuchiwanego dalsze szczegóły, Jim robi notatki. Wychodzi na to, że Hooper pomieszkuje w wolno stojącym garażu za domem swojego kumpla Bobby’ego, gdzie ów Bobby mieszka z rozwiedzionym ojcem alkoholikiem. Zapewne to właśnie tego ojca Jim widział przez okno i on jest źródłem „anonimowego” cynku.

Jim wykonuje telefon. Zarówno Hooper, jak i Haas mają kartoteki. Głównie kradzieże samochodów, trochę włamań, kilka napałów. (*W zasadzie początkujący Terrillowie Lee Stantonowie. Zapytaj ich, do jakich barów chadzają, Jimbo*). Wysyła radiowóz po Haasa. Tymczasem Aisha wychodzi z sali konferencyjnej.

- Jest cały twój.
- Dla tego gościa przydałby mi się kostium królika – mówi Jim.
- Że co?
- Nic. Tato opowiadał mi kiedyś taką jedną historię.

Frazes zaczerpnięty z kina i telewizji mówi, że dobry policjant umie „wejść w umysł” mordercy. Ale nie Jim. Wejście do głowy jakiegoś morderczego sukinsyna to ostatnie, na czym mu zależy. Nie, on woli patrzeć potworowi w oczy i stopniowo go urabiać, aż ten w końcu wygada całą prawdę.

Nie chodzi o bicie. Ono w niczym nie pomaga. Wtedy zamiast mówić prawdę, ludzie kłamią, żeby uniknąć bólu. Ale kiedy popatrzyś komuś w oczy, to jest jak laserowa wiązka holownicza. On już wie, że ty wiesz. I że nie przestaniesz obgryzać tej kości, dopóki nie odsłonisz prawdy.

*(Może powinieneś mignąć odznaką, wkręcić się dobrą gadką do*



*jego pokoju, usiąść na jego rachitycznym łóżku i poczekać, aż wróci z jadłodajni).*

– No to dlaczego ją sobie wybrałeś?

Timmy zrywa kontakt wzrokowy po 1,2 sekundy.

– Nikogo nie wybierałem. Wypuść mnie stąd, człowieku. O co tu, kurwa, chodzi?

– Nie, zobaczyłeś ją i ci się spodobała. Ale co w niej takiego było? Może włosy. Lubisz blondynki?

Timmy kręci głową.

– O czym ty gadasz?

– Wiem, wiem – mówi Jim. – Tak cię tylko podpuszczam. Bo ty jesteś z tych, co lubią tyłeczki, prawda?

– Wy nie jesteście z antynarkotykowego?

Po kilku chwilach dalszej wymiany zdań w tym stylu staje się jasne, że albo Hooper jest uzdolnionym kłamcą, albo nic nie wie o Kelly Anne Farrace. Niedługo się o tym przekonamy, myśli Jim. Stary nie bez powodu zadzwonił z donosem. Może chciał kryć swojego syna, Bobby'ego. Podrzucił glinom tego nieogarniętego gnojka, żeby odwrócić uwagę od własnego chłopaka.

Pozwalają Timmy'emu trochę się pokisić w sali konferencyjnej. Przed postawieniem zarzutów mogą go przetrzymywać przez czterdzieści osiem godzin, a głupek wciąż jeszcze nie zażądał adwokata.

Jim siedzi przy swoim biurku i odtwarza w myślach obraz Terrilla Lee Stantona idącego Erie Avenue, gdy nagle dzwoni telefon. Ale to nie technicy kryminalni, których się spodziewał.

– Podziel się jakąś dobrą wiadomością, mój polski bracie – mówi Sonya.

Chryste. Jim wie, że w komendzie wieści szybko się rozchodzą, ale nie zdawał sobie sprawy, że docierają również do ratusza. Domyśla się, że Sonya ma w Roundhouse niejednego przyjaciela. To sensowne; w końcu jej wpływowy ojciec osiągnął to, co osiągnął, wyrabiając sobie znajomości w całym mieście.

– Daj spokój, Sonyu, przecież wiesz, jak to działa – odpowiada

Jim, konkretnie rozdrażniony. – Pozwól mi wykonywać moją robotę.

– Podobno masz dwóch bardzo obiecujących podejrzanych.

– Dwóch? Gdzieś to usłyszała?

Sonya ignoruje pytanie.

– O wszystkim mnie informuj. I chyba nie muszę dodawać, że jeśli tylko potrzebujesz jakichś środków, dostaniesz je. Jeśli chcesz skorzystać z laboratorium kryminalistycznego policji stanowej, każe rozwinąć przed tobą czerwony dywan.

– Możesz mi wierzyć, że do ciebie zadzwonię jako pierwszej.

Tylko że wcale nie, jak mawiają dzieciaki.

Reszta popołudnia jest pełna sprzecznych dowodów. Robert Haas okazuje się równie durny i nieogarnięty jak jego kumpel. Myśli, że zatrzymano go w związku z narkotykami. Ale on przynajmniej słyszał o Kelly Anne Farrace. Wczoraj ojciec Haasa cały czas o niej gadał: „szkoda takiej zacnej dupeczki” – zacytował jego słowa syn. Jim zaczyna sądzić, że stary doniósł na Hoobera tylko po to, żeby pozbyć się tego gnojka ze swojego garażu.

Już chce zaproponować Aishy, żeby obu puścić wolno, kiedy przychodzi wiadomość z laboratorium kryminalistycznego, potwierdzająca nie tylko obecność w garażu próbek włosów odpowiadających rodzajem i kolorem włosom Kelly Anne, ale także brakujących spodenek do joggingu – czarnych, porwanych, wciśniętych na samo dno kosza na śmieci. To zmienia wszystko. Haas i Hooper w rzadkim dla nich przypływie przytomności umysłu postanawiają się zamknąć i wezwać adwokata. Jim i Aisha obmyślają nową strategię: trzeba połączyć kropki między poszczególnymi miejscami, gdzie Bracia Idioci przebywali w nocy z pierwszego na drugiego listopada. Może to być żmudne, ale da wyniki.

I bardzo dobrze, bo około szesnastej trzydzieści Jim przeprosza Aiszę, mówiąc, że musi coś załatwić. Aisha, która jest zbyt dobrym detektywem, żeby nie zauważyć, że jej partner odpieprza taki numer drugi dzień z rzędu, po prostu kiwa głową i mówi, że

powiadomi go, gdyby pojawiło się coś nowego.

Pewnie sądzi, że bzykam tę babkę z ratusza, myśli Jim.

I dobrze. To lepsze od prawdy.

Cześć, skurwysynu.

Jim patrzy, jak Terrill Lee Stanton wyłania się ze stacji El Erie-Torresdale z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową. Wydaje się, że ten stary człowiek przez chwilę rozważa wstąpienie do pobliskiego Dunkin' Donuts, ale rezygnuje, a potem przechodzi na drugą stronę Kensington Avenue w kierunku Erie. Wraca do domu po długim dniu machania warząchwia, czy co oni tam, kurwa, robią w garkuchniach.

*(W tej chwili powinieneś już być w jego pokoju. Pokazać mu, że wiesz o nim wszystko. Że nie ma dla niego ucieczki. Że nie zazna ani chwili spokoju, dopóki nie odpowie za to, co zrobił).*

Jim obserwuje każdy jego ruch, wypatrując jakiegoś drżenia albo innego znaczącego zachowania. Odpuściłeś sobie tamtą kawę. Może liczysz, że coś sobie chlapniesz na spokojnie dla kurażu. Od dawna nie piłeś tak na serio, co, morderco? Może w pierdłu trochę takiego jabola, co to go ważą w sedesach i plastikowych torbach. Ale już dawno żadnego prawdziwego drinka w prawdziwym barze. Na pewno umierasz z tęsknoty za takim.

Jednak nie. Terrill Lee Stanton wchodzi po schodach do ośrodka przejściowego i znika za drzwiami.

I co teraz?

Jim bardzo długo siedzi w samochodzie i z każdą mijającą minutą czuje się coraz bardziej głupio. Co pomyślałby o tym jego ojciec? Niemalże słyszy w głowie jego głos: *Zjeżdżaj do domu, do rodziny. Nie pakuj się dla mnie w żadne bójki.*

I wiecie co? To rzeczywiście jest głupie. Naprawdę powinien iść do domu. Wygląda na to, że zabójstwo Kelly Anne Farrace wyjaśni się prędzej niż później, więc powinien cieszyć się spokojem z Claire i dziećmi, zanim wciągnie go jakaś inna sprawa. Chcesz sterczeć tutaj przez tego skurwiela jak kretyn? Przecież on się nigdzie nie wybiera.

Jim kładzie rękę na dźwigni zmiany biegów i już ma wrzucić wsteczny, gdy...

Drzwi ośrodka przejściowego znowu się otwierają.

Wychodzi z nich Terrill Lee Stanton i rusza najkrótszą drogą do stacji El.

Jim już od dawna nie śledził nikogo pieszo – nie należy to do codziennych zadań detektywa z wydziału zabójstw. Dostatecznie długo jednak pracował jako krawężnik, więc wszystko sobie przypomina. Nie wchodzić na linię wzroku śledzonego celu. Obserwować jego ruchy w odbiciach, unikając patrzenia bezpośrednio (bo cel zawsze, ale to zawsze wyczuje na sobie wzrok). Wykorzystywać fragmenty ubrania jako praktyczny element rozpoznawczy. W przypadku Terrilla Lee Stantonona takim elementem jest biała metka stercząca do góry zza kołnierza polarowej kurtki. Trudno ją przegapić, gdy już ktoś postanowi się na niej skupić.

Jim zamyka więc samochód i rusza za zwierzyną na górę, na peron kolejki. O dziwo, Stanton nie jedzie ani do Badlands (gdzie skołowałyby trochę narkotyków), ani do Center City (gdzie mógłby napaść na bogatych ludzi). Wybiera kierunek wschodni, w stronę Northeast Philly.

Nie minęła jeszcze godzina szczytu, więc Jimowi łatwo wmieścić się w tłum, jadąc wraz z celem aż do Bridge Street Terminal, gdzie pociąg kończy bieg. Terrill Lee Stanton mógłby wsiąść do jednego z wielu autobusów, ale tego nie robi. Zamiast tego rusza Frankford Avenue na północ, wzdłuż brzegu cementarza Cedar Hill. Przecina Cheltenham, a potem idzie po obrzeżu parku Wissinoming. Nie wsiadł do autobusu, czyli cel jego podróży znajduje się gdzieś w pobliżu, ale gdzie? Co tutaj jest?

Im dłużej Terrill Lee Stanton maszeruje Frankford Avenue, tym bardziej Jim się niepokoi. Bo koniec końców znajdują się cholernie blisko jego własnego domu przy Unruh Avenue.

*(A jeśli on wie, że go śledzisz, Jimbo? Jeśli ktoś podał mu twój adres i teraz złoży twojej rodzinie wizytę? Czy Claire by się to spodobało? A Audrey?)*

Kiedy Terrill Lee Stanton przecina Harbison Avenue, Jim jest już praktycznie przekonany, że skurwiel idzie prosto na Unruh Avenue – to już tylko kilka przecznic. Skąd on, kurwa, wytrzasnął jego domowy adres? *(Skoro zdobył go George Wildey junior, to musisz założyć, że każdy może)*. No, jeśli taki jest plan Stanton, to nieźle się zdziwi, kiedy zaraz po wejściu po schodkach zobaczy własny mózg rozbryzany na białych drzwiach frontowych.

Przecznicę dalej – na wysokości Robbins Street – Jim już fantazjuje o tym, jak o zajściu doniesie przełożonym. „Panie komendancie, miałem wszelkie powody przypuszczać, że Terrill Lee Stanton zamierzał spowodować ciężki uszczerbek na zdrowiu członków mojej rodziny...”.

Potem jednak Stanton zmienia trasę. Zamiast przejść na światłach przez Robbins Street, zakręca i maszeruje z powrotem. W kierunku Jima. Wręcz prosto na niego.

*(Wrócił do ośrodka przejściowego po broń, którą tam schował. Doprowadził cię aż tutaj, żeby cię zastrzelić, potem cię wyśmiać, a później ruszyć na Unruh Street i zająć całą twoją rodzinę – co do osoby, cały twój ród...)*

Terrill Lee ma spuszczone głowę i nie podnosi jej, gdy się do siebie zbliżają. Wcześniej Jim nie zauważył, żeby staruch miał gnata, ale może trzyma go gdzieś pod polarem. To bez znaczenia. Prawą dłoń Jim zaciska na własnym służbowym rewolwerze. Jeśli dojdzie do strzelaniny, nie przestanie pociągać za spust, zanim się nie upewni, że sukinsyn nie żyje i leci jak kometa prosto w sam środek piekielnej otchłani.

*No dalej, podnieś wzrok. Chcę zobaczyć twoje oczy.*

Dziela ich trzy metry.

*No dalej.*

Kiedy się mijają, Terrill Lee rzeczywiście podnosi wzrok i wiadać, że już wie.

Ale nie pojawia się broń, nie rozpoczyna się strzelanina, nie następuje krwawa kulminacja trzydziestu lat nienawiści.

Jest tylko Terrill Lee Stanton, który znowu spuszcza wzrok, bo jakiś tęgi biały facet dziwnie się na niego patrzy, a on nie chce wywoływać kłopotów, na pewno nie w tej okolicy.

W końcu Jim to rozgryza.

Facet obserwuje bary.

Na długim, opadającym odcinku Frankford Avenue między Harbison i Robbins są trzy lokale, w których pije niższa klasa średnia. Trzy przystanie, gdzie ciężko pracujący mieszkańcy Mayfair, Wissinoming i pobliskiego Frankford mogą zamówić buda i obejrzeć mecz Eaglesów.

Jest szacowny Chickie's & Pete's, który przycupnął na Robbins Street zaledwie ćwierć kwartału na wschód od Frankford Avenue. Pośrodku kwartału jest Mugsy's Tavern, knajpa z pianinem. I wreszcie na końcu kwartału – Lou's Bar, spelunka, do której wpada się na szota i piwo. To wszystko lokale dla klasy pracującej, gdzie większość klientów (jeśli nie wszyscy) płaci gotówką. Bądź co bądź dziś jest piątek. Najlepsza pora na obrabowanie baru. Jak Jim powiedział Cary'emu przed kilkoma tygodniami – to właśnie teraz kasy są pełne.

Jim schował się w drzwiach kompleksu mieszkalnego po drugiej stronie ulicy, skąd ma widok na cały kwartał. Obserwuje Terrilla Lee Stanton, który chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby próbował się zdecydować, na który bar napaść. Słońce już zaszło; to właśnie nocą drapieżniki wychodzą na żer. Terrill Lee Stanton – wcale nie taki znowu żałosny staruch.

Chyba jednak cierpi na starcze otępienie, bo staje przed wejściem do Mugsy's, zatrzymuje się, potem cofa się do Chickie's & Pete's, gdzie jakiś czas znowu się waha, a następnie rusza na koniec kwartału do Lou's i znów się zastanawia. Czyżby zapomniał, który bar postanowił obrobić?

Wybierz w końcu któryś, żebym cię wreszcie aresztował i życie mogło toczyć się dalej, myśli Jim.

*(No już, wyceluj barmanowi z gnata prosto w twarz, żebym miał usprawiedliwiony powód rozwalić ci łeb).*

Ale po bitych dwudziestu minutach łożenia z miejsca na miejsce Terrill Lee Stanton rusza w kierunku Harbison Avenue i idzie dalej Frankford na południe. Najwidoczniej zmienił zdanie. Może

musi jeszcze przez parę dni tachać śmiecie i czyścić kible, zanim odważy się wrócić do dawnego fachu.

Jim podąża za nim z powrotem na stację El, z powrotem na Erie Avenue, z powrotem do ośrodka przejściowego, a były więzień nie zdaje sobie sprawy z tego, że przez cały czas miał policyjną eskortę.

Potem Jim bardzo długo stoi po drugiej stronie ulicy i patrzy na trzecie piętro.

Zbierasz się na odwagę, to wszystko.

Cóż, to zrozumiałe.

Ja też.

Po kolacji Jim grzebie w garażu, który w rzeczywistości jest częścią piwnicy odgradzoną pustakami. Teoretycznie można by tam zmieścić samochód, ale cała rodzina korzysta z tego miejsca do przechowywania różnych rzeczy. Połowę garażu zajmują hallo-weenowe dekoracje, nakrycia na Święto Dziękczynienia, sprzęt bożonarodzeniowy (włącznie z olbrzymią sztuczną choinką w oryginalnym pudełku), walentynkowy szajs, wszystko w plastikowych kubekach starannie opisanych przez Claire. Druga połowa to głównie rzeczy Jima – książki, gazety i cała reszta, z którą nie ma co zrobić.

To szukanie doprowadza go do szału. Wie, że teczka na pewno gdzieś tu jest. Przecież by jej nie wyrzucił. To niemożliwe. Czy Claire gdzieś ją przeniosła?

Jakby w odpowiedzi na tę ostatnią myśl zatrząskują się siatkowe drzwi na tyłach garażu. Jim odwraca się i widzi Claire, oświetloną od tyłu przez lampę z czujnikiem ruchu za domem.

– Cholernie mnie wystraszyłeś – mówi Claire. – Nawet nie wiedziałam, że wróciłeś.

– Czy ty albo dzieci przynosiliście gdzieś moje papiery?

– O czym ty mówisz?

Jim krzyczy na żonę, chociaż wcale nie miał zamiaru:

– O moich starych papierach! – Zaraz jednak się mityguje: – Przepraszam. To był długi dzień.

- Ta dziewczyna z Pine Street? – domyśla się Claire.
- Tak – kłamie Jim.
- Są postępy?
- Są, ale nie takie, na jakie liczyliśmy.

Claire wchodzi do garażu, mimo że jest boso, a jej chude ciało otula tylko cienki jedwabny szlafrok. Wie, że nie powinna naciskać. Jim nigdy nie lubił rozmawiać o pracy. Tłumaczył, że nie chce przynosić tego gówna do domu. Ale kiedy twoje życie to praca, cóż innego możesz przynosić?

- Pomogę ci szukać.

Przecież Claire też cały dzień była na nogach, samotnie ganiając za trójką dzieci i znajdując jeszcze parę godzin na udzielanie korepetycji. A teraz o pierwszej w nocy proponuje mężowi pomoc w przeszukiwaniu starych pudeł.

Chryste, ale ze mnie fiut, myśli Jim.

Robi krok nad kupą pudeł i skrzynek, które wcześniej wyciągnął, podchodzi do żony i obejmuje ją krzepkimi ramionami.

- Claire, wczoraj go wypuścili. Tego faceta, który zastrzelił mojego ojca.

Mina jego żony potwierdza to, co Jim już wiedział: nie spodziewała się tego.

- O Boże, Jim. Przykro mi. Jak to się stało?

- Nie wiem. Pisali w gazecie. Wyszedł warunkowo z jakiegoś powodu.

- Mówiłeś, że nie wiedzą, kto zastrzelił twojego ojca.
- No cóż, ja wiem.

Trzymają się w objęciach w otwartym garażu. Claire drży.

- Wracaj na górę – mówi Jim. – Niedługo przyjdę, obiecuję.

Widzi, że Claire wierzy w szczerłość jego słów – ale także, że wie, że Jim kłamie.

Musi znaleźć jeden segregator.

Segregator, którego zawartość gromadził przez lata – ten z napisem STANISŁAW WALCZAK.



## AUDREY OBALA BROWARA

9 maja 2015

No więc wygląda na to, że Claire wysłała list gończy do całej choleralnej rodziny, bo teraz słodziutka babcia Rose mówi Audrey, że jej ojciec już jedzie. Tak, o jedenastej wieczorem. Dlaczego? Nie chce powiedzieć. Audrey domyśla się, że widocznie teraz wypadła jego kolej, żeby „się nią zająć”. Och, jak cudownie.

CLAIRE: 1

GRUBA AUDREY: GUZIK

– Chcesz coś do picia? – pyta babcia.

Och tak, byłoby wybornie móc sobie teraz coś chlapanąć. Audrey idzie za babcią do kuchni i zaczyna otwierać szafki. Jedno staje się jasne: w tym domu panuje zatrważający brak składników do krwawej mary. Rzecz najbardziej zatrważająca: zero wódki. Jeśli się nad tym zastanowić, Audrey nie przypomina sobie, żeby jej babka kiedykolwiek piła alkohol. Spokojnie można założyć, że Rose Walczak nie miała w tym domu ani jednej flaszki od maja 1965 roku.

– Zrobię kawy – mówi babcia.

Audrey przytakuje, nie dlatego, że ma ochotę napić się kawy (w ogóle nie tyka tego świństwa), ale dlatego, że zanim nie przedstawi swojej sprawy, chce wyjść na ugodową. Siada miękko na jednym z kuchennych krzeseł, tych samych, które babcia miała od zawsze. W dzieciństwie Audrey bujała się na kółkach w przód i w tył i kręciła się na obrotowym siedzeniu, ku irytacji każdego, kto siedział w pobliżu. Lubi myśleć o nich, że to krzesła AUDREY NATYCHMIAST PRZESTAŃ™.

Babcia Rose proponuje cukru lub mleka.

– Znasz mnie, babciu. Dla mnie dobra kawa jest jak dobry mężczyzna: mocna, gorąca i czarna.

Babcia powinna być przyzwyczajona do takich odzywek swojej jedynej wnuczki. Tym razem jednak tylko ją to wkurza. Jej drob-

na twarz tężeje w grymasie. Nic nie mówiąc, Rose siada naprzeciw wnuczki i czeka, aż ta zwróci na nią uwagę.

– Co? – pyta Audrey. – Kawa się skończyła? To nic, i tak nie miałam ochoty.

Babcia nie patrzy jej w oczy, mówiąc cicho:

– Twoja matka mi powiedziała, jaki masz projekt na studia.

– To dobrze. Właśnie dlatego pomyślałam, że powinnam zostać tu jeszcze parę dni. Zupełnie nie będę wchodzić ci w drogę, ale pomogę, jeśli tylko będę potrzebna.

Babcia kręci głową.

– O nie, to by nie wyszło.

– Nawet się nie zorientujesz, że tu jestem.

– Nie, nie. Rozumiem, ale to nie jest dobry pomysł.

– Przecież mogłabym ci pomagać. I tak nie powinnaś mieszkać sama. Może w gruncie rzeczy to szczęśliwe zrzęczenie losu?

– Audrey, mówię ci: nie.

– Właśnie widzę – mamrocze Audrey. I owszem, przewraca oczami.

– Młoda damo!

Surowy ton głosu babci zaskakuje Audrey. Nigdy takiego u niej nie słyszała. Nigdy. Nawet kiedy Staś i Cary rozkwaszali sobie nawzajem nosy w ogródku i grozili, że na dokładkę jeden drugiego podpali. Nawet kiedy Audrey przypadkowo obróciła naczynie z duszoną wołowiną do góry nogami i wywaliła wszystko na podłogę w kuchni.

– Nie zrobisz tego – mówi babcia Rose. – To bluźniercze i złe, i ja się na to nie zgadzam. Rozumiesz?

Audrey tylko kiwa głową, oszołomiona. W jaki sposób mogłaby bronić swego bluźnierczego i złego poszukiwania prawdy?

Gniew babci znika jednak równie szybko, jak się pojawił, i w oczach Rose Walczak zostają tylko smutek i znużenie.

Audrey zabołały te słowa, ale jeszcze bardziej zabołało ją to, że babcia musiała je z siebie wypluć.

Obie kobiety siedzą w milczeniu. Audrey jest zbyt zawstydzona, żeby pić kawę, którą zrobiła jej babcia (a zresztą od początku jej nie chciała). Rose natomiast wygląda tak, jakby chciała teraz być

gdziekolwiek, tylko nie tu.

Audrey niemal z radością przyjmuje głos Kapitana, który woła:

– Mamo?!

„Powrót na Unruh Avenue” figuruje na liście najmniej ulubionych rzeczy w życiu Audrey tuż obok „lewatywy sokiem cytrynowym i tabasco”. Na samą myśl o tym, że miałyby wrócić do domu, w którym spędziła dzieciństwo, dostaje drgawek. Nadal nie rozumie, dlaczego ojciec po tylu latach wciąż tam tkwi. Wielkiego pana kapitana policji byłoby przecież stać, żeby mieszkać wszędzie. Mimo to woli nie ruszać się z zapyziałego trzypokojowego domu w Mayfair. Raczej nie roi się tam od wesołych wspomnień. Zwłaszcza dla Audrey.

Choć to bolesne, nie ma jednak innej możliwości. Chyba że Audrey chce podkulić ogon pod swój tłusty tyłek i chyłkiem wrócić do Houston, żeby osobiście oblać studia. Albo zostać tutaj, w Filadelfii, i badać morderstwa sprzed pięćdziesięciu lat jako bezdomna. Zatyka to CSI: Slums.

Inne opcje noclegu u rodziny to w ogóle nie są opcje. Starszy brat? Litości. Staś i Bitchanne prędeż wpuściliby do swojego domu w Jenkintown wiadro pełne wszy. Nocowanie u Cary’ego w Somerton też nie byłoby dobrym pomysłem. Chociaż sam Cary jest w porządku, jego dom na skraju przedmieścia przypomina cyrk szaleńców. Jean przez większość czasu uśmiechałaby się do Audrey, szukając idealnego punktu na jej plecach, żeby wbić tam nóż. „Ojej, przepraszam, to ja zrobiłam?” A dzieci nie chciałyby, żeby kręciła się przy nich brzydka ciotka Audrey z Teksasu. Nie daj Boże któreś z rodziców w ich obecności obdarzyłoby odrobiną uwagi inną rozumną formę życia.

Pozostaje więc jedyny członek rodziny, który dysponuje dwiema wolnymi sypialniami.

Przyjeżdża Kapitan, przytula matkę i ledwo zerka na Audrey, kiedy mówi:

– Masz wszystko?

Ona wzrusza ramionami.

– W zasadzie nie mam nic.

– No to chodźmy. Pa, mamo. Zadzwoń rano.

Droga do domu zajmuje tylko pięć minut, zwłaszcza o tak późnej porze. Wystarczy pojechać Bridge Street, skręcić w prawo, minąć cztery cmentarze – o tak, tą częścią miasta rządzą martwi – i już po kilku minutach jest się w Mayfair.

Kumple Audrey z Houston nie wierzą, że taka okolica istnieje. Brzmi jak wymyślona. Bo taka jest. Za krzepiącą nazwę, sugerującą, że tutaj ludzie będą z tobą grali fair, można podziękować lokalnej izbie handlu z czasów wielkiego kryzysu.

Przez całe pięć minut ojciec nie odzywa się ani słowem. Audrey czuje zapach jego wody po goleniu, co oznacza, że się odświeżył, zanim po nią przyjechał. Ciekawe, czy się upił i próbuje to zamaskować.

Gdy rodzice się rozwiedli, Audrey przeprowadziła się z mamą do wynajętego domu w Rhawnhurst, żeby być bliżej rodziny Claire. Dla Audrey to był koszmar. Nie mogła się doczekać, aż się stamtąd wyniesie. Powroty do Mayfair były rzadkie, krępujące i zwykle przypadały w weekendy. Dziewczyna uświadamia sobie, że nie spała w tym domu od ubiegłego wieku, kiedy miała dziewięć lat.

Kapitan niewiele tu zmienił.

W salonie stoi w miarę nowa kanapa, są też oczywiście jego ukochany gramofon, tuner i głośniki, a do tego kilkanaście skrzynek winyli. A także regał z Ikei pełen książek w twardej oprawie – wyłącznie historycznych. Ale jeśli chodzi o salon, to już w sumie wszystko. W jadalni wciąż znajduje się ten sam stół, z którego Walczakowie korzystali, jeszcze zanim Audrey przyszła na świat.

– Zgłodniałaś? – pyta Kapitan.

– Jasne.

Wcale nie zgłodniała, ale niegrzecznie byłoby odmówić jedzenia.

Późne posiłki przy Unruh Avenue oznaczają bułki z wędliną i sałatkę makaronową wątpliwego pochodzenia – wszystko to Kapitan z pewnością kupił w Acme na rogu Harbison i Roosevelt Boulevard. Teraz wyjmuje plastikowe torebki z bułkami, wędliną i serem i kładzie je na stole. Audrey wieszka torebkę na oparciu jednego z ocalałych krzeseł. (Połowa z oryginalnej szóstki najwy-

rażniej pożegnała się z życiem).

– Mogę do toalety?

– Sama trafisz.

Audrey nie potrzebuje skorzystać z ubikacji. Po prostu chce się nieco rozejrzeć po starym domu.

W sypialni taty stoi duże łóżko, niesłane chyba od czasu, gdy wyprowadziła się Claire. Drzwi do drugiej sypialni, pokoju chłopców, są zamknięte. Oczywiście to tylko zachęca Audrey. W dzieciństwie fascynowały ją szuflady, szafy, pudełka, drzwi i wszystko inne, co ukryte przed wzrokiem ogółu – czym wkurzała braci. Znajdowała w ich szufladach takie rzeczy, że do dzisiaj ma koszmary.

Próbuje nacisnąć klamkę, która ustępuje. Lekko popycha drzwi – nie skrzypią. Za nimi widzi stosy kartonowych pudeł, czarno-białe fotografie przybite do korkowych tablic, a na podłodze laptopa z zasilaczem, którego kabel wije się aż do gniazdka. Ściany są pokryte policyjnymi zdjęciami aresztowanych i wycinkami prasowymi. W ten sposób mógłby przyozdobić pokój pięciolatek albo seryjny morderca.

– Co robisz?

Cholera.

Audrey obraca się do Kapitana, którego sylwetka wypełnia całe drzwi. Dziewczyna przybiera zdeorientowany wyraz twarzy.

– Yy, właśnie widzę, że ten pokój pełen papierów i innego szajsu to nie jest łazienka. Sorry!

Przez chwilę Kapitan milczy – to jedna z tych przeciągłych chwil typowych dla gliniarzy – a potem mówi:

– Zamknij te drzwi.

Jasna cholera. Audrey zamyka drzwi, a potem idzie dalej do łazienki, gdzie udaje, że siusia. W łazience pachnie starym dziadem. To wcale nie jest złe, ale trochę przytłaczające. Tego zapachu nie równoważy nic kobiecego. Audrey czuje ulgę, ale i przygnębienie.

Kiedy wraca do jadalni, przez kolejne dwadzieścia minut oboje z Kapitanem udają, że druga sypialnia pełna dokumentów, bez dwóch zdań policyjnych, nie istnieje. Audrey robi sobie kanapkę z importowaną szynką, którą smaruje taką dawką ostrej musz-

tardy, że udusiłaby konia. Kapitan poprzestaje na kajzerce z indykiem i korniszonami.

Po dopełnieniu formalności związanych z posiłkiem rzuca córce spojrzenie mówiące: „Czemu zawdzięczam tę przyjemność?”.

– Wiesz, właśnie zaczęłam drugi rok studiów – oznajmia Audrey.

– Tak, parę dni temu przyszedł rachunek. Dobrze, że się nie poddajesz.

– To dwuletni program intensywny, ale w trakcie przerwy zimowej powinnam przygotować niezależny projekt.

– O. I jaki wykonałaś?

Audrey głośno oddycha.

– Żaden. To znaczy zaczęłam nad nim pracować, tylko że jest już późno. Ale nie martw się. Przedłużyli mi termin.

– Do kiedy?

– Do końca przyszłego tygodnia.

– No to nieźle.

Audrey się uśmiecha.

– Potrafię być bardzo przekonująca.

Kapitan jednak nie jest przekonany. Uśmiech jego córki się ulatnia. Audrey gryzie kęs kanapki. Kapitan opiera tęgi tułów o tył krzesła. I w tej właśnie chwili Audrey uświadamia sobie, że jemu też Claire na pewno wszystko powiedziała. On po prostu przeciąga sprawę, jak policjant przesłuchujący podejrzanego.

– I co to za projekt? – pyta Kapitan.

– Przygotowałam już tezę i plan eksperymentalny. Wszystko zatwierdzili. Teraz zostało mi tylko zebrać i przeanalizować dane.

Kapitan unosi brew o kilka milimetrów. „I...?”

– Chcę zbadać zabójstwo dziadka Stana.

Kapitan tylko na nią patrzy. Wbija wzrok w oczy córki, która nagle jest świadkiem przedziwnej transformacji. Zwykle spojrzenie ojca jest niczym tarcza odpychająca każdego, kto próbuje w nim coś odczytać. Teraz jednak powoli, z każdym mrugnięciem, pancerz słabnie. I przez moment Audrey nie patrzy już na swojego sześćdziesięciodwuletniego ojca. Przez moment patrzy na duże dziecko.

A potem Kapitan wstaje i czar pryska.

– Chcesz piwo?

– Pewnie.

Gdy ojciec przynosi z lodówki dwie butelki zimnego yuenglinga, Audrey próbuje coś wyczytać z jego ruchów. Czy jest zły? Zaciekawiony? Czy czuje jakiegokolwiek emocje?

Kapitan odkręca kapsel i podaje butelkę córce. Audrey podnosi ją do ust i przechyła. On robi to samo, ciągle stojąc.

– Czytałem jeden taki artykuł podróżniczy na temat Francji – mówi. – O zwiedzaniu pól bitewnych z drugiej wojny światowej, na których ginęli amerykańscy żołnierze.

– O, planujesz wycieczkę? Ty, paru starych gości, nostalgiczna podróż w czasie?

Kapitan ją ignoruje. Wypija duży łyk piwa, a potem odstawia butelkę na stół.

– Jeśli ktoś zapaści się do lasu w Lotaryngii, Szampanii czy Pikardii, jeszcze dziś na świeżo zaoranych polach odnajdzie odłamki i pociski. A nawet niewybuchy. Ludzie rokrocznie przez to giną albo zostają kalekami. Wyobrażasz sobie? Prawie sto lat później?

Audrey rozumie, dokąd to zmierza.

– Bardzo subtelne, tato.

Następnie idzie za ciosem i przedstawia sprawę – tak samo, jak przedstawiła ją swojej wykładowczyni.

– Słuchaj, wiesz lepiej niż ktokolwiek, że kryminalistyka zrobiła wielkie postępy przez ostatnie pięć lat, a co dopiero przez pięćdziesiąt – podkreśla. – Chcę zgromadzić jak najwięcej danych, tak by uzyskać komputerowy model strzelaniny i zobaczyć, dokąd to zaprowadzi.

– Dokąd to zaprowadzi – powtarza Kapitan.

– Tak. Więc... pomożesz mi?

Kapitan patrzy na nią przez jakiś czas, a potem mówi:

– Dobranoc, Audrey.

Pokój Audrey wciąż jest pomalowany na różowo, czego ona wciąż nienawidzi, i równie klaustrofobiczny jak zawsze. Obie sy-

pialnie są puste – i jej, i chłopców – a ta druga jest większa. Audrey woli się jednak trzymać znanego terytorium, przynajmniej przez te kilka dni.

Nie planowała zostać w Filadelfii dłużej niż jeden dzień i jedną noc, więc jej garderoba ogranicza się do trzech T-shirtów i jednej pary dżinsów. A, no i tamtej czarnej sukienki z długim rękawem. Audrey będzie musiała prać majtki w umywalce męskiej łazienki i suszyć je na drążku kurtyny prysznicowej. Ojejku, tata będzie zachwycony.

Ma upiorne poczucie, że to jest ten moment – że Filadelfia zważyła ją z powrotem, by ją usidlić, niczym jedna z tych roślin żywiących się owadami. Jeśli Audrey zaśnie pośród tego różowego koszmaru, nigdy się nie obudzi.

Ale jest zbyt wkurzona, żeby zasnąć. Przewraca się z boku na bok, wystawia gołą nogę spod starej, zakurzonej kołdry, a potem znowu ją chowa. Im więcej osób jej odmawia, tym bardziej ma ochotę rozwiązać tę cholerną sprawę.



## STAN I PLAN

4 listopada 1964

Terrill Lee Stanton wygląda tak, jak gdyby od paru dni zebrał na ulicy. Stan spędził już w Dżungli dostatecznie dużo czasu, żeby kojarzyć ten typ ludzi. Rozbiegane spojrzenie, jakby właśnie stłukł szybę, buchnął telewizor albo ukradł jakąś brykę, a teraz chciał się przekonać, czy jesteś dostatecznie sprytny, żeby go złapać. Tacy poznają to na pierwszy rzut oka.

– Matula mi zawsze mówiła, że jestem jak ten chłopiec, co wołał „wilk!” – odzywa się Terrill Lee. – I pastor wie, że może czasami faktycznie tak jest. Ale nie teraz. Mówię wam, wilki są prawdziwe. Sam je widziałem.

Stan tłumaczy westchnieniem, z trudem zachowując spokój. Wilki? Jasne, wilki. Gnój pewnie jest czymś naprany i widzi wilki w narkotycznych koszmarach. Co oni tu w ogóle robią, do cholery?

– Powoli, powoli – odzywa się Wildey niemal pieśczośliwie. – Nic ci tu nie grozi. Pastor Stebbens nie kłamał. Możesz nam zaufać.

Chłopak odwraca się i wskazuje Stana.

– A jemu? Co? Nie znam go. Cholera, żadnego z was nie znam. Jak dla mnie to jesteście dwa jebane psy!

O rany. Psy, wilki, mamy tu całą menażerię. Stan rzuca Wildeyowi ostre spojrzenie. Możemy przejść do rzeczy?

Pastor Stebbens cmoka.

– Terrillu, przecież rozmawialiśmy o wyrażaniu się w domu Pańskim.

– Spokojnie, bracie – mówi Wildey, przysuwając sobie drewniane krzesło. Stawia je obok Stantona i siada łagodnie. – Wielebny mówił, że może coś wiesz na temat paru zbirów z Columbia Avenue. Wiesz, takich, co to mogliby podpalić kanapę i zrzucić ją z dachu.

Pastor kiwa głową. Kładzie dłoń na ramieniu Terrilla Lee, jakby

przesyłał odwagę od samego Pana Wszchemogącego prosto w cherlawe ciało chłopaka.

Jezu Chryste, myśli Stan. Więc o to tutaj chodzi. Musiał przerwać drzemkę z powodu cholernych gości od kanapy. Jedno musi Wildeyowi przyznać: jak ktoś mu podpadnie, to już nie zapomina. Partner Stana naprawdę ma ochotę udupić tych sukinsynów.

Terrill Lee otwiera usta, ale to tak, jakby w gardle zmieniały mu się biegi.

– Posłuchaj – mówi Wildey. – To zostanie między nami. Nikt cię nie weźmie za konfidenta. Właśnie dlatego zwróciłeś się do pastora Stebbensa, prawda? No więc ja znam się z nim bardzo długo. Może za mnie ręczyć. A ja ręczę za mojego partnera. Cokolwiek mi powiesz, nie usłyszałem tego od ciebie.

– No...

– Nie wstydź się, synu – zachęca pastor Stebbens.

– Ja nic nie wiem o żadnej kanapie – mówi Stanton. – Powiedziałem, że wiem, bo chciałem żebyście mnie wysłuchali. Ale mówię wam, mamy tu wilki. I zaraz zrobi się strasznie.

– O czym ty mówisz?

– Człowieku, oni zaczęli Plan.

Przez moment Wildey zachowuje spokój. Patrzy na młodego Terrilla Lee, uśmiecha się i kiwa głową.

A potem wchodzi na najwyższe obroty. Terrill Lee zostaje dźwignięty z krzesła, a zanim zdąży mrugnąć, dziewięćdziesiąt pięć kilo posterunkowego George'a Wildeya przygniata go do ściany w kuchni i dyszy mu prosto w twarz.

– Po co marnujesz mój czas na takie gówna?

– George! – strofuje go pastor. – Język!

Ale Wildey nie przejmuje się językiem. Zaraz eksploduje i rozewie tego chudego śmiecia – który teraz ma śmiertelnie poważny wyraz twarzy.

– Chyba trochę za dobrze się bawiliśmy – mówi Terrill Lee.

– Jak to: bawiliście? – pyta Wildey przez zaciśnięte zęby.

– Na Columbia Avenue. Musisz przyznać, „bracie”, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałeś. Tyle pożarów! Nie sądzili, że zrobimy to tak samo jak w Nowym Jorku. Ale my ich zmusili-

śmy do działania. Teraz przyjdą po nas wszystkich.

Stan kręci głową.

– Daj spokój, Wildey, zostaw go.

To tylko przyciąga oszalały wzrok Terrilla Lee.

– Mmmm, czyżbym czuł pieczone psie mięso? Jesteś częścią Planu, niebieskooki skurwysynu! Nie damy ci wygrać! Cała twoja rodzina spłonie!

– Stul, kurwa, ryj – rzuca Wildey.

– George’u Wildeyu!

– A ty, mój bracie – ciągnie Stanton – zadyndasz jako pierwszy, kiedy przyjdzie Rewolucja.

Wildey może teraz zrobić jedną z dwóch rzeczy. Albo rozwali temu kretynowi łeb o ścianę, albo go puści. Wybiera drugie rozwiązanie – bądź co bądź wciąż są w domu Pańskim. Pastor oddycha głęboko i próbuje przywrócić tej rozmowie nieco zdrowego rozsądku.

– Terrillu Lee, usiądź i powiedz panom policjantom to, co powiedziałaś mnie.

– Gównu im powiem. To agenci Złego, wielebny. Nie wiesz o tym? Już szykują na mnie plastikowy worek. Zwłaszcza ten blondas.

– Terrillu Lee!

Młody gnojek wzdycha, a potem otwiera usta i wyrzuca z siebie słowa jak z karabinu:

– Słuchaj, człowieku, oni zaczynają Plan. Zbierali się od lat, ale teraz zamieszki dały im okazję. Wszędzie widzę białe wilki. Rozpytajcie się. Są wszędzie, sprzedają truciznę... Cholera, nawet ją rozdają. Jak tylko chcesz, oni to mają, a ziomki ustawiają się po to w kolejce. Ale nie ja, człowieku, ja już w nic nie ufam na ulicy.

– Plan – powtarza Wildey.

– No co ty, człowieku, nie udawaj, że wcześniej o nim nie słyszałaś. Przecież wiesz, że nie mogli się doczekać.

– O, słyszałem. – Wildey wstaje i podaje rękę Stebbensowi. – Dziękuję za gościnę, pastorze.

Duchowny jest jednak zdezorientowany.

– Nie możesz zostać jeszcze chwilę i wysłuchać, co ten chłopiec

ma do powiedzenia?

– Z całym szacunkiem, pastorze, dość już usłyszałem.

Kiedy w latach pięćdziesiątych Stan pracował w obyczajówce, mieli ulubioną metodę przesłuchań na takich świrów jak Stanton. Rekwizyt trzymali w kartonowym pudle w szafie gospodarczej i wyjmowali tylko na specjalne okazje. Dodatkowo podkręcali atmosferę, rozmawiając między sobą, a na podejrzanego nie zwracając uwagi. „Myślisz, że powinniśmy?” Zdecydowanie. „No, nie wiem, poruczniku. Sądziś, że zasłużył?” No pewnie, gość jest słodziutki – idź do szafy i przyprowadź. „Oj, poruczniku, tak nie można. Pamiętasz, co było ostatnio?”

Podkręcali atmosferę, a tymczasem podejrzany zaczynał się pocić. Wreszcie wysyłali jednego „do szafy”. I na jakiś czas zostawiali podejrzanego samego. Może na pół godziny, czterdzieści pięć minut, a jego myśli galopowały. Co takiego może być w szafie?

W końcu drzwi się otwierały i wchodził...

Olbrzymi królik.

Konkretnie policjant w kostiumie królika. Białoróżowym, z dużymi, smutnymi oczami i oklapłymi uszami. Futro było stare, pełne kurzu, pozlepiane, a miejscami wytarte. Nosili kostium na zmianę, ale szczerze mówiąc, pasował tylko na kilku. Nie żeby był wygodny. Wnętrze łba śmierdziało cebulą i piwem, a cały kostium drapał. Ale chyba najtrudniejsze było niekichanie podczas przesłuchania.

Podejrzany patrzył na olbrzymiego królika i myślał: o co tu, u diabła, chodzi?

A potem może lekko się śmiał, no bo wiadomo – olbrzymi królik.

Wtedy królik podskakiwał w jego stronę, skracając dystans.

W tym momencie śmiech szybko cichł, bo w mowie ciała królika podejrzany dostrzegł coś, co mu się nie podobało.

I słusznie, bo...

ŁUP!

Królik sprzedawał mu prawy prosty, od którego podejrzanemu aż łzawiły oczy.

Potem...

BAM!

Prawy sierpowy.

I...

PACH, PACH, PACH!

Seria ciosów w żebra.

Jasne, puchate rękawice trochę tłumili uderzenia, ale i tak bolało jak diabli. Podejrzany siedział przykuty do krzesła, z rękami z tyłu, nie mógł się bronić.

Cała sztuka polegała na tym, żeby bicie było szybkie i mocne. A potem należało czym prędzej zjeżdżać, dopóki gość ciągle był skołowany i miał łzy w oczach.

Wtedy wracali śledczy i pytali:

– Teraz będziesz gadał?

– C... c... co to, kurwa, za królik?

Królik? Jaki królik? Dzieciaku, masz coś nierówno pod sufitem.

Oczywiście jeśli podejrzany nadal nie chciał gadać, prosiło się królika o powtórny występ. Zwykle jednak raz wystarczył. Bo nawet największy tępak zdawał sobie sprawę, że nigdy nikomu nie powie – przyjaciołom, sędziemu, nikomu – że na komisariacie spuścił mu wpierdol olbrzymi biało-różowy królik.

Kiedy wychodzą, Wildey przeprosza Stana za wczesną pobudkę i bezcelową wycieczkę. Powinien był to przewidzieć. Wsiadają do auta – Stan jak zwykle za kierownicę. Wildey nadąsany osuwa się na fotel pasażera.

– Pastor Stebbens mówił, że ten świr bał się przyjść prosto na policję – mówi. – Dlatego umówił nam to spotkanie. Myślałem, że gość wspaniale tych gnojków od kanapy.

– Naprawdę się na nich zawzięłeś.

– A ty nie?

Stan kręci głową. Nie, on się nie zawziął. Jeśli ktoś powinien się zawziąć, to Taney. To on powinien wstawać z łóżka bladym świ-

tem, jeździć do kościoła baptystów i być wyzywany od niebieskookich diabłów. Słuchać, że cała jego rodzina sponie.

- Ten twój koleżka naprawdę nie lubi policji – stwierdza Stan.
- No cóż, i raczej nie polubi, jak już z nim skończę.
- O co chodzi z tym Planem?

Wildey wzdycha.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Stan rozkłada ręce, jakby mówił: „Czy pytałbym, gdybym nie chciał?”.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że większość czarnych miała złe doświadczenia z policją? Ja też. A przecież byłem synem gliniarza! Jasne, wkurzało mnie to. Bardzo łatwo o rozgoryczenie. Ale prędko się nauczyłem, że życie toczy się dalej. Nie można hodować żalu, bo inaczej pewnego dnia człowiek obudzi się jako siedemdziesięciolatek z mnóstwem nienawiści w sercu i kupą zmarzniętych lat na karku. Na co to komu? Zamiast tego zostałem policjantem i próbowałem pomagać każdemu, białemu, czarnemu, bez różnicy.

- Więc co to jest ten Plan?

- Plan to paranoiczne gadanie rozgoryczonych ludzi, którzy są zadowoleni dopiero wtedy, kiedy przez nich inni się boją. Plan to wiara, że amerykański rząd chce wymordować całą czarną rasę. Że truje czarne dzieci szczepionkami. Szprycuje narkotykami darmowe lunche w czarnych szkołach. Rozdaje heroinę, zioło, kokę i spluwy, jakby codziennie było Halloween, a wszyscy w Dżungli zbierali cukierki. Plan oznacza, że nie wolno ufać żadnemu białemu. A zwłaszcza białemu z odznaką. Zresztą czarnemu z odznaką też nie. Bo rozumiesz, oni sobie wyobrażają, że my wszyscy jesteśmy częścią Planu. To my go wprawimy w ruch.

Stan nie wie, co odpowiedzieć, więc pozwala, żeby te słowa zawiły w ciszy samochodu. Dopiero Wildey musi je przegonić.

- Chodź, zjemy coś, zanim zacznie się nasza zmiana.

Stan mówi „w porządku”, ale nie jest głodny. Bo teraz myśli o Planie i o swoim ojcu. A także o Rosie i jej rodzinie. Im wszystkim się wydaje, że czarni mają własny Plan.

## JIM I PRZYSIĘGA

*4 listopada 1995*

Jimowi udaje się dorwać do segregatora, dopiero kiedy wszyscy pójdą spać. Oczywiście był w ostatnim pudle na samym spodzie stosu. Jim zanosí segregator do swojego gabinetu w piwnicy, a potem siedzi tam do trzeciej nad ranem i kartkuje dokumenty, sącząc wódkę z lodem i od nowa chłonąc sprawę. Nie zaglądał do tych papierów od dziesięciu, może piętnastu lat. Szczegóły są jednak w jego pamięci zaskakująco świeże i tylko czekają, aż ktoś zdmuchnie z nich warstewkę kurzu.

Kiedy Jimowi udaje się zdrzemnąć, krwawe szczegóły przewalają mu się w mózgu. Przeszłość i teraźniejszość zderzają się ze sobą bez poszanowania dla dat, logiki i sensu. Morderstwo Kelly Anne Farrace. Morderstwo Stana Walczaka. Morderstwo George'a Wildeya. Wszystkie są częścią tego samego spisku. Nad ranem jego umysł jest jak rozgorączkowany pies myśliwski, który miota się od tropu do tropu. Około czwartej obie sprawy zlewają się w jedno i Jim zaczyna mieszać szczegóły. Ten sam facet, który zgwałcił i udusił Kelly Anne Farrace, a potem zrzucił ją ze schodów, wie coś o facecie, który zamordował ojca Jima i jego partnera.

Jim wstaje przed resztą domowników. Udaje mu się wymknąć tak, że nie przyłapała go nawet Audrey.

Kto by pomyślał.

Jedzie na cmentarz narodowy w Beverly w New Jersey – to trasa, którą pokonywał już tysiąc razy. Nie rozumiał, dlaczego ojca pochowano tak daleko, w innym stanie, dopóki nie wyjaśniła mu tego matka. „Twój ojciec był weteranem – powiedziała – a to jest cmentarz narodowy dla żołnierzy”. Młody Jim zapytał: to bliżej nas nie ma żadnego cmentarza dla żołnierzy? „Jest, ale pełen. Dlatego pochowali go tutaj”.

Bram jeszcze nie otwarto, więc Jim parkuje na ulicy, przeskaku-

je przez ogrodzenie i udaje się do grobu ojca.

STANISŁAW WALCZAK,  
STARSZY SZEREGOWY, II WOJNA ŚWIATOWA

Marmurową płytę wkopano w ziemię u stóp drzewa na skraju cmentarza. Przez trzydzieści lat Jim patrzył, jak to drzewo rośnie. Patrzył również, jak ostre litery nazwiska ojca stopniowo blakną.

W powietrzu czuć wilgoć, zachmurzone niebo może się otworzyć w każdej chwili. Kiedy Jim podchodzi do nagrobka, buty grzęzną mu w trawie i błocie.

– Cześć, tatusiu – szepce.

Ojciec oczywiście nie odpowiada.

Jim latami zostawiał tu kwiaty, zabawki, papierosy, alkohol. A nawet kilka płyt z polką, które do następnej wizyty zawsze znikały. Mogłoby się wydawać, że co jak co, ale polka będzie bezpieczna. Widocznie dozorczy bardzo poważnie podchodzą do utrzymania tu idealnego porządku. W którąkolwiek spojrzeć stronę, widać rząd idealnie symetrycznych białych tablic, ustawionych w szyku, jakby nawet po śmierci ci, którzy leżą pod nimi, wciąż czekali na rozkazy.

Kiedy Jim był młodszy, wyobrażał sobie, że ojciec czeka, aż on wyjdzie z cmentarza, a potem wystawia rękę spod ziemi i kościstymi palcami łapie zostawione fajki lub flaszki. Jim nie był głupkiem – wiedział, że to pracownicy cmentarza sprzątają kwiaty, piją wódkę i palą papierosy. I, jak widać, słuchają polki.

W końcu przestał przynosić rzeczy – no bo niby po co? – i zaczął prowadzić jednostronne rozmowy. „Co byś zrobił, tato? Mam taką strasznie ciężką sprawę, tato. Nie uwierzyłbyś. No tak, wreszcie się żenię, tato. I mama nawet ją lubi, czyli całkiem nieźle”.

I pamiętał o złożonej obietnicy.

Czuwanie przy ciele ojca to wydarzenie, które Jim wciąż pamięta w zaskakujących szczegółach, od garnituru właściciela zakładu pogrzebowego (błyszczący, spodnie zwężane u dołu, wąski krawat) przez zapach kwiatów ustawionych wokół trumny aż po re-



pertuar muzyki organowej granej w kółko przez sędziwą kobietę pachnącą mokrym papierem.

Trumna była szara i opływowa jak nowy samochód. Bardziej okazała niż samochód ojca, a nawet niż dowolny mebel w ich domu. Wewnętrzne obicie wydawało się miękkie i wygodne. Miałeś ciężkie życie, Stan. Ale popatrz, cały luksus zostawiliśmy na koniec.

Podczas czuwania należy przykłęknąć i zmówić modlitwę za zmarłego. Ale dwunastoletni Jim potrafił myśleć tylko o tym, jak nienaturalnie wygląda jego ojciec. Jakby go podmienili na woskową kukłę. Przez kilka chwil młody umysł Jima oddawał się fantazjom. Gdzieś tam jakiś gang trzyma jego prawdziwego ojca w niewoli i czeka, aż syn go uratuje...

Ale nie. Ojciec był tutaj. Ktoś do niego strzelił, wiele razy. Teraz, gdy Jim stał blisko, widział szkody, które starano się naprawić w zakładzie pogrzebowym.

Dotykając rękawa galowego munduru ojca, Jim zmówił szybką modlitwę. I złożył obietnicę.

*Znajdę człowieka, który ci to zrobił.*

*I zapłaci mi za to.*

Jim wraca Roosevelt Boulevard jak zamroczony. Teraz praktycznie nie sypia. Aisha czeka na niego w Roundhouse i prawie wychodzi z siebie. Właściwie nikt nigdy nie jest szczęśliwy, kiedy musi pracować w sobotę rano, ale dzisiaj jest inaczej.

Technicy kryminalni poinformowali, że blond włosy znalezione w garażu to z całą pewnością włosy Kelly Anne Farrace; nad spodenkami jeszcze pracują. Zastępca prokuratora okręgowego bardzo ich za to lubi. Aisha ich za to lubi. Biuro burmistrza lubi ich za to z całą pewnością. Dwaj głupi biali gwałciciele? To chyba najlepsza wiadomość od miesięcy. W ratuszu z radości pewnie robili fikołki, kiedy usłyszeli, że sprawcy są biali.

To był trudny rok dla (wciąż) podzielonego rasowo miasta. Najpierw latem wybuchł ten cały skandal w trzydziestym dziewiątym rejonie. Cholerni Czterej Jeźdźcy Apokalipsy robili ukradko-

we naloty na narkotykowe kryjówki, kradli wszystkie znalezione pieniądze i nękali niewinnych ludzi (przeważnie kolorowych). Podobno federalni mają zbadać tysiąc spraw, w których zarzuty postawiono głównie czarnym obywatelom.

Jim głównie obchodzi aspekt rasowy tego śledztwa – to zmartwienie Sonyi, zmartwienie burmistrza. On chce tylko sprawiedliwości dla Kelly Anne Farrace. Im szybciej stanie się jej zadość, tym szybciej znów będzie mógł się zająć wymierzeniem sprawiedliwości Terrillovi Lee Stantonowi.

Odczekawszy wystarczająco długo (a przynajmniej tak mu się wydaje), Jim mówi Aishy, że musi załatwić drobną sprawę.

– Pozdrów ode mnie Son-ye – odpowiada jego partnerka, przeciągając to imię, jakby chodziło o pracownicę sekstelefonu albo kogoś takiego.

– Ej – rzuca Jim. – Chrzań się.

– No co?

– Nie o to tutaj chodzi.

*(Chociaż szczerze mówiąc, wcale mi nie przeszkadza, jeśli tak myślisz, bo przynajmniej mam swego rodzaju alibi).*

– Nie moja sprawa.

Rzeczywiście nie twoja, myśli Jim. Szczęściaro.

Terrilla Lee Stanton chyba nie ma w ośrodku przejściowym na rogu Erie i Castor. Jim nie zauważa żadnego ruchu w oknie na trzecim piętrze, faceta nie widać też w pobliżu.

Szybka wyprawa do Mayfair pozwala natomiast ustalić, że Terrill Lee o 9.45 rano kręci się w pobliżu Mugsy's Tavern, usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Co sprawia, że dla wyczulonego oka Jima skurwiel zwraca na siebie uwagę jak cholera.

Co kombinujesz, głąbie? Chcesz napaść samotnego barmana o poranku i kazać mu opróżnić i tak już pustą kasę?

A może wcale nie chodzi o pieniądze. Może po prostu lubisz strzelać do ludzi w barach, kiedy piją piwo.

Jim naprawdę nie wie, co by wolał: powstrzymać Terrilla Lee przed popełnieniem kolejnej strasznej zbrodni czy przyłapać go

na gorącym uczynku i mieć usprawiedliwienie, żeby dziada legalnie odstrzelić.

Jest 9.55. Chyba przekona się już niedługo.

Po minucie pojawia się właściciel Mugsy's – biały facet o ciemnych, krzaczastych włosach, młody, góra dwudziestopięcioletni. Sądząc po wyglądzie lokalu, Jim spodziewał się kogoś nieco starszego, siwawego. Właściciel nie zwraca uwagi na Terrilla Lee, wyciąga klucze z kieszeni dżinsów, otwiera drzwi i wchodzi od środka.

Jim spina się, gotów przebiec przez ruchliwą Frankford Avenue z bronią w ręku. Na samą myśl krew pulsuje mu szybciej.

*No dalej. Zrób to!*

Ale Terrill Lee wydaje się dziwnie rozczarowany. Rozgląda się po ulicy, a potem zerka na bar, kręci głową i odchodzi w kierunku Harbison Avenue oraz, zapewne, stacji El i ośrodka przejściowego.

*Cykor pierdolony.*

Jim robi głęboki wdech, usiłując uspokoić drżenie rąk. Powinien wrócić do domu – bądź co bądź to tylko kilkanaście przecznic stąd – i zdrzemnąć się przed powrotem do śródmieścia. Zjeść śniadanie, wypić parę litrów wody. Powiedzieć Aishy, że źle się czuje, więc jeśli będzie miała coś pilnego, niech go wezwie przez pager.

I oczywiście właśnie wtedy ten pager się odzywa.

Pojawia się numer Aishy.

Musi chodzić o ważną sprawę, bo przecież jego partnerka myśli, że Jim w tej chwili jest po same jaja w Sonyi Kaminski.

## AUDREY I STARY DRAŃ

10 maja 2015

Audrey budzi woń śmierci, palonego ciała, gryzącego dymu. Wkrótce staje się jasne: tata robi śniadanie.

Dziewczyna zwleka się ze schodów, z tłuszczem i solą we włosach, usiłując się rozbudzić. Ze smutkiem uświadamia sobie, że tata pewnie nie ma składników do zrobienia przyzwoitej krwawej mary. Ani nawet znośnej. Ani choć kropli soku pomidorowego. Przecież Audrey nie podrepcze sobie teraz parę przecznic dalej do hipsterskiej brunchowni. Tu jest Mayfair. Jedyne bary otwarte tak wcześnie rano obsługują pracowników nocnej zmiany, a tamtejsze wyobrażenie drinka to coors light z szotem jacka daniels'a. O zgrozo, chyba Audrey będzie musiała się zadowolić polską mimozą – wódką z sokiem pomarańczowym.

– Jak spałaś?

– Nie wiem. Przez większość czasu byłam nieprzytomna.

Kapitan rzuca jej ostre spojrzenie: nie jesteś taka dowcipna, jak ci się wydaje.

Wszystko jedno.

Na powgniatanej patelni skwierczy cielisty krążek mielonki wieprzowej. Na blacie tata rozrzucił różne składniki zdrowego fi-ladelfijskiego śniadania: wczorajsze bułki, tuzin jajek, pół kilo amerykańskiego sera. W głowie Audrey zaczyna grać piosenka *Pork Roll Egg and Cheese* zespołu Ween. Nie myślała o niej od wieków.

– Ty to będziesz jadł? – pyta, stając za plecami ojca i zerkając mu przez ramię na patelnię.

Tata przewraca jeden z mięsnych krążków. Żeby plastry się nie zwijały, na krawędzi zrobił cztery nacięcia, jak w celowniku karabinu. Audrey nie może się nie uśmiechnąć. Nic nigdy się nie zmienia.

– Co ci się nie podoba w mielonce? – pyta Kapitan.

– Wszystko mi się podoba, jeśli chcesz, żeby w rubryce „przyczyna zgonu” wpisali ci „mielonka wieprzowa”.

– Nic mi nie będzie.

Audrey otwiera lodówkę i pochyla się, żeby zajrzeć do środka. Nie ma soku pomidorowego. Ani pomarańczowego. W ogóle jest niewiele płynów. A nawet ona nie jest taką, kurde, alkoholiczką, żeby mieszać wódkę z mlekiem.

Ale oto nagle dostrzega sześciopak małych puszek soku warzywnego V8, ukryty z tyłu lodówki. Wyciąga jedną puszkę z plastikowego pierścienia i niesie ją do kredensu w salonie, który jednocześnie robi za barek taty. Wczoraj wypatrzyła tam trochę stolicznej. Doda szczyptę pieprzu i jakoś to będzie.

Tata wykłada kanapki na talerze, a Audrey miesza swoją śmieciową krwawą mary. Wypija na trzy łyki, po czym wstaje, żeby zrobić kolejną.

– Lepiej zjedz, zanim wystygnie – mówi tata. – I ostrożnie z tym chlaniem. Dopiero poranek.

Chlanie mnie nie zabije, myśli Audrey, nie tak szybko jak ten hokeyowy krążek przetworzonego mięsa.

Pałaszują w milczeniu. Audrey szuka innego sposobu, żeby namówić Kapitana do pomocy przy projekcie. A Kapitan myśli o... Cóż, diabli wiedzą, o czym w jakiegokolwiek chwili myśli Kapitan. To golem bez emocji.

W kuchni Audrey ukradkiem robi i szybko wypija drugą krwawą, a potem przyrządza trzecią, którą tata uzna za drugą. Nie żeby obchodziło ją, co on myśli. Niesie szklankę z powrotem do stołu, pełną po wrąbek czerwonego płynu.

– Wiem, że to twoja trzecia – mówi Kapitan.

– I co z tego? Nigdzie się nie wybieram.

Kapitan chrząka. Żuje. Potem coś przychodzi mu do głowy.

– Co to za numer z Houston do ciebie wydzwania?

– Hmm? – pyta Audrey, nie przerywając picia.

– Numer kierunkowy siedemset trzynaście to Houston. Parę razy ktoś do ciebie dzwonił z numeru 713-524-8597.

Audrey odstawia krwawą mary.

– Serio zaglądałeś do mojego telefonu?

Kapitan wzrusza ramionami. Jakby chciał powiedzieć: twój główniany telefon jest w moim domu, podpięty do mojego gniazda, więc mam prawo go przeszukiwać.

– Nie masz prawa, ty faszysto.

– Zamknij się. Więc kto dzwonił?

– Taki jeden Włoch, Nicci. Nazwisko: Do Tego. Wiem, dziwnie. Skoro mowa o telefonach, czy mam zadzwonić do twojego chirurga naczyniowego? I zapowiedzieć, że po lunchu zgłosisz się na angioplastykę?

– Odwal się ode mnie i mojego jedzenia.

– Dobrze. To ty się odwal od moich telefonów.

Audrey dopija krwawą, po czym wstaje, żeby zrobić sobie czwartą. Będzie piła, dopóki nie skończy się V8.

– No już, dość tego. Idź na górę się przebrać.

– Po co? Śpieszy ci się?

Kapitan mierzy ją wzrokiem.

– Dzisiaj nie chcesz się bawić w detektywa?

Opuszczają Mayfair godzinę później i ruszają Frankford Avenue w kierunku Holmesburga. To ulica handlowa, pełna barów, kwiatarni, delikatesów, jest nawet sklep z bronią. W dawnych czasach nie jeździło się do centrum handlowego, po prostu chodziło się tutaj. Jeśli czegoś nie mieli, to znaczy, że nie było ci potrzebne.

Prowadzi Kapitan. I dobrze, bo Audrey jest trochę wcięta. Kiedy nie patrzył, udało jej się łyknąć czwartą głównianą krwawą mary.

– Człowiek, który zabił twojego dziadka, nie żyje – mówi Kapitan. – Większość życia spędził w więzieniu za inne przestępstwo. Wyszedł pod koniec dziewięćdziesiątego piątego. Ale już po paru dniach go nie było.

– Co się z nim stało?

– Mówią, że przedawkował. Heroinę.

Audrey wiedziała, że Terrill Lee Stanton umarł dwadzieścia lat temu. Ale ta nowa informacja przebija się przez alkoholowy szmer.

– No, kurczę, trochę podejrzane.

Kapitan obraca się i zerka na córkę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Dlaczego miałby się zabijać po tym, jak spędził tyle czasu w kicciu? Brzmi, jakby załatwił go ktoś, kto miał z nim niedokończone porachunki. Przedawkowanie łątko upozorować.

– Mówi ekspertka od kryminalistyki.

– Halo, sam za to płacisz. Chcę ci pokazać, że twoja kasa nie idzie w błoto.

– No to wyjmij nos z książek i popatrz na człowieka. Niektórzy nie potrafią się przystosować do życia na wolności.

– Normalnie *Skazani na Shawshank*.

– Co?

– Nieważne.

– Kiedy to się stało, twoi bracia stale o tym mówili. Nie pamiętasz?

– No... nie.

Czasem Audrey ma wrażenie, że jej dzieciństwo jest przeszczepionym wspomnieniem, które nie do końca się przyjęło. A rodzice, znający scenariusz, stale przywołują jakieś szczegóły czy wydarzenia, które jej z niczym się nie kojarzą.

– Jezu. Czyli kozioł ofiarny albo sam się zabił, albo ktoś dopilnował, żeby tak to wyglądało.

– Kozioł ofiarny? Aud, przecież on to zrobił. Skoro mówisz, że był drugi strzelec, to dobrze, nie będę się sprzeczał z twoją pracą domową. W takim razie może ktoś mu pomógł. Ale z całą pewnością był winny. Patrzyłem mu w oczy. To morderca.

Audrey wyciąga notes z plecaka.

– Poczekaj – rzuca.

– Co, będziesz mnie cytować?

– Jeżeli mam przygotować niezależną analizę, to przyda mi się, wiesz, parę luźnych szczegółów.

Kapitan chrząka.

– Za parę minut będziesz ich miała całą masę. Już do niego dzwoniłem, obudził się i jest gotowy z nami pogadać.

– Kto?

– Dawny partner twojego dziadka.

Mieszkańcy nazywają tę okolicę Lasami, ale zdaniem Audrey przypomina kupę pudełek po płatkach, które ktoś ustawił wzdłuż ciasnych, przygnębiających ślepych uliczek.

W 1942 roku, kilka miesięcy po Pearl Harbor, przemysł zbrojeniowy w Filadelfii był w rozkwicie. Działały tu Frankford Arsenal, Bendix Corporation, Budd Company i sześćdziesięciu innych producentów – często zlokalizowanych na rozległych przestrzeniach Northeast Philly. Kłopot polegał na tym, że robotnicy harujący w tych wszystkich fabrykach musieli gdzieś mieszkać. Northeast było... strasznie daleko.

To właśnie wtedy miejscowy architekt wpadł na pomysł, by na olbrzymiej połaci błota przylegającej do parku Pennypack postawić warte cztery miliony dolarów osiedle domów oszalowanych deskami. Błoto, jak liczono (i modlono się), miało się z czasem zmienić w bujne tereny zielone. Suburbia instant – wystarczy dodać białych. „Robotnicy i ich rodziny zamieszkają pośród rozległych trawników w podmiejskiej atmosferze, ale w granicach miasta” – zachwalało inwestycję jedno z oświadczeń prasowych. Któż by odmówił? Czynsz był niski: dwadzieścia siedem dolarów miesięcznie, na co mogła sobie pozwolić większość młodych rodzin. A pracy było w bród. Nawet jeśli transport autobusowy był do dupy, a błoto wlaźło wszędzie.

Po wojnie mieszkańcy uznali, że nie chcą, żeby uciekło im coś dobrego, więc wykupili całe osiedle i utworzyli kooperatywę. Ale nie był to komunizm, nic z tych rzeczy! Każdy mieszkaniec był właścicielem jednej tysięcznej terenu i płacił niewielką miesięczną składkę na koszty utrzymania. Domy można było przekazywać wyłącznie krewnym. Kiedy zwalniało się miejsce, zajmowały je osoby z listy oczekujących. W latach osiemdziesiątych średni okres oczekiwania na pułdo z dwiema sypialniami i jedną łazienką wynosił jakieś dziesięć lat.

Na swoje posterunkowy Billy Taney czekał piętnaście.

Szansa pojawiła się wreszcie w dziewięćdziesiątym szóstym. Wyprowadził się z szeregowca w Kensington i zwiął na pseudo-



przedmieścia. Teraz siedzi w ogródku za domem, wśród świeżo skoszonej trawy, i rozpracowuje czwartego, a może piątego dziś buda.

– Cześć, Bill – mówi Kapitan.

– Cześć, młody – odpowiada Billy. – A to kto? Twoja dziewczyna? Ha, ha, ha.

Ha, ha, ha, z boku.

Taney nie wzbudza w Audrey sympatii. Ani trochę. Przypomina jej tych wszystkich staruchów uprawiających macanki w pubie Kelvin Arms. Dosłownie widać, jak wątroba wybrzusza mu się pod T-shirtem z dekoltem w szpic, teoretycznie białym, a właściwie szarym od wielokrotnego prania. Wkoło nie ma ani śladu kobiecej ręki, co oznacza, że żona albo zmarła, albo związała, albo powiesiła się na piętrze.

– To moja córka, Audrey – mówi Kapitan. – Studiuje kryminalistykę w Houston.

Billy się śmieje.

– Chcesz moje ciało w celach naukowych, kotku?

Nauka nie wiedziałyby, co w ogóle zrobić z twoim ciałem, myśli Audrey. Kotku.

– Dzień dobry, panie Taney.

Billy wyjaśnia, że jego nazwisko rymuje się z „Manny”.

– Bo taki ze mnie stuprocentowy man.

Kapitan uśmiecha się grzecznie, odrzuca trzecią i czwartą propozycję, żeby napić się buda, a potem przechodzi do rzeczy.

– Audrey pisze projekt na temat taty.

– Wspaniały gość! Uratował mi tyłek podczas zamieszek, tyle ci powiem. Słyszałaś, co te gnoje zrobiły? Podpalili kanapę i zrzucili mi ją na łeb. Chyba nie chcieli bić się ze mną jeden na jednego. Ciągle mam po tym blizny, jak chcesz obejrzeć.

– Konkretnie zajmuję się jego zabójstwem – mówi Audrey.

Billy Taney nieruchomieje, jakby spoliczkowała go niewidzialna dłoń z Nieba.

– Że co proszę? A niby po co? – Zerka na Kapitana, szukając wsparcia. – Jim, dlaczego jej na to pozwalasz? Przecież wszyscy wiemy, że ten chuj, który to zrobił, oby się smażył w piekle...

– Tak, tak, Billy – przerywa mu Kapitan. – Powiedziałem Audrey to, co ty mi mówiłeś. Ale uznałem, że powinna usłyszeć to ze źródła.

– Źródła? Niby źródła czego? Przepraszam na chwilę, idę osuszyć jaszczura.

Billy Taney drepcze do swojego pudełka po płatkach, żeby opróżnić zawartość pęcherza w jedynej łazience na pierwszym piętrze. Piętnaście lat czekał na przywilej sikania w tej części miasta, myśli Audrey. Mam nadzieję, że sprawia mu to przyjemność.

Audrey wchodzi do domu, żeby się rozejrzeć. Kapitan rusza za nią z rękami w kieszeniach i ustami zamkniętymi na kłódkę.

Główną ścianę salonu pokrywają marmurkowe lustrzane panele prosto z waszego ulubionego pornosa z początku lat osiemdziesiątych. Audrey nie cierpi patrzeć na własne odbicie. Bóg raczej wie, jak Taney to znosi. Gruby włochaty dywan wygląda tak, jakby nie odkurzano go od nowości. Na wszystkim innym spoczywa widoczna warstwa nikotyny.

– Uroczy gość – rzuca Audrey.

– Taney i twój dziadek bardzo długo byli partnerami – odpowiada Kapitan. – Jeśli szukasz kogoś, kto wie, co się stało, to właśnie jego.

– Ale nie wie, co się działo przez ostatnie dziewięć miesięcy życia dziadka.

Kapitan nie odpowiada. Głośne skrzywienie zwiastuje powrót Taneya. Billy patrzy na nich zaskoczony, że mały Jimmy z córeczką stoją w jego salonie.

– Napijcie się czegoś? A może coś byście zjedli?

– Zostawia pan tu czasem kiełbaski, żeby zobaczyć, czy same się uwędzą?

Taney szeroko otwiera oczy.

– Co?

– Nie trzeba, Billy – odpowiada Kapitan.

– Twój dziadek był dobrym człowiekiem. Szkoda, że nie miałaś okazji go poznać.

– Ja też żałuję.

– Ale zginął przez tego swojego partnera czarnucha. Nigdy gnojowi nie wybaczę.

Audrey nie może uwierzyć, że ten tłusty dziad wygaduje takie rasistowskie brednie... tak po prostu... w jej obecności. W byciu białym najgorsze jest to, że rasiści automatycznie biorą cię za jednego z nich. Nawet się nie zastanawiają. Audrey myśli o Bryancie, który został w Houston, i ma ochotę sprać tego faceta po ryju.

– Słucham? Ma pan na myśli jego partnera Afroamerykanina? Człowieka, który również zginął w tamtym barze?

Taney parska.

– Na pewno głosowałaś na „Łobamę”, prawda, kotku?

– Cóż mogę powiedzieć? Uznałam, że przyda nam się muzulmanin w Białym Domu.

Taney ma taką minę, jakby przez dysonans poznawczy zaraz miał dostać zawału. To wnuczka jego partnera – nie chce być dla niej nieuprzejmy, ale nie chce również, żeby jakaś wredna smarkula pyskowała mu w jego własnym domu.

Kapitan spuszcza wzrok i kręci głową. W pierwszej chwili Audrey myśli, że jest wściekły. Potem jednak to dostrzega. Lekki uśmiešek, który ojciec próbuje ukryć przed Taneyem.

– Opowiem ci co nieco, bo pewnie tego nie wiesz – mówi Taney. – Nikt nie wiedział, oprócz kilku z nas. Wildey miał nieźle... za uszami. – Rozdziela te słowa dla emfazy. – W latach pięćdziesiątych pracował jako tajniak, bujał się z czarnymi gangami od napadów, pojawiającymi się w całym mieście. Trochę za bardzo się zaprzyjaźnił z tymi „braćmi”, co to powinien ich przymknąć. Nagle zaczął mieć kupę forsy. Żył jak król, chodził po nocnych klubach, nosił jedwabne garnitury. Ojejku, a jak to się stało? No, nie wiem, może korzystał z policyjnych dokumentów, żeby pomagać swoim kumplom kryminalistom? Ale nie szło tego udowodnić, więc mogli go co najwyżej zepchnąć z powrotem do patrolowania ulic i przerzucać z rejonu do rejonu. Ale widzisz, jak się poznaliśmy, ja o tym nie wiedziałem. Najpierw myślałem, że to w porządku gość. Bo śliska była z niego ryba.

Audrey raz po raz zerka na ojca, on jednak słucha z kamienną

twarzą. Chyba już to wszystko wie.

– Poznaliśmy go podczas zamieszek, twój dziadek i ja, no i jak mówiłem, wydawał się w porządku. Ale potem, kiedy leżałem w szpitalu, zaczęło do mnie docierać to i owo. Na przykład, że Wildey znowu się skumał z dawnymi kolegami z gangu. Tyle że oni teraz handlowali prochami po całej Dżungli. Wiesz, co to Dżungla, prawda, kotku?

– Owszem, jest mi znane to rasistowskie określenie części północnej Filadelfii – odpowiada Audrey.

Taney nie wie, jak zareagować. Kapitan znowu tłumi uśmiech. Taney postanawia zignorować tę uwagę i mówi dalej.

– Terrill Lee Stanton handlował dragami w całej Dżungli. Chcesz wiedzieć, kiedy zaczęła się pojawiać heroina? Na przełomie sześćdziesiątego czwartego i sześćdziesiątego piątego, zaraz po zamieszkach. Wiesz, komu można podziękować? Temu sukinsynowi Stantonowi. A kto mu zapewniał protekcję? George Dubya Wildey.

– Chce pan powiedzieć, że mój dziadek też był w to zamieszany? Taney unosi dłonie pokryte plamami wątrobowymi.

– Nie, nie. Nie Stan. To wszystko działo się za jego plecami. Wildey wykorzystywał twojego dziadka dla własnej ochrony. Wiesz, w tamtych czasach nigdy nie wysyłało się radiowozu z dwoma czarnymi. Cholera, wtedy można by nie wysyłać żadnego. Za to biali gliniarze mieli pilnować swoich czarnych partnerów, żeby zapobiec takim numerom.

– Więc dlaczego dziadek nie zapobiegł?

– Słuchaj, bez obrazy. Jimmy, wiesz, że kochałem twojego tatka jak brata. Ale on nie był z takich gliniarzy. Stan to był osiłek. Jeśli ktoś miałby mi ratować dupę w zwarcu, to tylko on. Ale jako detektyw...

Audrey patrzy, jak ojciec zaciska pięści. Niech Taney lepiej uważa, jeżeli nie chce, żeby znowu spadła mu na łeb jakaś kanapa.

– Jimmy, daj spokój, bez obrazy. Ja też nie jestem takim gliną. Tylko na mnie popatrz.

– Więc dlaczego Stanton zwrócił się przeciwko temu, kto go krył?

Taney na moment odwraca wzrok.

– Jak zwykle ta sama historia. Wildey zrobił się zbyt chciwy. Stantonowi to się nie podobało. I postanowił go zabić. Wildey przestał być użyteczny.

– Dlaczego w takim barze? Dlaczego obu? Stanton mógł zabić Wildeya gdzieś indziej.

Taney nachyla się do Audrey. Dziewczyna nie może znieść całej jego zadymionej aury, smrodliwego oddechu i wodnistych oczu, ale się nie wzdryga.

– Myślę, że Wildey wiedział, że coś się szykuje. I namówił Stana, żeby z nim poszedł jako wsparcie. Twój dziadek zginął przez tego czarnego sukinsyna.

## SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU, STAN

1 stycznia 1965

– Szczęśliwego Nowego Roku – mówi Stan, kiedy otwiera drzwi i uderza w niego zimne powietrze.

Wildey i jego dzieciak przyszli wcześniej, przez co Rose o mało nie dostała apopleksji. Lubi, żeby jedzenie i napoje były gotowe na długo przed przyjściem gości.

– Szczęśliwego Nowego Roku, partnerze – odpowiada George z promiennym uśmiechem i szeroko rozchyła ramiona do powitalnego uścisku, który Stan odwzajemnia bez entuzjazmu.

Jest Nowy Rok, co w polskim domu oznacza pieczeń wieprzową i paradę noworoczną w telewizji. W zeszłym roku ulubiona orkiestra Stana, Polish American (oczywiście), zajęła pierwsze miejsce z programem *Fantazja bębnów dżungli*. Stan ma nadzieję, że i tym razem zdobędą główną nagrodę.

George junior patrzy na ojca z dołu, czekając, aż zostanie przedstawiony. Stan odnosi wrażenie, że to ponury chłopiec, który wcale się nie cieszy, że tu przyszedł. Wygląda na o rok czy dwa młodszego niż Jimmy.

– Hej, młody, widzisz Jimmy’ego? Na pewno chciałby się z tobą pobawić. Leć do niego, a ja pogadam z partnerem.

Jimmy uśmiecha się niepewnie. Klęczy przy choince otoczonej tegorocznymi łupami: kilka płyt, nowe struny do gitary, skarpetki, butelka korzennej wody kolońskiej.

Wildey szturcha Małego George’a, żeby ruszył w tamtym kierunku.

– No, idź.

Chłopak drepcze w stronę choinki i klęka, naśladowując Jimmy’ego.

Z kuchni wychodzi Rose z kubkiem herbaty.

– Dużo mleka, dużo cukru – mówi, podając naczynie Wildeyowi.

– Ach, pamiętałaś. Szczęśliwego Nowego Roku, kochana.

Wildey nachyla się, żeby pocałować ją w policzek, a Rose nieruchomieje, pozwala się objąć i klepie go po ramieniu.

– Ej, Rosie, jest Nowy Rok, na litość boską. Na pewno George wolałby coś innego. Może piwko?

– Nie, nie, herbata wystarczy.

Rose wraca do kuchni. Wildey ruchem głowy wskazuje telewizor.

– Parada, co? Znam paru muzyków sesyjnych, którzy pracowali z kilkoma komikami.

– Oglądasz paradę? – pyta Stan nie bez zaskoczenia.

– No nie, nie przepadam za słuchaniem gry na banjo – odpowiada. Ani za białymi ucharakteryzowanymi na czarnych, dodaje w myślach.

– Coś ty, nigdy nie byłeś na paradzie?

– Wiesz, jak to się zaczęło? Opowiem ci, bo o tym czytałem. Od bandy facetów w maskach, którzy strzelali w powietrze i domagali się od właścicieli tawern darmowego alkoholu. Było już tak źle, że w końcu miasto powiedziało: chrzanić to, zorganizujemy tę imprezę i miejmy to pod kontrolą.

– Ty wszystko potrafisz zepsuć. Przecież to tylko muzyka i zabawa. Powinieneś docenić.

– Jasne. Kto by nie lubił, jak banda pijanych dokerów fałszuje *Oh Dem Golden Slippers*?

– Pieczeń gotowa – oznajmia Rosie.

Billy Taney i jego żona, Judith, przychodzą spóźnieni i skacowani. Ich dwaj chłopcy wpadają do salonu jak wystrzeleni z armaty, rozładowując krępujący impas między Jimmym a Małym George'em. Na widok Wildeya na twarzy Billy'ego malują się wesołość i zaskoczenie.

– Moi wybawcy – mówi w końcu Taney.

Jego twarz i ręce wciąż są pokryte czerwonymi bliznami po oparzeniach. Chodzi o lasce, wspierany przez żonę. Teraz Judith prowadzi go do dużego wyściełanego fotela, z którego zwykle korzysta Stan, odwróconego w stronę telewizora, i pomaga mu w nim zasiąść. Właśnie tam zostanie Billy przez resztę wieczoru, a ona będzie mu podawać pieczeń, kapustę kiszoną i żytni chleb na ta-

lerzu oraz donosić kolejne piwa. Ostatecznie Stan i Wildey stają wokół niego z talerzami w dłoniach, żeby nie czuł się osamotniony. Zresztą Taney i tak mało mówi. Koncentruje się głównie na paradzie.

Po obiedzie pojawia się dość niewygodny temat żony George'a. Stan rzuca Rosie ostre spojrzenie, ale ona go ignoruje.

– No, dzięki, że o nią pytasz – mówi George. – Pojechała na trochę do swojej rodziny. Dzisiaj jesteśmy tylko ja i Junior.

Chłopcy Taneya wracają do zabawy z Jimmym i Małym George'em pod choinką, ale wkrótce wybucha bójka. Jimmy trzyma w ręku jedną ze swoich nowych płyt – Beatles '65.

– Zobacz, co on zrobił!

– Wcale jej nie porysowałem, kłamczuchu!

– Tato!

Stan kręci głową.

– Dość już, dość.

Wildey natychmiast rusza do swojego syna, podnosi go z podłogi za ramię i pyta, co tu się, u diabła, dzieje. Stan mówi: spokojnie, wszystko w porządku. „Muszę sobie porozmawiać z Juniorem” – odpowiada Wildey i prowadzi chłopaka do kuchni, choć ten ledwo nadąża za ojcem.

Taney obraca się w fotelu i zaczyna się śmiać.

– Ohoho, komuś się dostanie.

Później Stan właśnie kończy szóstą puszkę schmidt'sa, a Wildey małymi, ptasimi łykami sączy czerwone wino, które stale dolewa mu Rosie. Tak to nie jest żadne picie, myśli Stan.

– Słuchaj, możemy wyjść za dom albo coś? – pyta Wildey.

– Przecież jest mróz.

– No to w jakieś bardziej prywatne miejsce.

Bardziej prywatnym miejscem okazuje się piwnica, w której jest niewiele cieplej niż na dworze. Stan rozkłada dwa metalowe krzesła i obaj mężczyźni siadają naprzeciw siebie.

– Posłuchaj, wiem, że przyszedłem spotkać się z twoją rodziną – mówi Wildey. – Ale poza tym chciałem pogadać z tobą poza ko-



misariatem, nie na ulicy. Coś mnie gnębi, jeśli chodzi o naszego koleżkę, Terrilla Lee.

- Mnie sporo rzeczy gnębi, jak o nim pomyślę.
- Ja mówię poważnie. Chyba miał trochę racji.
- Na temat?

Wildey wstaje.

- Przyniosę następne piwo. Coś mi mówi, że ci się przyda.

Stan wzrusza ramionami. Jest Nowy Rok. Dzień picia, bez względu na to, co jego partner ma do powiedzenia. Wildey podchodzi do piwnicznej lodówki, z rządka puszek schmidt'sa wyciąga jedną i rzuca Stanowi. Ten podważa palcem zawleczkę, odrywa ją i chowa do kieszeni koszuli razem z pozostałymi.

- Słuchaj, Stan. Powiem ci coś, czego nie mówiłem nikomu. I powiem tylko dlatego, że myślę, że sam też to widziałeś. A w tej sprawie muszę cię mieć po swojej stronie, chłopie.

- Wypluj to wreszcie. Nie chcę przegapić Polish American.

Wildey wykrzywia usta w bladym uśmiešku i wolno kręci głową.

- Szlag by cię trafił. Jak ja chcę żartować, to ty jesteś cały poważny. A jak ja mówię serio, ty pierdolisz o jakiejś orkiestrze.

- A kto tu niby żartuje?

Wildey wzdycha.

- W wolnym czasie trochę rozpytywałem. Pamiętasz, jak Stanton pieprzył o wilkach? Chyba mówił prawdę. W Dżungli krąży teraz najróżniejszy towar i podobno gangom sprzedają go biali.

- Towar?
- Heroina, człowieku. Helena. Proszek.

Stan pociąga duży łyk piwa.

- Co za biali?

- No właśnie... I to jest właśnie to, przez co oplujesz się schmidt'sem.

Stan, z puszką w dłoni, rozkłada ramiona, szykując się na cios.

- Może ten Plan, o którym gadał Stanton, istnieje naprawdę.

Zaraz potem Wildey zaznacza, że wszystkie dowody są anegdotyczne – nie może tego poprzeć żadnymi konkretami. Ale jego źródła to porządni ludzie: pastor Stebbens, kilkoro jego parafian,

inni mieszkańcy North Philly, którzy nic by nie zyskali na kłamstwie.

– W North Philly zawsze były ćpuny – mówi Wildey. – Ale teraz ten problem po prostu... – Rozkłada dłonie, naśladując ustami dźwięk eksplozji. – Nie zauważyłeś, że od paru miesięcy mamy dużo więcej roboty?

– Tak, ale czego to dowodzi?

– Daj spokój, człowieku, chyba nie muszę ci tego tłumaczyć jak dziecku. Jak masz głód, to zrobisz wszystko, żeby go zaspokoić. Napadniesz na sklep, ukradniesz samochód, dasz komuś w łeb, żeby zwinąć mu portfel. Dokładnie takie rzeczy mamy ostatnio u siebie.

– Dobra, w porządku. Ale skąd pomyśł, że odpowiedzialni są biali?

– Ci wszyscy porządni ludzie, o których powiedziałem, ostatnio widują w Dżungli sporo białych twarzy. Zupełnie nieznanomych. Eleganckie garnitury, ciemne okulary, wyglądają jak zarządcy domów.

– No nie wiem, George...

– Słuchaj, nie mówię, że mam twarde dowody. Ale wiesz, myślę, że powinniśmy mieć oko na tę sprawę. W każdym razie muszę wiedzieć, czy jesteś po mojej stronie. Że będziesz tego pilnował razem ze mną.

– Tak, dobra, George.

Wildey się uśmiecha, a potem klepie Stana po ramieniu.

– Dobry z ciebie chłop.

Stan odpowiada niepewnym uśmiechem, dopija piwo i zgniata puszkę. Nie wie, co o tym myśleć. Jeszcze miesiąc temu Wildey sam uważał, że ten Plan to jakieś brednie. A teraz węszy spisek? Stan nie wierzy w takie rzeczy. Nie potrzeba spisków – dość jest złych ludzi, robiących rzeczy, przez które to miasto staje się coraz gorsze.

Kiedy wracają na górę, żeby dołączyć do imprezy, Wildey pyta:

– Słuchaj, co to za płyta z polką, którą chciałeś mi puścić? Ta, którą Jimmy dał ci na gwiazdkę? „Kto ukradł Krishnę” czy jakoś tak

## POSŁUCHAJ JEJ, JIM

4 listopada 1995

- Co jest, Aisha?
- Przepraszam, że ci... przeszkadzam, kiedy jesteś, no, zajęty.
- Nie przeszkadzasz mi.

Jim wyobraża sobie, że jego partnerka przewraca teraz oczami, zupełnie mu nie wierząc.

- Słuchaj – mówi Aisha. – Nie wiem, gdzie teraz jesteś, ale Lauren Feldman, jedna z koleżanek Kelly Anne z pracy, asystentka redakcji, natychmiast chce z tobą rozmawiać.

- Nie możesz się tym zająć sama?
- Nalega na rozmowę z tobą.
- Dlaczego?
- Chyba tak działasz na kobiety.
- Goń się – odpowiada Jim i się rozłącza.

Potem dzwoni do pani Feldman i proponuje spotkanie w food courcie w Liberty Place, bo to niedaleko redakcji „Metropolitan”. Jest jednak sobota i Feldman nie pracuje, dlatego ze swej strony sugeruje Locust Room – niesławną knajpę w pobliżu Akademii Muzycznej, gdzie ludzie chodzą, żeby kogoś poznać. To takie miejsce, w którym forsa oszczędzona na tanim alkoholu spod baru przyda się później, kiedy będziesz płacił za dializę.

Godzinę później Feldman zamawia podwójny gin z tonikiem; Jim ogranicza się do yuenglinga, bo przecież dopiero południe. Wciąż jest niespokojny po porannej wycieczce do Juniata Park. Nie chce pogarszać sprawy mocnym alkoholem.

- Kelly Anne bzykała się z Mikiem – mówi Lauren tonem, który pewnie miał u niego wywołać szok.

Chodzi jej o Michaela Sarkissiana, redaktora wykonawczego czasopisma. Znanego również jako „ten z ułożoną fryzurą”. Dlaczego więc koleżanka Kelly przekazuje tę informację dzisiaj, w sobotę? Czy naprawdę chce podsunąć policji swojego szefa

jako podejrzanego? A może jeszcze bardziej pograć Kelly Anne Farrace?

Wszystkie te spekulacje prowadzi jednak Wewnętrzny Jim. Tymczasem Zewnętrzny Jim kiwa głową na znak, że rozumie, oczywiście, oczywiście.

– Proszę mi powiedzieć, co pani wie.

Lauren nie wie wszystkiego, jedynie to, co widziała w biurze: flirt, łapanie za tyłek, wiadomości głosowe. Michael jest starszy, żonaty, ma czwórkę dzieci, pochodzi z dobrej rodziny z zamożnego podmiejskiego Main Line. Jego żona to podobno gwiazda adwokatury. Im dłużej Lauren się nad nim rozpływa, tym bardziej Jimowi się wydaje, że pewnie ona także „bzykała się” z Sarkissianem. Jeśli miałby zgadywać, ich romans skończył się mniej więcej wtedy, kiedy w redakcji pojawiła się nowa dokumentalistka, Kelly Anne.

– Uważa pani, że pan Sarkissian miał coś wspólnego ze śmiercią Kelly Anne?

– Skąd! Oczywiście, że nie.

– To dlaczego mi to pani mówi?

Serio, paniusiu – my tę sprawę mamy już prawie rozwiązana.

Lauren zerka na swojego drinka.

– Bo jego żona to kompletna psycholka.

Jim mruga.

– Ta superadwokatka? Myśli pani, że ona to zrobiła?

– Osobiście? Nie, nie ona. Ale niech się pan zastanowi.

– Nad czym?

Lauren wydaje się poirytowana, że musi wszystko tłumaczyć.

– Może nawet wykorzystana do tego jakiegoś byłego klienta? Nie wiem. Tak tylko mówię, że powinniście sprawdzić temat. Nikt inny nie chce tego przyznać, ale wszyscy myślimy to samo.

Jim wypija łyk piwa, obserwując Feldman. Jasne, łatwo zlecić morderstwo. Wystarczy otworzyć książkę telefoniczną na hasło „płatni zabójcy”. A już dla tych bogaczy z Main Line to żaden problem. Pewnie trzymają w swoich wizytownikach kontakty do paru zawodowców, no bo nigdy nie wiadomo.

Na co więc liczysz, Lauren? Że to żona zabiła albo komuś zleciła

robotę, więc kiedy trafi za kratki, ty pocieszysz zrozpaczonego redaktora i jego czwórkę dzieci? Jim jest wkurzony, że ta kobieta marnuje mu czas. Zapewnia, że zajmie się sprawą, i zaznacza, że pisanie na ten temat oczywiście byłoby błędem.

– Byli razem w środę wieczorem – dodaje Lauren, kiedy Jim prosi o rachunek.

Jim opuszcza rękę i przez chwilę wpatruje się w kobietę.

– Gdzie? I o której godzinie?

Okazuje się, że pani Lauren Feldman dysponuje rachunkami, bo wczoraj – w piątek – Sarkissian złożył wniosek o zwrot kosztów, a ona zajmuje się wypełnianiem raportów dla księgowości. No cóż, sama ta informacja wystarczy, żeby cała rozmowa była warta zachodu. Może uda się opisać kolejny fragment ostatniej doby życia ofiary.

Lauren informuje: byli w Circa (wymawia to obrzydliwie: „czERKA”).

– Nie wiem, od której, ale Michael podpisał rachunek o dziesiątej czterdzieści. A potem wrócił pociągiem do Narberth.

Jim ma nadzieję, że za bardzo nie podskoczył na oczach asystentki redakcji, bo w środy wieczór około dziesiątej czterdzieści on również sączył martini w Circa. Prawdopodobnie nie tylko widział Kelly Anne podczas jej ostatniego wieczoru – być może widział też jej zabójcę.

Najważniejsze jednak, że to tłumaczy inicjały w kalendarzu:

MS.

Michael Sarkissian.

Przez ten krótki czas, kiedy Jim sączył jedno piwo w Locust Room, Sonya Kaminski zostawiła mu sześć wiadomości. Małe różowe karteczki POD TWOJĄ NIEOBECNOŚĆ zalegają na jego biurku jak confetti. Jim nie może chować się przed nimi wiecznie.

– Co tam, Sonyu?

– Kiedy ogłosisz nazwiska podejrzanych? Burmistrz bardzo by chciał, żeby sprawa już została zamknięta. Jest jeszcze czas, żeby temat trafił do niedzielnych gazet.

– Na razie zupełnie nie jesteśmy na to gotowi. Zatrudnili adwokata i walczymy o możliwość badania wariografem.

– Błagam, powiedz, że nie puścicie ich wolno. Musicie postawić ich przed sądem.

– Sonyu... Czy możemy przez chwilę pogadać nieoficjalnie? Udając, że nie reprezentujesz burmistrza?

– Oczywiście. Myślałam, że od początku to robimy.

– Ta sprawa nie jest taka oczywista, jak się wydaje. Mam poszlaki wskazujące na nowego podejrzanego. I z całym szacunkiem, jeśli na dwie minuty przestaniesz mi wierzyć tym swoim wysokim obcasem dziurę w brzuchu, to może zamkniemy wszystko przed wyborami.

– Ależ ty się lubisz droczyć, detektywie. Więc kto to taki? Powiedz, tak między nami.

– Sonyu, pozwól mi wykonywać moją robotę.

– Miałbyś dzisiaj czas na drinka? To znaczy po pracy. O ósmej mam coś u Nicole Miller, ale myślę, że gdzieś do dziesiątej zdążę stamtąd wyjść i dotrzeć do The Palm. Wtedy mi wszystko opowiesz.

– Jestem pewien, że będę wtedy zajęty.

– Twoja strata. Ale koniecznie mnie informuj, a zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Jim nie wie, dlaczego się wygadał z tym nowym podejrzanym. Tłumaczy sobie, że w ten sposób chciał na trochę uciszyć Sonyę i zapewnić sobie nieco luzu, by pracować bez konieczności ciągłego powiadamiania o postępach. Ale prawda jest taka, że Sonya bywa przydatna, więc Jim nie chce jej zrażać. Musi myśleć o swojej przyszłości, a zawsze dobrze, kiedy ktoś taki jak Sonya Kamiński jest ci winien przysługę. Na przykład ten drink, którego zaproponowała. Jim wie, że nie chodzi o nic więcej niż pracę. Po prostu Sonya chce zdobyć całą jego uwagę. Chce jako pierwsza poznać wszystkie brudy. Niech ma.

Zresztą Sonya może się przydać później, kiedy sprawy przybiorą dla niego paskudny obrót.

Kiedy Jim wraca do domu, jest już prawie po kolacji. Przy stole siedzą tylko Claire, Cary i Aud – Staś poszedł z Bethanne do Neshaminy Mall na film.

– Staś chciał iść na Czystą grę, ale Bethanne namówiła go na *Wakacje w domu* – wyjaśnia Claire.

To oznacza, że u Walczaków jest dość spokojnie, jeśli nie liczyć tego, że Audrey cały czas nuci pod nosem, nawijając spaghetti na widelec. Więcej sosu ma na twarzy niż na talerzu. Ale kiedy widzi Jima...

– TATA!

– Cześć, pomidorowy pysiu.

– Cześć, tato – mówi Cary.

– Nie sądziłam, że wrócisz – stwierdza Claire. – Czekał, podgrzeję ci w mikrofalówce.

Jednak Jim ledwo może jeść. Cały czas myśli o Terrillu Lee Stantonie. Wybrał swój bar. Zamierza coś zrobić. Ale co? I kiedy? Ten był więzieniem na pewno wciska swojemu kuratorowi jakieś brednie, ale nie będzie to trwało wiecznie. Może Terrill Lee jest głupi, ale zdaje sobie z tego sprawę.

Jim zerka na zegar wbudowany w mikrofalówkę. Za pięć siódma. Terrill Lee mógł już wrócić do baru, bo teraz jest więcej ludzi. W sobotni wieczór musiał tam być tłum. Właśnie o to chodzi. Chciał obrobić lokal, ale wczoraj wieczorem się spietrał. Dziś rano znowu obwąchiwał miejscówkę, ale spłoszył go właściciel. Ale teraz jest gotów to zrobić.

*(Albo już to zrobił, a ty się spóźniłeś, Jimbo. Znowu).*

Jim zastanawia się, czy nie powinien tam zadzwonić, żeby sprawdzić...

*(Co sprawdzić? Czy kręcą się tam jakieś podejrzone typy? To bar w Mayfair. Jest pełen podejrzanych typów).*

Właśnie zastanawia się nad jakąś wymówką na użytek Claire, żeby móc znów wyjść z domu – w końcu bar jest zaledwie dwie minuty jazdy stąd – kiedy wraca Staś. On też się dziwi, widząc ojca przy kuchennym stole.

*(Nie martw się, synu, normalnie by mnie tu nie było, ale podejrzewam, że w pobliżu zostanie popełnione przestępstwo, więc chcę*

*szybko dotrzeć na miejsce).*

– STOSHIE! – wrzeszczy Audrey. – Gdzie twoja dziewczyna?

– Musiała iść do domu. Cześć, tato.

– Jak film? – pyta Claire.

– No, w porządku. Słuchaj, tato... Masz chwilę, żeby pogadać?

Jim uświadamia sobie, że prawie nie słucha. Jakaś część jego mózgu krzyczy: Hej, dupku! Twój starszy syn chce z tobą porozmawiać. Nie spierdol tego, każąc mu powtarzać.

– Jasne, Stasiu – mówi Jim. A potem, po chwili namysłu, dodaje niemal od niechcienia: – Może się przejedziemy?

Ruszają Frankford Avenue na południe. Jim zachowuje się tak, jakby wybrał ten kierunek przypadkiem – gdzieś przecież trzeba jechać. Początkowo mało ze sobą rozmawiają. Jim widzi, że Staś chce się z czegoś zwierzyć, ale nie będzie go zmuszał. Zacznie mówić, kiedy będzie gotowy. I rzeczywiście...

– Myślałem o szkole – mówi Staś.

– To znaczy o tym, na którą uczelnię złożyć papiery? Rzeczywiście, to już ta pora roku.

– Nie. Nie chodzi mi o college. Chcę wstąpić do policji.

O rany. Claire to się nie spodoba. Zresztą Jim sam nie wie, co o tym myśleć. Szczerze mówiąc, nie przewidział tego. Staś jest w takim wieku, że bardziej niż cokolwiek innego w życiu interesuje go Bethanne. Jim założył, że syn pojedzie za dziewczyną na tę uczelnię, którą ona wybierze, a resztą będzie się martwił później.

– Tato?

– Słyszałem. Muszę to teraz przetrwać.

Chłopak robi nadąsaną minę.

– Myślałem, że się ucieszysz.

Oczywiście Jim jest rozdarty. Którego mężczyzny nie uszczęśliwiłaby wiadomość, że pierworodny syn, wybierając zawód, chce iść w jego ślady? Ale nie wtedy, gdy tym zawodem jest praca w policji. Jim ma świadomość, że sam właściwie tej profesji nie wybrał. To było nieuniknione. Kiedy ktoś zabije ci ojca, szukasz



zemsty. Możesz to zrobić nielegalnie albo w granicach prawa.

*(Na przykład łażąc wczoraj w nocy i dzisiaj rano za Stantonem? Czy to było w granicach prawa, Jimbo?)*

Jim znajduje wolne miejsce dokładnie naprzeciwko Mugsy's. Zastanawia się nad wymówką tłumaczącą, dlaczego tu przyjechali – mogłoby chodzić o obserwację związaną z zabójstwem Kelly Anne Farrace. Ale nie, tu chodzi o jego pierworodnego syna. Staś nie zasługuje na kalambury. Powietrze jest ostre i chłodne, temperatura spadła poniżej zera. Jim gasi silnik.

– Co my tu robimy?

– Człowiek, który zabił twojego dziadka, obserwuje ten lokal.

– Poważnie? Gdzie? – Staś wygląda przez okno, przykładając rękę do szyby.

Jest noc, i to zbyt zimna, żeby ktoś stał na dworze.

– Teraz go tu nie ma. Ale czuję, że może tu przyjść. Sądzę, że planuje napad.

Staś zastanawia się nad słowami ojca.

– Skoro zabił dziadka, to jakim cudem chodzi wolno?

– Za tamto morderstwo nigdy go nie skazano. W siedemdziesiątym drugim zamknęli go za zabójstwo związane z narkotykami. Wyszedł kilka miesięcy temu. A ja dowiedziałem się dopiero przed paroma dniami.

– Terrill Lee Stanton – mówi Staś.

Jim odwraca się do niego.

– Skąd znasz to nazwisko?

– Parę lat temu zajrzałem do twojego albumu z wycinkami.

Jim powinien dać mu w łeb za myszkowanie w jego prywatnych papierach, ale szczerze mówiąc, czuje ulgę. Nie będzie musiał wszystkiego tłumaczyć tak, jak trzeba by było pozostałym dzieciom.

– No to znasz całą historię.

– Chyba tak.

– Zostałem policjantem, bo czułem, że jestem coś winny twojemu dziadkowi. Przysiągłem, że go pomszczę. Znajdę człowieka, który to zrobił. Ale zanim mi się udało, było już za późno.

– Nie jest za późno! Nie możesz wznowić śledztwa? I go udupić?

Jim wzdycha. Chciał powiedzieć, że było za późno na wybór innego zawodu – a nie na skazanie Stantona za morderstwo.

– Wiem, co czujesz, ale niestety to się nigdy nie stanie. Sprawa ma trzydzieści lat. Wszyscy świadkowie nie żyją, nie ma żadnych dowodów materialnych. Kiedy byłem w twoim wieku, myślałem, że mi się uda, ale teraz mam już za sobą tyle zabójstw, że wiem, jak jest naprawdę. Największa szansa na dorwanie sukinsyna była w sześćdziesiątym piątym, ale nie wyszło.

Jim słyszy swoje własne słowa, a tymczasem Wewnętrzny Jim mu wymyśla.

*(Jeśli naprawdę tak myślisz, to co tutaj robisz?)*

– W każdym razie chcę powiedzieć, że nie musisz tego robić. Zapomnij na razie o policji. Idź na studia, zrób dyplom. Jeśli wtedy nadal będziesz chciał wstąpić na służbę, to świetnie. W policji potrzebni są ludzie z wyższym wykształceniem. Zwłaszcza w kryminalistyce. Rzecz w tym, żebyś miał tę szansę, której ja nie miałem.

– Ale tato, ja chcę to robić już teraz. Nie chcę tracić czasu.

– Dług rodzinny został spłacony. Myślę, że Walczakowie dość już zrobili dla Filadelfijskiej Komendy Policji.

Staś kręci się na fotelu pasażera.

– Nie o to mi chodzi – mówi w końcu.

– A o co?

– O morderstwo Kelly Anne Farrace. Kiedy o nim przeczytałem, zrozumiałem, czym chcę się zająć w życiu.

– Jak to?

– Śledzę tę sprawę w gazetach. Śledzę wszystkie twoje sprawy, tato, ale ta... Sam nie wiem. Jest straszna i w ogóle, ale jednocześnie się cieszę, że właśnie ty próbujesz złapać gnoja, który to zrobił. Nie mam pojęcia, czy to brzmi sensownie. Chcę robić to, co ty. Łapać ludzi, którzy myślą, że ujdzie im na sucho.

Jim opiera się w fotelu, trochę oszołomiony. Obaj siedzą w milczeniu na Frankford Avenue.

Z samochodu uleciało ciepło i do środka zaczyna wkradać się chłód. Przez moment Jim czuje ulgę. Pięć lat temu mieli z Claire trudny okres – bardzo niewiele brakowało, żeby się rozstali,

a Staś i Cary byli już na tyle duzi, że rozumieli, co się dzieje. Czasem Jim się obawiał, że Staś widział w nim tylko to, co najgorsze, więc teraz przez resztę życia przy podejmowaniu decyzji będzie sobie wyobrażał, co zrobiłby ojciec, a potem zawsze postąpi odwrotnie. Jima podniosła na duchu świadomość, że nie wszystko stracone. Że nie poniósł całkowitej klęski.

– Chyba jesteśmy już blisko ustalenia, kto zabił tę dziewczynę – mówi po chwili Jim.

– Poważnie? Kto?

– Tak tylko między nami?

– Oczywiście.

Jim trochę opowiada o ostatnich ustaleniach w śledztwie, starając się wykorzystać ten moment, by nauczyć syna, że zawsze trzeba wypatrywać drobnych szczegółów, nie wolno sięgać po najprostsze rozwiązania i należy słuchać instynktu. Ale trochę się też przechwala. Popisuje się przed chłopakiem, który kiedy dorosnie, chce być taki jak on. I przez moment czuje się dobrze z samym sobą i tym, co robi, czuje, że nie musi tego tłumaczyć Stasiowi ani się przed nim usprawiedliwiać. Chłopak to łapie. Może rzeczywiście byłby z niego dobry gliniarz.

– Tato...

– Tak?

– To on?

Jim patrzy.

I cholera, faktycznie, to on.

Terrill Lee Stanton. Przed wejściem do Mugsy's Tavern. Teraz już nie ma spuszczonej głowy. Jest pewny siebie. Wreszcie postanowił, co zrobi. I zrobi to wkrótce.

– Zostań tutaj – mówi Jim do syna.

– Pomogę ci.

Jim odwraca się i patrzy Stasiowi prosto w oczy.

– Mówię poważnie. Pod żadnym pozorem nie wysiadaj z samochodu. Czekaj, aż wrócę.

Stasiowi niezbyt się to podoba, ale nie ma wyboru: musi się zgodzić.

Jim porusza się tak, jakby nie kontrolował własnego ciała.

W jednej chwili wysiada z samochodu, ma w dłoni rewolwer, przecina Frankford Avenue, rzeczywistość zwalnia, wlecze się ospale, kiedy Stanton prostuje ramiona, a potem sięga do klamki...

– Stój!

Może to ze względu na obecność Stasia po drugiej stronie ulicy, ale wydarzenia toczą się zupełnie inaczej, niż Jim by sobie wyobrażał. Przede wszystkim: chowa broń i łapie Stantona za rękę, zanim ten zdąży otworzyć drzwi baru.

– Ej, co jest? Coś ty, kurwa, za jeden?

– Jestem facetem, który każe ci stanąć pod ścianą.

Stanton, z ręką wykręconą za plecami, uderza twarzą o ceglany mur, a Jim go obszukuje. Z baru dobiegają śmiechy, zmiany akordów pianina i nieczysty śpiew.

– Co ty robisz? Z policji jesteś czy jak?

– Morda, gnoju.

Jim znajduje portfel Stantona, schowany w lewej przedniej kieszeni polarowej kurtki – ha, żeby nikt cię nie okradł, co? Otwiera, widzi dowód tożsamości, potwierdza, że to on. Nie żeby miał wątpliwość.

Myśl, że teraz dotyka tego człowieka, jest surrealistyczna. Skóra prawej dłoni Jima styka się ze skórą prawej dłoni Stantona, dłoni, która trzydzieści lat temu trzymała rewolwer i pociągnęła za spust. Choć podobno komórki obumierają i się odradzają, prawda? Co siedem lat, tak kiedyś przeczytał Jim. Czyli kiedy zginął jego ojciec i posterunkowy Wildey, te komórki jeszcze nie istniały. Są praprawnuczkami tamtych komórek, mimo że ich właściciel jest ten sam.

– Błagam, człowieku. Ja nic nie mam.

– Nie chcę twoich pieniędzy. Obserwowałem cię.

– Co?

– Wczoraj wieczorem. Dzisiaj rano. Teraz. Pod tym barem. Co chcesz zrobić? Obrabować go? Jak za dawnych czasów!

Obszukując podejrzanego, Jim nie znajduje przy nim jednak żadnej broni. Nawet grzebienia. Jeśli rzeczywiście zamierzał napaść na bar, to albo wsadzając rękę do kieszeni kurtki i udając, że

palec to lufa, albo wykazując się naprawdę niezłymi jajami.

– No co ty! W życiu nie obrobiłem baru, przysięgam!

Jim postanawia to przemilczeć. Na razie.

– To co tutaj robisz, bandyto? Jesteś daleko od domu przejściowego.

Sytuacja ciągle jest kurewsko napięta, ale Jim czuje, że mięśnie pleców Stanton'a trochę się rozluźniają.

– Więc jednak jesteś gliną.

– Tak, jestem.

– Mogę zobaczyć odznakę... panie władzo?

– Stul pysk, kurwa, i odpowiadaj na pytanie. Co tutaj robisz?

– Przyszedłem się z kimś spotkać.

– Z kim?

– Z moim dzieciakiem. Moim synem. Pracuje w środku.

Tego Jim się nie spodziewał. Ten zjeb ma dzieci? Zwykle Jim skarciłby się za brak takiej wiedzy, ale teraz coś takiego w ogóle nie przyszło mu do głowy. Potwory nie mają dzieci. Potwory je zjadają. Niszczą ludziom życie.

Jim wzdycha, a potem każe Stantonowi usiąść na chodniku plecami do ściany, z rękami z tyłu.

– Jak się nazywa?

– Kto? Mój syn? Roger. Roger Howarth. Jego mama tak go nazywała.

– Więc jak tam wejdę i zapytam tego Rogera Howartha, jak nazywa się jego tatuś, to powie, że Terrill Lee Stanton?

Stanton kręci głową.

– On mnie nie zna. Nigdy mnie nie poznał. Moja dziewczyna była w ciąży, jak trafiłem do pudła. Więc nie wiedziałaby, o kim mówisz.

– Bardzo wygodne.

– To dlatego byłem tutaj wczoraj wieczorem i dzisiaj rano. Próbuję się zdobyć na odwagę, żeby z nim pogadać. Chodziłem tą ulicą chyba z milion razy. Ale ktoś mi powiedział, że on pracuje w tym barze, więc musiałem spróbować, rozumiesz? Masz dzieci, człowieku?

– Mam – odpowiada Jim. – Ojca też kiedyś miałem.

Na twarzy Terrilla Lee Stantona pojawia się dezorientacja.

– Co? O co ci chodzi?

– Nie pieprz mi tu, że nigdy nie napadałeś na bary. A niby dlaczego trafiłeś do pierdła na trzydzieści lat?

– Słuchaj, człowieku, już tyle razy to mówiłem, że nikt mi nie uwierzy, ale ja tego nie zrobiłem. Nie zabiłem tamtych policjantów. Ja próbowałem im pomóc.

Teraz, w tej właśnie chwili, Jim bardzo chętnie złapałby Terrilla Lee Stantona za uszy i zaczął walić jego łbem o ścianę baru, raz za razem, raz za razem, ŁUP, ŁUP, ŁUP, tak długo, aż cały tył czaszki byłby tylko krwawą miazgą, a on patrzyłby, jak światło w tych kłamliwych oczach powoli gaśnie i znika.

Och, to byłoby bardzo przyjemne.

Ale w aucie siedzi Staś, uważnie go obserwuje, więc Jim może tylko wyszeptać: „ty pierdolony kłamco”, a potem kazać Stantoniowi wracać na Erie Avenue, zanim na niego doniesie.

Kiedy wreszcie wsiada do samochodu i Staś pyta go, co się stało, Jim odpowiada:

– To nie ten facet.

## WRACAJ DO DOMU, AUDREY

10 maja 2015

Kiedy wracają z Lasów, Audrey raz po raz zerka na ojca. Kapitan jest zatroskany. Nie jak zwykle ponury, nie jak zwykle szorstki – naprawdę coś go dręczy, jakby zaszkodził mu posiłek. Na przykład złożony z małej kozy.

– O co chodzi? – pyta Audrey. – Szukasz najlepszego sposobu, żeby powiedzieć „a nie mówiłem”?

– Nie w tym rzecz. Myślę o tym, co powiedział nam Taney. O narkotykach, Wildeyu, Stantonie, wszystkim.

– Dlaczego?

– Bo historia, którą opowiedział mi czterdzieści pięć lat temu, była zupełnie inna.

Jadą w ciszy, zmierzając w stronę domu po Frankford Avenue. Audrey powstrzymuje się przed triumfowaniem. A więc Mała Adeptka Kryminalistyki miała jednak trochę racji, co? Ale triumfowanie to żadna przyjemność, kiedy adresat przechwałek wygląda tak, jakby ktoś wytarzał go jajami po piachu.

– Jak bardzo inna?

Kapitan milczy i jedzie dalej po Frankford Avenue ze stałą prędkością pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Audrey wygląda przez okno. W witrynach sklepów wiszą plakaty wyborcze. W tej okolicy przewijają się głównie biali kandydaci na burmistrza: KENNEY, DEHAVEN, raz po raz samotny WILLIAMS. Nie żeby to miało dla niej znaczenie. Ktokolwiek będzie rządził tym pojebanym miastem, i tak siedzi w kieszeni superbogaczy. Audrey nie zostanie tu dostatecznie długo, żeby poznać wyniki. Musi skończyć projekt i wracać do Bryanta.

– Tato?

Nic.

– Tato!

– Co, Aud? Co?

– Proszę, proszę, proszę, czy mogę w końcu obejrzeć akta sprawy?

Kapitan oczywiście nie ma oryginalnych akt sprawy – tylko ich własną wersję, którą zaczął gromadzić jako nastolatek ogarnięty obsesją wyjaśnienia tajemnicy zabójstwa ojca. Większość chłopców w wieku Jimmy’ego Walczaka kolekcjonowała karty z baseballistami; on zbierał wycinki artykułów z działu kryminalnego, fotografie miejsca zbrodni i swoje notatki napisane na maszynie na fiszkach. Wszystko to wklejał do albumu teoretycznie przeznaczanego na zielnik albo coś w tym rodzaju. Teraz podnosi ten album z biurka w piwnicy i rzuca córce. Audrey łapie.

– Musiałeś robić furorę na imprezach – mówi.

– Jak to?

– Nieważne.

Zaczyna kartkować strony, na których przeważnie znajdują się wycinki z gazet, fotografie i różne notatki sporządzone staranym charakterem pisma rodem ze szkoły katolickiej – notatki chłopca, który na lekcje chodził w krawacie w kratkę. Na ostatnich stronach albumu młody Jim Walczak skopiował jednak tyle materiałów z prawdziwych akt sprawy, ile tylko mógł. W tym zarysy ciał z małymi czerwonymi iksami w miejscach ran wlotowych.

– Jak się dorwałeś do tych akt?

– Taney dla mnie wypożyczył. Dał mi je na godzinę, a potem odniósł z powrotem. Pisałem, jak najszybciej potrafiłem, a potem przez parę godzin usiłowałem wynotować każdy szczegół, jaki zapamiętałem.

– Taney. Nasze pijane, rasistowskie źródło. Brałeś jeszcze potem te akta? To znaczy ty sam, kiedy zostałeś policjantem.

– Uznałem, że nie ma potrzeby. Wszystko, co ważne, przepisałem wcześniej, a zresztą wtedy Stanton siedział już w więzieniu.

– Kapitan stuka palcem w album. – Przez długie lata nawet do tego nie zaglądałem, aż Stanton zwolnili warunkowo w pięćdziesiątym piątym.



– Nie możemy ufać niczemu, co pochodzi od Taneya. On mi się nie podoba.

– Sympatia nie ma tu żadnego znaczenia. Chcesz powiedzieć, że wetknął mi fałszywe materiały? Po co miałyby to robić?

– Chcę powiedzieć, że powinniśmy iść do Roundhouse czy gdzieś i wypożyczyć prawdziwe akta sprawy.

No więc akt sprawy oczywiście brakuje. Podobnie jak wpisu, z którego wynikałoby, kto wypożyczył je jako ostatni.

Najpierw oboje udają się do Roundhouse, gdzie muszą się przedzierać przez tłumy ludzi dowcipkujących i klepiących Kapitana po plecach. Cześć, szefie, już wróciłeś? Patrzcie, kto się za nami stęsknił! Co jest, znudziło ci się Koło fortuny? Trwa to całą wieczność i jeszcze trochę. Kapitan znika na długie chwile, żeby pogadać z tym albo owym. Audrey musi czekać na metalowych krzesłach, a przechodzący gliniarze dymają ją wzrokiem jak jakąś kryminalistkę. Wie, że to przez dziary, a także pomarszczone dzinsy i poszarpaną niby-starą koszulkę N.W.A. Żałuje, że nie nosi naklejki z napisem NIE STRZELAĆ! CÓRKA KAPITANA albo coś w tym stylu.

Po tym wszystkim ostatecznie okazuje się... że całość dokumentów wydziału zabójstw sprzed 1980 roku przeniesiono do olbrzymiego archiwum miejskiego w pobliżu skrzyżowania Trzydziestej Pierwszej i Market Street, na obrzeżach Uniwersytetu Drexela. Archiwista jest uprzejmy, ale poszukiwania trwają wieczność i jeszcze dłużej, a w końcu gównem dają.

– Bywa, że coś zostanie błędnie zewidencjonowane – tłumaczy.  
– Bardzo mi przykro. Zanotuję, żeby pana powiadomić, jeśli te akta gdzieś wypłyną.

Kapitan dziękuje mężczyźnie. Audrey ma ochotę siłą zaprowadzić faceta z powrotem do archiwum i zmusić, żeby szukał dalej, ale ojciec kręci głową. Zupełnie jakby od początku przewidywał, że dokumenty się nie znajdą.

Co oczywiście sprawia, że Audrey zaczyna główkować. A jeśli to nie Taney jest źródłem błędnych informacji? Tylko jej ojciec?

Kiedy opuszczają archiwum, jest już pora obiadu. Wstępują do pubu w budynku komisariatu przy Trzydziestej Ulicy. Kapitan za-

mawia sałatkę cesar i piwo, a córce funduje również piwo oraz cheeseburgera deluxe. Nie chce postawić jej krwawej mary. Audrey trochę się dąsa. On ją ignoruje.

Obserwują przechodniów goniących korytarzami tam i z powrotem. I tak lepiej poczekać tutaj. O tej godzinie cała autostrada Schuylkill stoi jak jeden wielki parking.

– No więc – odzywa się Kapitan – czy masz wszystko, czego potrzebujesz?

– Bynajmniej – odpowiada Audrey z ustami pełnymi mięsa, cebuli, korniszonów i bułki. Żuje w trybie turbo i przełyka. – Żartujesz, prawda?

– Posłuchaj. Wiem, że jesteś dumna z tego, co znalazłaś na barze, ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaki on jest stary? Ile butów, kolan, parasoli i Bóg wie czego jeszcze złożyło go przez ostatnie stulecie?

– Umiem odróżnić dziurę po kuli od wgniecenia, tato. Płacisz sporą kasę, żebym się tego nauczyła.

– Zakładasz – odpowiada Kapitan – że w tym barze nigdy nie padły żadne inne strzały.

– Wątpię – mówi Audrey. – Zabarwienie było jednolite. Byłabym gotowa zeznać w sądzie, że pociski wystrzelono w tym samym czasie.

Kapitan wzdycha.

– Nie rozumiem, co chcesz znaleźć.

– No, nie wiem, tato. Może... prawdę? Dlaczego ja ci to muszę tłumaczyć? Przecież zajmowałaś się tym zawodowo!

– Chcesz, żebym wznowił śledztwo sprzed pięćdziesięciu lat tylko dlatego, że znalazłaś jakieś wgniecenia i zadrapania na barze?

Kapitan dźga sałatkę widelcem, jakby miał z nią osobiste porachunki. Audrey dopija piwo, ruchem głowy daje znak barmanowi, żeby podał następne, a gdy ten podchodzi, mruga powiekami i cicho pyta, czy nie dostałaby może krwawej mary. Barman przytakuje. Ojciec tylko kręci głową.

Daj sobie siana, stary. Korzystam z tego, że nie mogę prowadzić.

– Odwróćmy na moment ten temat – odzywa się w końcu Kapitan. – Opowiem ci, czego ja dowiedziałem się o tobie.

– O mnie?

– Ten numer, który się do ciebie dobija. Jest zastrzeżony, więc poprosiłem kogoś, żeby go sprawdził.

W Roundhouse, kiedy Audrey czekała na niego w nieskończoność... Ależ diabolicznie chytre, Kapitanie. Chłop jest stary, ale ciągle jeszcze zna parę sztuczek.

– Moje gratulacje – mówi Audrey. – A mogliśmy zaoszczędzić pięć godzin, gdybyś, no, nie wiem, po prostu mnie zapytał.

– Próbowałem. Powiedziałaś, że dzwonił Włoch Nic Mi Do Tego. Ja byłem innego zdania. Skoro mieszkasz w moim domu, jest to moja sprawa.

– Żartujesz, prawda? Mieszkam w twoim domu raptem od trzech godzin.

Reszta popijającej klienteli odwraca się w ich stronę. Kapitan ma to gdzieś. Nachyla się do córki.

– Kim są pan Jamie Tennellson i jego żona?

– Ty dupku.

– Jestem dupkiem, bo zadaję pytania? Powiedziałaś, że masz dwoje współlokatorów. Nie mówiłaś, że to czarnoskóre małżeństwo koło sześćdziesiątki.

– Jakie to ma znaczenie, że są Afroamerykanami?

– Żadne, Audrey. Ale ma znaczenie, że nie mówisz mi prawdy. Zakładam, że pieniądze na czynsz, które ci wysyłam, trafiają do Tennellsonów, zgadza się?

Nie, nie zgadza się, myśli Audrey. Ale chrzanić go. To właśnie przez takie pieprzenie ona od dwóch lat utrzymuje swoje życie – swoje prawdziwe życie – w tajemnicy.

– Chcesz, żebym mówił dalej, czy sama mi wszystko opowiesz?

– Chcę, żebyś się pierdolił – odpowiada Audrey i wychodzi.

Audrey znów siedzi w dudniącym po torach pociągu kolejki nadziemnej El linii Market–Frankford, słucha komputerowego głosu wymieniającego kolejne znajome stacje. Erie-Torresdale. Church. Margaret-Orthodox.

El okazuje się bardzo przydatna po kłótni z którymś z rodziców.

Cała podróż aż do Northeast za jedyne dwa dolce z groszami. Nie licząc dojazdu autobusem.

Który będzie potrzebny, bo Audrey nie jest w nastroju, żeby iść pieszo od skrzyżowania Bridge i Pratt aż do domu ojca w Mayfair.

Jadąc sześćdziesiątką, uświadamia sobie, że nie ma klucza. Ale to nic. Zna parę sposobów, żeby wkraść się do rodzinnego domostwa. Głównie przez piwnicę.

W której ojciec trzyma ten swój album z dokumentami na temat morderstwa.

Dobrze, Audrey sama przyznaje, że jest w tej chwili wściekła i skłonna myśleć o własnym ojcu jak najgorzej. Ale bez przesady. To strasznie dziwne z jego strony, że był taki niezainteresowany morderstwem własnego ojca, no nie? Zwłaszcza kiedy usłyszał, co odkryła.

Nie pozwolił jej obejrzeć albumu. Tylko szybko go przekartkował, opowiadając, co w nim jest.

Audrey potrzebuje tych materiałów.

To znaczy nie, tak naprawdę potrzebuje oryginalnych akt sprawy. Jeżeli jako pierwotne źródło wskaże album ojca, wykładowczyni umrze ze śmiechu.

A jeśli to Kapitan wypożyczył akta wiele lat temu i one leżą gdzieś w piwnicy?

Daj spokój, Audrey Kornbluth-Walczak, wypłuj to z siebie. Przyznaj, co naprawdę myślisz.

Że twój własny ojciec zabił człowieka, którego podejrzewał o zamordowanie swojego ojca. Wtedy, w listopadzie 1995 roku, tuż po zwolnieniu tamtego z więzienia.

Audrey rozmyśla o własnym dzieciństwie, próbuje zlokalizować moment, kiedy wszystko się posypało. Hmm, to byłby 1995 rok, ten, w którym Terrill Lee Stanton wyszedł warunkowo. Ten sam, w którym rozstali się jej rodzice. Przecież pamiętasz tamto okropne, pijackie Święto Dziękczynienia. Boże Narodzenie bez taty. Walentynki w 1996 roku, kiedy Claire posadziła cię naprzeciw siebie i wyjaśniła pięcioletniej dziewczynce, że tatuś już nie długo przestanie z nami mieszkać.

Co mogło sprawić, że ojciec tak się stoczył?

Detektyw z wydziału zabójstw zaplanował i dokonał morderstwa doskonałego. To mogło być to.

Ale w takim razie dlaczego zgodził się jej pomóc?

Bo tak robią gliniarze z wydziału zabójstw. Pozwalają ci się wygadać, wszystko opowiedzieć. Trzymają cię za rękę, aż dojdiesz do końca historii, aż tu nagle bum! – jesteś w kajdankach i czekasz na krzesło elektryczne.

Szpera w piwnicy w rzeczach ojca, szukając prawdziwych akt sprawy, ale jakoś wie, że ich tam nie znajdzie. Podejrzewa, że Kapitan je spalił. Może nawet podczas grilla w trzydziestą rocznicę zabójstwa dziadka Stana.

*Proszę bardzo, dzieci, dodatkowa przyprawa do kielbasy.*

Nie, to nie mogło być tak. Był maj 1995 roku, a Terrill Lee Stanton wyszedł dopiero w sierpniu. Audrey musi sprawdzić, kiedy zginął, w jaki dokładnie sposób, jakimś cudem ustalić ruchy ojca mniej więcej w tym czasie...

Zaraz.

Jak zwykle przegapiła prawdziwe pytanie.

Prawdziwe pytanie brzmi: czy Terrill Lee Stanton to zrobił?

Na podstawie pobieżnych oględzin baru odpowiedź musi brzmieć: nie. Chyba że trzymał dwa rewolwery i strzelał z nich jednocześnie, w stylu gangsta, pod dziwnym kątem. Może był jednym ze strzelców – ale jeśli tak, to przyszedł z kolegą. Wyjaśnienie ojca, że Stanton miał współnika, nie bardzo się klei. No bo czemu nie wydał tajemniczego drugiego sprawcy w zamian za lżejszy wyrok. Cholera, przecież gdyby wskazał mordercę policjantów, pewnie skróciłby sobie odsiadkę o połowę.

Nie. To bez sensu.

Boże, czy ona naprawdę zamierza to zrobić? Prześledzić sprawę do samego końca – co może oznaczać, że ojciec wylądaje za kratkami?

Dzwoni jej tandetna komórka. Miejscowy numer, którego Audrey nie rozpoznaje. Czyli może to być praktycznie każdy w obrę-

bie Filadelfii, bo pewnej nocy rok temu z wściekłości skasowała po pijanemu wszystkie kontakty.

Rzyk-fizyk: jaka jest szansa, że dzwoni ktoś, z kim autentycznie chciałaby rozmawiać?

Spis połączeń jest już wypełniony telefonami z numeru w Houston, którym nie chce się teraz zajmować.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi odbiera połączenie.

– Zaimponuj mi – mówi.

– Aud, to ja.

– Jakie ja?

– Cary!

Jej brat. To imię składa się tylko z dwóch sylab, obie jednak przepełnia bezbrzeżna panika. Cary brzmi tak, jakby był pijany i przed chwilą płakał.

W głowie Audrey włącza się wewnętrzny alarm: O Boże, tata. Coś się stało z tatą. Ja tu grzebię w jego papierach, a on gdzieś tam łapie się za pierś, pada na kolana i...

– Gadaj, Care! Coś nie tak z tatą?

– Nie... Chodzi o Stasia.

## UPARTY STAN

*6 lutego 1965*

– Stan! No chodź już, kurwa!

To jest to. W końcu. Stan jest tego pewien tak, jak pisowni własnego nazwiska: to jest ten wieczór, kiedy wreszcie zginie przez swojego partnera.

– Już, już, już! – Wildey woła stłumionym głosem.

Ale Stan ledwo go słyszy, kiedy otwiera frontowe drzwi i wchodzi do zimnego budynku, podczas gdy jego partner wspina się po schodach przeciwpożarowych.

Po wielu tygodniach fałszywych tropów ich szpicel, Terrill Lee, poinformował, że to wydarzy się dziś wieczorem. Duża transakcja heroinowa na ostatnim piętrze trzypiętrowego budynku mieszkalnego przy skrzyżowaniu Dwudziestej Drugiej i Diamond. Wildey bardzo się podniecił. Idziemy po was, białe wilki. Wreszcie obejrzymy sobie wasze twarze.

Stan nie jest przekonany. Jaki w ogóle mają powód, żeby wejść do tego budynku? Słowa gościa, który sam nazywa się mąciacielem lubiącym, kiedy wszystko płonie? Równie dobrze na trzecim piętrze może czekać zasadzka. Kotlet z psa, dwa w cenie jednego.

Ale chociaż Stan w duchu gdera, to mimo wszystko zasapany włązi po schodach – w budynku nie ma windy. Wildey zasugerował atak z dwóch stron, żeby się upewnić, że nikt nie zwieje tylnym wyjściem. Wyjaśnił, że jego tatuś gliiniarz, John Quincy, który urządził w czasach Prohibicji więcej nalotów na nielegalne bary niż ktokolwiek inny w policji, nauczył się jednej ważnej rzeczy: trzeba zawsze obstawiać wszystkie wyjścia. Stan nie powiedział tego głośno, ale jest pewien, że jego ojciec też miałby na ten temat coś do powiedzenia.

Schody wydają się nie kończyć. Farba na ścianach jest brudna i obłupana, wytarty dywan to chudy cień samego siebie. Stan założyłby się, że nikt tu sobie nie zawracał głowy konserwacją od

lat czterdziestych, kiedy w okolicy zaczęli się osiedlać czarni. W korytarzach pachnie tłuszczem – jakąś zagraniczną kuchnią pełną egzotycznych składników.

Wreszcie Stan dociera na trzecie piętro i znajduje właściwe mieszkanie – 3B. Wyjmuje służbowy rewolwer, a potem przykładając ucho do drzwi. Męskie głosy, mamrotanie. Ostry śmiech, ha, ha, ha. Za chwilę przestaniecie się śmiać. Kiedy robi krok do tyłu, czuje w ustach metaliczny smak. To jego własna krew. Niedobry znak. Zbiera się w sobie przed czekającym go zadaniem. Po prostu otwórz drzwi z kopa, weź ich na muszkę, każ wszystkim podnieść ręce do góry. No wiesz: zrób to, co Jimmy’emu wydaje się, że robisz cały czas. Jak bohaterscy gliniarze.

Wtedy rozlega się głośny brzęk – tłuczonego szkła.

I okrzyk bojowy:

– Nie ruszać się, skurwysyny!

Szlag by to, myśli Stan. Co jest? Przecież Wildey się zgodził, że Stan wkroczy pierwszy, weźmie ich z zaskoczenia, a potem on otworzy okno i wejdzie do środka.

Gdy Stan się odchyła i przerzuca ciężar ciała na tylną nogę, żeby wyważyć drzwi...

One się otwierają.

Na progu stoją dwaj biali faceci w ciemnych garniturach, z bronią w ręku, obaj równie zaskoczeni na widok Stana, jak on na widok ich.

– O cholera – mówi jeden. Jest krótko ostrzyżony, ma gęste brwi i świdrujące oczka. – Niezręczna sytuacja.

Stan zagania facetów z powrotem do mieszkania, trzymając ich na muszce. Już opuścili broń, dodając prośbę: „bez nerwów”. On ignoruje ich i woła do partnera:

– Wszystko w porządku, Wildey?

Wildey tymczasem mierzy z rewolweru do trzech czarnych, ubranych tak, jakby szli na imprezę. Z kolei jeden z nich, istny buldog o szerokim karku, celuje do niego ze strzelby.

– Mówiłeś, że nad wszystkim panujesz – odzywa się buldog.



– Zamknij się, Sam – odpowiada jego kolega. – Ani słowa więcej! Wildey patrzy buldogowi prosto w oczy.

– To jak będzie, Bey-Bey? Odłożysz broń czy zrobisz coś głupiego?

Bey-Bey mruży oczy i lekko przekrzywia głowę.

– Ja cię znam?

Stanowi zupełnie się to nie podoba. Strzelba buldoga mogłaby rozerwać Wildeya na pół i wywalić obie części z powrotem przez okno.

– Tak, ja znam ciebie, Bey-Bey – mówi Wildey. – Ile razy zamykałem cię za napady na szulernie w West Philly? Nie spodziewałem się ciebie w tej okolicy.

– Wildey – odpowiada tamten tonem oznaczającym, że wreszcie go rozpoznał.

– Więc może odłożysz tę broń i pogadamy o tym, co zrobimy za chwilę.

Jednak za chwilę Samuel „Bey-Bey” Baynes przeładowuje strzelbę z głośnym KA-CZAK. Jego dwaj towarzysze sztywnieją. Jasna cholera, czy on naprawdę chce zabić tego glinę tutaj, w tym mieszkaniu?

Stan zapomina o białych i kieruje rewolwer na Bey-Beya.

– Nie rób tego, chuju.

– Wszystko w porządku, Stan – odpowiada Wildey. – Bey-Bey nie jest głupi.

Bey-Bey rzeczywiście nie jest głupi. Ale również nie zamierza dać się teraz zapudłować. W tym mieszkaniu jest kupa heroiny i on wie, że to wystarczy, by go pogrążyć. Właśnie dlatego nagle celuje strzelbą w sufit i pociąga za spust. KA-BLAM!

W górze eksploduje tynk – białe gówno sypie im się na głowy. Od wybuchu Wildey się zatacza i właśnie o to chodziło Bey-Beyowi, który teraz rzuca się naprzód, używając strzelby jak tarana.

Stan już ma pociągnąć za spust, kiedy dwaj biali wykorzystują okazję, żeby zwalić go z nóg.

Strzelba Bey-Beya całą długością wali o przedramiona Wildeya, wypychając go przez stłuczone okno na schody przeciwpożarowe.

Stan nie widzi, co dzieje się później, bo dwaj biali pięściami i kopniakami napieprzają w niego ile sił. Czuje się tak, jakby kręcił się w suszarce do bielizny razem z paroma cegłami – nie można przewidzieć, gdzie padnie następny bolesny cios. Mimo to Stan mocno trzyma rewolwer. Nigdy, przenigdy nie wolno wypuścić broni. Ciosy i kopniaki zniesie, ale jeśli któryś sukinsyn sięgnie po własną spluwę, on będzie musiał się bronić. A nie chce być dziś zmuszony do zastrzelenia kogoś – jeżeli da się tego uniknąć.

Po kilku uderzeniach staje się jednak jasne, że białych bardziej interesuje uciezka. Jeden wypada przez drzwi i leci w stronę schodów.

– Chodź! – woła do towarzysza, tego krótko ostrzyżonego.

O, nie ma mowy. Stan wyciąga rękę i mocno łapie krótko ostrzyżonego za nogawkę. To wystarczy, żeby go zaskoczyć i przewrócić z impetem. Facet drapie paznokciami o wytarty dywan, usiłując się podnieść, ale Stan już podciąga się po jego nogach, wciąż ściskając rewolwer w prawej dłoni. Jeśli uda mu się doczołgać na samą górę, solidnie rąbnie gościa w łeb, żeby przestał się rzucać.

Jednak krótko ostrzyżony obraca się i wali Stana pięścią w czubek głowy. To boli. Bardzo. Stan znowu czuje w ustach smak krwi. Krótko ostrzyżony zaczyna się szarpać, wali łokciami i kolanami o podłogę, usiłując się podnieść.

– Puść mnie, tępy sukinsynu!

A potem się uwalnia. Stanowi udaje się go znowu dopaść u szczytu schodów i chwycić za nogawkę. Obaj staczają się po stopniach, wymachując kończynami, żeby spowolnić upadek. Ciosy wydają się nadchodzić ze wszystkich stron. Po chwili trudno stwierdzić, co jest stopniem, a co pięścią albo łokciem.

Stan ściska jednak rewolwer jak w imadle.

I kiedy obaj mężczyźni docierają na sam dół, krótko ostrzyżony leży zwinięty w kłębek, a Stan mierzy do niego z broni i oznajmia mu, że jest aresztowany.

Zanim Stan zdąży zakuć gościa w kajdanki, nadjeżdżają inne czerwone radiowozy z dwudziestego drugiego – sąsiedzi musieli

usłyszeć wystrzał ze strzelby i wezwać policję. Stan popycha krótko ostrzyżonego w kierunku dwóch mundurowych, a potem rzuca się biegiem za róg budynku, nawołując partnera.

Willey jest już na dole. Idzie zaułkiem od strony schodów przeciwpożarowych, ciągnąc za sobą nieprzytomnego Bey-Beya. Koszulę ma wyciągniętą ze spodni, twarz i ręce mu krwawią, lecz mimo to jest uśmiechnięty.

– Fajnie było – mówi. – Zróbmy to jeszcze raz.

## POSEPNY JIM

5 listopada 1995

Kiedy Jim otwiera oczy w niedzielę rano, jest w pełni gotowy na to, że będzie bolało. Wie, że będzie bardzo źle, bo nie pamięta, jak poszedł do łóżka – ani jak wstawił szklankę do zlewu, ani jak się rozebrał, ani jak przykrył się kołdrą, nic z tych rzeczy. Począwszy od pewnego momentu, ma w głowie kompletną pustkę, a on musi naprawdę obrzydliwie dużo wypić, żeby urwał mu się film.

Ostatnią rzeczą, jaką pamięta, jest to, że wrócił do domu ze Stasiem. Ręce trzęsły mu się z wściekłości i modlił się, żeby nikt tego nie zauważył. Claire oznajmiła, że Michael Sarkissian z „Metropolitan” zostawił mu wiadomość. („Piszą coś o tobie?” – zapytała. „Mam nadzieję, że nie” – odpowiedział). A potem oddzwonił do Sarkissiana.

Sarkissian się wściekał, że Jim prosi o spotkanie w niedzielę, ale on nalegał – mówił, że musi z nim omówić ważny wątek dotyczący Kelly Anne.

– Potrzebny mi adwokat? – zażartował Sarkissian.

Jim się wahał, czerpiąc przyjemność z kilku sekund panicznego milczenia w słuchawce, a potem odpowiedział:

– Nie, nie sędzę. Chcę tylko zweryfikować parę faktów.

A potem poszedł do piwnicy, żeby czytać album z aktami morderstwa i fantazjować o tym, co powie Terrillowi Lee Stantonowi prosto w twarz, kiedy spotkają się następnym razem. Bo następny raz będzie z całą pewnością.

*Ty jebany tchórze.*

*Nawet mu się nie przedstawiłeś.*

– Detektyw Jim Walczak, zjebie. Zamordowałeś mi ojca.

*Koniec z unikami. Hodujesz w żółtku tę zimną kulkę nienawiści od trzydziestu lat. Pora upuścić z niej trochę powietrza. Chociaż tyle jest ci winien ten zaszary morderca. Przynajmniej jakieś wyjaśnienie. Przeprosiny. Cokolwiek.*

Jim pamięta, że nalał sobie wódki z lodem, czytając w kółko wycinki prasowe ze znajomymi nagłówkami. DWAJ POLICJANCI ZABIĆ W BARZE W FAIRMOUNT. Oraz WCIĄŻ BEZ ODPOWIEDZI W SPRAWIE MORDERSTWA DWÓCH POLICJANTÓW. Włączył Rolling Stonesów, nalał sobie następną wódkę – ta pierwsza sama zniknęła – i znowu przeniósł się w czasie do tamtego piątku w maju 1965 roku. Co kazałby mu zrobić on sam jako dwunastolatek, skoro już wie, że zabójca taty jest zaledwie kilka kilometrów stąd?

*Znasz odpowiedź, tchórze. Właśnie to chciałeś zrobić od początku. Wyciągnąć rewolwer z kabury, wyważyć drzwi kopniakiem, wpakować mu lufę do ust, zmusić, żeby błagał o życie, a potem w zamian za darowanie życia kazać mu opowiedzieć, co się wydarzyło.*

*Jedyny człowiek na świecie, który wie, co się stało tamtego dnia w tamtym barze, znajduje się zaledwie kilka kilometrów stąd. Dziś rano i dziś wieczorem przegapiłeś szansę. Jutro rano zrobisz to tak, jak trzeba.*

Ale kilka wódek z lodem później ten sam głos zapytał: *A dlaczego nie teraz?*

Jim pamięta, że obszedł sylwetkę najstarszego syna śpiącego na kanapie, że kiedy wychodził na dwór, w domu panowała cisza, że usiadł za kierownicą, wrzucił wsteczny, stuknął samochód zaparkowany za nim, zaklął. A potem...

Ni chuja nie ma pojęcia.

– Czy ta rozmowa może być nieoficjalna?

Jim po raz pierwszy słyszy te słowa z ust dziennikarza. W niedzielne południe cała redakcja „Metropolitan” jest opustoszała. Światła zgaszone. Przy biurkach nikt nie siedzi. Z wyjątkiem biurka Sarkissiana, oczywiście. Mężczyzna ma na sobie swobodny niedzielny strój: koszulkę polo z długim rękawem, spodnie khaki i trampki. Ot, wzorowy mąż i ojciec musiał na chwilę skoczyć do

biura po notatki, których wcześniej zapomniał. Tak przynajmniej powiedział zapewne swojej żonie w Narberth.

– Tu chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa – mówi Jim.

– Ale także o moje małżeństwo.

– To już sprawa między panem a żoną. Ja tu jestem ze względu na Kelly Anne Farrace. Proszę mi zatem powiedzieć, jak długo trwał państwa związek?

Sarkissian, poirytowany, opiera się w fotelu.

– Jak już mówiłem, czy możemy rozmawiać nieoficjalnie?

Jim rozkłada ręce, niby na znak zgody, ale takie rzeczy jak „rozmowa oficjalna” i „nieoficjalna” mają znaczenie dla dziennikarzy, nie dla policjantów.

– Ja po prostu chcę poznać prawdę.

Michael Sarkissian ma trzydzieści dziewięć lat, jest przystojny, to absolwent Uniwersytetu Pensylwanii, i tak się składa, że właśnie w jego rękach były klucze do kariery Kelly Anne Farrace.

– Zaczynaliśmy jako mentor i uczennica, rozumie pan? Chciała pisać dla naszego czasopisma, a ja kieruję działem artykułów. Podrzucała mi teksty, a ja mówiłem, jak je ulepszyć, jak podkreślić, żeby były zaskakujące... Tego typu rzeczy.

Jim przytakuje. Jasne. Przestało mu łupać we łbie, ale w każdej chwili może zwymiotować. Mocno stawia stopy i ogranicza ruchy do minimum. Widząc to, Sarkissian pewnie myśli, że Jim odgrywa surowego glinę.

– Zaprzyjaźniliśmy się i... no cóż, po jakimś czasie wyszło z tego coś więcej. Coś, czego teraz żałuję.

– Wyszło?

– Nie planowałem tego. Ona też nie.

Zewnętrzny Jim kiwa głową, jakby rozumiał, okazuje całkowitą empatię. Wewnętrzny Jim nie daje się nabrać. *Weź nie pierdol. Żadne „wyszło”. Chciałeś się przekonać, jak to będzie wsadzić jej chuja w usta. Albo w dupę.*

– Nie mieliśmy siebie na wyłączność – dodaje Sarkissian.

– No, oczywiście. Jest pan żonaty.

– Nie, chodzi mi o to, że spotykała się z innymi mężczyznami.

– I pewnie nie podała panu żadnych nazwisk? Bo próbuję spo-

rządzić listę osób najbliższych związanych z Kelly Anne.

– Nie, nigdy o nikim nie mówiła z nazwiska. Tylko że widuje się z innymi. Nie chciała, żeby doszło do nieporozumień.

– A doszło?

Sarkissian kręci głową i mruży oczy. Oczywiście, że nie.

– Czy w noc poprzedzającą śmierć Kelly Anne uprawiała z panem seks?

Przerażona mina.

– Nie.

Jim wie, że to kłamstwo. Gość ma je wypisane na twarzy. Czy to był szybki numer w szatni w Circa, czy poszłście do niej?

– Cóż, z kimś uprawiała – mówi Jim, po czym dzieli się z redaktorem ustaleniami koronera.

Ma wyrzuty sumienia, że czerpie przyjemność z obserwowania sprzecznych uczuć mężczyzny.

Teraz rozmawiamy oficjalnie czy nieoficjalnie, panie Sarkissian?

Jedzie do domu, bo Claire chce, żeby wrócił. Nie, „chce” to za mało – praktycznie tego zażądała. Mimo że Jim musi powiadomić Aishę o tym, czego się dowiedział, że ma ochotę pociągnąć wątek Sarkissiana, no i bardzo by chciał zobaczyć, co porabia Terrill Lee Stanton w Dzień Pański...

(Nie pamiętasz, Jimbo?)

Jednak dla Claire niedziele są święte. „Przecież jesteś Żydówką – zażartował kiedyś. – Nie powinnaś czcić sobót?” Jej wcale to nie rozbawiło. Wystarczy, że Jim w południe musiał jechać do centrum, żeby porozmawiać z dziennikarzem. Owszem, Claire rozumie, że policjanci z wydziału zabójstw są na służbie całą dobę. Praca właściwie nigdy się nie kończy. Kazała jednak obiecać mężowi, że kiedykolwiek będzie miał możliwość – o ile to w jego mocy – niedzielę zostawi sobie wolną.

„Pewnego dnia się obudzisz i zobaczysz, że dom jest pusty. I zazniesz tęsknić za wszystkim, co ci uciekło”.

Nie w tym rzecz, że Jim nie chciałby być w domu. Ale nie umie być w nim tak po prostu, tak żeby nie dręczyły go żadne inne myśli.

Audrey chce zagrać w *Sorry!* i wesoło rozstawia pionki na stole

w jadalni. Jim siada obok niej. Wciąż kotłuje mu się w żołądku. Claire uśmiecha się do nich w drodze do kuchni – uwielbia patrzeć, jak mąż bawi się z dziećmi.

Pionki przesuwiają się po planszy, a Audrey z wyjątkową radością posyła te ojcowskie z powrotem na początek.

– Sor-RY, tato!

Większość gier planszowych doprowadza Jima do szału. Nie widzi w nich sensu, polegają wyłącznie na automatycznym powtarzaniu czynności. A szczególnie ta. Audrey jednak ją uwielbia, więc Jim siedzi cicho i gra. Uznaje, że to pokuta za wczorajsze chłanie.

Chciałby móc zapytać ojca, jak on to robił. Jak radził sobie z rodziną. Fakt, tatko zawsze patrolował ulice. Nie zamęczał się morderstwami. Ale nawet pod koniec kariery, kiedy przydzielili mu najgorszą dzielnicę w mieście, Stan Walczak był w domu. Był obecny. Pił sok pomidorowy i śmiał się z Jimem rano przed lekcyjami. Budził się, zanim chłopak wrócił ze szkoły, i robił mu coś do jedzenia. Zabierał go na mecze Phillies. *(Kiedy ty ostatnio wzięłeś dzieci na stadion?)* Tatko nigdy nie gadał o pracy. Jakimś cudem zostawiał ją w radiowozie.

– Twoja kolej, tato – mówi Audrey.

Jim odsłania kolejną kartę. Cały czas ledwo zwraca uwagę na grę i pewnie dlatego mała daje mu wycisk. Ale nic na to nie poradzi. Usiłuje wygrzebać z pamięci resztki wspomnień zeszłej nocy, ale to bolesne, trudne.

Zaczyna się zastanawiać, czy zrobił coś strasznego, na przykład wyszedł z domu, wsiadł za kierownicę i pojechał do ośrodka przejściowego przy Erie Avenue.

*(Kazałeś mi błagać, prawda, Jimbo?)*

Telefon dzwoni jeden raz i bach – Audrey zrywa się od stołu i pędzi do ściany, żeby podnieść słuchawkę. Uwielbia odbierać jako pierwsza. Albo naciskać guzik windy. Albo doskakiwać do drzwi wejściowych. Potrafi dać człowiekowi z łokcia w twarz, byle go wyprzedzić.

– Tatusiu, jakaś pani do ciebie.

Jim bardzo stara się nie uśmiechnąć.



– Czy to detektyw Mothers, kwiatuśku?

Audrey wzrusza ramionami. Skąd miałyby wiedzieć? Po prostu jakaś pani.

– Dzięki, Aud. – Jim przykłada słuchawkę do ucha. – Detektyw Walczak.

– Nie do wiary. To niby jest twój podejrzany?

Jim mrozi w żołądku, kiedy rozpoznaje głos.

– Cześć, Sonyu.

Claire unosi brew, niecierpliwie mieszając kawę. Jim mówi bezgłośnie: „praca”.

– Dlaczego nachodzisz Mike’a Sarkissiana? – pyta Sonya. – Naprawdę chcesz puścić wolno tych dwóch bydlaków, którzy zgwałcili i zamordowali Kelly Anne? Jesteś gotów, żeby „Metropolitan” cię ukrzyżował?

Jim domyśla się, że teraz z polecenia burmistrza Sonya zajmuje się tą sprawą już na pełen etat. Całodobowa opieka i dokarmianie wydziału zabójstw w weekend przed wyborami. Śledzenie krok w krok, kwestionowanie każdej decyzji.

– Czy Sarkissian jest twoim kolegą?

Staś udaje, że bawi się resztką spaghetti, ale on także słucha. Jim uświadamia sobie, że chyba powinien prowadzić tę rozmowę w innym pokoju.

– Litości – odpowiada Sonya. – To rozwydrzony gówniarz. Uwierz mi, gdyby miał cokolwiek wspólnego z tym morderstwem, robiłabym na golasa pajacyki pośrodku Rittenhouse Square. Ale nie miał. Tracisz czas. I wkurzasz kogoś, kto może nam strasznie uprzykrzyć życie.

Zewnętrzny Jim na razie jest cierpliwy. Burmistrz może się okazać ważnym sojusznikiem. Przełożonym Jima bardzo zależy na tym, by odgrywał posłusznego żołnierzyka. Ale Sonyi najwidoczniej Zewnętrzny Jim nie pasuje. Pora zatem, żeby dostała trochę Wewnętrznego. Jim bierze telefon bezprzewodowy i wychodzi z nim do kuchni, gdzie nie usłyszy go rodzina.

– Sonyu – mówi najbardziej stanowczym szeptem, na jaki umie się zdobyć. – Daj mi święty spokój.

Ona nie oburza się ani nie protestuje. Jim ma wrażenie, że to się

jej podoba. Zmusiła go do reakcji.

Oddychaj głęboko. Pozwoliłeś Wewnętrzznemu Jimowi na moment pokazać swoją twarz i to jest w porządku. A teraz połóż go do łóżeczka i niech resztą zajmie się Zewnętrzny.

– Sarkissian był z Kelly Anne osiem godzin przed jej śmiercią – mówi. – Niewykluczone, że jako ostatni widział ją żywą. Nie mogę tego zignorować.

Sonya wzdycha.

– Ty to wiesz, jak dziewczynę wyruchać w dupę, detektywie Walczak. – Ciekawy dobór słów. – Posłuchaj, znam Mike'a. On nie miał z tym nic wspólnego. To nie ten typ. Nie zgłosił się sam tylko dlatego, że to by się rozeszło i zniszczyło mu małżeństwo.

– Nie badam jego małżeństwa. Próbuję ustalić, co spotkało Kelly Anne.

– To mogę ci coś poradzić?

– Mianowicie?

– Stąpaj ostrożnie.

– Co to ma znaczyć?

– Ma znaczyć, że osiem godzin przed śmiercią panny Farrace niedaleko znajdował się jeszcze ktoś, kogo znam. Nie spytałeś czasem Michaela, dokąd zabrał na drinka tę swoją weryfikatorkę? To aktualnie bardzo popularny lokal. Może nawet ostatnio sam tam byłeś? Na przykład w środę wieczorem?

I nagle Jim już rozumie, czemu ma służyć ta rozmowa.

## ZAGUBIONA AUDREY

10 maja 2015

Audrey nie ma wyboru: jedzie sześćdziesiątką i El z powrotem do Center City, na róg Ósmej i Spruce, do Szpitala Pensylwańskiego. Tata pewnie wciąż tam jest, a ona nie ma samochodu. Nikt nie może po nią przyjechać. „Choć raz przestań myśleć o sobie, Audrey – powiedziała jej Jean, a w tle darły się dzieci. – Słuchaj, muszę lecieć”. Dobra, jasne, na razie, Jean.

To wszystko nie ma sensu.

W autobusie Audrey ogląda wiadomości na telefonie: krótki komunikat ze strony lokalnej stacji telewizyjnej.

*Posterunkowego Stasia Walczaka, syna emerytowanego kapitana Jamesa Walczaka, znaleziono martwego w pokoju hotelowym w Center City. Prawdopodobnie się zastrzelił. Miał 37 lat.*

Źle wymawiają imię i nazwisko, więc brzmi to tak, jakby zabił się jakiś Stass Wall-Zack, a nie jej brat.

Sześćdziesiątką wlecze się przez Frankford Avenue całą wieczność, krztusi się dieslowymi spalinami, jakby niepewna, czy da radę zrobić jeszcze ten... jeden... kurs. Audrey znowu próbuje zadzwonić się do Cary'ego, żeby sprawdzić, czy dowiedział się czegoś więcej, ale brat nie odbiera. Dziewczyna waha się, po czym wybiera numer ojca. On też nie odpowiada.

Audrey wraca do internetu i czyta, że pewien bloger zwrócił uwagę na zbieg okoliczności, o którym ona pomyślała od razu: śmierć dwóch filadelfijskich policjantów o nazwisku Walczak w odstępie niemal dokładnie pięćdziesięciu lat.

Audrey przebija się przez gąszcz reporterów i kamerzystów przed wejściem. Zatrzymuje ją mundurowy pilnujący drzwi, ale ona wyjaśnia mu, że jest z rodziny. Mundurowy nie wierzy. Audrey wyciąga swoje prawo jazdy z Houston, tylko że na nim jest

napisane AUDREY KORNBLUTH. Zirytowana mówi funkcjonariuszowi, że w środku umiera jej brat.

– Chcesz mnie zatrzymać? To mnie kurwa zastrzel.

Potem przepycha się obok policjanta. Drzwi rozsuwają się przed nią.

Niestety całą scenę rejestruje kamera telewizyjna.

Zajebicie, myśli Audrey.

Wszyscy są w głównym holu szpitala, mimo że nie mogą nic zrobić, tylko czekać.

Pierwszą osobą, którą widzi Audrey, jest Cary – zapłakany, czerwony na twarzy cień człowieka. Nawet na nią nie spojrzy. Podchodzi Jean, bez przekonania przeprosza, że przez telefon była taka szorstka, ale są w szoku, a chcieli jak najszybciej przyjechać do szpitala. Bo wiesz, kiedy go tu przywieźli, jeszcze żył i lekarze próbowali go ratować, ale...

– Umarł – przerywa Audrey.

Jean kiwa głową.

Nie, nie, nie. To bez sensu.

– Czy to, co mówią, jest prawdą? Czy on...

Jean nachyla się i szeptem wyrzuca z siebie:

– Nie mów tego. Nie wiemy, co się stało, dobrze?

W tej chwili Audrey nie potrzebuje tego jej pieprzenia. Chce się dowiedzieć, jak było naprawdę.

Will obejmuje ramieniem Claire, która również nie patrzy na córkę.

– Cześć, mamó. Tak mi przykro.

Will kiwa głową.

– Dzięki, Audrey.

Nie do ciebie mówiłam, palancie.

– Mamó?

Ale Claire tylko kręci głową. Kryje twarz w płaszczu Willa. Najwidoczniej w tej chwili nie jest zdolna do kontaktu z córką. Chuj z tym, że być może Audrey potrzebuje, żeby ją przytulić.

Bethanne jest gdzieś indziej – może w sali ze Stasiem. Audrey nigdy nie była jej wielką fanką, ale nikomu nie życzyłaby takiego cierpienia. Jezu, ich dzieci. Te ich małe bachory...

A Kapitan stoi w kącie i rozmawia z dwoma detektywami w garniturach. Odwraca się, żeby spojrzeć na Audrey, tylko raz, tylko na sekundę, ale to wystarczy. Jego spojrzenie to salwa gniewu, bólu i poczucia zdrady. Audrey pierwsza odwraca wzrok.

Powinna tam podejść i zażądać odpowiedzi. Przecież jest młodszą siostrą Stasia. A nie jakąś obcą osobą, która wlaźła tu sobie z Ósmej Ulicy.

Oczywiście teraz jej mózg zalewają wspomnienia chwil, kiedy Staś nie zachowywał się jak ostatni fiut. To, jak trzymał ją za ramię i prowadził, kiedy po raz pierwszy miała wrotki na nogach. Jak ją podniósł i zaniósł do domu, kiedy po raz pierwszy się przewróciła i rozbiła oba kolana do krwi. Jak zasłaniał jej uszy, gdy na ulicy wyły głośne syreny. Jak piorunował wzrokiem głupków z sąsiedztwa, którzy się z niej nabijali.

Co się wydarzyło od ich ostatniej rozmowy – która, jeśli się zastanowić, była tak kumpelska jak żadna inna?

Audrey znowu rozgląda się po korytarzu, wypatrując u kogokolwiek (oprócz Jean) gotowości do rozmowy. Kiedy jej nie znajduje, zaciska zęby i podchodzi do ojca.

Pierwsi zauważają ją detektywi i mierzą ją wzrokiem. Kapitan wyciąga rękę w jej kierunku. Nie na znak, żeby zaczekała. Po prostu ją wskazuje.

– To moja córka, Audrey.

Obaj śledczy mamroczą „moje kondolencje”, po czym wracają do rozmowy.

– Przepraszam, że przerywam – mówi Audrey, a wtedy wszyscy trzej mężczyźni rzucają jej lodowate policyjne spojrzenia. – Ale nawet nie wiem, co się stało.

Kapitan zbywa ją szybkim ruchem głowy.

– Później.

– Nie, tato, może jednak teraz.

Jeden z detektywów idzie Kapitanowi w sukurs.

– Panno Walczak, proszę wybaczyć, ale w tej chwili naprawdę musimy porozmawiać z pani ojcem. Pani rozumie.

To nie pytanie, ale stwierdzenie faktu. „Oczywiście, że pani rozumie”.

Ale Audrey nie rozumie.

Niczego.

Przepycha się między reporterami i wychodzi na Ósmą Ulicę. Używajcie sobie w najlepsze, czwarta i piąta władzo. Dajcie znać, czego się dowiecie.

Godzinę później Audrey wydaje swoje ostatnie dwadzieścia dolarów na krwawą mary w McGillin's. Zostawia duży napiwek, a reszta pieniędzy idzie na puszczenie z szafy grającej erotycznie dwuznacznych kawałków z lat siedemdziesiątych – ku konsternacji reszty klientów. *Little Willy The Sweet. Cum on Feel the No-ize Slade. We've Got to Get It On Again* Addrissi Brothers. *Go All the Way The Raspberries*. I owszem, oczywiście *Afternoon Delight* Starland Vocal Band. Audrey jest przekonana, że urodziła się o trzydzieści lat za późno. Powinna być puszczałką nastolatką w latach siedemdziesiątych, bujającą się do tych numerów.

Nie jest powalającą pięknoscią, wie o tym. Ale kiedy chce, umie zwrócić na siebie uwagę pewnego rodzaju mężczyzn. Zwłaszcza kiedy jedną ręką obsługuje szafę grającą, kołysze biodrami i pociąga drinka. Wkrótce otacza ją wianuszek biznesmenów w średnim wieku, w krawatach, i każdy jest kompletnie oszołomiony, że Audrey zna te wszystkie piosenki. Podsuwają jej banknoty dolarowe („ty coś wybierz, złotko”), a wkrótce również drinki. Drinki z wódką.

*Race na niebie...*

Nie powinna była tu w ogóle przyjeżdżać.

Trzeba było trzymać się tej pojebanej sytuacji w Teksasie, gdzie przynajmniej ignorowano ją i deprecjonowano z zupełnie innych powodów.

Gdzie nie musiała sobie radzić z takim natłokiem śmierci.

Kiedy Mac Davis śpiewa *Baby Don't Get Hooked on Me*, a Audrey wychodzi z toalety, czeka tam na nią jeden z biznesmenów. *Ale z ciebie spryciarz*. Zaczyna się poważnie przystawiać, proponuje, żeby wsiedli do jego infiniti G35, zaparkowanego w garażu po drugiej stronie ulicy. „Zabiorę cię, dokąd chcesz”. Audrey ma

ochotę zapytać: To może aż do Houston? Mam mało bagaży.

Kiedy próbuje przycisnąć się obok niego, on zaczyna się narzucać. Łapie ją za biodra, usiłuje jej wepchnąć język do gardła. Kompletnie nie trafia i w rezultacie liże ją po szczęce. To jest... fuj.

Audrey się wykręca. *Wiesz, gdyby mój brat tu był, mój brat policjant, to tak by ci skopał dupę, że wyleciałbyś na ulicę. To znaczy – gdyby nie to, że nie żyje.*

Teraz facet naprawdę napiera. Chyba mu wstyd i próbuje zachować twarz. Kładzie jej rękę na gardle, przyciska ją do ściany. Nikogo tu nie ma; toalety znajdują się na piętrze, a godzina jest późna.

Audrey czuje, jak palce faceta tańczą po jej podbrzuszu, próbują namacać krawędź ubrania, szukają drogi na południe.

Jasne, po pijaku wydaje mu się, że naciśnie magiczny guzik, od którego ona zmieni zdanie.

Szczerze mówiąc, na to właśnie liczyła.

Bo teraz nie ma żadnych wyrzutów sumienia, kiedy szybko i mocno wali go w grdykę, a potem poprawia ciosem w wątrobę, który powala go na kolana.

Audrey słyszy kroki na schodach, więc również przykuca.

– Trochę za dużo wypił – mówi.

Gość, który wchodzi na górę – kolega niedoszłego gwałciciela – uśmiecha się, kiwa głową i idzie do kibla.

Audrey obmacuje tyłek leżącego w poszukiwaniu portfela. Wyciąga go. Zabiera gotówkę.

– Jeszcze raz spróbuj na mnie chociaż spojrzeć, to cię unicastwie – dyszy mu do ucha.

Potem chowa pieniądze do kieszeni spodni. Teraz będzie mogła porządnie się napić w jakiejś innej knajpie.

Unicastwie wszystko.

Nieco po północy, kiedy mężczyzna znany Audrey jako „gość od pizzy” właśnie zamyka lokal, zauważa młodą kobietę, która leży nieprzytomna w wąskim zaułku obok restauracji. prostytutka? Może. Jeśli tak, to nowa w tej okolicy.

Zaułek ma szerokość niedużej szafy. Wystarczy rozłożyć łokcie, by już po paru centymetrach uderzyć o ceglane ściany. Dlatego pewnie po prostu przechyliła się na bok, odnalazła kojące objęcia muru, a potem się osunęła, wylądowała tyłkiem na ziemi, kolana poszły do góry, buty przesunęły się po cemencie i wreszcie oparły o przeciwległy mur. Może czuła się tutaj bezpiecznie.

Gość od pizzy odstawia pudła, które właśnie trzymał, i rusza w jej kierunku. Przykuca i łapie ją za nadgarstek, żeby sprawdzić puls. Jest. Nie widzi twarzy, bo zasłaniają ją długie ciemne włosy. Kiedy je odgarnia, by sprawdzić, czy kobieta nie krwawi lub nie jest ranna, ona gwałtownie otwiera oczy, jak wampir w horrorze.

– Nie – odzywa się.

Chłopak mówi, żeby się nie denerwowała, że wszystko będzie dobrze. I będzie, bo teraz ją rozpoznaje. To ta młoda kobieta, która parę dni temu rozbebeszyła mu kontuar. A pieniądze za naprawę poszły z jego pensji. (Właścicielowi nie spodobało się ponowne niedbałe przybicie paneli do dawnego baru).

– Cała moja rodzina to gliny. Nawet o tym nie myśl.

Gość od pizzy zapewnia ją, że o niczym nie myśli.

– To ja – mówi. – No wiesz, z pizzerii.

Audrey patrzy mu w oczy.

– Fakt. Gość od pizzy. He, he. Ale numer, że cię tu spotkałam.

– No, ja tu pracuję. Przecież wiesz.

– Kotku, ja nie wiem nic, a nic.

Gość od pizzy znowu podziwia jej kunsztowne tatuaże, pełne rękawy pokrywające oba nagie ramiona. Kruki, ciernie, róże i coś jakby łuski węża. Gdzie jest jej kurtka? Co ona robi tutaj sama? Dziewczyna wypuszcza powietrze i chyba czuć od niej wódą. Ach, więc to w taki sposób spędzała czas.

– Spróbuj wstać. Wytrzymasz? – pyta chłopak.

– Kotku, ja już niczego nie wytrzymam.

Czyli to będzie tak.

Audrey obraca się, próbując się podnieść, i odbija się od obu ścian. Cała się trzęsie. Gość od pizzy wyciąga ręce, jakby dotykał jej aury, gotów ją złapać, gdyby nagle runęła w przód albo w tył. Ona jednak powoli odzyskuje równowagę. Patrzy na chłopaka.



Potem odwraca się i wymiotuje na mur. I nie są to takie dziewczynskie rzygi.

On zaczyna grzebać w torbie, wyciąga paczkę chusteczek i jedną jej podaje. Ona go ignoruje, odchodzi kilka kroków, zataczając się, odchrząkuje, parę razy spluwa, stęka, przeklina. Mija mała wieczność, zanim wreszcie pyta:

- Nie masz czasem samochodu, co?
- Mam. Tylko wezmę te pizze, dobra?

Pizze nadal leżą na chodniku – starannie ułożony stos pięciu biało-zielono-czerwonych pudełek spięty gumową linką z haczykami.

- O kurde, ty naprawdę zabierasz pracę do domu – stwierdza Audrey.

Sadzając ją na fotelu pasażera, gość od pizzy wyjaśnia, jak umówił się z właścicielem lokalu. Zamiast wyrzucać niezjedzone rzeczy do zardzewiałego kontenera na tyłach, to, co zostało, pakuje i w drodze powrotnej rozwozi bezdomnym. Zwykle jest to trochę różnych kawałków pizzy, trochę zlepionych od sera i tłuszczu, ale jeszcze dobrych. Nieraz trafiają tam bułki sprzed kilku dni, a czasem udaje mu się nawet przemycić parę świeżych kanapek.

- A ty co, startujesz do nagrody Ostatniego Przyzwoitego Człowieka w Filadelfii?

Gość od pizzy kręci głową, zamyka drzwi, przekręca kluczyk w stacyjce.

- Tutaj mieszka wielu dobrych ludzi. Trzeba tylko trochę otworzyć serce i oczy.

- O Chryste. Jesteś religijny, prawda?
- No tak, jestem diakonem.
- Bosko.

Gość od pizzy upiera się, że najpierw odwiezie ją do domu, ale Audrey się nie zgadza – ludzie czekają na jedzenie.

Chłopak kieruje zatem swoją przedpotopową, lecz nieskazitelnie czystą hondę civic (grubo ponad dwieście tysięcy kilometrów na liczniku) w kierunku Benjamin Franklin Parkway. Wyjaśnia, że obowiązuje niepisana reguła: policja nie nęka cię między dwudziestą drugą a siódmą rano, pod warunkiem, że potem pozbie-

rasz swoje pudła, materace i tak dalej i zabierzesz się stamtąd, zanim przyjdą turyści.

– Czy jesteś jednym z tych ludzi, co chodzą i ratują prostytutki, opowiadając im o Jezusie?

– Rozmawiam z każdym, kto wygląda, jakby tego potrzebował.

– Kapitan Dziwkozbowca na ratunek!

– Aha.

– Słuchaj, a jak prostytutka straci przytomność, nazywasz to dziwkopadem?

– Ty też nie wyglądałaś za dobrze, panienko.

Audrey zastanawia się chwilę.

– Wziąłeś mnie za ćpunkę, prawda?

Chłopak się uśmiecha.

– No cóż, przez chwilę... wziąłem cię za prostytutkę.

Audrey parska śmiechem, który brzmi jak szczenięcie.

Sama nie wie, co on w sobie ma – może chodzi o jego serdeczną twarz i miły sposób bycia. Może o to całe teologiczne wykształcenie. A może o to, że nawet nie zna jego imienia. Ale po tym, jak wyrzuciła z siebie, co miała w żołądku, zaczyna wyrzucać, co leży jej na sercu. Jadą przez Parkway, potem ciemnymi zakamarkami pod autostradą I-95, a potem wreszcie do Mayfair, tymczasem ona po drodze zwierza się gościowi od pizzy z historii swojego życia.

Z tego, że trzy lata temu przeprowadziła się do Houston, żeby uporządkować sobie życie, ale tylko je gorzej pojechała.

Z tego, że wdała się w romans ze starszym żonatym muzykiem, zaszła w ciążę i chciała ją usunąć – bum, gotowe, życie toczy się dalej. Ale nie potrafiła się do tego zmusić, nie potrafiła nawet powiedzieć rodzicom, przynajmniej nie od razu, bo natychmiast zaczęliby się wtrącać, próbowaliby wszystko „naprawić” i kontrolować, a takie pieprzenie nie było jej wtedy do niczego potrzebne.

Opowiada, że jej jedynym ratunkiem – co zakrawa na dziwny twist rodem z M. Nighta Shyamalana – byli rodzice ojca jej synka, emerytowane czarnoskóre małżeństwo, które ją przygarnęło

i pomagało opiekować się Bryantem, kiedy ona pracowała i chodziła na zajęcia. I że opiekują się Bryantem teraz, w Houston, podczas gdy ona się narąbała i obrzygała ścianę budynku, w którym pięćdziesiąt lat temu zastrzelono jej dziadka.

– Zaraz, jak to działa? Z żoną tego faceta i w ogóle, skoro to jej teściowie.

– Źle – odpowiada Audrey.

No więc żona tego gościa o niczym nie wie. To jej teściowie, a ona nie ma pojęcia. Myśli, że Tennellsonowie to po prostu mili starsi państwo, którzy pomagają stanąć na nogi pulchnej białej lasce z mieszanym dzieckiem.

– Ale najdziwniej jest wtedy, kiedy przychodzi ojciec Bryanta, zaczyna się nim wyjątkowo zajmować, tak na oczach żony, i patrzy na niego tęsknie, bo wiesz, babka ma chyba podwiązane jajowody, więc nigdy nie będą mieli dzieci.

– Oj, to się dobrze nie skończy – stwierdza chłopak.

Nawet bezdomni wcinający zimne kawałki pizzy patrzą na Audrey, jakby myśleli: O kurczę, a myślałem, że to moje życie jest pojebane.

Tennellsonowie nie traktują jej nawet jakoś szczególnie dobrze. Oczywiście uwielbiają swojego tajnego wnuka, ale jak dla nich to im mniej oglądają Audrey, tym lepiej. Dziewczyna czuje się mniej jak matka, a bardziej jak opiekunka, która znajduje trochę czasu na dziecko między pracą (jako barmanka w knajpie z owocami morza) a nauką (w szkole CSI). Kiedy więc oznajmiła, że musi lecieć do Filadelfii na uroczystość ku czci dziadka, byli uradowani. Powiedzieli, żeby się nie śpieszyła. Tylko nie wracaj za szybko, słyszysz?

Im więcej kontroli Audrey oddaje Tennellsonom, tym bardziej słabnie jej więź z synem.

Jest to jednak wojna, do której ona nie jest przygotowana i nie ma w niej żadnych sprzymierzeńców. Jeśli się zbuntuje, to ją wyrzucą – i pewnie zaczną walkę o opiekę nad dzieckiem.

– Musisz się wypłatać z tej sytuacji – stwierdza diakon od pizzy.

– Wiesz, co muszę? – odpowiada Audrey. – Skończyć ten mój niezależny projekt, zrobić dyplom, znaleźć pracę, a potem wypro-

wadzić się na swoje, mieć własny telefon, własne rzeczy. I to najlepiej w ciągu trzydziestu dni.

– A twoi rodzice? Wyobrażam sobie, że chcieliby ci pomóc.

– Tak by się wydawało, co? Przywykłam radzić sobie sama. Jestem sama, odkąd byłam dzieckiem.

O pierwszej jedzenie wreszcie się kończy i diakon wiezie ją do Mayfair.

– No więc... jeśli to nie jest zbyt osobiste pytanie... co dzisiaj robiłaś przy mojej knajpie?

Po tym całym wywnętrzaniu się przed diakonem od pizzy Audrey nie potrafi mu jednak powiedzieć prawdy. Że dzisiaj zabił się jej brat policjant. (Nie chce zaakceptować, że to się stało naprawdę. Jeszcze nie).

I że wszystkie dramaty w jej życiu i całej popierdolonej rodzinie zaczęły się w tamtej spelunie na rogu Siedemdziesiątej i Fairmount. Może więc Audrey uczepiła się niemądrego marzenia, że jeśli uda jej się wyjaśnić, co się wtedy stało, to zdoła zrozumieć, co dzieje się z nimi wszystkimi teraz.

## STAN SIEDZI I MARZNIE

*10 marca 1965*

Każdej nocy i każdego ranka siedzą w Southwark w swojej wielkiej czerwonej maszynie i obserwują pewien dom przy Queen Street.

Southwark leży daleko poza ich rewirem. Za przebywanie tutaj mieliby poważnie przesrane. A przyjeżdżają już od tygodnia. Wildey nazywa to wywieraniem presji. Stan nazwę ma gdzieś – nie podoba mu się, że tu jest. Za dużo przykrych wspomnień.

To właśnie w Southwark się wychował i wolałby teraz patrolować Dżunglę niż tutaj siedzieć. Wielu Polaków imigrujących do tego kraju trafiało do portu przy Washington Avenue, zaledwie kilka przecznic stąd. Ci, którzy mieli dość pieniędzy, jechali koleją na północ i zachód – czasem aż do Chicago i Milwaukee. Ci bez pieniędzy kończyli tutaj, rywalizowali o przestrzeń w brudnych, przeludnionych szeregowcach i razem z innymi łapali pracę w dokach.

Pod warunkiem, że udało się znaleźć taką pracę, której nie zagarnęli Irlandczycy, Włosi ani murzyni.

A jednak Polacy nazywali tę okolice Stanislawo, od kościoła Świętego Stanisława, który stanowił ośrodek ich życia towarzyskiego. Chłopom w ojczyźnie to słowo kojarzyło się z rajem i obietnicą lepszej przyszłości.

Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej – chyba że znałeś kogoś z pieniędzmi lub koneksjami.

Stan nigdy do takich osób nie należał, mimo że dostał imię na cześć tego cholernego miejsca. Stanisław. Chętnie zapytałby ojca, dlaczego.

Okolica wygląda mniej więcej tak samo jak dawniej, tylko wydaje się nieco czystsza. Na północ stąd likwidują slumsy Society Hill i przebijają się przez stare kwartały wzdłuż rzeki, żeby zbudować autostradę I-95. Teraz jest tu masa roboty w budowlance – o ile

znasz odpowiednich ludzi.

Nic się nie zmieniło.

Oczywiście Stan nie może tego wszystkiego powiedzieć Wildeyowi. Bo nie ma to znaczenia dla aktualnej sprawy. Może tylko protestować, że z perspektywy ich karier to bardzo głupie posunięcie.

Pierwszej nocy siedział w zimnym radiowozie i rozglądał się, przerażony, że ktoś go zidentyfikuje.

– Rozpoznają nas – powiedział.

Na co Wildey odparł:

– I właśnie o to chodzi, partnerze.

Wildey sprawdził efekty ich wielkiego nalotu z zeszłego miesiąca. Wygląda na to, że temu czarnemu nabywcy, Bey-Beyowi, postawiono poważne zarzuty związane z narkotykami. Natomiast białego dilera puścili – sprawa zamknięta, wychodzisz z więzienia za darmo. Jak to w ogóle możliwe?

– Może miał lepszego adwokata – zasugerował Stan.

– Nie rozumiesz, co mówię. Puścili go. Wszelkie ślady po aresztowaniu zniknęły. Przynajmniej te dotyczące białego.

Wildey wyjaśnił, że wydział antynarkotykowy jest mały: tylko dziesięciu ludzi oraz jeden dowódca. Miasto twierdzi jednak, że sam problem jest równie niewielki. Według Departamentu Zdrowia w granicach administracyjnych Filadelfii żyje tylko pięciuset pięćdziesięciu siedmiu znanych narkomanów. („Cholera – rzucił Wildey. – Tylu to ja chyba znam osobiście”). Zlekceważenie ludzi, których zatrzymano z tak wielką ilością narkotyków, zupełnie nie ma sensu.

Jak tylko Wildey się o tym dowiedział, poszedł do swojego porucznika i zażądał wyjaśnień. Porucznik nie miał im nic do powiedzenia, oprócz tego, że to jakaś sprawa wydziału antynarkotykowego, czym sugerował, że biali byli tajniakami z policji.

– Wiem co nieco o robocie tajniaków z antynarkotykowego – wyjaśnił Stanowi Wildey. – Zwykle ta robota nie polega na dostarczaniu towaru. Tajniacy go kupują, a potem dokonują zatrzy-

mań.

– Robiłeś w antynarkotykowym?

– Wieki temu.

– No to co mamy?

Mieli dwa nazwiska – dwóch dilerów, których aresztowali przy Dwudziestej Drugiej i Diamond. „Bey-Bey” Baynes to ten buldog ze strzelbą. Krótko ostrzyżonym okazał się Sherman „Bud” Van Meter.

– Wiem, o co chodzi z Bey-Beyem – powiedział Wildey. – On mnie nie interesuje. Za to Van Meter jest niezwykle interesujący.

– Może to naprawdę tajniak z antynarkotykowego – zasugerował Stan podczas obserwacji tamtej pierwszej nocy.

– Jeśli tak, to jako profesjonalista uprzejmie każe nam spierdalać. Ale wątpię, żebyśmy go zobaczyli.

– No to po co sterczymy tu na zimnie?

– Żeby sprawdzić, kto jeszcze się pojawi.

I do tego ten sprytny uśmieszek, jakby Wildey odgadł hasło w krzyżówce na długo przed innymi. Stana doprowadza to do szału.

– Czasami nie rozumiem połowy tego, co mówisz.

– Posłuchaj, w sumie to mam nadzieję, że on jest z antynarkotykowego – odpowiedział Wildey. – Bo jak nie, to porąbane historie Terrilla Lee zaczynają brzmieć prawdopodobnie. A to, mój drogi, oznaczałoby, że żyjemy w dużo straszniejszym miejscu, niż myśleliśmy.

Jasne, Wildey i te jego teorie spiskowe. Cały świat sprzyściągł się przeciwko niemu i jego ludowi. Niespodzianka: cały świat sprzyściągł się przeciwko wszystkim. Ale tego Stan nie powiedział, bo jego partner od nowa by się podniecił. Jednak dzisiaj, siódmej nocy, jest już zmęczony, rozdrażniony i nie umie się powstrzymać.

– Przypomnij mi: po co to robimy? – pyta.

– Bo dobrzy z nas policjanci.

Stan musi przyznać, że tym Wildey go trochę zażył. „Bo dobrzy z nas policjanci”. On już dawno przestał myśleć o tej pracy w kategoriach dobra i zła. Jest robota, wykonujesz ją, a chodzi o to, żeby

wrócić do domu żywym.

– Czasami się zastanawiam, dlaczego szukasz guza. Nie chcesz co wieczór wracać do Juniora?

– Jasne – mówi Wildey. – Ale czy ty nie chcesz, żeby Jimmy dorastał w mieście lepszym niż to?

Siedzą więc na Queen Street, dzień w dzień, ale nikt nie przychodzi. Ich czerwony radiowóz trudno nazwać niepozornym. Potem zaczynają tu zajeżdżać z Dżungli, zaglądają pod Queen Street 226 – adres, który podał Van Meter – o nieprzewidywalnych porach. Ciągle nic.

Ale teraz, siódmej nocy obserwacji, ktoś się pojawia.

I nie jest to „Bud” Van Meter.

Parkują na Front Street, tuż obok placu budowy, który kiedyś zmieni się w I-95. Stan pamięta domy, które tutaj stały. Małe, ciasne domy imigrantów, gdzie w jego czasach mieszkali Polacy, pokolenie wcześniej Irlandczycy, a jeszcze wcześniej Niemcy i Szwedzi, zanim w ogóle powstał ten kraj.

Z tego miejsca mają dobry widok na budynek przy Queen Street. Widzą, kto wchodzi lub wychodzi.

Front Street przecina sedan o jasnych reflektorach, jadący pod prąd. Wkrótce są już maską w maskę.

– No to zaczynamy – mówi Wildey. – Kto czeka cierpliwie, ten doczeka dobrego.

– Mnie to wygląda na coś zupełnie niedobrego – odpowiada Stan, sięgając po rewolwer.

– Spokojnie. Jeśli mam rację, nie będzie ci potrzebny. Rób to, co ja.

Z samochodu wysiadają dwaj krępi mężczyźni w garniturach i podchodzą z obu stron do radiowozu. Pod ich rozchylnymi marynarkami Stan widzi broń. Właściwie to po nią nie sięgają. Raczej dają znak, że nie wykluczają tego rozwiązania.

– Koledzy zabłądzili? – pyta ten po prawej.

Wildey wystawia głowę po stronie pasażera.

– Dobry wieczór, inspektorzy. Nie, nie zabłądziliśmy. Sprawdzają



my podejrzanego.

Faceci wymieniają spojrzenia. Skąd, u diabła, Wildey wie, że to inspektorzy? Ten drugi, bardziej przysadzisty, podchodzi od strony Stana. Ostentacyjnie sprawdza numer boczny radiowozu.

– Jesteście daleko od Dżungli.

– No tak, ci mieszkańcy to się czasem wymykają – odpowiada Wildey.

– Ten tutaj to Walczak – stwierdza facet po stronie Stana. Wymawia prawidłowo: wall-CHAK.

– A tu mamy posterunkowego Wildeya. – Znowu właściwa wymowa.

(Później Wildey stwierdzi, że właśnie wtedy się zorientował – bo nikt za pierwszym razem nie wymawia ich nazwisk prawidłowo. Stan znowu nie zrozumie, o czym on gada).

– Wracajcie do Dżungli, chłopcy. Southwark zostawcie nam.

Wildey kiwa głową, jakby na zgodę. Potem gwałtownie otwiera drzwi po stronie pasażera, wałąc gościa w kolana. Tamten pada na ziemię, zanim zdąży sięgnąć po rewolwer. Wildey strzela go drzwiami jeszcze raz, metal rozgniała mu nos, krew bluzga na bok radiowozu.

Drugi z inspektorów klnie i zaczyna wyciągać broń. Stan zna własną prędkość. Zanim wysiądzie zza kierownicy, gość pewnie zdąży otworzyć do nich ogień przez przednią szybę. Dlatego jest tylko jedna opcja. Stan wystawia lewą rękę, chwyta tamtego za krawat i koszulę, a potem z całej siły szarpie. Facet wali głową w dach maszyny, rozcinając czoło. Jeszcze się rzuca, więc Stan powtarza ten ruch, czuje, że tamten przestał walczyć, i go puszcza.

– Jedź, jedź, jedź! – wrzeszczy na niego Wildey.

– Czy my właśnie zaatakowaliśmy dwóch inspektorów?

– Z całą pewnością nie.

## JIM STĄPA OSTROŻNIE

*5 listopada 1995*

„Stąpaj ostrożnie”.

Dobra rada, pomimo źródła.

Mimo że Jim bardzo chciałby udupić za tę sprawę Sarkissiana, wie, że on nie pasuje. Ma alibi na resztę nocy i poranek – był w domu w Narberth z rodziną. To jeszcze nie znaczy, że można mu odpuścić, ale nic tu się nie zgadza.

Jim wraca więc raz za razem do grafiku ostatnich dwudziestu czterech godzin życia Kelly Anne Farrace i rozmyśla o tajemniczych literach JDH. Takich inicjałów nie ma nikt wśród pracowników redakcji ani przyjaciół zabitej. Jim uświadamia sobie, że musi wrócić do Circa. Dowiedzieć się, czy ktoś pamięta, jak Kelly Anne stamtąd wychodziła. A jeśli tak – czy była sama.

A teraz najtrudniejsze: sprzedać to Claire.

– Po prostu jesteś zły, że Audrey dokopała ci w Sorry!

– To prawda. Jeszcze raz przegram z moją pięcioletnią córką, a nie będę się mógł pokazać na mieście.

Claire przez moment ma urażoną minę, a potem się uśmiecha. Jim powtarza w myślach własne słowa, zastanawiając się, co ją uraziło.

– Jesteś pewien, że chodzi o to morderstwo? – pyta jego żona. – A może nie chcesz być w domu?

– Chcę być w domu – odpowiada Jim. – Przecież wiesz.

Claire nie odpowiada, bo taki ma sposób pokazywania, że nie zgadza się z mężem. Twierdzi, że już nie myśli o tym, co stało się pięć lat temu, ale raz po raz odzywają się dawne podejrzenia. Zwłaszcza kiedy praca wyciąga Jima z domu na dłużej niż zwykle.

– Idź – mówi w końcu. – Inaczej będziesz się tu smęcił, jakby coś cię ugryzło.

– Przepraszam – odpowiada Jim i całuje ją w czoło.

W Circa zamawia tonik z limonką i zagaduje kelnerów i kelnerki. Rozpoznaje niektóre twarze ze środowego wieczoru. Nikt jednak nie pamięta Kelly Anne, a tym bardziej jej wyjścia. Sprawdzenie rachunków ze środy nic nie daje – wygląda na to, że wszystkie drinki stawiał jej Sarkissian. W połowie kupki Jim natrafia na własny rachunek. Najwyraźniej wydał tutaj osiemdziesiąt dziewięć dolarów. Wydawało mu się, że wpadł na jednego, a potem powędrował dalej. Jakim cudem poszło tyle kasy?

*(Bo jeden drink ci już nie wystarczy, Jimmy. Wiesz o tym. Potrzeba co najmniej trzech, żeby naruszyć tę twoją skorupę. Albo zmiąć cię w prawdziwego zabójcę...)*

Przez moment zastanawia się, czy nie zwinąć rachunku do kieszeni, żeby nikt się nie dowiedział, że tu był. Jakiś adwokat mógłby mieć z tym świstkiem niezły ubaw. „Panie i panowie przysięgli, czy wiecie, kto jeszcze pił w tym samym barze co Kelly Anne Farrace tej nocy, kiedy zginęła...?”

Nie. On nie jest takim gliną. Rachunek zostaje.

Jim wychodzi z Circa w zimną listopadową noc. Na Walnut Street panuje senna atmosfera. Mija go niewielu przechodniów.

Pomóż mi trochę, Kelly Anne.

Wyszłaś na dwór – byłaś z kimś czy byłaś sama?

Jesteśmy tylko parę przecznic od twojego mieszkania. Wróciłaś do domu, poczułaś się samotna i po kogoś zadzwoniłaś?

Czy może po prostu położyłaś się spać, żeby z samego rana, przed pracą, wybrać się na jogging?

Jim stoi na Walnut Street i obserwuje młodzież wychodzącą z baru. Niektórzy idą w parach lub trójkami, inni sami. Tacy beztroscy. Oni wszyscy są tak niemożliwie młodzi i nie mają pojęcia, co czyha w tym mieście.

Zaraz, zaraz.

*Trzydziestka przed trzydziestką.* Ostatni materiał, którym zajmowała się Kelly Anne. Razem ze swoim mentorem Sarkissianem. Ona nie przyszła tu dla przyjemności. Ona pracowała. O dwudziestej pierwszej wzorowy mąż i ojciec musiał wracać do domu, ale młoda, ambitna dziennikarka została na służbie. Może

spotkała się z bohaterem wywiadu.

Jim pędzi do mieszkania Kelly Anne, miga cieciami odznaką, wchodzi. Technicy spenetrowali lokal, ale to bez znaczenia. Przeszukuje zagracony blat jej biurka, aż wreszcie znajduje teczkę z notesem, na którym mu zależało. To jej notatki na temat cyklu *Trzydziestka przed trzydziestką*. Kelly Anne była dziewczyną, która przynosi robotę do domu. Ta praca była jej życiem.

Pora przejrzeć nazwiska kandydatów w poszukiwaniu pasującego.

Max Kennedy. Carolyn Odell. Lisa Jablonski. Eric Lindros. Jeff Steen. Traci Lynn Burton. Jeffrey Gaines. Jim nie tak dawno skończył czterdziestkę, a nie ma pojęcia, co to za ludzie. To znaczy jasne, kojarzy Lindrosa – jest zawodnikiem Flyersów. (Chociaż Jim nie przepada za hokejem). Ale litości, gdzie tajemniczy pan JDH?

A potem widzi nazwisko nabazgrane w notesie:

John DeHaven.

Pasuje.

Ale kim, do cholery, jest John DeHaven?

Notatki Kelly Anne nie dają na to pytanie zbyt dobrej odpowiedzi.

Pol

Polityk?

*genialny organizator zbiórek pieniędzy*

Czyli młody gość z bogatej rodziny. Zawsze się okazuje, że najsprytniejsi ludzie od pozyskiwania funduszy urodzili się wśród grubej forsy.

Skoro taki z ciebie dobrze się zapowiadający człowiek sukcesu, panie DeHaven, to dlaczego się nie zgłosiłeś, kiedy znaleźliśmy Kelly Anne martwą na schodach?

*niebrzydki*

A więc atrakcyjny młody bogacz – i być może ostatni człowiek, który widział Kelly Anne Farrace żywą.

## AUDREY IDZIE DO KOŚCIOŁA

14 maja 2015

Co prawda Staś jest drugim Walczakiem, który umarł, nosząc odznakę, ale jego nikt nie zaliczy do poległych bohaterów. Jego nazwiska nie wyryją na mosiężnej tablicy na dziedzińcu ratusza.

Bo śmierć brata Audrey została uznana za samobójstwo.

Ostatnie trzy dni były straszne. Szybko zaaranżowano, co trzeba, ale nikt nie wiedział, co robić oprócz unikania mediów. Dom taty w Mayfair stał się nieoficjalnym przystankiem całej rodziny. Cary wpadał i wypadał, tylko po to, żeby zajrzeć do ojca, w końcu jednak zostawał na dłużej, pił piwo z lodówki oraz szoty wódki, kiedy myślał, że nikt nie widzi. Raz zajrzała nawet Claire, tym razem dla odmiany bez Willa, ale nie mówiła wiele. Z Audrey rozmawiała wyłącznie o podstawowych rzeczach. „Pogrzeb w czwartek. Koniecznie załóż tę sukienkę z rękawami. Limuzyna przyjedzie tu po ciebie o ósmej”.

Audrey zacisnęła zęby i zadzwoniła do Tennellsonów, by opowiedzieć, co się stało. Byli podejrzliwi, dopóki nie zajrzeli do internetu – czy ona naprawdę kłamałaby o czymś takim? Dali Bryanta do telefonu. Powiedział „tata”. Uczą go mówić „tata”. Cudownie.

A „mama”? Mamie przydałoby się teraz trochę miłości.

Zwykle na pogrzeb policjanta przychodzi cała masa urzędników miejskich, od burmistrza w dół. Dziś jednak kościół Świętego Mateusza świeci pustkami.

Audrey jest zaskoczona, że msza żałobna za Stasia w ogóle się odbywa. Myślała, że Kościół odmawia mszy samobójcom. A przed księdzem nijak nie dało się tego zakamuflować – temat jest we wszystkich gazetach i w internecie. W dzisiejszych czasach Kościół wykazuje się jednak większym zrozumieniem i współczuciem. Jak wyjaśnił wczoraj ksiądz podczas czuwania, nikt z nas nie wie, jakie myśli towarzyszą człowiekowi i jakie nieszczęścia

dręczą jego duszę w chwili największej słabości.

Ale właśnie, Stasiu – co ty sobie myślałeś, kiedy wynająłeś pokój w hotelu i włożyłeś luźną koszulkę do ust?

Trzy dni później Audrey wciąż nie ma o tym pojęcia. Wszystko wskazuje na to, że byli z Bethanne szczęśliwi. Staś nie należał do najlepszych policjantów świata, ale nie nękały go też żadne skargi czy skandale. Był ciężko pracującym, lojalnym człowiekiem i kochającym ojcem.

Oczywiście tak twierdzą media. Audrey i jej starszego brata nie łączyła żadna zażyłość. Staś praktycznie się od niej odciął, kiedy miała piętnaście lat, a on znalazł ją na obrzeżach parku Pennypack z jej kolegami dupkami, pijaną piwem Natural Light. Audrey nigdy nie zapomni stalowych kajdanek boleśnie zatrzasnkujących się na jej nadgarstkach ani twarzy brata oświetlonej reflektorami radiowozów, tych jego zmrużonych oczu.

„Pojebało cię, Aud?”

„Pierdol się, Stosh!”

To było tylko dziesięć lat temu, a jakby minęła wieczność.

Kapitan w garniturze przypomina czarną górę. Stoi w pierwszej ławce po lewej stronie, ściska przed sobą drewnianą barierkę, tak mocno, że bieleją mu palce. Głowa wysoko. Oczy wbite w ołtarz. Ani razu nie zerka na trumnę. Na mamę. Na żadne z nich. Claire stoi po drugiej stronie nawy, po prawej. Ciało ich starszego syna leży między nimi jak oskarżenie.

Za nimi, tu i ówdzie w ławkach, siedzi z pół tuzina barczystych gliniarzy, ostatni kumple, jacy jeszcze zostali Kapitanowi. Nie ma przy nim jednak nikogo z rodziny, oprócz babci Rose, która drży lekko po jego lewej ręce. Z kolei po przeciwległej stronie nawy Cary, Jean, Bethanne i dzieci gromadzą się wokół Claire.

Audrey stoi w przedsionku, nie bardzo wiedząc, gdzie usiąść. W tych sprawach zwykle bierze stronę Claire. Po rozwodzie rodziców starsi bracia natychmiast opowiedzieli się za matką – Audrey była mała, więc dała się temu wszystkiemu ponieść. Przez większość ostatniego tygodnia mieszkała jednak z ojcem. Nieważne, po której stronie usiądzie, dla drugiego z rodziców będzie to jak policzek.

Wybiera miejsce w tylnej części kościoła, wśród reszty nieznanym. Nie ma pojęcia, co to za ludzie – pewnie po prostu ciekawscy. Albo reporterzy. Albo parafianie, którzy codziennie przychodzą do kościoła, bez względu na to, co jest akurat grane.

Pewna starsza pani wygląda jednak znajomo. Cały czas zerka na Audey i grzecznie się uśmiecha. Tak, dzień dobry, mnie również miło panią widzieć, kimkolwiek pani jest.

Wreszcie do Audrey dociera. No jasne – to córka tej wiekowej szychy ze związków zawodowych. Przemawiała na uroczystości w zeszłym tygodniu. Co za farciara, bywa na wszystkich obchodach ku czci martwych Walczaków.

Audrey pozdrawia ją ruchem ręki, boleśnie świadoma, jak bardzo się poci w tej cholernej sukience z długim rękawem. Odkąd przyjechała, nosiła ją już trzykrotnie i raz uprała ręcznie – ale jak widać, niedostatecznie się do tego przyłożyła. Ma wrażenie, że smród zwietrzałych perfum i soku pomidorowego unosi się nad materiałem w formie kresiek jak z komiksu. Uch.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci – mówi ksiądz.

Od kadzideł Audrey zbiera się na mdłości. Nie wie, ile jeszcze wytrzyma.

– Cześć, Audrey – odzywa się do niej cichy głos. – Tak mi przykro. Dowiedziałem się dopiero dziś rano.

O kurde, to gość od pizzy, i właśnie się do niej przysiadł. Jest w garniturze i w ogóle, wygląda sztywnie, elegancko i idealnie pomimo upału. A obok siedzi Audrey, chodząca ruina.

– Dziękuję – odpowiada dziewczyna, a potem znowu skupia się na końcówce pogrzebu.

Boże, dlaczego? To znaczy miło, że przyszedł, ale...

Audrey wpatruje się w pozłacany krzyż nad ołtarzem i myśli: Jeśli istniejesz, to jesteś jednocześnie sadystą i cholernie przebiegłym bóstwem.

Po mszy żałobnej trumnę wnoszą Cary, kuzyn ze strony Claire oraz czterej koledzy Stasia z policji. Trumna trafia do karawanu.



Bethanne i dzieci zostają posadzeni w limuzynie. Audrey stoi na chodniku przed kościołem, czekając na nieuchronny kolejny krok. Chciałaby teraz być w domu. Nie, chciałaby teraz być w barze.

Ale przed nią jeszcze cmentarz, a potem mała uroczystość w domu Stasia.

A później chyba to, co nieuniknione. Powrót do Houston i zmierzenie się z konsekwencjami tego beznadziejnie popapranego życia. Audrey przedstawiła swojej profesorce najlepszą wymówkę świata – brat policjant się zabił – ale to nie wystarczy, żeby odkładać sprawę w nieskończoność. Będzie musiała wymyślić coś innego albo obleje studia.

Patrzy, jak ojciec wita się z częścią wychodzących. Córka związkowca zbliża się do niego, ale nie patrzy mu w oczy. A on odwraca się od niej i odchodzi po marmurowych schodach. Co to za historia?

Reszta rodziny Audrey łąduje się do czekających limuzyn. Cary, z zaczerwienionymi oczami, zatrzymuje się przed drzwiami auta i macha do siostry. Chodź, czekamy na ciebie. Ona go jednak ignoruje i szturcha łokciem swojego towarzysza.

- Ej, gościu od pizzy.
- No?
- Nie podwiózłbyś mnie na cmentarz?
- Przecież czeka na ciebie rodzina.
- E tam. Nie nadaję się do limuzyn.

Gość od pizzy się uśmiecha. Prowadzi ją do swojej wiekowej, ale czyściutkiej hondy civic. Zdezorientowany Cary patrzy, jak odjeżdżają.

- Nie musiałeś przychodzić – mówi Audrey, kiedy ruszają.
- No cóż, mam do ciebie żal oto, że mi nie powiedziałaś, co spockało twojego brata, więc musiałem ci to powiedzieć osobiście. Przecież mogłaś ze mną porozmawiać.
- Jesteś chyba jedynym protestanckim diakonem na świecie, który przyszedł na katolicką mszę żałobną, żeby jeszcze dołożyć żalu od siebie.

Ruszają za pogrzebową procesją. Ktoś przezornie przyczepił do

maski jedną z takich magnetycznych chorągiewek. Zajmują miejsce w sznurku. Audrey rozsiada się w fotelu, rozkręca klimatyzację na maksa. Będzie się nią cieszyć, dopóki może. Gość od pizzy milczy.

– No dobra, to jak masz na imię? Nie mogę cię przedstawić rodzinie jako gościa od pizzy.

– Chryste, nareszcie. Myślałem, że nigdy nie spytasz.

– Zamknij się i gadaj.

– Barry.

– Serio? Barry? Jak prezydent?

– Tak. To znaczy nie, nie jak prezydent. To skrót od dłuższego imienia, którego ci nie podam. Ale informuję, że na nazwisko mam K...

– Nie – przerywa Audrey, przykładając mu palec do ust. – Żadnych nazwisk. Nie chcę, żeby się zrobiło zbyt osobiście.

Jadą za karawanem aż na narodowy cmentarz w New Jersey. Dziadek Stan leży tam samotnie od 1965 roku. Teraz, pół wieku później, wreszcie będzie miał towarzystwo – wnuka, którego nigdy nie poznał. „Ej, wyglądasz jakby znajomo. Coś ty za jeden, do cholery?”

Grób już otwarto. Ojciec Audrey, Kapitan, staje nad krawędzią, jakby zamierzał rzucić się do środka.

Ludzi jest znacznie mniej niż na mszy. Chyba tylko rodzina, a także trochę krewnych babci Rose, którzy przyjechali lub przyjechali na pogrzeb, oraz paru kolegów Stasia. Audrey zatrzymuje się z tyłu, jakby była tylko widzkiem. Obok niej staje Barry, ze spuszczoną głową, jedną dłonią przykrywając drugą. Jasne słońce parzy. Nici z modelowego pogrzebu w burzową pogodę, na którym zaczyna łać podczas ostatniej modlitwy.

Po krótkiej ceremonii wkładają Stasia do ziemi nad dziadkiem. Niektórzy płaczą. Kapitan patrzy w otwarty grób i nic nie mówi.

Audrey chce podejść do niego i go uściskać albo coś. Ale boi się, że ojciec obróci się ze zdziwionym wyrazem twarzy.

W końcu ludzie powoli się rozchodzą. Jezu, myśli Audrey. Czy to

wszystko naprawdę się wydarzyło?

Sama jeszcze chwilę zostaje nad grobem. Tam w dole jest trumna z dziewięćdziesięciojednoletnimi zwłokami Stanisława Walczaka, na zawsze zamrożonego w wieku czterdziestu jeden lat. Gdyby ją teraz otworzyć, myśli Audrey, zobaczyłabym jego twarz. Nigdy nie będę bliżej dziadka niż teraz, gdy usunęli dwa metry ziemi.

I oto przychodzi jej do głowy straszna myśl – niech Bóg porazi ją za to gromem z jasnego nieba. To nie pora, myśli. Jej głupi niezależny projekt się skończył.

Ale gdyby otworzyć tę trumnę i zbadać pięćdziesięcioletnie zwłoki, czy odkryłoby się dwie dziury po kulach z tyłu czaszki zgodnie z oficjalną historią? Czy może kości Stana powiedziałyby zupełnie coś innego?

Co ty na to, dziadku?

## STAN I SONNY

30 marca 1965

Stan śpi jak zabity, gdy nagle budzi go pukanie do drzwi wejściowych. Chyba jeszcze za wcześnie na jego zmianę, prawda? Gdzie Rosie? Stan przewraca się na bok.

Pukanie jednak się powtarza. Tym razem bardziej stanowcze. Do jasnej cholery. Jeśli to jego partner z kolejnym „nowym wątkiem”, Stan się wścieknie.

Wciąga spodnie i człapie korytarzem. Jimmy siedzi w swoim pokoju i słucha muzyki na cały regulator, choć powinien odrabiać lekcje. W tej chwili Stan nie chce zaczynać kłótni na ten temat. Chłopak puszcza swoje piosenki tak głośno, że przebijają przez słuchawki. Leci ten cały Bob Dylan. Stan autentycznie nie pojmuje, jak Jimmy go znosi. Za jego czasów wypadało, żeby piosenkarz przynajmniej nie fałszował. Ale teraz wszyscy dawni pieśniarze to żenada. Jeżeli umiesz drzeć się do mikrofonu, kariera przed tobą.

A może po prostu Stan zrzędzi, bo obudzili go za wcześnie.

Schodzi po schodach i wlecze się do wejścia, szurając bosymi nogami. Otwiera drzwi i przez siatkowy ekran widzi twarz, której nie widział od dawna.

Rozwiązując zadania z matematyki, Jimmy ma na uszach słuchawki, bo jego zdaniem to jedyna rozsądna metoda rozwiązywania zadań w nudne wtorkowe popołudnie. Słucha nowego Dylana, którego właśnie odkrył, i jest nim zachwycony. Podniosłe *Maggie's Farm* przechodzi w *Love Minus Zero/No Limit* i Jimmy przez moment mógłby przysiąc, że w nagraniu słyszy swoje imię.

Nie, to nie płyta. To z dołu. Ojciec woła go od schodów.

– Jimmy, na litość boską!

Chłopak zsuwa słuchawki.

– Przepraszam, tato! Już idę!

Właśnie się podnosi, kiedy tatko woła:

– Zostań tam. Powiedz mamie, że będę niedługo. Odrób lekcje!

Jimmy siada zdezorientowany. W słuchawkach śpiewa Dylan. Dokąd wybiera się tatko? Jeszcze nie czas na jego zmianę. Na dole zatraskują się drzwi. Po chwili wahania chłopiec odkłada na bok zadanie z matematyki, biegnie do sypialni rodziców i odsuwa zasłonę – w samą porę, żeby zobaczyć, jak ojciec idzie z jakimś facetem, podobnym do niego wzrostem i sylwetką, w przekrzywionym kapeluszu na głowie. Tata jest w swoich spodniach i koszulce.

Jimmy wierzy, że wszyscy rodzice mają dar postrzegania pozazmysłowego i jego tatko nie jest tu wyjątkiem. Stan się odwraca, patrzy w górę na okno i macha do Jimmy'ego. Nie po to, żeby go pozdrowić, ale odesłać z powrotem do pracy domowej. Gość w kapeluszu również ogląda się za siebie. Jego twarz jest Jimmy'emu znajoma, ale chłopiec nie umie jej skojarzyć. Potem mężczyźni znikają mu z pola widzenia, idąc Bridge Street w kierunku Jackson. Co to był za facet?

Przez chwilę Jimmy wpatruje się w zadania z matematyki, po czym do niego dociera: zaraz, nie muszę tego robić. Zamyka książkę i sięga po gitarę. Wciąż próbuje rozgryźć ten motyw z *The Last Time Stonesów*. Tam jest takie brzdęknięcie, które ciągle mu nie wychodzi. Ojciec ma dość słuchania tego kawałka, więc praktycznie zabronił go grać. Dlatego chłopak wraca do niego, kiedy tatko jest w pracy. Albo w chwilach takich jak ta, kiedy on wychodzi z domu, a Jimmy nie ma ochoty dalej odrabiać durnej pracy domowej.

Stan i Sonny idą razem długim odcinkiem ulicy do najbliższego skrzyżowania, do baru na rogu Bridge i Jackson Street. Tam Stan się zatrzymuje i wpycha ręce do kieszeni, bo nie wie, co z nimi począć.

– Co tu robisz, Sonny?

– Chłopak rośnie jak na drożdżach. Chętnie bym go kiedyś po-

znał.

– Wiesz, że to się nigdy nie stanie.

Sonny kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: „Jasne, jasne, możliwe”. Rozgląda się po okolicy, chłonąc ten widok. To nie jest jego okolica. Nie zamieszkałby tu, choćby mu zapłacili. Jest z Port Richmond, polskiej enklawy przycupniętej na nabrzeżu. Wciąż nie pojmuje, dlaczego Stan przeprowadził się w takie miejsce.

– Daj spokój. Wróćmy do domu i pozwól mi się z nim chociaż przywitać. Powiesz, że jestem dawnym kumplem z frontu.

– Nie.

– To nie w porządku, jak się pomyśli, po kim ma imię i w ogóle.

Teraz Stan nie potrafi dłużej utrzymać pięści w kieszeniach. Wyciąga prawą, pięść sunie w powietrzu i uderza Sonny'ego w twarz z taką siłą, że spada mu fedora.

Mężczyzna zatacza się do tyłu, kręci głową, sam zaciska pięści, zastanawiając się, czy naprawdę będą to robić. Tak, będą. Stan już poprawia lewą. Bam! I prawą. Pach!

Sonny dochodzi do siebie na tyle, żeby całym ciałem rzucić się naprzód i trafić Stana na wysokości brzucha. Ma dość siły i ciężaru, żeby cisnąć nim o ceglana ścianę. To boli, ale także zatrzymuje upadek. Stan znowu wyprowadza cios, chyba szybciej, niż Sonny przypuszczał, bo kilka razy porządnie trafia w żebra, w końcu jednak tamten zaczyna się bronić.

Bili się w młodości, toczyli walki, w których wszystkie chwytły były dozwolone, a przerwać je mogli tylko wtedy, gdy któryś uciekł się do ciosu w jaja albo podbrzusze. Walczyli także już jako dorośli, ale zawsze przestawali, zanim zaszło za daleko. Jako dzieciak myślisz, że zniesiesz wszystko. W starszym wieku wygląda to zupełnie inaczej.

Zresztą Sonny nie ma serca do tej bitki – zadaje ciosy, żeby wyjść z twarzą, ale nie ma w nim gniewu. Dlatego Stan też traci serce. Co on najlepszego wyrabia?

Rozdzielają się, a potem, sapiąc, oglądają dłonie, czy nic sobie nie rozcieli, i obmacują żebra, by się upewnić, że skończy się na siniakach.

– To był tani chwyt – stwierdza z rozgoryczeniem Sonny.

– Czego ty chcesz, Sonny?

Sonny zerka na bar po drugiej stronie ulicy.

– Chcę o czymś z tobą porozmawiać. Chodź. Pogadamy przy drinku.

Wewnątrz Stan jak zwykle zamawia schmidt'sa, natomiast Sonny – szkocką i drambuie z cytryną i lodem. Patrzcie, co za szpaner. W barze panują niemal zupełne pustki, bo jest szesnasta we wtorek. Zacznie się zapełniać, kiedy w Rohm and Haas skończą pracę.

– Widziałeś, co było tydzień temu w Alabamie? – pyta Sonny. – Murzyny podlażyły do glińiarzy i zaczęły im dogadywać. A wszystko dlatego, że Czarnuch Luther King im kazał! Nie do wiary.

Stan podnosi swoje piwo, ale nie pije.

– Chyba nie tak to było.

– Co, twój partner ci opowiedział?

– Czytam gazety.

– Czytaj dalej. I miej oczy otwarte. Parę przecznic stąd jest osiedle komunalne. Któregoś dnia będziesz ganiał czarnuchów po Dżungli, a jakiś krzykacz rzuci komendę i wtedy się stamtąd wyleją, zaczną włamywać się do domów i je podpalać. Chyba byś tego nie chciał dla Rosie i Jimmy'ego.

Cholerny Sonny, zawsze szuka haka na jego rodzinę. Stan nie może pozwolić mu się do niej zbliżyć. Sonny Kaminski należy do przeszłości, nie teraźniejszości. Stan nie życzy mu źle, ale te dwa światy nie mogą się spotkać. Dziesięć lat temu przez jakiś czas myślał, że da radę; przekonał się, że nie.

– Powiesz mi, czego chcesz? Muszę wracać do domu.

– Niczego nie chcę, Stanisławie. Przyszedłem ci coś dać.

– Co takiego?

– Dobrą radę. Wynoś się z Dżungli, wszystko jedno jak. I trzymaj się daleko od tego swojego partnera murzyna. On ma przeszłość, z którą nie chcesz mieć nic wspólnego.

– To zupełnie jak my wszyscy.

Sonny kręci głową.

– A więc tak to widzisz, co? Szkoda. Bardzo kurwa szkoda.

– Muszę iść – mówi Stan, wstając ze stołka barowego.

Nie martwi się o rachunek. Sonny Kaminski ma kupę forsy.

Sonny jednak łapie go za przedramię i mocno ściska.

– Posłuchaj mnie, do cholery. Poświęć mi jeszcze parę minut swojego cennego czasu. Chociaż tyle mi jesteś winien.

To nie miejsce, żeby zaczynali następną bójkę. Stan pozwala się posadzić z powrotem.

– Wiem, że wracasz na stare śmieci, przesiadujesz na Front Street. Cokolwiek on ci powiedział, pakujesz się w straszne gówno.

– Ścigamy podejrzanego.

– Nie pieprz mi, Stan. Nie masz zielonego pojęcia, co wyrabiacie. On tu rządzi, prawda? Ty robisz, co powie, słuchasz jego szalonych opowieści.

Stan podnosi piwo, wypija długi łyk, do dna. Gestem zamawia następne, które barman szybko mu przynosi, po czym wycofuje się na przeciwległy koniec baru. Pewnie rozpoznaje Sonny'ego z gazet i nie chce się w nic mieszać.

– George Wildey to nic dobrego – ciągnie Sonny. – Nie lepszy niż te murzyny, których zamykasz co wieczór. Jedyna różnica jest taka, że jakimś cudem dostał odznakę i broń.

– O czym ty mówisz?

– Dla niego to nie praca. Jemu chodzi o zemstę. Czy ten murzyn opowiadał ci kiedyś o swoim ojcu? Był gliniarzem w latach dwudziestych i trzydziestych. Pracował na nabrzeżu, pilnował składów alkoholu. Brzmi znajomo?

Stan lodowacieje. Nie chce tego słuchać. Ani trochę.

– John Quincy Wildey, ambitny gość. Wyraźnie miał coś do udowodnienia. I nie masz pojęcia, jak lubił zamykać białych. To był murzyn z pretensjami do całego świata i miał coś do udowodnienia. Dokładnie jak jego synalek.

– Muszę iść – mówi Stan. – Rose na mnie czeka.

– Wcześniej czy później zrozumiesz, że nie możemy się mieszać z tymi ludźmi, że tego całego gówna między naszymi gatunkami nie da się poukładać. Mogę ci pomóc. Zawsze chciałem ci pomóc.



Na pewno Rose by tego chciała.

Stan wymachuje Sonny'emu palcem przed twarzą.

– Wara od mojej żony. I nigdy więcej tu nie przychodź.

Sonny rzuca mu ten swój patrycjuszowski uśmiech, którym raczy wszystkich prasowych fotoreporterów.

– Mówię tylko, żebyś był ostrożny. Nie pozwól, żeby jakiś murzyn myślał za ciebie.

Już ty się nie martw o mojego murzyna, myśli Stan, idąc z powrotem do domu. Rosie jeszcze nie wróciła z pracy. Stan zamyka drzwi i słyszy, że nagle urywa się ta okropna przygrywka na gitarze. Jimmy zbiega po schodach. Stan wypił półtora piwa, ale teraz myśli, że przydałyby mu się jeszcze ze dwa albo trzy.

– Kto to był, tatku?

Kusi go, żeby wreszcie powiedzieć synowi prawdę. Przecież i tak się kiedyś dowie, więc dlaczego nie teraz?

Ale zamiast tego odpowiada:

– To gangster.

## JIM I JOHN

5 listopada 1995

John DeHaven nie tylko figuruje w książce telefonicznej, ale mieszka zaledwie kilka przecznic stąd, w dobrze utrzymanym trinity house przy Delancey Place. Świetna chałupa w doskonałej dzielnicy na początek dla dobrze się zapowiadającego kogoś tam.

Jim słyszy głośną kanonadę broni maszynowej z jakiejś gry wideo. Naciska dzwonek przez trzy pełne sekundy. Kanonada cichnie. Jim dzwoni ponownie, i tym razem przez trzy sekundy, aż wreszcie słyszy, jak ktoś zbiega po schodach z drugiego piętra.

Młody mężczyzna, który mu otwiera, rzeczywiście jest niebrzydki. Ma królewski wygląd człowieka często mawiającego: „Tak, przez jakiś czas pracowałem jako model, ale tym, co naprawdę mnie ekscytuje, jest polityka miejska”.

– John DeHaven? – pyta Jim, pokazując odznakę. – Detektyw Jim Walczak, policja. Możemy chwilę porozmawiać?

– Oczywiście, detektywie, proszę wejść.

DeHaven prowadzi go do domu, małego jak wszystkie trinity houses. Trzy kondygnacje: kuchnia i skromny pokój dzienny na parterze, sypialnia i łazienka na pierwszym piętrze oraz gabinet na drugim, gdzie odbywają rozmowę.

– Już raz się spotkaliśmy – mówi DeHaven. – Przynieść panu piwo?

– Naprawdę? Przepraszam, widuję wiele twarzy. I nie, dziękuję, jestem w pracy. – Jim się rozgląda, patrzy na biurko DeHavena, jego książki, komputer, obrazy na ścianach. Wszystko starannie ułożone i modne. – Gdzie się spotkaliśmy?

– Na Uniwersytecie Pensylwańskim. Miał pan raz wykład na dziennikarstwie. O tym, czego media nie rozumieją na temat dochodzenia w sprawie morderstwa.

– Pan skończył Uniwersytet Pensylwański? – Jim kiwa głową. – A ma pan... ile, dwadzieścia cztery lata?

– Dwadzieścia pięć.

– I już uważają, że robi pan wielką karierę. Jest pan jednym z trzydziestki najlepiej zapowiadających się filadelfijczyków przed trzydziestką.

DeHaven przytakuje.

– Tak właśnie sądziłem, że wpadł pan w tej sprawie. Pewnie pan sprawdza kolejne nazwiska na liście.

Jim kręci głową.

– Nie, przyszedłem tylko do pana.

Jeśli do DeHavena dociera znaczenie tych słów, to mężczyzna udaje, że ich nie rozumie.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, co ją spotkało. Spotkaliśmy się tylko raz, ale robiła wrażenie bardzo silnej młodej kobiety.

– Spotkaliście się dwa razy – poprawia go Jim.

– Nie – mówi DeHaven, po czym pozwala, by na jego twarzy pojawił się uśmiech dezorientacji. – Jestem raczej pewien, że to był tylko ten jeden raz. Notuję wszystkie moje spotkania.

– Wie pan, to zabawne. Bo Kelly Anne Farrace też notowała.

Teraz oczywiście John DeHaven przeprasza i wychodzi pod pretekstem sprawdzenia kalendarza, mimo że jego biurko jest tutaj, na drugim piętrze. Chłopak pójdzie po broń? Jim wątpi. To typ twardziela z dobrymi ocenami, takiego, co zaczepia dziewczyny, a nie dorosłych mężczyzn. Da nogę? Proszę bardzo, myśli Jim. Fajnie będzie pogonić za nim i zamknąć to śledztwo.

Po raz pierwszy, odkąd zaczął zajmować się tym morderstwem, ktoś pasuje mu na sprawcę.

Od strony schodów dobiega mamrotanie – DeHaven rozmawia przez telefon. Jeśli ma olej w głowie, zadzwonił do adwokata.

Następna wymiana zdań będzie kluczowa. Jim wie, że blefuje, kierując się czystym instynktem – ma przecież tylko inicjały w kalendarzu ofiary. Wyobraża sobie, że adwokat miałby z tym niezłe używanie. Wymyśliłby tysiąc innych nazwisk, które pasują do tych liter, włącznie z Jim Detektyw Huncwot. („A więc przyznaje pan, detektywie, że w noc przed śmiercią Kelly Anne Farrace

ce upił się pan i szukał chętniej cipki?”)

Dlatego Jim musi pozwolić DeHavenowi myśleć, że wie o wszystkim – a potem cierpliwie słuchać, jak ten sam wszystko potwierdzi.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – mówi DeHaven. – Myślałem, że kalendarz spotkań mam w domu, ale zadzwoniłem do asystentki i okazało się, że został w biurze. Bardzo chętnie prześlę panu kopię jutro z samego rana.

– Wrócimy do tego – odpowiada Jim. – Chcę porozmawiać o środowym wieczorze. Jak rozumiem, spotkał się pan z Kelly Anne w Circa...

– Nie widziałem się z panią Farrace w środę.

Jim rozkłada ręce.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Chcę tylko uzupełnić luki w jej grafiku. Im więcej kropek uda mi się połączyć pomiędzy wyjściem Kelly Anne z baru a chwilą, jak jej ciało wylądowało na Pine Street, tym szybciej złapię sprawcę.

– Jak powiedziałem, nie widziałem się z nią w środę. W przeciwnym razie zgłosiłbym się do was i powiedział, co wiem.

Kręcą się tak w kółko przez jakiś czas, ale DeHaven albo jest sprytny, albo doskonale przeszkolony. Do niczego się nie przyznaje, trzyma się swojej wersji. Jim mógłby się założyć, że facet ma niepodważalne alibi na całą środową noc aż do czwartkowego poranka.

Ale mimo wszystko – ten gość mu pasuje.

W jego twarzy, jego oczach, jego zachowaniu jest coś niezwykle znajomego. To dlatego, że Jim siedział w życiu naprzeciwko dziesiątek zabójców i po pewnym czasie daje się zauważyć pewne cechy łączące ich wszystkich. Podobieństwo rodzinne. Klan Kaina.

A ten zadowolony z siebie gnojek jest członkiem tego plemienia.

Jim wie jednak, że dzisiaj dotarł już do ściany. Wróci do tematu z Aishą z samego rana, zaatakują alibi DeHavena pełną parą, a potem oficjalnie wezwą sukinsyna na posterunek i go złamią.

– Życzę dobrej nocy – mówi Jim.

– Nawzajem, detektywie – odpowiada DeHaven. – Odprowadzę pana.

Schodząc po schodach, Jim ponownie zauważa, że wszystko jest tu strasznie czyste i uporządkowane. Może to się stało tutaj. Kelly Anne, czy on zaprowadził cię do swojej nory na nieoficjalną część wywiadu? Nie dałaś mu tego, czego chciał? Czy ten rozpieszczony gówniarz ukarał cię za to, a potem za pieniądze mamusi i tatusia wezwał ekipę sprzątającą, żeby wytrzeć wszystkie ślady ciebie?

Na parterze DeHaven obiega Jima, by doskoczyć do wyjścia. Jim na moment się spina, spodziewając się jakiegoś ataku – ale chłopak po prostu otwiera drzwi.

Na ulicy stoi zaś Sonya Kaminski. Jej twarz wyraża mieszankę wściekłości i obrzydzenia.

Zatem to do niej zadzwonił DeHaven. Jego rodzina ma kontakty także w ratuszu.

– Znasz Johna? – pyta Jim.

– Czy go znam? – odpowiada Sonya. – Ja go urodziłam.

## AUDREY I BARRY

14 maja 2015

Po pogrzebie nie ma przyjęcia; zamiast tego rodzina spotyka się ponownie w domu Stasia w Jenkintown, niewielkim przedmieściu tuż za granicami Filadelfii.

Chociaż żadne prawo nie zabrania policjantom mieszkać poza Philly, większość woli żyć w mieście, którego strzegą. Staś należał do wyjątków. Bethanne pochodzi z północy stanu i szczerze nienawidzi Filadelfii. Jenkintown to był kompromis. Dobre szkoły i dogodny dojazd dla Stasia.

Barry'emu trzeba przyznać, że wśród klanu Walczaków czuje się zupełnie swobodnie, mimo że Cary przygląda mu się wzrokiem wariata.

– To jest Barry – przedstawia go Audrey i nie dodaje nic więcej.

Pewnie doprowadza to ich wszystkich do szału. Barry? Skąd się wziął ten Barry?

Audrey przeprasza i wychodzi do toalety. Ale tak naprawdę to tylko wymówka, żeby pomyszkować na górze.

Dom jest większy, niż myślała, a także w gorszym stanie. Chyba przyjęli strategię remontowania po jednym pokoju naraz. Łazienka na pierwszym piętrze jest jasna, czysta i nowoczesna... co ostro kontrastuje z trzema strefami klęski żywiołowej w pokojach dzieci. Ubrania i zabawki rozrzucone jak na miejscu wypadku, otarcia i ślady po markerze na ścianach, niezidentyfikowane plamy na rozciągniętych od ściany do ściany dywanach, które kiedyś mogły być włochate. To dla Audrey dziwnie znajomy widok.

Ha, ha, Stasiu, los pokarał cię trójką takich samych flejtuchów jak ja.

Staś zawsze miał pretensję o to, że (a) Audrey ma własny pokój i (b) wiecznie panuje tam kompletny bałagan.

Na drugim piętrze znajdują się niedokończona, skuta do zapra-

wy łożenka (chyba była następna na liście robót Stasia), nieskazitelnie czysta sypialnia Stasia i Bethanne oraz mały pokój po prawej.

Pokój.

Audrey obraca gałkę w drzwiach – otwarte. Wnętrze wygląda jak gabinet. Dokładnie to chciała znaleźć.

Staś nie przepadał za czytaniem. Gabinet wypełniają głównie trofea sportowe z liceum, płyty kompaktowe i kartonowe pudła z teczkami. W koszu na śmieci są puste puszk. Na co najmniej piętnastoletnim odtwarzaczu wiszą słuchawki Sony. Teraz Audrey rozumie przeznaczenie tego pokoju. To był azyl Stasia, gdzie uciekał przed resztą domowników, taki sam jak piwniczna kryjówka Kapitana.

I wygląda na to, że Staś przynosił pracę do domu. Na niedużej komodzie leżą notes, kilka teczek oraz niebieski segregator.

Kurwa mać, niebieski segregator. Zaraz, zaraz...

Audrey odkłada te czki na bok i... o cholera, to jest to. Zaginione akta sprawy. Filadelfijska Komenda Policji przy wszystkich zabójstwach używa takich samych niebieskich segregatorów. W takim mieście, gdzie rocznie giną setki ludzi, pewnie kupują je hurtowo.

Na co był Stasiowi ten?

Audrey nie jest dumna ze strasznych myśli, które przychodzą jej do głowy. Że jakimś cudem Staś był zamieszany w rodzinne zacieranie śladów, że nikt nie chce, by Audrey poznała prawdę, bo ta prawda jest zbyt potworna. Że jej ojciec też wie i...

Kiedy jednak otwiera segregator, okazuje się, że to nie te akta, o których myślała.

Dotyczą biegaczki zgwałconej i uduszonej dwadzieścia lat temu – Kelly Anne Farrace. Audrey kojarzy tę sprawę jak przez mgłę. Miała wtedy dopiero pięć lat, ale pamięta, że podczas śledztwa taty często nie było w domu. A potem w rocznicę zabójstwa co parę lat gdzieś publikowano artykuł z tym samym pytaniem: „Morderstwo przy Pine Street: Czy gdziekolwiek jest naprawdę bezpiecznie?”.

Stasiu, dlaczego zaglądałeś do dawnej sprawy taty?

Przecież nie pracowałeś w wydziale zabójstw. Zawsze podejrze-  
wałam, że jesteś na to za miękki.

Audrey kartkuje dokumenty, pośpiesznie przeglądając akta. Z  
tego, co pamięta, o morderstwo oskarżono dwóch śmieci. Jednak  
podczas procesu sprawa się posypała, bo nie pasowało DNA.  
Albo coś w tym stylu. Najwidoczniej prawdziwemu zabójcy uszło  
na sucho – chociaż większość ludzi i tak uważała, że winni byli  
tamci śmieci, tylko mieli szczęście.

Co ty robiłeś, Stasiu? Chciałeś być lepszy od taty?

Niczym echo jej myśli, nagle zaskakuje ją wściekły głos:

– Co ty robisz?

To Bethanne, stoi w drzwiach z rękami na biodrach, zapuchnię-  
tymi oczami, ustami wykrzywionymi w gniewie. Na myśl przy-  
chodzi milion ripost, ale Audrey się powstrzymuje. Ta kobieta  
właśnie straciła męża. Nawet Audrey nie jest tak podła, żeby jej  
teraz dogryzać.

Mogłaby też skłamać albo wymyślić jakąś niedorzeczną wy-  
mówkę w stylu szukania chusteczki albo jakiejś luźnej kartki  
w gabinecie Stasia. Ale znowu: Bethanne nie zasługuje na podstęp-  
y. Audrey obraca się w fotelu, żeby spojrzeć na bratową.

– Myślę, że Staś wcale się nie zabił. Chcę odkryć, co się stało.

Szykuje się na wybuch. Ale zamiast tego Bethanne siada naprze-  
ciwko niej. Jest tak blisko, że prawie stykają się kolanami.

– Ja wiem, że się nie zabił. Ale nikt nie chce mnie słuchać.  
Zwłaszcza twój ojciec.

– Nie bierz tego do siebie. On już taki jest. Ponury i tajemniczy.

– Nie zawsze był taki.

– O, wiem coś o tym.

Bethanne się pochyla i krzyżuje ręce na piersiach. Albo jej zim-  
no, albo próbuje powstrzymać drżenie.

– To o czym rozmawialiście w zeszłym tygodniu? Wiem, że po-  
szliście się napić. Wrócił wstawiony, co nie było w jego stylu.

– Zamierzałam zrobić projekt na temat zabójstwa dziadka Sta-  
na. Staś wpadł, żeby mi to wybić z głowy. Twierdził, że serce Ka-  
pitana by tego nie wytrzymało. Że moje pytania to byłoby dla nie-  
go za dużo.



– Przerwałeś projekt?

– A jak myślisz?

Bethanne pozwala sobie na lekki uśmieszek. Zna Audrey, odkąd dziewczyna miała pięć lat. Od czasu do czasu nawet się nią opiekowała. Najlepsza metoda, żeby Audrey do czegoś nakłonić, to powiedzieć: „Nie, nie możesz”.

– Weszłam tutaj, żeby sprawdzić, czy Staś nad czymś pracował.

– Komenda już przysłała swoich ludzi, żeby przejrzyli jego rzeczy. Podobno nic im się nie rzuciło w oczy.

– A to? – pyta Audrey, podnosząc akta Kelly Anne Farrace. – Tę sprawę prowadził mój ojciec. Dlaczego Staś to miał?

Bethanne kiwa głową.

– Zawsze mi mówił, że właśnie dzięki tej sprawie zapragnął zostać policjantem tak jak ojciec. Ale to także sprawa, która jego ojca złamała. Nie pamiętasz? Pewnie byłeś za mała. Staś i ja spotykaliśmy się wtedy dopiero od paru miesięcy.

– To był ten rok, kiedy rodzice się rozstali – mówi Audrey.

– Rozstali się rok później, ale owszem, wtedy zaczęło się psuć. Staś nocował u mnie, kiedy tylko mógł. Nie potrafił znieść przebywania w domu.

– Farciarz – stwierdza Audrey, a potem patrzy na segregator, który trzyma w rękach, i zauważa daty na okładce: 1.11.95 do 17.03.97.

Początek listopada 1995 roku. Ożeż kurde. Właśnie nad tą sprawą pracował ojciec, kiedy Terrill Lee Stanton umarł wskutek przedawkowania narkotyków w ośrodku przejściowym niedaleko linii Frankford El.

## DUPEK

17 kwietnia 1965

George'owi dostaje się najpierw i najbardziej.

Wraca do domu z samego rana, idzie Washington Lane do swojego spokojnego domku, kiedy nagle słyszy pisk opon i szurgot ciał. Wychował się w górnianej dzielnicy, jego uliczny radar jest bardzo wyczulony. Zna dźwięki wskazujące na to, że zaraz go napadną.

A te gnojki powinny wiedzieć, że nie należy się porywać na cholernego glineę, który właśnie wraca ze zmiany.

To jednak nie są zwykłe gnojki. To precyzyjny oddział uderzeniowy. Poruszają się szybciej, niż przypuszczał. George ledwo zdąży sięgnąć do kabury po służbowy rewolwer, gdy jego palce eksplodują palącym bólem, a potem szczęśliwie traci w nich czucie. Chwilę później kolejne trzaśnięcia w ręce i kolana, po których całym ciałem osuwa się na ziemię.

O ile się zorientował, jest ich trzech – uzbrojonych w twarde pałki policyjne.

George czuje jedną z nich przyciśniętą do gardła. Czyjeś dłonie i kolana przygniatają go do betonu. Zamaskowana twarz zbliża się do jego twarzy i mówi:

– Przestań się wtrącać, czarnuchu.

– Kim wy...

Ktoś go wali, bezbronnego, prosto w usta. Dolna część jego twarzy eksploduje. George pije własną krew.

– Albo będziesz następny.

Nazajutrz George opowiada o tym Stanowi – zresztą przecież nie ukryłby sińców. Najpierw jednak czeka, aż wsiądą do samochodu i nie usłyszy ich nikt inny. Siedzą w swoim dużym czerwonym radiowozie, nie odjeżdżają, ich torby z lunchem leżą między nimi na desce rozdzielczej.

– Powiesz mi, co się stało? – pyta w końcu Stan.

- Kogoś wkurzyliśmy – odpowiada George. – To się stało.
- No – mówi Stan głosem jakby odległym, przez co jego partner się obraca i przygląda mu się bardzo uważnie.
- O cholera. Ciebie też dopadli?

Wczorajszy dzień, wtorek – wieczór wywózki śmieci.

Stan ciągnie uliczką powgniatany srebrny kubeł, żeby wystawić go na Ditman Street. Właśnie minął budynek po prawej – tył narożnego spożywczaka – gdy w lewą stronę jego czaszki stuka kawał metalu. Stan przygryza wnętrze policzka i widzi gwiazdy.

- Nie ruszaj się, dupku. – To ostatnie słowo pada po polsku.

Stan się nie rusza, nie wypuszczając kubła, bo wie, że do głowy ma przystawiony rewolwer.

- Nie mam nic przy sobie – mówi i to jest prawda.

Na litość boską, jest ubrany tylko w podkoszulkę, spodnie i kapcie, bo po prostu wynosi śmieci. Nie ma kluczy, portfela, a tym bardziej gnata.

- Nie chcę twoich pieniędzy – mówi głos i dla podkreślenia tych słów znowu przyciska mu lufę do skroni.

- Słuchaj, jestem gliniarzem, rozumiesz? Nie rób żadnych głupstw.

- Tak, wiemy, że jesteś gliniarzem. Poza tym wiemy, że w domu zostawiłeś żonę i syna, bezbronnych. Jak myślisz, co może się teraz z nimi dziać?

Każdy miesiąc w ciele Stana tężeje. Gniew zalewa jego krwiociąg natychmiast i z wielką siłą. Stan niczego bardziej nie pragnie niż rozerwać tego człowieka na strzępy tylko za to, że wymówił słowa „żona” i „syn”.

- Nie – ostrzega mężczyzna z bronią i dociska mu lufę do skroni z taką siłą, że głowa Stana uderza o mur.

Stan szoruje uchem po szorstkiej cegle. Wciąż trzyma kubeł na śmieci. Nie ze strachu. Jeśli przyjdzie co do czego, nie będzie miał skrupułów, żeby stłuc nim tego gościa. To znaczy, o ile wcześniej nie dostanie kulki w łeb.

- Najpierw załatwią ją, żeby twój syn to usłyszał. A jak będziesz

miał szczęście, to może zaciągniemy cię z powrotem do domu, żebyś błagał o życie małego.

– Czego chcecie? – cedzi Stan przez zaciśnięte zęby.

– Żeby twój murzyn pilnował swoich spraw.

– Co z Rosie i chłopakiem? – pyta prędko George.

– Nic im nie jest, tylko blefował – odpowiada Stan, jadąc Broad Street.

– Hm. Tobie blefują, a mnie, cholera, spuścili łomot.

– Wolałbym zostać pobity, niż żeby coś się stało mojej rodzinie.

– No tak, słuszna uwaga. Chyba nie wiedzą, że ja i... zaraz, zaraz.

– Co?

– Nie wiedzą, że ja i Carla znowu się zeszliliśmy, bo według moich akt wciąż jesteśmy w separacji.

– Twoich akt? Na komendzie? Co to ma do rzeczy?

– Daj spokój, Stan. Wiedzieli, gdzie mieszkamy. Wiedzieli, że jesteśmy policjantami. Dokładnie wiedzieli, jak cię zastraszyć. I że trzeba mi skopać dupę, żeby do mnie dotarło. Bo to są, kurwa, gliniarze, człowieku. Cały czas ścigamy gliniarzy.

Przez kilka minut jadą w milczeniu, trawiąc to wszystko.

– To jest naprawdę pochrzanione – odzywa się wreszcie George.

– Wiesz, oni wcale nie muszą być z policji. Wystarczy ktoś z dostępem do naszych akt.

– Co na jedno wychodzi, jeśli się zastanowić.

Stan jedzie dalej. Czuję, że wali mu serce, zanim jeszcze dotrze do niego przyczyna. Sprawa dręczy go już od jakiegoś czasu. Jeśli teraz jej nie poruszy, nigdy tego nie zrobi.

– Znasz faceta, który nazywa się Sonny Kaminski? – odzywa się Stan.

George odwraca się do niego.

– To się, kurwa, nazywa nagłe pytanie.

– Znasz czy nie?

– Osobiście nie. Bo nie chcę. Można by eufemistycznie powiedzieć, że łączy nas pewna, hm, historia rodzinna.

Boże, nie. Błagam, Boże, niech on tego nie mówi.

– Jak to?

– Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo nie chciałem, żebyś myślał, że jeżdżąc ze mną, będziesz miał pecha czy coś. Wiesz, że mój stary był gliniarzem, ale nie opowiedziałem ci całej historii. John Quincy Wildey był jednym z niewielu czarnych w ekipach nalotowych Smedleya Butlera w czasach prohibicji. Od samego Smedleya otrzymał pochwałę. A kiedy jego wyrzucili z miasta, tatuś walczył dalej. Nie cierpiał alkoholu i tych, co nim handlowali. Z całym szacunkiem dla twojego piwa i w ogóle. To chyba ten jego gen południowego baptysty.

– Co się z nim stało?

George wolno wypuszcza powietrze.

– Pewnej nocy dostał cynk, że ktoś obrabia rządowy skład alkoholu na nabrzeżu. Razem z partnerem pojechał to sprawdzić. Partner ruszył przodem, a mój tatuś zabezpieczał tyły. I rzeczywiście, był tam cały gang, czekała ciężarówka i tak dalej.

Boże, nie, myśli Stan. Przestań mówić.

Ale Wildey opowiada dalej.

– No więc tak. Mój tatuś, który, muszę przyznać, był dość łeb-skim chłopem, widzi, że tamtych jest z sześcioro, a ich tylko dwóch. Bandyty przeważają liczebnie i mają więcej broni. A w samym środku zamieszania przecież nie da się wezwać posiłków. Dlatego mój tatuś zakrada się do ciężarówki, którą tamci chcieli uciec, ogłusza kierowcę, otwiera maskę i trochę majstruje przy silniku. Bandyty wychodzą, widzą, że nie ma kierowcy, i zaczynają panikować. Któryś mówi, że tamten pewnie stchórzył. Ale plan to plan, więc ładują piwo do wozu, a potem jeden siada za kółkiem. Ciężarówka nie chce zapalić. To wkurza ich na dobre.

Słuchanie dobrze znanej historii z innej perspektywy to surrealistyczne uczucie.

– Tatuś wychodzi z ukrycia z bronią w ręku. „Stać, policja!” Zaskoczył głąbów. Jego partner zachodzi ich z drugiej strony. Bandyty nie mają dokąd uciec. Są wyczerpani, a dwóch gliniarzy trzyma ich na muszce.

Mężczyzna za kierownicą nazywa się Jan Kaminski.

– A ten za kierownicą jest jeszcze bardziej wściekły niż cała reszta. Patrzy na mojego tatusia z rewolwerem w dłoni i mówi...

tak opowiadał partner ojca... mówi: „Niech cię cholera, czarnuchu, przez ciebie cała moja robota na nic”.

Stan słyszał to w wersji: „Ty cholerny murzynie, przez ciebie cała moja robota na nic” – gdzie słowo „murzynie” padło po polsku.

– A potem tatusia zastrzelił.

A potem Jan Kaminski pociągnął za spust „i zastrzelił tego czarnego sukinsyna”.

– Po prostu go zabił.

I wszyscy kumple Jana Kaminskiego parsknęli śmiechem, bo ta egzekucja była puentą.

– Uciekli, zostawiając piwo.

„Ten czarny sukinsyn wciąż mi wisi za całą noc roboty”.

„Ha, ha, ha...”

– Mój tatuś zmarł na miejscu. Dowiedziałem się dopiero rano. Miałem wtedy, cholera, ledwo cztery lata. Ale tamtego ranka wiedziałem, że teraz wszystko będzie inaczej. A wiesz, co jest naprawdę popieprzone?

– Co?

– Rok później prezydent Roosevelt zalegalizował piwo. Rok później to byłoby tak, jakby mój tatuś zginął, próbując powstrzymać paru gnojków przed kradzieżą coca-coli.

Obaj chwilą ciszy czczą pamięć Johna Quincy’ego Wildeya, poległego na służbie w grudniu 1932 roku.

– Złapali tego zabójcę? – pyta Stan, chociaż zna odpowiedź.

– Nie – mówi George. – Ale właśnie do tego dążę. Tamtego gangu nigdy nie złapano, ale parę miesięcy później ktoś inny aresztował szajkę przemytników. Podobno ich herszt zawsze się przechwalał, że zastrzelił czarnego policjanta. Nazywał się Jan Kaminski, był ojcem tego faceta, o którego mnie zapytałeś. A ty skąd go znasz?

Teraz są już prawie na skrzyżowaniu Broad i Columbia, ale Stan nie wytrzyma dłużej. Zatrzymuje falcona przy krawężniku, wyskakuje zza kierownicy, biegnie za róg budynku i rzyga na ścianę.

## SIEROTA ZE SPLUWĄ

*5 listopada 1995*

– Robię to z uprzejmości, Sonyu – mówi Jim. – Nic więcej. Chcę cię tylko poinformować, że zamierzamy go oskarżyć.

– Wysłuchaj mnie. Potrzebuję tylko pięciu minut.

The Palm wkrótce zamkną. Sonya chciała się umówić w prywatnym miejscu, ale Jim celowo wybrał publiczne, żeby mieć pewność, że wszystko między nimi przebiegnie kulturalnie. Kiedy przybyli do lokalu, Sonya uparła się, by zamówić drinki, chociaż alkohol to ostatnia rzecz, jaką Jim chce mieć teraz we krwi. Musi być przytomniejszy niż kiedykolwiek w życiu. Chryste, co on sobie wyobraża? W ogóle nie powinien być teraz z Sonyą. Powinien obudzić Aiszę i przygotować się do udupienia tego bestialskiego skurwysyna.

– Dwie martini ze stoliczną, bardzo wytrawne, trzy oliwki – mówi Sonya do barmana.

– Jedno martini dla niej – poprawia Jim. – Dla mnie tonik z limonką.

– Co ja słyszę? Jim Walczak odmawia darmowego drinka na koszt miasta Filadelfia?

Sonya udaje beztroskę, jakby to wszystko był drobiazg, ha, ha, rano będzie ci głupio. Ale jej oczy mówią co innego. To oczy drapieznika. Ma ochotę wbić Jimowi kły w szyję i szarpnąć.

– Zasugeruję ci tylko – mówi Jim – żebyś skontaktowała się ze swoim adwokatem. W interesie was obojga.

Sonya przysuwa się bliżej.

– Muszę ci coś wytłumaczyć.

– Powiedz mi tylko jedno: czy burmistrz wie?

Sonya ignoruje pytanie.

– Johnny nie miał z tym nic wspólnego. Jedyne, co można mi zarzucić, to że troszcę się o przyszłość młodego człowieka. Kiedy znaleźli tę dziewczynę martwą, Johnny wszystko mi opowiedział.

Że tamtego wieczoru rozmawiał z nią w klubie. Chciał się zgłosić na policję na przesłuchanie!

– Szkoda, że tego nie zrobił. Powinnaś była kazać mu porozmawiać ze mną.

– Żeby jego nazwisko trafiło do gazet? Miał sobie spierdolić karierę? Nic z tych rzeczy. Jim, wiesz, jak to działa. Jest jak guma, która przylepia ci się do podeszwy. Nie odklei się przez cały dzień.

Jim kręci głową.

– Sonyu, tu idzie o morderstwo. Nie możesz bawić się z tą sprawą, jakby chodziło o problem z obligacjami, czy czym wy się tam zajmujecie.

Sonya dostaje swoje martini i wypija spory łyk. Jim przygląda się jej uważnie. Oto matka, której syn lada chwila zostanie oskarżony o jedną z najstraszniejszych zbrodni w ostatnich latach. A jednak siedzi tutaj i popija wódkę, jakby nie miała się czym przejmować. Bardzo chciałby zobaczyć jakieś drobne drżenie, jakąś oznakę nerwowości. Martwi go jej zimne opanowanie. Gdyby to on był na jej miejscu, gdyby w podobne tarapaty wpadł Staś albo Cary? Jim wychodziłby z siebie.

– Wiedziałaś od początku – stwierdza. – Nie przysłał cię burmistrz. Sama poprosiłaś o to zadanie. Żeby chronić syna!

– *Mea culpa*, Jim. I nie udawaj, że nie zrobiłbyś tak samo. Ale to nie wszystko.

– Jak to?

– Czy zastanawiałaś się może, jak ta sprawa trafiła do ciebie? Nie byłeś następnym w kolejce, prawda? Hmm.

– Chcesz powiedzieć, że ty mi ją załatwiłaś?

– No nie, nie mam takiej władzy. Ale kiedy rozeszła się ta straszna wiadomość, pomyślałam o tobie, moim ulubionym detektywie z wydziału zabójstw. I podrzuciłam burmistrzowi prostą sugestię.

– Ale najpierw przez całą noc sprzątałaś po synu.

Sonya marszczy czoło.

– Uważaj, co mówisz, detektywie. Prosisz się o pozew za zniesławienie.



Jim opiera głowę na dłoni, a łokieć na barze.

– Posłuchaj, Sonyu. Nieważne, co powiesz, i tak zamierzam go oskarżyć.

Sonya patrzy mu w oczy.

– Zaproponowałabym, że za twoją uprzejmość zrobię ci laskę, detektywie, ale to by było trochę obleśne. Nawet jak dla mnie.

– O czym ty mówisz?

– Wciąż się nie domyśliłeś, prawda? To ma sens. Kiedy zginął mój wujek, miałeś tylko dwanaście lat. Pewnie mama nigdy ci nie powiedziała.

– Twój wujek? Jaki, kurwa, wujek?

– Nazywał się Stan Walczak. Był filadelfijskim policjantem, zabitym na służbie.

Ona albo jest pijana, albo zwariowała. Raczej to drugie. Wciąga w sprawę jego ojca, żeby ratować własnego syna.

– John to twój siostrzeniec – mówi dalej. – Jeśli go zamkniesz, zniszczysz własną rodzinę.

– Jezu Chryste, Sonya, to jest niskie nawet jak na ciebie – warczy Jim. – Znam swoją rodzinę. I ty do niej, kurwa, nie należysz.

– Jak na niegłupiego faceta nie wiesz o bardzo wielu rzeczach, Jim. Na pewno nigdy się nawet nie zastanawiałeś, po kim masz to imię.

– Co?!

Czy ona naprawdę sugeruje, że Jim nosi imię na cześć „Sonny’ego Jima” Kaminskiego? Że szef związku zawodowego i jego ojciec byli braćmi? Nie, przykro mi, ale to niemożliwe. Coś mu się jednak przypomina. Pewnego popołudnia, kilka miesięcy przed śmiercią ojca, do domu przyszedł jakiś człowiek. W fedorze, ładnie ubrany. Poszli razem z tatkiem na spacer. Tatko wrócił zły. Kiedy Jim zapytał o tamtego faceta, ojciec warknął, że to nikt taki. Gangster.

Sonya nachyla się do Jima, zbliża usta do jego ucha.

– Wszystko mi jedno, w co wierzysz... kuzynie – mówi. – Ale jeśli aresztujesz mojego syna, swojego siostrzeńca, to cię zniszczę.

Jim wykorzystuje tę chwilę, żeby głębiej odetchnąć, oczyścić myśli. *Nie daj jej się sprowokować, Wewnętrzny Jimie. Prowadzisz*

*najważniejsze śledztwo w swoim życiu – teraz rządzić musi Ze-  
wnętrzny Jim.* Trudno jednak zachować opanowanie. Cały świat  
kręci się jakby trochę szybciej. Jim czuje dziwną lekkość w gło-  
wie. Jak gdyby miał wypadek, a wstrząs nie pozwalał mu sobie  
przypomnieć, co się, u diabła, stało.

– Proszę bardzo – odpowiada w końcu. – Nic na mnie nie masz.

– Czyżby? – odpowiada Sonya. – No to powiedz, dlaczego od  
trzech dni codziennie odwiedzasz pewien ośrodek przejściowy  
przy Erie Avenue?

W żołądku Jima zbiera się lodowata kulka.

– Nie zmuszaj mnie do tego – mówi kobieta. – Przez wzgląd na  
własną rodzinę.

– Do czego, Sonyu? – pyta Jim mechanicznie, bo już wie, co ona  
odpowie.

Szykowała to od początku. Pewnie zaczęła, zanim jeszcze ciało  
znaleziono na schodach. Ułożyła pionki na planszy w taki sposób,  
żeby jej syn bez względu na wszystko wyszedł z tej gry zwycię-  
sko. Poprosiła o przydzielenie sprawy Jimowi – tajemnemu kuzy-  
nowi Jimowi. Pilnowała jej na każdym kroku. Uszy na komendzie,  
oczy na ulicy. Obserwowała każdy ruch Jima, chcąc być gotowa,  
kiedy on zbliży się do Johna DeHavena. Tylko że ludzie, którzy  
mieli Jima na oku, zobaczyli co innego, prawda?

– Mam zdjęcia – mówi cicho Sonya. – Piątek rano, piątek wie-  
czorem, sobota rano, sobota wieczorem... Masz ochotę wyjaśnić  
przed sądem, dlaczego przez cały weekend jeździłeś do ośrodka  
przejściowego, w którym mieszkał zwolniony warunkowo wię-  
zień?

Jim milczy. Tylko na nią patrzy.

– Zwłaszcza że ten więzień już nie żyje.

**BABY BLUE**  
*14 maja 2015*

Stypa w domu Stasia powoli i w niezręcznej atmosferze dobiega końca. Nikt nie chce tu być, ale nikomu także nie śpieszy się do wyjścia.

Cary jest kompletnie i żenująco najebany. Jean się wymawia, usiłując odciągnąć go od stolika służącego za barek, ale wymówkami nie zakamufluje tego, że on nazywa ją megierą i despotyczną kurwą. Kapitan siedzi w kącie i albo jest pogrążony w myślach, albo dokonuje projekcji astralnej swojego ciała w jakieś inne miejsce. Will jest cały spięty, bo już zbyt długo przebywa z dala od swoich drogich zabawek ze śródmiejskiej jaskini, więc Claire żegna się i wraca do Center City.

Co oznacza, że przyszła również pora na Audrey.

Dziewczyna pyta Barry'ego, czy podwiezie ją i babcię Rose do domu tej drugiej. Wyjaśnia, że chce spędzić u niej trochę czasu, by mieć pewność, że wszystko z nią w porządku. Barry'emu to pasuje – co trochę oszałamia Audrey. Zwykle kiedy facet znosi całodniową imprezę rodzinną, oczekuje małej nagrody za swe trudy. Ale Barry po prostu się zgadza. I to jeszcze z miłym uśmiechem na twarzy.

Punkt dla ciebie, Kapitanie Dziwkozbawco.

Droga z Jenkinstown nie trwa długo. Wystarczy przejechać drogą numer siedemdziesiąt trzy do Roosevelt Boulevard, potem do Harbison, skręcić w prawo w Torresdale i wreszcie jedną przecznicę do Bridge. Babcia Rose siedzi z tyłu i nerwowo zerka Barry'emu przez ramię, by się upewnić, czy dobrze jedzie. Audrey powstrzymuje się przed paroma żartami na temat Woząc panią Daisy. (Znowu: nie czas i nie miejsce). Barry parkuje, a ona pomaga Rose wysiąść z samochodu i przejść przez ulicę. Potem przybiega, żeby cmoknąć Barry'ego w policzek, i mówi, że zadzwoni później.

– O kurczę, buziak – komentuje chłopak. – Lepiej uważaj, to się robi osobiste.

– Pocałuj mnie w dupę – odpowiada Audrey z chytrym uśmiechem.

W domu pomaga babci rozsiąść się na kanapie. Rose nie jest zrozpaczona. Już się nie trzęsie. Wygląda po prostu na zmęczoną. Audrey rozumie. To był wyczerpujący dzień.

– Wszystko w porządku, babciu?

– Tak, dobrze, dobrze.

Audrey przeprasza i idzie do toalety – tym razem naprawdę. Ale trochę jej nieswojo, kiedy przystaje w połowie schodów, żeby zerknąć na portrety na ścianie. Dziadek Stan. Jej ojciec. Staś. Dwóch w piachu, został jeszcze jeden. Jeśli jesteś policjantem, którego zdjęcie tutaj wisi, i nosisz jakąś formę imienia Stanisław, no to masz przesrane.

Tylko że Staś wcale się nie zabił. Ona to wie. Bethanne również. Jeśli ktoś go zamordował... to kto? I dlaczego? I kim byli ci obcy ludzie na pogrzebie? Na parterze Audrey siada obok ostatniego źródła, jakie jej zostało. Swojej babci – jedynej osoby z przydatnymi wspomnieniami, którą zna.

– Babciu, pamiętasz tę panią, z którą tata rozmawiał po pogrzebie?

– Którą, kochanie?

– Wysoka ciemnowłosa kocica, czólenka od Christiana Louboutina, mniej więcej w wieku mojej mamy. Wiesz, kto to jest?

– Och, powinnaś porozmawiać z ojcem.

– Próbowałam, babciu, ale nie był zbyt wylewny. Dlatego pytam ciebie.

Babcia Rose wzdycha. Patrzy na Audrey, zastanawiając się, czy jest jakaś szansa, żeby uniknąć wyjaśnień.

– To kuzynka twojego ojca.

– Dlaczego jej dotąd nie widziałam?

– Nie, nie. Ze strony jego ojca.

Co prawda Audrey nie jest ekspertką od genealogii, ale żeby jej ojciec miał kuzynkę, dziadek Stan musiałby mieć rodzeństwo. A to niemożliwe, ponieważ był sierotą. Żadnego rodzeństwa,

matka imigrantka zmarła w połogu, ojciec alkoholik umarł osiem lat później.

Babcia Rose widzi, że Audrey patrzy w przestrzeń i przelicza przodków.

Śmieje się.

– Nie wierz we wszystko, co czytasz w gazetach, mała.

Potem wstaje, dotyka ud jakby dla złapania równowagi i rusza w kierunku schodów.

– Muszę ci coś pokazać. Zaczekaj tu.

Po pierwszych pięciu minutach Audrey myśli, że może babcia poszła na górę do toalety. No, z książką. Po kolejnych pięciu zaczyna podejrzewać, że zapomniała, co chciała przynieść, położyła się i zasnęła. A po kwadransie obawia się już najgorszego: że konieczność pochowania pierworodnego wnuka to było zbyt wiele dla jej wielkiego włoskiego serca.

Ale nie, babcia wraca po schodach z albumem, którego Audrey nigdy dotąd nie widziała.

– Twój dziadek dostałby szału, gdyby wiedział, że to zachowałam – mówi. – To jedyne zdjęcie ich obu, jakie mam.

Audrey pochyla się nad babcią, gdy ta przewraca strony. Stary celofan szeleści przy każdym ruchu. Z początku Audrey nie rozumie, na co patrzy. Pożółkłe ogłoszenia prasowe, czarno-białe zdjęcia z burleski. Wreszcie zatrzymuje się na fotografii kruczo-włosej tancerki z biustem jak dwie torpedy.

– Uwierzyłyabyś?

Te oczy. Ten uśmiech.

Ożeż kurde.

– To nie... to nie ty, prawda?

– Czas jest wredny, co?

– I ty mi dosrywasz za tatuaże?

– Tatuaże są szkaradne. Mężczyźni nie chcą oglądać tatuaży. Chcą oglądać ciało.

– Zaraz, zaraz. Byłaś striptizerką?

Babcia wzdryga się jak spoliczkowana.

– Audrey! Byłam tancerką egzotyczną, tak to się nazywa. Więcej widział tylko twój dziadek.

– Gdzie to było? Wygląda szpanersko.

– W Midtown. Po wojnie właśnie tam były wszystkie najgorętsze kluby.

Audrey sięga do albumu i cofa się o stronę czy dwie, żeby zerknąć na adresy na wycinkach z gazet. Faktycznie – Dwunasta Ulica, Trzynasta, Spruce, Pine, Camac, serce okolicy, którą dziś nazywa się Gayborhood. W zasadzie dokładnie tam, gdzie mieszkują Will i Claire. Audrey z wielu powodów chciałaby, żeby Staś wciąż żył, ale przede wszystkim dlatego, by mogła mu powiedzieć, że kiedyś zaledwie parę przecznic od McGillin's babcia Rose trzęsa tym, co jej natura dała.

– Jezu.

– A tak naprawdę chciałam pokazać ci to.

Czarno-biała fotografia formatu trzynaście na osiemnaście, a na niej jakiś lokal. Wygląda na elegancką miejscówkę. Mnóstwo butelek alkoholu wzdłuż baru z lustrami. Mosiężny drążek na nogi. Dziewczyny w wypasionych sukienkach vintage (ej, tyle że wtedy wcale nie były vintage, myśli Audrey) i eleganci w garniturach.

– Który to rok?

– Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy – mówi babcia, a potem stuka palcem w zdjęcie, wskazując jednego z mężczyzn w garniturze.

– To twój dziadek.

Siemasz, Stanie Walczaku, ty szykowny skurczybyku.

Babcia wskazuje kolejnego eleganta.

– A to James. Jego brat. Właśnie jego powinnaś zapytać, co spotkało twojego dziadka.

## KROCZYĆ W SZEREGU

1 maja 1965

Pierwszego maja Stan Walczak i George Wildey znowu są tam, gdzie zaczęli – na miejscu szykujących się zamieszek.

– Jasne, chodźmy do przełożonych, zgłośmy tę sprawę – drwi Stan. – Doskonały pomysł.

– Ej – odpowiada George – przynajmniej pozwolili nam zatrzymać skórzane kurtki.

Najbardziej nienormalne jest to, że spotkanie z nadinspektorem przed dwoma tygodniami wydawało się całkowitym sukcesem. Nadinspektor ich wysłuchał, mówił głównie George, a Stan wtrącał uwagi potwierdzające jego opowieść. Wyglądało na to, że istnieje zespół białych handlarzy heroiną, sprzedający ogromne ilości towaru w całej Północnej Filadelfii. Co gorsza, najwidoczniej grupa ma dostęp do akt policyjnych. Ci ludzie wiedzą, gdzie robić interesy, tak by nie przeszkodziła im policja. Nawet jeśli sami nie są umocnionymi gliniarzami, to pomaga im ktoś na komendzie.

Nadinspektor był zarazem przerażony i zaintrygowany. Stan i George ze szczególnym zadowoleniem przyjęli jego obietnicę, że zajmie się tą sprawą osobiście.

Tydzień później usunięto ich ze specjalnego zespołu pozamieszkowego i przeniesiono do regularnego patrolu, bez żadnych wyjaśnień. „Polecenie z góry”. Albo istniał jakiś spisek, albo naruszyli policyjną etykietę i musieli dostać nauczkę.

Ostatniego dnia kwietnia otrzymali nowe rozkazy: nazajutrz – w sobotę – o czwartej rano mają się zameldować w Girard College. Policyjni informatorzy twierdzą, że Cecil B. Moore zamierza przeprowadzić grupę demonstrantów przez trzymetrowy mur okalający uczelnię, dlatego komendant Leary wysyła tysiąc funkcjonariuszy, żeby strzegli każdego centymetra tego muru. Moore, niezrażony, zmienia zdanie i rusza na czele marszu wokół muru, śpiewając *We Shall Overcome*.

Stercząc w skórzanej kurtce na upalnym słońcu, Stan widzi, że policjantów jest ze dwadzieścia razy więcej niż protestujących. „Pieprzone bzdury” – mówi do Wildeya, który nie może się z nim nie zgodzić. Policjanci stoją rozstawieni wzdłuż obwodu muru. Moore, były marine gustujący w cygarach i jedwabnych garniturach, prowadzi demonstrantów marszowym krokiem w zwartym szyku, jak oddział wojskowy. Nikt po żadnej ze stron nie wyłamie się z szeregu, na pewno nie przed kamerami telewizyjnymi i reporterami z gazet. Tymczasem Wildey wypatruje doktora Martina Luthera Kinga juniora, który przyjechał do Filadelfii na kilka dni. Może wpadnie pod mur. „Fajnie byłoby go zobaczyć”.

Dzień drugi, niedziela, to powtórka z rozrywki. Niekończące się marsze, śpiewy, skandowanie. Wildey słyszał, że wieczorem, kiedy reporterzy wrócą do domu, policjanci w odpowiedzi na *We Shall Overcome* – „Zwycięzimy” – zamierzają skandować: „Takiego chuja” i walić pałkami o metalowe bariery przed główną bramą na kampus. Ku rozczarowaniu Wildeya nie ma ani śladu doktora Kinga.

Dzień trzeci, poniedziałek, doktora Kinga nadal brak. Stana piekielnie bolą nogi, ból promieniuje aż do kręgosłupa. Sprawę dodatkowo pogarsza to, że oni najwyraźniej sterczą tutaj po nic. Kiedy już wreszcie przyzwyczajają się do ostatniej zmiany, teraz musi pracować w dzień. Gdy wraca wieczorem do domu, jest zbyt zmęczony, by bawić się z Jimmym albo dłużej rozmawiać z Rose. Wmusza w siebie kolację, próbuje zasnąć, nie może, wypija kilka piw, znowu próbuje spać, nie może, a wkrótce przychodzi pora ponownie zameldować się na służbie.

Dzień czwarty wygląda tak samo. Stan błaga o dzień wolnego – ale prośba zostaje odrzucona. Demonstranci Moore’a kontynuują niekończący się marsz wokół kampusu. Stan zaczyna myśleć, że będzie pilnował tego durnego muru przez resztę swojej kariery. Policjanci i protestujący znaleźli się w gniewnym kłinczu. Nikt nie może odejść, dopóki protestujący się nie rozejdą, a ci nie rozejdą się, dopóki Girard College nie otworzy bram dla czarnych studentów.

Ale szóstego dnia Wildey zaskakuje Stana.



– W tym tygodniu trochę grzebałem i chyba trafiłem na żyłę złota.

– O czym ty gadasz? W czym grzebałeś?

– Zacząłem własne śledztwo i myślę, że mam kolejne źródło, które zechce z nami porozmawiać.

Stan już chce zapytać: „Źródło czego?”, kiedy wreszcie do niego dociera – Jezu Chryste, Wildey nadal szuka wilków z Dżungli.

– Spotkamy się z nim jutro. Siedzi w Eastern State.

– Twoje źródło to więzień? I my mamy mu wierzyć?

– Chyba możemy go przynajmniej wysłuchać.

– Kiedy to ma być?

– W południe. Wejdzimy dzięki odznakom. Już dzwoniłem do więzienia.

– Przecież jutro będziemy tutaj.

– Nie będziemy – odpowiada Wildey z szerokim uśmiechem. – Bo pójdziemy na wagary.

Tego wieczoru Rosie robi gołąbki, jedno z ulubionych dań Stana, znienawidzone przez Jimmy’ego. Związek polskiej nazwy tej potrawy z gołębiami sprawia, że chłopcu wydaje się ona tym bardziej obrzydliwa. Jimmy ogranicza się do tłuczonych ziemniaków i tylko udaje, że je gołąbki: rozcina kapustę i dłubie widelcem w farszu z mięsa i ryżu. Potem pyta, czy może wstać od stołu, co pasuje Stanowi, bo chce porozmawiać z Rosie w cztery oczy.

– Jutro biorę wolne – mówi. – Ale i tak idę do pracy. Musimy z George’em coś sprawdzić.

Nie wspominał żonie, że ścigają po Dżungli białych dilerów i morderców. Nigdy dotąd nie przynosił pracy do domu i teraz nie zamierza zacząć. Rosie wyraźnie dała mu do zrozumienia, że zależy jej tylko na tym, by wracał bezpieczny – szczegóły nie mają znaczenia. Ale coś jej musi powiedzieć, ponieważ wyjdzie z domu po cywilnemu.

– Co sprawdzić? – pyta Rosie.

Stan nie chce jej też okłamywać. Kiedy dziesięć lat temu raz to zrobił, ich małżeństwo ledwo przetrwało, dlatego nie chce się

znaleźć w tej sytuacji nigdy więcej.

– Pewien konfident może nam coś powiedzieć na temat przestępstw, które próbujemy wyjaśnić.

Rosie kiwa głową, krojąc kapustę widelcem.

– Dlaczego musicie wziąć wolne, żeby z nim porozmawiać?

– Siedzi w więzieniu Eastern State. To musi wyglądać jak wizyta starych znajomych, żeby inni więźniowie nie domyślili się, że jest kapusiem. Rozumiesz?

Rosie rozumie, więc kończą posiłek bez słowa. Stan dopija piwo, wyrzuca pustą puszkę do śmieci, a potem wyciąga następną z lodówki i idzie z nią na fotel, gdzie czeka numer „Evening Bulletin”. Na górze Jimmy szarpie struny gitary, grając w kółko ten sam riff. Normalnie Stan krzyknąłby, żeby zamknął te cholerne drzwi, ale jest zbyt zmęczony, żeby zaczynać sprzeczkę. Sący piwo, odchyła się w fotelu i mówi sobie, że przymknie oczy tylko na chwilę.

## STŁUMIĆ GNIEW

6 listopada 1995

Jim wraca do domu dopiero w niedzielę bardzo późną nocą. Po prostu jedzie przed siebie, bez celu, na oślep, przychodzi o świcie tylko po to, żeby wziąć prysznic i się przebrać, a potem rusza z powrotem do Roundhouse. Claire nic nie mówi, bo nie chce wszczynać kłótni. Jim jest jej za to wdzięczny. Kiedy idzie do drzwi, Audrey przybiega do niego, przywiera całym ciałem do jego łydki jak ciężarek i błaga, żeby dzisiaj nie szedł do pracy.

– Muszę, skarbie – odpowiada Jim. – Tatuś musi.

Aisha mówi mu, że wygląda fatalnie. Jim dziękuje za to spostrzeżenie. Ponownie przeglądają grafik ostatniej doby życia Kelly Anne i listę jej potencjalnych chłopaków. Kiedy Aisha wspomina inicjały JDH, Jim tylko na nią patrzy i mówi, że nic nie ma. Potem przepatrują wszystko raz jeszcze i Aisha stwierdza, że nic z tego nie wynika – może to były jednak te dwa głąby. No, może, odpowiada Jim. Przyciśnijmy ich i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

I wypowiedziawszy te słowa, Jim wie, że to początek końca.

Później tego samego dnia do mediów wycieka wiadomość, że policja zatrzymała dwóch „potencjalnych podejrzanych”, którzy już prawie przyznali się do winy.

To nieprawda. Dostawcy utrzymują, że są niewinni. Aisha ciśnie mocniej, nawet kiedy przychodzą wyniki badań DNA i okazuje się, że nie pasują.

Jim nie mówi nic.

Próbuje przekonać sam siebie, że nie robi nic złego. Kelly Anne była weryfikatorką. Zweryfikujmy więc fakty. Czy Jim może być pewien, że John DeHaven zgwałcił i zamordował Farrace, dostał się do jej mieszkania przy użyciu jej własnych kluczy, przebrał ją w strój do joggingu, a potem porzucił jej ciało na schodach przy

Pine Street? Może gdyby technicy kryminalni przeprowadzili badania. Ale nie przeprowadzili. Więc nie ma pewności. Bo John DeHaven nie jest potencjalnym podejrzanym.

W tym mieście wielu mordercom uchodzi na sucho.

Wystarczy spojrzeć na Terrilla Lee Stantona.

Tego wieczoru Jim jedzie pod Bridge Street 2046 i mówi matce, że muszą porozmawiać. Ona proponuje mu to, co zostało z obiadu, kawę, herbatę, może coś słodkiego – ale Jim w tej chwili nie ma na to ochoty. Chce tylko poznać prawdę.

– Tak, twój ojciec miał brata – mówi cicho matka.

– Sonny’ego Kaminskiego.

Rose kiwa głową.

– Chryste, mam, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Twój ojciec nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Nie powiedział nawet mnie. Dowiedziałam się dopiero od Sonny’ego po śmierci Stana.

Teraz Jim sobie przypomina. Oczywiście. On był na pogrzebie ojca. Przyszło wtedy wielu facetów w garniturach, żeby oddać hołd tatkowi, ale do tej pory Jim nie pamiętał, że jednym z nich był „Sonny Jim” Kaminski, położył mu ręce na ramionach, ścisnął je, prawie jakby chciał zrobić mu masaż, powiedział, że wszystko będzie dobrze, a Jim oczywiście wiedział, że to kłamstwo.

– Masz imię po nim. Twój ojciec nie chciał mieć nic wspólnego ze swoją dawną rodziną, ale nie potrafił się powstrzymać.

Dawna rodzina – Kaminscy, wyjaśnia matka. Stan uciekł z domu jako chłopiec, zostawiając młodszego brata. Zawsze się tym zadęczał, ale jakże mógłby go zabrać? Sam był jeszcze dzieckiem; nawet dla niego samego przeżycie na ulicach było dostatecznie trudne. Zmienił nazwisko na nazwisko jednego z ich dawnych lokatorów: Walczaka. Zawsze powtarzał, że został policjantem, bo jego ojciec był złym człowiekiem, więc chciał to zrekompensować.

Nie lubił jednak mówić o pracy nic więcej. Służba w policji stała się po prostu sposobem, żeby powiązać koniec z końcem.

– Twój ojciec nie chciał, żebyś o tym wiedział – wyjaśnia Rose. – Zawsze miałam nadzieję, że kiedy trochę dorośniesz, zmieni zdanie. Ale potem...

– Mam wuja – mówi Jim. – Mam całą rodzinę, o której nie wiedziałem.

Jego matce coś przychodzi do głowy.

– Jak się dowiedziałeś? Kto ci powiedział?

– Prowadziłem śledztwo z jego córką.

## POKONAĆ PRZYSZŁOŚĆ

15 maja 2015

Idąc Front Street, Audrey w myślach układa zdania, ale nie ma takiej siły, żeby nie zabrzmiały śmiesznie.

„Yy, dzień dobry, panie Kaminski, wygląda na to, że jestem wnuczką pana brata i sądzę, że pan wie, kto w 1965 roku zabił mojego dziadka i jego partnera”.

Sonny Jim Kaminski mieszka przy Kenilworth Street, zaledwie dwie przecznice na południe od South Street. To zaskakująco piękny kwartał tuż poza granicą śródmieścia. W dawnych czasach – to znaczy gdzieś tak latem 2005 roku – Audrey i jej kijowi koledzy z liceum włączyli się po South Street i tamtejszych studiach tatuażu i piercingu, barach, sex shopach. Wszyscy im mówili, że South Street się skończyło, ale pieprzcie się, ludzie, skończyło się dla was, bo jesteście starzy.

Kenilworth dzieli od tego cyrku niby tylko dwie przecznice, a jakby cały świat. Któż to wiedział, że dawny dom rodzinny znajduje się tak blisko sklepu Zipperhead?

Jest dzień po pogrzebie Stasia. Dziś rano Audrey zadzwoniła do biura Sonyi Kaminski (czy może do biura cioci Sonyi?), żeby umówić to krępujące spotkanie. Sonya także ma przyjechać na Kenilworth Street 106, chociaż jest zajęta donkiszotowską kampanią wyborczą syna.

Tak. Kandydat na burmistrza z ramienia demokratów John DeHaven – totalnie kuzyn Audrey.

Albo coś w tym stylu.

Audrey jako adoptowane dziecko, dorastając, zawsze czuła się jak uboga krewna. Okazuje się, że była ubogą krewną w rodzinie ubogich krewnych superpotężnych Kaminski. W takiej chwili można się poczuć jak kserówka kserówki. Powinna muzykować na ulicy pod sklepem z prezerwatywami, a nie pukać do tych drzwi.

Mimo to puka.

Czeka.

Drzwi otwiera ciocia Sonya i wita ją uśmiechem.

– Dzień dobry, Audrey. Cieszę się, że zadzwoniłaś. Wejdz.

W środku są drogie drewniane meble, miękki dywan i ciekawe obrazy.

– Przykro mi, że nie miałyśmy okazji dłużej porozmawiać na porzeczbie. Ale jest czas prawyborów, więc jak zapewne wiesz, mój syn John ma zajęta każdą minutę.

– Musi być ciężko.

Kuzyn John kandyduje na burmistrza. Pewnie nie wypadałoby teraz podrzucić Sonyi swojego CV z prośbą o przekazanie synkowi.

– W każdym razie mój ojciec cię oczekuje. Jest na górze, w sypialni. Ma kłopoty z chodzeniem po schodach. Przynieść ci coś do picia, zanim wyjdę?

Chyba niegrzecznie byłoby poprosić o krwawą mary, więc Audrey mówi: nie, dziękuję.

– Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz – rzuca Sonya, a potem wychodzi.

O raju.

Audrey rusza po schodach na pierwsze piętro. Zburzono ściany, łącząc dwie ciasnawe sypialnie w jeden pokój przyzwoitych rozmiarów. Pośrodku tej całej przestrzeni siedzi grubokościsty mężczyzna na wózku.

– Witaj, Audrey – mówi cicho. – Od dawna chciałem cię poznać. Bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś.

O, zdecydowanie widać podobieństwo do dziadka Stana. Te same głęboko osadzone oczy, prawie jakby ktoś mu je podbił. Rzadkie siwe włosy. Mocna szczeka – taka, która potrafi znieść cios, nawet jeśli teraz należy do starego, słabego człowieka.

– Cieszę się, że mnie zaprosiłeś.

– Może nie uwierzysz, ale to twój dom rodzinny. Nie wyobrażasz sobie mojej radości, kiedy usłyszałem, że wystawiono go na sprzedaż. Dorwałem go nawet za dobrą cenę, chociaż zapłaciłbym dwa albo trzy razy tyle, byle go odzyskać.

Audrey się rozgląda.

– Ładnie tu. Tylko mało miejsca. Myślałam, że takie wielkie szczy jak ty gustują w miejskich rezydencjach.

– Uwierzyłybyś, że sto lat temu gnieździło się tutaj dziewiętnaście osób? I to nawet nie z jednej rodziny. Twój pradziadek Jan Kaminski wynajmował jeden pokój dla siebie i żony. Później došliśmy my dwaj. Nie pamiętam ani chwili prywatności.

– Pewnie miło mieć to teraz tylko dla siebie.

– Szczerze mówiąc, czuję się tu trochę samotny.

– Ojooo.

Sonny nie wie, jak zareagować.

– Czy naprawdę przyszedł tu, żeby ze mnie drwić?

– Nie, przyszedł porozmawiać o moim dziadku Stanie. Chyba wiesz, kto go zabił, a od pięćdziesięciu lat nie pisnąłeś ani słowem.

– A więc Rosie ci powiedziała. – Starzec się krzywi. – Do tej pory zupełnie nie przeszkadzał ci absolutny brak wiedzy o własnej historii. Dzieci takie jak ty... Wam się wydaje, że życie zaczęło się wtedy, kiedy otworzyliście oczy i zaczęliście wołać mamę. Nie macie pojęcia, co było przedtem.

– Znam historię – odpowiada Audrey. – Na przykład wiem, że pewnego dnia Dzwon Wolności pękł, bo Ben Franklin przegrał zakład i go kopnął. Ale potem Rocky go naprawił, więc wszystko dobrze się skończyło.

– Mój wnuk będzie następnym burmistrzem tego miasta i postawi je z powrotem na nogi. Czy wiesz, ile straciliśmy przez ostatnie sześćdziesiąt lat? Wszystko zaczął ten głupi fiut James Tate, przekazując władzę murzynom. Niby jak oni mają sobie radzić z władzą? Nie radzą sobie nawet z własnym życiem.

– Czy możemy sobie chwilowo odpuścić rasizm? Nie przyszedł tu w związku z twoim wnukiem. Chcę wiedzieć, kto zabił mojego dziadka i George'a Wildeya.

Sonny Jim zamyka oczy i się uśmiecha, jakby rozkoszując się jakimś prywatnym wspomnieniem. Audrey boi się, że stary dziad zasnął w jej obecności (nie byłby to pierwszy raz). Albo gorzej – że umarł, zanim zdążyła poznać prawdę. Jednak nie, otwiera oczy



i wbija w nią spojrzenie jak dwa wskaźniki laserowe.

– Jesteś inna niż twoi bracia – stwierdza Sonny. – Co ty takiego masz?

– Cycki?

Sonny parska śmiechem, a potem kręci głową.

– Tak, chyba rzeczywiście jesteś jedną z nas. Sonya w twoim wieku też miała niewyparzoną gębę. Niezła z niej była awantur-nica.

Audrey myśli: ni chuja nie jestem taka jak wy.

– Nie wiem, czy ktoś cię poinformował – odpowiada – ale jestem adoptowana.

– Tak ci powiedzieli?

Audrey nie ma pojęcia, co Sonny chce przez to powiedzieć – do cholery, przecież sama dopiero co się dowiedziała, że Kaminsky i Walczakowie są spokrewnieni.

– Czy możemy trzymać się tematu?

Twarz starego Sonny'ego Kaminskiego tężeje, znikają z niej wszelkie ślady bez troski. Mężczyzna poprawia się w wózku, jak-by chciał się wydać wyższy.

– Chcesz wiedzieć, kto zabił mojego brata? Jego głupi czarny partner, nikt inny.

– Jeszcze nie zrobiłam dyplomu, ale raczej jestem pewna, że to nie George Wildey pociągnął za spust.

– Słyszałaś kiedyś, jak oni wszyscy do siebie mówią: „bracie”? Ej, bracie, jak leci, bracie. Nie mają pojęcia, co ten wyraz znaczy. Więc kiedy mój rodzony brat znalazł sobie murzyna za partnera...

– Naprawdę powinieneś przestać używać tego słowa – wtrąca Audrey.

Stary uśmiecha się obrzydliwie i kiwa głową.

– No tak, tak, prawie zapomniałem. Ty się pieprzysz z murzynami. Jeden jest nawet ojcem twojego dziecka. Małego mieszańca Bryanta, który został w Houston.

Audrey czuje, że braknie jej tchu, a skóra pali, że aż skwierczy. Nie wie, skąd ten staruch o tym wie (cholera, nawet jej własny ojciec nie wie). Nie obchodzi jej to.

– Jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego o moim dziecku, przysięgam na Boga, że wyciągnę cię z tego wózka i ci wpierdole.

– Mocne słowa jak na córkę dziwki.

– Mocne słowa jak na rasistowskiego kutasa na wózku.

Stary oblech uśmiecha się jak pies – szczyrzy zęby, patrzy dzikim wzrokiem.

– Ta wasza pieprzona rodzina – mówi. – Wytykacie mnie palcami. Szarpiecie mnie, bez przerwy. W każdym pokoleniu muszę się zajmować którymś z was, Walczaków.

– Czyli co? Moim dziadkiem Stanem też się „zająłeś”?

Audrey oczywiście ma na myśli to, że bogaty Sonny Jim nie chciał, by jego brat policjant z robotniczej rodziny robił mu problemy. Sonny jednak przez chwilę patrzy na nią zimnym, martwym spojrzeniem, a potem jego oczy uciekają na bok.

– Nie chciałem tego zrobić – mówi cicho. – To był wypadek.

## PADAJĄ STRZAŁY

7 maja 1965

W barze na rogu Siedemnastej Ulicy i Fairmount leci polka:

*Ktoś ukradł kieszkę  
Ktoś ukradł kieszkę  
Ktoś ukradł kieszkę  
Z jatki ukradł ją*

Kiedy Stan po raz pierwszy puścił ten kawałek partnerowi, George nie mógł przestać się śmiać. W życiu nie słyszał równie absurdalnej piosenki. Jeszcze śmieszniej zrobiło się wtedy, gdy Stan powiedział, że wykonawcami są miejscowi chłopcy z Chester, bracia Matys, i że nagrali ją na rogu Broad Street i Columbia Avenue, w sercu North Philly. Stan oznajmił to z taką dumą, że George ryknął śmiechem jeszcze głośniej.

– Halo, barman! – woła George, przekrzykując muzykę. – Jeszcze jeden schmidt’s dla mojego polskiego koleżki. Kto ukradł kieszkę, człowieku. He, he, he.

Znużony życiem barman podnosi wzrok, jakby się zastanawiał, dlaczego czarny gliniarz puścił z szafy grającej polkę, a potem człapie do kranów z piwem.

Blask słońca wpada do baru. Kolejny podmuch gorącego powietrza.

Stan i George oglądają się za siebie, spodziewając się znowu zobaczyć tamtego robotnika z budowy, bo może zmienił zdanie.

Ale to nie robotnik.

To mężczyzna z bronią.

Konkretnie z rewolwerem.

Pijaczkowie wstają i też mają w dłoniach rewolwery.

Stan i George obaj instynktownie sięgają po broń. Obaj przypominają sobie – praktycznie w tej samej chwili – że są po cywilnie-

mu. Nie mają broni. Nie mają pałek.

Nie mają nic.

– Kurwaaa – rzuca George, już w ruchu.

Stan zgadza się z nim całkowicie.

Kiedy pijaczkowie unoszą rewolwery, Stan i George robią jedyne, co mogą: rzucają się przez bar, przy okazji przewracając na tyłek starego, przerażonego barmana.

A nad ich głowami...

BAM, BAM.

Bęben obraca się dwukrotnie...

Dwa szybkie pociągnięcia za spust.

Kufel na ladzie eksploduje.

BAM.

Znowu obraca się bęben...

Palec pociąga za spust...

BAM.

Od baru odpryskuje drzazga.

Ktoś krzyczy:

– Przestańcie, do cholery! Przestańcie!

W dole Stan i George kulą się i szukają za barem jakiejś broni. Nie ma żadnej. Dygoczący barman patrzy na Stana, potem na George'a, w jego oczach płonie pytanie: „Co się kurwa dzieje?”. Ten stary człowiek wyciera w knajpach ślady po piwie, odkąd Roosevelt zalegalizował alkohol. W tych facetach od razu rozpoznał gliniarzy. Ale nie sądził, że ktoś postanowi do nich strzelać.

– Masz tu jakąś spluwę? – pyta Stan. – Śrutówkę, cokolwiek?

Barman kręci głową: nie, nie, nie.

Stan stęka, rozgląda się, bierze pod uwagę butelkę – ale co zdziała butelka przeciwko rewolwerom?

– Nie wydaje ci się czasem, że całe pieprzone miasto jest przeciwko nam? – rzuca George.

– Owszem, zaczynam tak myśleć – odpowiada Stan.

Kończy się polka i zaczyna ostatni zamówiony kawałek. George pomyślał, że Stanowi spodoba się ten numer ze względu na syna i tę przygrywkę, którą młody w kółko katuje w domu. To oryginalna wersja *This May Be the Last Time* w wykonaniu The Staples

Singers. Bar wypełnia się lamentem na gospelową nutę. Niesamowitym. Pogrzebowym. Nie z tego świata.

Teraz George żałuje wyboru. Oddałby wszystko za głupawą poklę.

– Wy dwaj! – woła jakiś głos. – Wyłaźcie stamtąd. Z rękami w górze.

Stan i George wymieniają spojrzenia. Ich nosy są zaledwie parę centymetrów od siebie.

– Chyba nie mamy wyboru, stary – mówi w końcu George.

Wychodzą zza baru.

– Dobra, rozbierać się.

– Co? – pyta George.

– Rozbierać się! Do bielizny!

Teraz, kiedy pijaczkowie podnieśli głowy i otworzyli oczy, Stan ich rozpoznaje. To ci fałszywi policyjni „inspektorzy”, z którymi mieli do czynienia kilka miesięcy temu. Teraz nie będzie przyjacielskiego ostrzeżenia. Rozkaz rozebrania się nie zwiastuje nic dobrego.

Jaki mają wybór?

Stan i George zdejmują cywilne ubrania i zostają w białych podkoszulkach i bokserkach. Tamci każą im uklęknąć przed barem, z rękami za plecami. George skarży się na potłuczone szkło na podłodze. Napastnicy mają to w dupie. Barmanowi mówią, żeby leżał kurwa grzecznie z twarzą do ziemi.

Pijaczkowie przystawiają im lufy do głów.

– Czy mogę spytać, w jakiej panowie sprawie? – pyta George.

– Stul pysk – rzuca jeden z pijaczków.

Mocny lokalny akcent. Gdyby George musiał zgadywać, obstałaby Whitetown, gdzieś w River Wards.

– Po prostu chcę wiedzieć, czy nas zabijecie, czy nie. Kolana sobie ranię i w ogóle.

Stan rzuca George’owi spojrzenie.

– Nie podsuwaj im pomysłów.

Barman, wciąż leżąc za barem twarzą do ziemi, woła:

– Idźcie sobie! Nie chcę tu żadnych kłopotów! – Płytki na podłodze tłumią jego głos.

– Stul, kurwa, pysk i leż, jak ci się mówi.

George patrzy na Stana. Znowu nie ma pojęcia, co temu durnemu Polakowi chodzi po głowie.

– Wiesz, kiedy dziewięć miesięcy temu zostawaliśmy partnerami – mówi – mogłem się domyślić, że tak skończymy.

Tymi słowami wywołuje ponury uśmiech Stana.

Otwierają się drzwi i wpada światło. Przez bar przemyka kolejny podmuch gorącego powietrza. Potem drzwi się zatrząskują i ktoś coś szeptem.

– Halo! – woła Stan.

Znowu szept i mamrotanie. Jakby zupełnie nie miało znaczenia, że na podłodze baru, na potłuczonym szkłe, klęczą dwaj gliniarze w bieliźnie.

– Halo, słuchajcie, możecie się pośpieszyć? Mam bilety na dzisiejszy mecz Phillies i nie chcę się spóźnić.

I wtedy ktoś mówi:

– Uparty z ciebie szmondak, wiesz o tym?

Na dźwięk tego głosu twarz Stana się odpręża.

– Chyba żartujesz...

George zerka na partnera.

– Kto to? Stanny, proszę, powiedz, że wiesz, co tu się dzieje.

Stan jednak go ignoruje.

– A więc tutaj chodziło o to, żeby nas nastraszyć – mówi. – Zgadza się?

– Nie, Stanisławie. Teraz jest już na to trochę za późno.

Potem Stan słyszy pstryknięcie odciąganego kurka rewolweru, czuje zimną stal z tyłu głowy i wie, że to koniec.

– Wiesz, czyja to broń? Dobrze się zastanów. Przypomnisz sobie. Wyciągałeś ją po kryjomu z pudła na buty, żeby na nią popatrzeć.

– Stan – mówi George, wybałuszając oczy. – Daj spokój, człowieku. Co tu się dzieje, do cholery?

– Ojciec zachował ten rewolwer. Jak trofeum. A umierając, przekazał go mnie. Nie przypuszczałem, że użyję go w ten sposób. Stary na pewno by się ucieszył, że ciągle znajdujemy dla niego porządne zastosowanie.

– Ty sukinsynu.

– Muszę przyznać: myślałem, że robisz mi jakiś chory dowcip. Biorąc jego za partnera. Myślałem, że sam o niego poprosiłeś, żeby coś udowodnić.

Stan uświadamia sobie, o czym mówi brat. Jezu, tutaj chodzi o to? Nie, on nie miał pojęcia o istnieniu George'a Wildeya, zanim nie przydzielono ich sobie podczas zamieszek. To dokładnie w stylu Jima: myśleć, że wszystko kręci się wokół niego.

– Nie wiedziałem – mówi Stan. – On też nie wie.

– Stan... Czego nie wiem? – pyta George.

Sonny Jim Kaminski odrywa broń od głowy brata i stuka lufą w głowę George'a Wildeya. Z taką siłą, że George trochę chwieje się na kolanach.

– Au.

– Czy ta broń wydaje ci się znajoma? Co, murzynie?

Uzbrojeni pijaczkowie śmieją się i zmieniają pozycję. Jeśli coś się będzie działo, oni także chcą się zabawić.

Stan nie umie klęczeć spokojnie. *Błagam, nie rób tego. Nie bądź głupi.*

– Owszem, Stan, wiem, że nie wiedziałeś – mówi Sonny Jim. – Co każe mi się zastanowić nad życiem, przeznaczeniem i tak dalej. To małe miasto, ale nie aż tak małe. Chciałbym myśleć, że los doprowadził nas do tego momentu, w którym trzeba dokonać ważnego wyboru.

Zaraz potem Stan zostaje podniesiony z kolan. Stracił czucie, więc pijaczkowie go podtrzymują, dopóki nie odzyska władzy w nogach.

Jego brat uśmiecha się, podnosząc rewolwer. Stan wie, co to za broń. Oczywiście, że to właśnie ona. Stary zawsze był dumny z tej sploty kalibru .38 Special. Obnosił się z nią jak rewolwerowiec na Dzikim Zachodzie. Uważał się za polskiego rozbójnika. Reszta łobuzów w Southwark dzieliła się jednym pistoletem. Ale nie Duży Jan Kaminski. O nie, on musiał mieć własny rewolwer. Wydał rodzinne pieniądze na broń, zamiast na jedzenie. Oczywiście zgodnie z jego logiką dzięki tej broni miało im nie zabraknąć jedzenia.

Sonny Jim podaje bratu rewolwer kolbą do przodu.

– Masz. Trzymaj. Naładowany amunicją, do której przywykłeś. Przebijająca Winchester-Western Super X. Mam rację? Skurwysyn nic nie poczuje.

– Nie.

– Możesz to wszystko teraz zakończyć. Nie chcemy się więcej o ciebie martwić. Zabierzesz dzisiaj małego na ten mecz. Cholera, dam ci nawet na hot dogi i piwo.

– Pierdol się, Sonny Jim.

– Ej, jesteś wśród przyjaciół. Oni chcą tylko wiedzieć, że można ci ufać i że postąpisz, jak trzeba. Chcą się upewnić, że pamiętasz, po czyjej stronie tak naprawdę stoisz. Stawka jest zbyt duża.

Kłęczący na posadzce George jednocześnie rozumie, co mówią – to wszystko o życiu i śmierci – i kompletnie nie ma pojęcia, o czym gadają. O jakich niby stronach?

– Słuchaj, Stan... Poważnie byłbym wdzięczny, gdybyś mi powiedział, o co tutaj chodzi. Jeśli to jakiś skomplikowany dowcip, to zupełnie, kurwa, nieśmieszny.

Ale Stan nie słyszy partnera, ponieważ myśli o swej słodkiej Rose, o tym, jaka będzie wściekła, kiedy się dowie, co się stało. Przede wszystkim jednak myśli o synku, Jimmym, i o jego rozczarowaniu, że przegapił dzisiejszy mecz Phillies.

– Wracaj do domu do Southwark, Sonny. Zostaw nas w spokoju.

– Nic nie rozumiesz. Southwark to też twój dom. Od tej zabawy w Dżungli wszystko ci się pomieszało. Rodzina to rodzina. Wciąż jestem gotów powitać cię z powrotem z otwartymi ramionami i wszystko ci wybaczyć. Musisz mi tylko zrobić jedną przysługę.

– Puść nas. Zostańmy przy dawnym układzie. Ty trzymasz się swojej części miasta, a ja swojej. Nie wiem, dlaczego teraz to się ma zmienić.

– Myślałem, że będziesz mądrzejszy. Rose też tak myślała. Liczyła, że ją uratujesz. Więc chyba sam to będę musiał zrobić.

Teraz Stan mógłby eksplodować – ile razy ostrzegął brata, żeby nawet nie myślał o Rose? Ale ręka Sonny'ego już jest w ruchu. Lufa rewolweru celuje w tył głowy George'a. Kciuk odciąga kurek z metalicznym pstryknięciem. Palec jest gotów pociągnąć za spust.



Nie.

Stan rzuca się naprzód, prosto w kolana Sonny'ego. Wytrąca go z równowagi.

Rewolwer strzela.

BAM.

Pocisk uderza w przód baru – piętnaście centymetrów w prawo i ugrzązłby w czaszce George'a.

– Ty głupi sukinsynu!

W odpowiedzi Stan wali brata pięścią prosto w jaja. Cios jest tak mocny, że aż zwała go z nóg. Sonny ląduje na tyłku.

George wyczuwa szansę...

Dopada do baru, obraca się.

Pijaczkowie podnoszą broń.

Wycelowaną prosto w niego.

Odciągają kurki.

Stan wyskakuje w powietrze, gdy oni...

Otwierają ogień.

BAM.

BAM.

BAM.

Pierwsza kula jest jak uderzenie w ramię, obraca go. Druga przebija mu plecy i wychodzi przodem przez brzuch. Trzecia chybia, wbija się w bar. Strzały są jak ciosy. Chłód ogarnia całe jego ciało.

Sonny Jim wrzeszczy z przerażenia, ryczy: NIEEEE! Zaczyna walić pijaczka stojącego obok, okłada go kolbą rewolweru. Pijaczek zatacza się do przodu, upuszcza własny rewolwer. Broń ze stukotem upada na płytki posadzki.

– TY GŁUPI CHUJU! – krzyczy Sonny Jim.

Drugi ze strzelców jest sparaliżowany ze strachu. Chryste, zastrzelili brata szefa, policjanta.

Stan patrzy na George'a, który wybałusza oczy, a twarz ma ochłapaną krwią. To moja krew, myśli Stan. Boże, Rosie będzie zła.

– Uciekaj – mówi do partnera.

George czołga się po płytkach posadzki w kierunku Sonny'ego

Jima. Słyszał, że upadła spluwa. Podniesie ją.

– EJ, EJ, EJ! – woła ktoś.

Zanim George zdąży dopaść do rewolweru, ktoś kopie go w brzuch. George się zwija i powoli przewraca na plecy.

– Dawać mi go – warczy Sonny Jim, zataczając się w kierunku policjanta.

Przykuca, choć to boli, i przykłada lufę rewolweru do czoła George'a.

– Jak już mówiłem, założę się, że w pewnym sensie ta broń jest ci znana. Może duch twojego tatusia woła teraz: O nie, znowu, tylko nie to. Ty też będziesz teraz płakał? Będziesz błagał o życie, tak jak błagał twój tatuś?

George tylko na niego patrzy. W jego oczach jest czysta nienawiść. Z takim człowiekiem nie da się rozmawiać, nie da się pertraktować. Komuś takiemu jak Sonny Jim Kaminski można powiedzieć tylko prawdę.

– Nie muszę płakać za tatusiem – mówi George – bo mój partner mnie ubezpiecza.

I rzeczywiście.

Stan Walczak podnosi się z posadzki na tyle, żeby dosięgnąć rewolweru w dłoni jednego z pijaczków, zmusić jego palec do pociągnięcia za spust i oddania niezdarnego strzału. BAM. Sonny Jim okręca się i wrzeszczy – już nigdy nie będzie chodził. Jednak lecąc na ziemię, sam także pociąga za spust: BAM. Bok głowy George'a znika. Drugi pijaczek obraca się i strzela do Stana, kilkakrotnie: BAM, BAM, BAM. Ale Stan to uparty Polak, więc padnie dopiero wtedy, gdy tamten pierwszy pijaczek dołączy do kolegi i obaj opróżnią magazynki. Część strzałów chybia, więc pociski Super-X grzęzną w przedniej ścianie drewnianego baru, a barman wciąż kurczy się po drugiej stronie, modląc się do Boga, żeby kule miały za mało siły, żeby przebić bar na wylot.

## KOLEJNY STRZAŁ

7 listopada 1995 (dzień wyborów)

Jim budzi się koło czwartej nad ranem z silnym atakiem paniki. Nie potrafi tego zrobić. Wie, że nie potrafi. Równie dobrze mógłby wsadzić sobie lufę w usta i pociągnąć za spust. Ledwo zdąża do łazienki i wymiotuje swoją w większości płynną kolację. Bardzo stara się nie zakrztusić ani nie krzyknąć – nie chce obudzić Claire i dzieciaków. Ale w głowie słyszy głosy...

*Czy ja naprawdę puszczę wolno mordercę?*

*Sprzeciw, Wysoki Sądzie, czy pan detektyw z góry uznał mojego klienta za winnego?*

*Podtrzymuję sprzeciw, Sonyu. Pani kuzyn musi to ująć inaczej.*

*Dziękuję, Wysoki Sądzie.*

*Panie Walczak, pozwolę sobie przypomnieć panu, że w tym mieście wielu mordercom uchodzi na sucho.*

Burmistrz zostaje wybrany na kolejną kadencję z miażdżącą przewagą głosów. Sonya Kaminski, wraz z szefem związku zawodowego „Sonnym Jimem” Kaminskim, towarzyszą mu na scenie podczas powyborczej imprezy w Bellevue, wśród wszechobecnych serpentyn, confetti i balonów. Są częścią zespołu, który wprowadzi Filadelfię w dwudziesty pierwszy wiek. Nie tak dawno ludzie pracy uciekali ze śródmieścia przed nadejściem zmroku, a ulicami rządzili bandyci, gwałciciele i inni dranie. Ale burmistrz to zmienił. Poukładał wszystko, jak trzeba. Odzyskał Center City, którego granice odpowiadają pierwotnemu obrysowi miasta Filadelfia z czasów wojny o niepodległość. O to również była bitwa. Ale oni dopiero zaczęli.

Sonya Kaminski mówi reporterowi, że pomoże burmistrzowi wejść w nową kadencję, później jednak zamierza wrócić do pracy ze swoim ojcem.

Natomiast jej syna, Johna DeHavena, warto obserwować, dodaje. W tak młodym wieku osiągnął już tak wiele.

Jim jedzie Erie Avenue. Nawet nie musi myśleć o adresie. Zanim się obejrzy, parkuje pod ośrodkiem przejściowym, wysiada z auta, trochę się zatacza, bo całkiem sporo wypił, sięga po broń i stwierdza z ulgą, że ta ciągle jest na swoim miejscu.

Wewnątrz pokazuje odznakę właścicielowi i każe się zaprowadzić do Terrilla Lee Stantona. Właściciel wzdycha, po czym mówi, że nie widział Stantona już od iluś dni – kurator nic mu nie mówił? Jak to, Stantona nie ma? Nie, odpowiada właściciel budynku, wygląda na to, że zwiął. Według kuratora zniknął w niedzielę wieczorem.

Jim prosi o klucze do pokoju Stantona. Właściciel mu je wręcza, nie zadając pytań. Jim rusza trzy piętra pod górę – pod numer 3B. Gmera przy zamku, otwiera, wchodzi do środka. Gdy widzi żałosne łóżko z cieniutkim materacem i nierówną poduszką, obtłuczoną komodę, wytarty dywan, który może pierwotnie był brązowy, ale wyblakł, przybierając niezdrowy odcień szarości... wtedy sobie przypomina.

*Sobota późnym wieczorem.*

*Nikt nie wie, że tu jest.*

*Tylko Jim...*

*...i zabójca jego ojca.*

*– Nie rób tego, synu. Popełniasz wielki błąd.*

*– Nie jestem, kurwa, twoim synem!*

*Jim Walczak trzyma zabójcę swojego ojca na muszce. Żeby koło się zamknęło, powinien kazać temu człowiekowi się rozebrać i klęknąć na tym brudnym, wytartym dywanie. Powinien stuknąć lufą rewolweru w jego czaszkę, kazać mu się zastanowić nad ostatnimi sekundami życia. Potem pociągnąć za spust.*

*Ale zastrzelenie go byłoby błędem. Badania balistyczne pozwalają zbyt łatwo zidentyfikować broń. Jim jest policjantem z wydziału*

*zabójstw. Wie, w jaki sposób śledczy będą analizować to miejsce zbrodni. Trzeba zadbać o idealnie spójną narrację.*

*Rzuca Stantonowi małą skórzaną torebkę. Mężczyzna łapie ją odruchowo. Patrzy na nią. Umie rozpoznać torebkę ze sprzętem. I wie, czego Jim od niego oczekuje.*

*– To ci nie da spokoju.*

*– Stul pysk, kurwa, i wyjmuj strzykawkę.*

*– Znałem twojego ojca. Był dobrym człowiekiem. Nie chciałby, żebyś to zrobił.*

Z początku Stanton udawał, że nie znał jego ojca. Potem jednak westchnął, wzruszył ramionami i wyznał prawdę. Tak, znał ojca Jima. Tak, parę razy był ich konfidentem. Ale ich nie zabił! Dlaczego miałby zrobić coś takiego? Potrzebował ich, a kiedy zginęli, wiedział, że na jakiś czas musi zwiewać z North Philly. Przyszły po nich duże złe wilki.

Wilki? Jim nie miał pojęcia, o jakich wilkach wygaduje Stanton.

– Są rzeczy, których nie zrozumiesz, synu – odparł mężczyzna. – Wilki przejęły władzę. Wygrały.

Teraz Jim patrzy z góry na martwe ciało Terrilla Lee Stantona ze strzykawką wiszącą z ramienia. Smród nie wydostał się jeszcze z tego pokoju. Ale wystarczyłby dzień czy dwa, żeby sąsiedzi zaczęli się skarżyć.

Czy Jim zmusił tego człowieka do wbicia sobie igły w żyłę, grożąc mu rewolwerem? Czy naprawdę go zabił?

Nie.

To „kurator”.

Gdyby Jim zabił go w sobotę wieczorem, kurator znalazłby ciało następnego dnia – gdy powiedział właścicielowi budynku, że Stanton zwiął. Prawdziwy kurator wezwałby policję i pogotowie. Natomiast fałszywy spojrział na ciało, wytarł odciski palców i wyszedł tak samo, jak przyszedł, po czym poinformował właściciela, że Stanton zniknął, a nie – że nie żyje. Na dodatek pewnie kazał

przez jakiś czas nie zaglądać do pokoju. Kurator, który nie był kuratorem. Zatrudniony przez rodzinę Kaminskih.

Jim tego nie zrobił. W sobotni wieczór spał się i zachował jak idiota, ale nie został mordercą.

Mordercy to ta druga część rodziny.

## OSTATNIE STRZAŁY

15 maja 2015

Audrey jedzie El z powrotem na Unruh Avenue jak otumaniona. Tyle informacji do przetrwania, i to zupełnie innych, niż się spodziewała. Cholera, istny Kain i Abel.

Tylko jedno jest jasne: musi porozmawiać z ojcem. Natychmiast. On jednak nie odbiera komórki. Dlatego Audrey nie ma wyboru: jedzie El, a potem sześćdziesiątką do domu w Mayfair, żeby tam na niego zaczekać. Może należe mu podwójną wódkę z lodem, bo będzie mu potrzebna.

*Twojego ojca zabił twój tajemny wuj. Albo kazał go zabić. Albo przynajmniej kazał zabić jego partnera, a dziadek Stan wszedł w drogę.*

El pędzi po torach. Jest godzina szczytu i nie ma wolnych miejsc, dlatego Audrey stoi, trzymając się oślizgłego słupka, żeby nie stracić równowagi. Czuje na sobie czyjś wzrok. Obraca się. Nikogo nie ma. Paranoja to zabawna sprawa, prawda? Niewiele potrzeba, żeby cały świat zachwiał się w posadach. Audrey pamięta dzień, w którym Claire posadziła ją naprzeciw siebie i wyjaśniła, że jest adoptowana. Chcieli zaczekać, aż będzie na tyle duża, żeby to zrozumieć, ale zanim nadszedł taki czas, Claire i ojciec się rozstali. Dziewczynka miała sześć lat i chyba nie była gotowa na taką wiadomość. Patrzyła, jak inni rodzice odbierają pociechy na szkolnym podwórku i myślała: o rany, te wszystkie matki i ojcowie naprawdę chcieli swoich dzieci. Moi nie. Oddali mnie, żeby zajął się mną ktoś inny. Pojechała jej się od tego w głowie na bardzo długo.

Audrey otrząsa się z zamyślenia i obraca. Zaraz, zaraz, zaraz. Ktoś z całą pewnością się jej przygląda. Mogłaby przysiąc, że czuje na sobie czyjś wzrok. Wierzy w postrzeganie pozazmysłowe, no bo ileż razy tak się zdarza: myślisz, że ktoś na ciebie patrzy, oglądasz się i bum – rzeczywiście?

Pociąg dociera do stacji Bridge Street – ostatniej na trasie El – zdecydowanie później, niż Audrey by chciała. Dziewczyna wtapia się w tłum, schodzi z ludźmi po betonowych schodach do właściwej stacji, gdzie panuje spory ruch jak na środek poranka. Jest córką gliniarza – wie, co trzeba robić. Trzymać się tłumu. Wyciąga z torebki swoją gównianą komórkę i jeszcze raz próbuje dozwonić się do ojca. Może by po nią przyjechał.

Telefon dzwoni sześć razy, a potem cisza. Nie ma taty. Gdzie ty, do cholery, jesteś?

Audrey zastanawia się, czy nie spróbować jeszcze raz, kiedy nagle ktoś wali ją pięścią w ramię.

Dziewczyna się obraca, upuszcza komórkę, która z trzaskiem uderza o ziemię. Ten dźwięk niesie się echem po całej stacji.

Ludzie wokół niej zaczynają pierzchać. Audrey chce sięgnąć po telefon – na litość boską, nie może go przecież zostawić na stacji Bridge Street...

A potem...

BUM.

Kolejny cios.

Audrey leży na ziemi, zanim jeszcze zorientuje się, że upadła. Czuje zimno na całym ciele. Nad nią stoi jakiś człowiek w bluzie z kapturem i dopiero gdy dziewczyna zauważy broń w jego dłoni, dociera do niej: o kurwa, zostałam postrzelona.

„W zasadzie jesteśmy workami z wodą”, powiedział kiedyś jej wykładowca.

I ktoś właśnie co najmniej dwa razy strzelił w jej worek.

Audrey jest żywym – jeszcze – kawałkiem żelatyny balistycznej.

Facet celuje teraz z rewolweru w jej twarz, a ona jest już właściwie załatwiona i zbyt słaba, żeby zareagować.

Przypomina jej się ta stara piosenka o tym, że nie da się dojechać do nieba linią Frankford El.

Ależ wręcz przeciwnie.

Ale potem coś go płoszy – stukot szybkich kroków i głośne krzyki dorosłych mężczyzn. Człowiek w bluzie z kapturem znika. Audrey próbuje być dobrą córką gliniarza i zapamiętać szczegóły jego twarzy, żeby później je opisać policyjnemu rysownikowi.



Później. Ależ z ciebie optymistka. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, co kula może zrobić z ludzkim ciałem. Widziałaś te wszystkie seriale. Uczylaś się tego na studiach. A wszystko po to, żeby przygotować cię na ten moment, kiedy zostaniesz postrzelona i będziesz się wykrwawiać pod torami Frankford El.

Audrey wyciąga rękę. Tatusiu, przyjdź po mnie. Proszę. Tak cholernie jej zimno – nie czuje nawet bólu ran po kulach. Ciepła jest tylko jej dłoń. To dlatego, że ktoś ją trzyma. Ściska.

Ręka mężczyzny – szorstka, silna, jakoś znajoma.

Ten sam mężczyzna mówi jej: „Trzymaj się, trzymaj się, trzymaj”.

Ładnie powiedziane, ale decyzja raczej nie należy do niej.

## STAN

7 maja 1965

Stanisław Walczak pozostaje przy życiu zaskakująco długo, biorąc pod uwagę to, jak duża część jego mózgu została unicestwiona. To chyba ten jego polski upór.

Wyciąga rękę po płytkach posadzki w kierunku swojego partnera, ale George chyba już odszedł. Usta otwarte, oczy otwarte, wpatrzone w sufit. Twarz ochlapana krwią.

Z szafy grającej przestały lecieć twoje kawałki, George. Wrzuć jeszcze ćwierćdolarówkę i puść nam trzy następne. Zaskocz mnie.

George nic nie mówi. Ale na jego ustach chyba jest lekki uśmiešek.

To nie była część Planu, prawda, George?

„He, he, he”.

Ktoś krzyczy. Słysząc syreny. Stan próbuje się skupić na własnym oddechu. Jeśli jeszcze oddychasz, to jeszcze bije ci serce. Serce jeszcze bije, to jeszcze żyjesz. Pierdol się, Sonny Jim. Przeżyj. Zabiorę syna na mecz. Z tą myślą Stan na chwilę traci przytomność.

Kiedy się budzi, ktoś dotyka jego dłoni. Ścisną ją. Ręka kobiety.

Mówiącej mu: „Trzymaj się, trzymaj się, trzymaj...”.

Zabawne, że teraz, gdy Stan znów się ocknął, wydaje mu się, że może jest odwrotnie. Że to on trzyma za rękę jakąś ładną dziewczynę i mówi jej, że wszystko będzie dobrze. Ona jest wszystkim. Jest zbawieniem. Jest przyszłością. Stan otwiera oczy i to on kłęką, a ona leży na ziemi. Ciemne włosy, pełne usta, jasne oczy. Wygląda zupełnie jak Rosie, kiedy się poznali.

A potem z olśniewającą mocą tysiąca stadionowych reflektorów uderza go, kim ona jest, co robi.

Stanisław Walczak nigdy w życiu nie widział nikogo równie pięknego.

## JIM

*7 listopada 1995*

Jim jedzie do domu na Unruh Avenue. Audrey podbiega do niego i mocno go przytula. Claire jest w kuchni, robi kolację. Ucieszy się, że mąż choć raz wrócił na rodzinny posiłek. Szkoda, że Jim nie może jeść. Jego żołądek to czarna otchłań.

Wykonał anonimowy telefon, wskazał pokój 3B przy Erie Avenue. Reszta w rękach Boga. Nalewa sobie wódkę z lodem, osuwa się na rozkładany fotel i czeka, czy ktoś przyjedzie go aresztować.

Pierwsze bóle w klatce piersiowej czuje kilka godzin później. Wytacza się z łóżka, wciąż pijany, myśląc, że to zawał. Kiedy stoi przed lustrem w łazience, mgłą mu się oczy, traci czucie w palcach i coś jakby zaciska mu się na gardle. Wali się pięścią w pierś, jak gdyby ten wstrząs mógł przywrócić sercu regularny rytm. Błagam, Boże, myśli, nie pozwól mi umrzeć w ten sposób. Nie w tak żalonym momencie mojego życia.

Nazajutrz w Szpitalu Pensylwańskim kardiolog mówi, że EKG nic nie wykazało – najpewniej był to atak lękowy. Co nie jest niczym dziwnym, zważywszy na zawód Jima.

Ale jego życie i kariera wypadają ze swojego toru. Pryśła wszelka radość, jaką czerpał z pracy, wymazana świadomością, że sprzeniewierzył się odznace. O ile kiedyś fantazjował o zabiciu Terrilla Lee Stantona, teraz wyobraża sobie, że zdobędzie się na odwagę, by aresztować Johna DeHavena, bez względu na konsekwencje.

Nie ma jednak tego luksusu. Konsekwencji nie poniósłby sam. Organizacja skłonna zabić człowieka i wrobić policjanta nie zawahałaby się podnieść ręki na rodzinę tego policjanta.

**AUDREY**  
*16 maja 2015*

Dobra wiadomość: nie umarła.

Zła wiadomość: jest w chujowym stanie.

Claire w kółko powtarza: Nie martw się, ojciec już jedzie. Audrey chciałyby coś powiedzieć, ale z tą rurką w gardle nie może. Nie jest w stanie ruszyć rękami. Mogłyby mrugać alfabetem Morse'a – ale oczywiście najpierw musiałyby go znać.

*Kapitanie, rozwiązałam sprawę, nie zgadniesz, kto był sprawcą!  
Nie, serio, lepiej usiądź.*

Audrey miała mnóstwo czasu, żeby dopasować resztę klocków układanki. O, niezależny projekt w jej głowie jest genialny. Tylko że nie dożyje, żeby go napisać.

Próbuje zakomunikować Claire spojrzeniem: Mamo, naprawdę muszę zobaczyć się z tatą. Gdzie on się podziewa? Dlaczego mnie nie odwiedził?

Kolejna dobra wiadomość: lekarze mówią, że Audrey prawdopodobnie została uratowana przez swoją „dodatkową amortyzację”. Co brzmi lepiej niż stwierdzenie, że uratowało ją to, że jest gruba.

Niech żyje wzrost wagi po porodzie.

Kolejna zła wiadomość: Audrey pilnie potrzebuje nerki. To znaczy nawet dwóch, ale jednej natychmiast, inaczej grozi jej niewydolność. To problem, gdy jest się adoptowanym. Zwykle nerkę bierze się od rodzeństwa. Claire przebywa w sali, kiedy lekarze przekazują wiadomość.

– Czyli mam przerąbane – mówi Audrey. Nawet po wyjęciu rurki gardło wciąż piecze jak cholera.

– Nie, wcale nie masz przerąbane, córeczko – mówi Claire. – Bo

twój brat odda ci swoją nerkę.

– Cary? Ten sam Cary, który beczy, jak zatnie się w palec?

– Twój brat cię kocha.

– Skąd w ogóle wiadomo, że jest zgodność? Nie trzeba najpierw przeprowadzić badań i tak dalej?

Claire dziwnie na nią patrzy. Jakby zaraz miała się rozpłakać, parsknąć śmiechem albo jedno i drugie.

– Jest zgodność – odpowiada – bo to twój brat.

Po tym, jak Claire kończy wyjaśniać całą historię, Audrey ma ochotę z powrotem wezwać lekarza i dodatkowo zażądać przeszczepu mózgu, bo ten stary właśnie jej rozsadziło.

James Walczak i jego żona, Claire, pobrali się młodo. W krótkim czasie urodzili im się dwaj synowie, jak to się często zdarza młodym małżeństwom. Walczakowie nie mieli pojęcia, w co się pakują. W ich życiu panował chaos.

Do 1989 roku, po mniej więcej czternastu latach od ślubu, Jim i Claire zdążyli oddalić się od siebie. Oboje pobłądzili, podjęli głupie decyzje. Działali impulsywnie, nie myśląc o konsekwencjach. Na szczęście poszli po rozum do głowy w samą porę, żeby uratować małżeństwo. Uświadomili sobie, że ich wola bycia razem jest silniejsza niż drobne słabości. Claire łatwo przerwała swój romans.

Jim – nie za bardzo.

Kobieta, z którą się spotykał, zaszła w ciążę. Była samotna i bez grosza, a w Jimie dostrzegła swój finansowy ratunek. Skłamała, że bierze pigułki. Kiedy Jim z nią zerwał, zagroziła, że powie Claire o dziecku. Zamiast tego on sam jej o nim powiedział. Claire była zdruzgotana, ale nie dała za wygraną. Nie zamierzała poświęcić małżeństwa przez jakąś pazerną dziwkę z South Philly.

Wtedy matka dziecka oznajmiła Jimowi, że dokona aborcji. Jim bardzo to przeżył. Całym sercem był za prawami kobiet, ale wychował się w katolickiej rodzinie. Uważał, że dziecko jest w połowie jego. Błagał, żeby to jeszcze rozważyła. Kobieta w końcu zgodziła się urodzić dziecko i oddać prawa rodzicielskie Jimowi i Claire... pod warunkiem, że pokryją jej wydatki medyczne i ży-

ciowe. Kwota, jaką miała na myśli, znacznie przekraczała wszelkie racjonalne koszty życia i/lub leczenia, ale w owych czasach Jim dobrze zarabiał jako policjant z wydziału zabójstw. Byli dzia- ni, odkładali pieniądze, żeby kupić za gotówkę dom na bliskich przedmieściach.

Zamiast tego sprowadzili do domu córeczkę Jima, tłumacząc chłopcom, że zdecydowali się na adopcję. Claire nazwała ją na cześć swojej ulubionej aktorki, Audrey Hepburn.

Audrey chce, żeby przyszedł ojciec. Ma mu tyle do powiedzenia. Przede wszystkim jednak chce znowu poczuć jego objęcia. Jej prawdziwego tatusia. Choć myślała, że nigdy nie będzie go mieć.

Ale już przyszedł anestezjolog, już otulili ją ciepłym kocem, dają jej zastrzyk i proszą, żeby liczyła w dół od stu...

## STANISŁAW KAMINSKI

1933–1951

„Twój tata musi jechać na wycieczkę” – mówi mu pewnego ranka pijany wujek.

Ale Stanisław wie, że jego ojciec jest skończony. Słyszał, jak na dole wszyscy rozmawiali, kiedy myśleli, że zasnął.

Tatuś kogoś zastrzelił. Policjanta, więc teraz musi się ukrywać.

Stanisław patrzy, jak ojciec pośpiesznie pakuje mały bagaż. Tatuś owija starą koszulką rewolwer kalibru .38 Special kupiony od jakiegoś gangstera niedaleko skrzyżowania Dziewiątej i Christian. Pakuje też dwa pudełka amunicji – na opakowaniu jest napis WESTERN .38 SPECIAL SUPER POLICE LOAD, 200 GRANÓW. Gangster, który sprzedał Janowi te naboje, powiedział, że takich używają policjanci w całym kraju. Jeżeli wdasz się w strzelaninę z gliniarzem, przyda ci się ta sama siła ognia.

A potem ojciec znika bez słowa, zostawiając Stanisława i jego młodszego brata, Jimmy’ego, z wujkiem, którego prawie nigdy nie ma, oraz luźną gromadą szorstkich mężczyzn i kobiet, wszystkich zajmujących się tym samym – nielegalnym handlem alkoholem.

Pojawiają się gliny i zadają pytania, ale nie trwa to długo. Wujek żartuje, że ojciec zastrzelił murzyna, więc nikt tego nie traktuje zbyt poważnie. Do diabła, równie dobrze mógł zostać na miejscu!

Stanisław nie chodzi do szkoły. Jest potrzebny w domu, żeby gotować (kiedy tylko ktoś chce coś zjeść) i sprzątać. Większość czasu zajmuje mu jednak robota budowlana – kopanie dolnej sutereny, w której wujek chciałby chować alkohol, broń, a na jakiś czas nawet człowieka. Stanisław kopie, a Jimmy trzyma wiadra. Nikt nie może się dowiedzieć, co kombinują, więc za każdym razem, gdy zapełnią dwa wiadra, Stanisław musi je wynieść z tyłu domu, pójść ulicą aż za rafinerię cukru, na pustą działkę przy Delaware Avenue. Opróżnia wiadra i wraca po następne. Ziemia jest mokra,

ciężka, twarda i śmierdzi pleśnią. To pewnie gówno sprzed pięćdziesięciu lat, myśli Stanisław. Metalowe uchwyty tak mocno wrzynają mu się w dłonie, że ślady nigdy nie znikną.

Nikt go nie zatrzymuje i o nic nie pyta – to tylko głupi mały polaczek, który bawi się kubłami z ziemią.

Wujek mówi, że dół ma być wykopany przed Bożym Narodzeniem, a to oznacza co najmniej pięćdziesiąt kursów i dziesięć wiader dziennie. Wujek „nadzoruje”. Wujek dużo pije. Wujek jest niecierpliwy. Wujek dużo krzyczy, kiedy jest pijany. Pewnej nocy drze się tak głośno, że Stanisław ze strachu upuszcza wiadro z ziemią na podłogę w kuchni. Wujek wyzywa Stanisława od głupich szmondaków i kopniakiem strąca go ze schodów. Chłopak stacza się po stopniach razem z wiadrem. Nos mu krwawi, ma rozciętą wargę, a kostka rwie z bólu.

Na widok starszego brata Jimmy zaczyna płakać, co doprowadza Stanisława do wściekłości. Wyrzuca resztkę ziemi z wiadra, a potem idzie z nim na górę. Wujek właśnie pociąga z butelki, kiedy Stanisław bierze zamach i wali sukinsyna tym wiadrem przez łeb. Butelka roztrzaskuje się na jego twarzy, której połowa pokrywa się krwią. Wujek ryczy. Stanisław upuszcza wiadro, wybiega przez tylne drzwi i ucieka do miasta.

Nie zamierza odejść na zawsze. Tylko na kilka miesięcy, aż tatuś wróci do domu. Wybiera najodleglejsze znane sobie miejsce w mieście – Frankford – i jedzie tam na gapę kolejką El. W tamtej okolicy nie zna nikogo, ale raz tatuś wziął go razem z Jimmym na film do gigantycznego kina niedaleko Orthodox Street. Podobało mu się tam.

Teraz wszystko wygląda obco i przerażająco. Stanisław wskakuje do pierwszych otwartych drzwi – to kawiarnia z muzyką na żywo. Mówi barmanowi, że czeka na tatusia (właściwie to nie kłamstwo). Cały lokal się trzęsie za każdym razem, gdy przejeżdża El, na chwilę zagłuszając pianino w kącie. Stanisław umiera z głodu, więc prosi o kanapkę. Barman przyjmuje zamówienie, nie zadając pytań. Pianista dostrzega chłopca, uśmiecha się i zaczyna grać numer, który Stanisław rozpoznaje – Baby Face. To chyba o nim. Barman przynosi kanapkę i pyta, czy tata na pewno będzie



miał pieniądze, żeby za nią zapłacić. Stanisław kłamie, że tak.

Oczywiście kiedy mija godzina, a ojca nie ma, barman orientuje się, co jest grane. Grozi, że zadzwoni na policję, ale Stanisław błaga, żeby tego nie robił – może odpracuje dług? Pianista staje w jego obronie i mówi do barmana, żeby odpuścił małemu.

Oczywiście barman wcale nie ma ochoty dzwonić po policję – sprzedaje alkohol w filiżankach od herbaty i nie chce, żeby przy tej okazji niebiescy znowu wymusili haracz.

Dlatego odpuszcza dziewięciolatkowi. Chłopak będzie pracować w jego kawiarni przez następne osiem lat – zmywając naczynia, potem targając pudła, a w końcu nawet nauczy się trochę grać na pianinie i raz po raz będzie zastępował etatowego grajka. El stale dudni im nad głowami i przez ten pierwszy rok Stanisław rozmyśla o powrocie do domu, do Jimmy'ego, tylko po to, by się upewnić, że wszystko z nim w porządku.

Ale nie ma odwagi. Wujek pewnie wciąż jest wściekły.

22 lipca 1934 roku John Dillinger ginie zastrzelony przed kinem w Chicago i w kawiarni wszyscy o tym mówią. Stanisław bierze egzemplarz „Ledgera” i z podnieceniem czyta artykuł o tym, jak w końcu dopadli Wroga Publicznego Numer Jeden. Lubi historie o policjantach i przestępcach.

Jednak w dolnej części pierwszej strony jest też krótki tekst o próbie napadu na sklep jubilerski.

Zastrzelono domniemanego herszta, Dużego Jana Kaminskiego, lat czterdzieści dwa, pochodzącego z dzielnicy Southwark.

W 1943 roku do armii zaciąga się jako Stan Walczak – posługiwał się tym nazwiskiem, odkąd uciekł z domu. Przybrał nazwisko pewnego lokatora pokerzysty, który kiedyś był dla niego miły i nauczył go paru sztuczek.

Parę lat później, pracując w nocnym klubie niedaleko skrzyżowania Kensington i Allegheny, poznaje Rosie Avallone, niską, dowcipną dziewczynę z niesamowitym biustem. Kumple ostrzegają, żeby odpuścił – Rosie spotyka się z jakimś młodym gangsterem. Ale Stan niedawno wrócił z wojny i czuje, że jest gotów na wszystko. Zaprasza Rosie na randkę. Pokazuje jej swoje zdjęcie z wojska. Rosie mówi, że Stanisław podoba jej się w mundurze. On

odpowiada, że to bardzo dobrze – bo wstępuje do akademii policyjnej. Żaden gangster nie będzie zadzierał z policjantem.

Początkowo decyduje się na ten krok w zwykłym przypiływie brawury – i z braku innych możliwości. Gra na pianinie jest fajna, ale nie ma z niej dosyć pieniędzy, żeby założyć rodzinę. Policjant zarabia dwa tysiące czterysta dolarów rocznie i ma perspektywę awansu. W 1951 roku to przyzwoita, komfortowa suma.

Ale nie chodzi tylko o to. Stanisław uświadamia sobie, że chce na dobre pogrzebać Jana Kaminskiego. I zastąpić policjanta, którego on zabił.

A poza tym podoba się Rosie w mundurze.

Wkrótce gangster dowiaduje się o tym wielkim polaczkę, z którym spotyka się Rosie. Kumpel Stana usiłują go ostrzec. Tamten gość jest skory do przemocy i chętnie sięga po rewolwer kalibru .38 Special.

A potem pewnego dnia wchodzi do klubu, gdy akurat Stan gra jakiś kawałek. Podchodzi do pianina, wali w nie i mówi: „Do jasnej cholery, nie wierzę, że to ty!”.

Gangsterem jest oczywiście jego młodszy brat – Mały Jimmy Kaminski, który zdążył już dorosnąć. Ludzie w mieście znają go jako Sonny’ego. Obaj mężczyźni nie zdradzają prawdy nikomu. Nawet Rosie. Ale w cztery oczy Sonny Jim mówi Stanowi, że ma szczęście.

– Gdyby chodziło o kogokolwiek innego – stwierdza – kazałbym cię zabić.

## KAPITAN JAMES WALCZAK (EMERYTOWANY)

1995–2015

Detektyw z wydziału zabójstw James Walczak zmierza w stronę rozwodu.

Na początku stycznia Filadelfię nawiedza śnieżycą historycznych rozmiarów – spada siedemdziesiąt pięć centymetrów śniegu. Jim, Claire i dzieci są uwięzieni w domu przy Unruh Avenue przez trzy dni. Kłótnie trwają bez przerwy. Audrey często płacze. Jim za dużo pije. Dach werandy, przeciążony śniegiem, zawala się.

Claire odchodzi latem, w skwarze sierpnia 1996 roku. Nie może znieść jego humorów, jego depresji, jego picia. Chce lepszej przyszłości dla chłopców, mówi. Jim zauważa, że nie wymieniła Audrey. Mimo wszystkich jej obietnic wciąż utrzymuje się ten bolesny podział. „Twoje dziecko, nie moje”. Claire podejrzewa, że Jim znowu ją zdradza i że dręczą go wyrzuty sumienia, dlatego pije. Niech tak myśli. To lepsze niż prawda. Może lepiej, że się wyprowadzą. Bezpieczniej dla nich wszystkich.

Jesienią tego roku Staś wbrew ojcu idzie do akademii policyjnej. Kiedy kończy studia, Rose wiesza jego zdjęcie na ścianie przy schodach.

Detektyw z wydziału zabójstw Jim Walczak patrzy, jak jego najgłośniejsza sprawa upada na sali sądowej.

W lutym 1997 roku Timothy Hooper i Bobby Haas stają przed sądem za zabójstwo Kelly Anne Farrace. Twierdzą, że ich pobito i zmuszono do podpisania pustych kartek, a później znalazły się na nich napisane na maszynie zeznania, w których przyznali się do winy. Po trwającym miesiąc procesie zostają uniewinnieni. Po prostu brakuje dowodów materialnych, żeby ich skazać. Ponadto przysięgłych nie przekonała argumentacja oskarżenia. Sprawa morderstwa Kelly Anne Farrace pozostaje nierozwiązana.

Kapitan James Walczak przechodzi na emeryturę po trzydziestu latach służby w Filadelfijskiej Komendzie Policji. Odbywa się mała impreza pożegnalna, na którą nie przychodzi żadne z jego dzieci (ani była żona). James odwiedza grób ojca i błaga o wybaczenie za grzechy. Opiekuje się swoją matką, Rose, przynosi jej zakupy i robi drobne naprawy w domu przy Bridge Street.

Po kilku miesiącach emerytury robi się jednak niespokojny, pije więcej, niż powinien. Zapisuje się do pewnego programu, z którego wychodzi szczuplejszy o dwadzieścia kilogramów. Zaczyna od czasu do czasu pomagać w śledztwach jako konsultant. Wraca również do własnych nierozwiązanych spraw, licząc na to, że w ten sposób zadośćuczyni za wcześniej popełnione błędy, chociaż przed nikim się do tego nie przyzna. Jeśli ktoś pyta, James wyjaśnia, że chce czymś zająć mózg. Jest tylko jedna sprawa, której kategorycznie nie chce tknąć, mimo że dziennikarze dzwonią do niego w każdą rocznicę morderstwa. W najlepszym razie cicho rzuca: „Bez komentarza”, po czym odkłada słuchawkę.

Emerytowany kapitan policji James Walczak otrzymuje list z informacją, że jego ojciec, Stanisław Walczak, w pięćdziesiątą rocznicę śmierci – 7 maja 2015 roku – zostanie uhonorowany tablicą upamiętniającą jego służbę miastu Filadelfia. To zarazem zaszczyt i koszmar. Tej nocy James strasznie się upija, słuchając w kółko jednej i tej samej płyty gramofonowej, aż wreszcie nie może tego dłużej znieść, ściąga ją z odtwarzacza i łamie na pół.

W zimnym, otrzeźwiająjącym świetle poranka dzwoni do każdego ze swoich dzieci, prosząc o udział w uroczystości. Nie ze względu na niego. Ze względu na pamięć o ich dziadku. Oraz dla babci Rose.

Jest mile zaskoczony, gdy wszyscy się zgadzają. Nawet Audrey, która specjalnie przyleci z Houston.

Tęskni za nią bardziej, niż da się to wyrazić słowami.

Emerytowany kapitan policji James Walczak dowiaduje się o tym, co spotkało jego córkę, Audrey, i pada na ziemię. Przewożą go do tego samego szpitala – ale Audrey nikt o tym nie mówi, bo ona musi teraz stoczyć własną bitwę.

Lekarze nie dają Jimowi korzystnych prognoz. Choroba serca jest zbyt daleko posunięta. Operacja byłaby ryzykowna, a zresztą w najlepszym przypadku zyskałby dodatkowe pół roku, góra rok.

Jim nie zamierza jednak odejść w taki sposób.

Prosi Cary'ego, żeby pojechał do domu przy Unruh Avenue i przywiózł akta zabójstwa Kelly Anne Farrace. Jeśli Cary na czymś się zna, to właśnie na policyjnych dokumentach. Potem Jim wzywa prawnika oraz Lauren Feldman, dawną asystentkę redakcji, która obecnie pracuje jako redaktorka działu miejskiego w „Philadelphia Daily News”.

Gdy wszyscy gromadzą się wokół jego łóżka, Jim oznajmia, że jego zdaniem dwadzieścia lat temu kandydat na burmistrza John DeHaven zamordował Kelly Anne Farrace, a następnie upozorował przypadkowy napad na ulicy, w którego trakcie miało dojść do gwałtu i uduszenia. Matka DeHavena, doradczyni burmistrza Sonya Kaminski, wykorzystwała swoją pozycję w ratuszu, żeby zatuzować czyn syna. Co więcej, Jim wierzy, że jego syn policjant Staś oraz córka Audrey zostali zaatakowani przez osoby zbliżone do rodziny Kaminski, pragnące uciszyć sprawę.

Lauren Feldman jeszcze nigdy nie pędziła do newsroomu przy skrzyżowaniu Ósmej i Market równie szybko.

Nazajutrz sprawa trafia do mediów – w sobotę, zwykle najgorszy dzień cyklu informacyjnego. Ale słowa emerytowanego kapitana policji w zupełności wystarczą, żeby zatopić kampanię. I żeby prokurator okręgowy zebrał wielką ławę przysięgłych w celu zbadania powiązań kryminalnych rodziny Kaminski, sięgających lat sześćdziesiątych. Prawnik ostrzega Jima, że go za to ukrzyżują.

– Przyniosę młotek i gwoździe – odpowiada Jim.

Zanim jednak zbierze się wielka ława przysięgłych, jego stan się pogarsza. Jim oznajmia Claire, Cary'emu i dochodzącej do zdro-

wia Audrey, że chce zostać pochowany obok ojca i syna na cmentarzu narodowym w Beverly w New Jersey.

– Nie umrzesz, staruszkę – mówi mu Audrey. Mocno ściska jego dłoń mimo wbitego w nią wenflonu. – Zbyt wielu mamy drani do złapania. Będziemy odpieprzać detektywistyczną robotę jako ojciec i córka.

– Rodzinny interes – odpowiada Jim z uśmiechem.

– Wiesz, że cię kocham, stary dziadu?

Jim wie. A 10 czerwca 2015 roku jego życzenie się spełnia.

## POSTERUNKOWA AUDREY WALCZAK

7 maja 2016

Audrey przykuca, żeby podnieść pety, papierki po gumie do żucia i inne niezidentyfikowane miejskie śmiecie z tablicy pamiątkowej dziadka.

– Przepraszam, panowie – mówi – ale chwilę mnie nie było.

Bryant też próbuje pomóc: pada na kolana i zaczyna pocierać nazwisko pradziadka lizakiem, który przed chwilą ssał. Tylko dzięki refleksowi Audrey udaje się powstrzymać chłopca przed włożeniem go z powrotem do buzi.

Po roku tablice są w dobrym stanie. Barry czyścił je tak długo, jak mógł, ale przed końcem lata odszedł z pracy w pizzerii, żeby iść na studia podyplomowe w – uwaga – Houston. Bardzo romantyczne i dość zaskakujące. Nikt jednak nie był bardziej zaskoczony niż Barry, kiedy Audrey wyjawiała, że zabiera Bryanta i jak najszybciej przeprowadza się z powrotem do Filadelfii.

Tego niezależnego projektu nigdy nie ukończyła – wykreślono ją z listy studentów szkoły CSI. Żaden z wykładowców nie robił jej jednak nieprzyjemności, bo wszyscy wiedzieli, co spotkało jej rodzinę w sierpniu. Opiekunka zaproponowała nawet, żeby Audrey opisała swoje doświadczenia i właśnie tę pracę przedłożyła jako niezależny projekt. Audrey jednak nie widzi sensu. Ma inne plany.

Barry’emu podoba się, że ona jest policjantką, a on diakonem. Ona będzie załatwiać zbirów, a on będzie ich grzebał.

Ben Wildey twierdzi, że w godzinę potrafi nauczyć Audrey przywoicie strzelać.

Przyszli dziś na strzelnicę wcześniej rano – na jej prośbę. Ben przyjął wiadomość z radością – zwłaszcza po tych wszystkich złych rzeczach, które nękały rodzinę przez ostatni rok. Oczywiście

ście komplement Audrey, która powiedziała, że chce się uczyć od najlepszych, również zrobić swoje.

– Większość policjantów myśli, że strzelają lepiej niż wszyscy – mówi Wildey. – Coś ci powiem: przeciętny gliniarz nie umie strzelać. Potrafi może z piętnaście procent. I posłuchaj, to mit, że dilerzy narkotykowi mają więcej broni niż policja. Gliny nie potrzebują mieć więcej kul. Potrzebują lepszego przeszkolenia.

Tłumaczy, że aby dobrze strzelać, wystarczy dobry wzrok i nieco ponad kilogram siły nacisku, żeby pociągnąć za spust.

– Nie ma żadnych wymogów, jeśli chodzi o gabaryty, siłę czy płeć. Strzelać może każdy.

Brzmi dobrze. Ben sadza Audrey w swoim gabinecie i kładzie przed nią na blacie dwa rodzaje broni krótkiej: rewolwer i pistolet samopowtarzalny. Oczywiście Audrey bardziej interesuje rewolwer. Oficjalną bronią służbową są glocki, jej podoba się jednak myśl o noszeniu czegoś ekstra. Czegoś trochę bardziej osobistego.

Ben pyta, czy jest lewo-, czy praworęczna. Audrey mówi, że leworęczna, ale grając w baseball, pałkę trzyma w prawej.

– A co?

Wildey wyjaśnia, że kiedy leworęczni strzelają z pistoletów, wyrzucane łuski niezawodnie trafiają ich w głowę.

– Bardzo mocno? – pyta Audrey.

– Aha. Wystarczy, żeby wybić oko.

Audrey postanawia strzelać prawą ręką. Ben kontynuuje lekcję na temat niebezpieczeństw wyrzucania łusek przez broń samopowtarzalną.

– Tylko uważaj z niektórymi bluzkami. Gorące łuski potrafią wyładować w ciekawych miejscach.

– No to może zostanemy przy rewolwerze.

– Dobry pomysł.

Ben wskazuje rewolwer, kaliber .38 Special, dość podobny do broni, z której zabito ich dziadków, i tłumaczy, że rewolwer pobiera pociski z bębenka, w przeciwieństwie do pistoletu samopowtarzalnego, pobierającego pociski z magazynka.

– Podnieś go – mówi, a Audrey to robi i dziwi się, że jest taki



ciężki.

Wildey pokazuje, jak otworzyć broń – kciuk, palec środkowy i serdeczny trzymają bębenek, palec wskazujący i mały są ułożone na górze – i jak załadować naboje. Układ dłoni Audrey przypomina wykrzywiony znak pokoju.

Kolejny krok – najważniejszy – to nauka strzelania zarówno w trybie *single action*, jak i *double action*. Nazwy są mylące. *Single action* wymaga dwóch czynności: najpierw napinasz kurek, a później pociągasz za spust. Z kolei *double action* to tak naprawdę jedna ciągła akcja: ściągasz język spustowy, aż kurek się napnie, a potem oddajesz strzał.

Po włożeniu ochronnych okularów i słuchawek (oraz zapięciu górnego guzika bluzki – tak na wszelki wypadek) Audrey staje przed ławą na stanowisku strzelniczym. Ben przypina okrągłą tarczę do kartonowej podkładki.

– Dobra, *single action*. Celuj w godzinę szóstą na tarczy.

Podpierając prawą dłoń lewą dłonią, Audrey podnosi rewolwer kalibru .357 na wysokość wzroku. Lewym kciukiem napina kurek, a potem kładzie prawy palec wskazujący w zagięciu spustu. Zamyka lewe oko i zajmuje pozycję, tak by szczerbinka i muszka utworzyły literę W poniżej celu.

– Dawaj – mówi Ben.

Audrey strzela.

Nagle wszędzie jest biały dym, jakby tuż przed nią ktoś odpalił petardę.

– Dobry strzał – stwierdza Ben. – Tylko trzy centymetry poniżej celu.

Rzeczywiście dobry – zwłaszcza że jeszcze przed sekundą Audrey tego cholerstwa w ogóle nie widziała.

– Jeszcze raz – mówi z uśmiechem.

Według Bena cała sztuka polega na tym, żeby dobrze wycelować. Kiedy już wiesz, jak to się robi, nigdy nie zapomnisz – niezależnie od tego, czy cel jest dziesięć, piętnaście czy czterdzieści metrów dalej. Pod okiem Bena Audrey oddaje jeszcze czterdzieści dziewięć strzałów, na zmianę w trybie *single action* i *double action*, a w końcu dostaje tarczę w kształcie ludzkiej sylwetki.

Na dwadzieścia strzałów z odległości dziesięciu i piętnastu metrów piętnaście razy trafia w okolice serca Pana Sylwetki plus dwa razy całkiem nieźle w jego lewe ramię.

Ben Wildey nie kłamał. Po godzinie Audrey strzela lepiej niż większość gości w policji.

Przez ostatni rok zrzuciła piętnaście kilo i musi przyznać – zajębiście wygląda w mundurze.

## PODZIĘKOWANIA

Pomysł na Rewolwer zakiełkował w mojej poprzedniej powieści, *Wtyczka*, w formie zdania, w gruncie rzeczy zupełnie nieistotnego, rzuconego przez jedną z postaci. (Moja podświadomość lubi ze mną igrać, przysięgam). Nabrał zaś życia 24 marca 2014 roku, kiedy przeczytałem artykuł Barbary Boyer w „Philadelphia Inquirer” o zabójstwie dwóch policjantów w Lodi w stanie New Jersey w 1963 roku. Gorycz i gniew rodzin ofiar były namacalne nawet po tylu latach. Skojarzyło mi się to z morderstwem członka mojej rodziny – filadelfijskiego policjanta patrolu pieszego Josepha T. Swierczynskiego, zastrzelonego przez gangstera przed wejściem do baru na skrzyżowaniu Dziewiątej i Christian 20 marca 1919 roku. I chociaż kiedy Michael Brown został zastrzelony w Ferguson w Missouri, pisałem tę powieść już od dłuższego czasu, to od samego początku dużo myślałem o policjantach i kwestii rasowej.

Parałem się już wcześniej prozą historyczną – akcja mojej pierwszej powieści, *Secret Dead Men*, była osadzona w 1976 roku, który ledwie pamiętam, a *Expiration Date* opowiada o podróży w czasie do początku lat siedemdziesiątych. Ponadto spędziłem siedem (plus) lat, robiąc badania do powieści dziejącej się w Filadelfii w czasach Prohibicji, którą mam nadzieję ukończyć przed śmiercią. Teraz jednak pojawiła się okazja do napisania prozy z elementami historycznymi i pokazania dojmującego wpływu historii na teraźniejszość. Jestem wielkim fanem cytatu z *Requiem dla zakonnic* Williama Faulknera: „Przeszłość nigdy nie umiera. Nie jest nawet przeszłością”<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> William Faulkner, *Requiem dla zakonnic*, przeł. Waclaw Niepokólczycki, Warszawa 1980.

Aby odtworzyć przeszłość, musiałem odrobić pracę domową. Jestem ogromnie wdzięczny Michaelowi J. Chitwoodowi, Josephowi R. Daughenowi, Stevenowi Swierczynskiemu i Frankowi Wallace'owi za czas spędzony ze mną i wspomnienia, którymi się podzielili. Ich opowieści z pierwszej ręki bardzo mi pomogły.

Robiąc badania do Rewolweru, pochłonałem również całe masy artykułów prasowych i internetowych, ale szczególnie pomocne okazały się: *Case Study of a Riot: The Philadelphia Story* Lenort E. Berson, *That Long Hot Summer of Rage* Willa Buncha, *The Peoples of Philadelphia* Allena F. Davisa i Marka H. Hallera, *Black Brothers, Inc.* Seana Patricka Griffina, *Tough Cop: Mike Chitwood vs. the „Scumbags”* Harolda I. Gullana oraz *Civil Rights in a Northern City: Philadelphia*, czyli niesamowite archiwum cyfrowe Uniwersytetu Temple poświęcone ruchowi na rzecz praw obywatelskich w Filadelfii ([northerncity.library.temple.edu](http://northerncity.library.temple.edu)).

Bardzo cenne były reakcje i rady moich wczesnych czytelników – Lou Boxera, Robba Cadigana, Joego Gangemiego, Allana Guthriego i Roberta Kulba.

Autorami wspaniałej mapki na początku książki są Mark Adams i Jason Killinger, znani jako Eyes Habit. Mój kącik do pracy zdobią ich mapy, stanowiące niewyczerpane źródło inspiracji. (Mam fioła na punkcie map). Przekonajcie się sami na stronie [eyeshabit.com](http://eyeshabit.com).

Bardzo dziękuję moim redaktorom, Joshui Kendallowi i Wesowi Millerowi, którzy nie tylko na samym początku uznali pomysł za interesujący, ale pomagali mi odnaleźć drogę podczas całego procesu pisania. Chcę przybić piątkę całej reszcie zespołu Mulholland Books, a także Inkwell Management i Gotham Group.

Dużo miłości dla mojego domowego zespołu – Meredith, Parkera i Sarah – którzy tolerowali mnie, kiedy gapilem się na tablicę korkową pełną fiszek albo chodziłem po domu, mamrocząc pod nosem. Nie poradziłbym sobie bez nich.

Pomysł na *Rewolwer* przyszedł mi do głowy dosłownie naza-  
jutrz po tym, gdy adoptowaliśmy Sherlocka, naszego mieszkańca  
owczarka australijskiego z border collie. Spore kawałki książki  
obmyśliłem, wyprowadzając go na spacer. Nie podzielił się ze  
mną żadnymi szczególnymi uwagami na temat powieści ani jej  
motywów przewodnich, ale stanowczo był zdania, że w miarę  
możliwości powinienem w niej uwzględnić martwe wiewiórki.

21 lutego 2016 roku